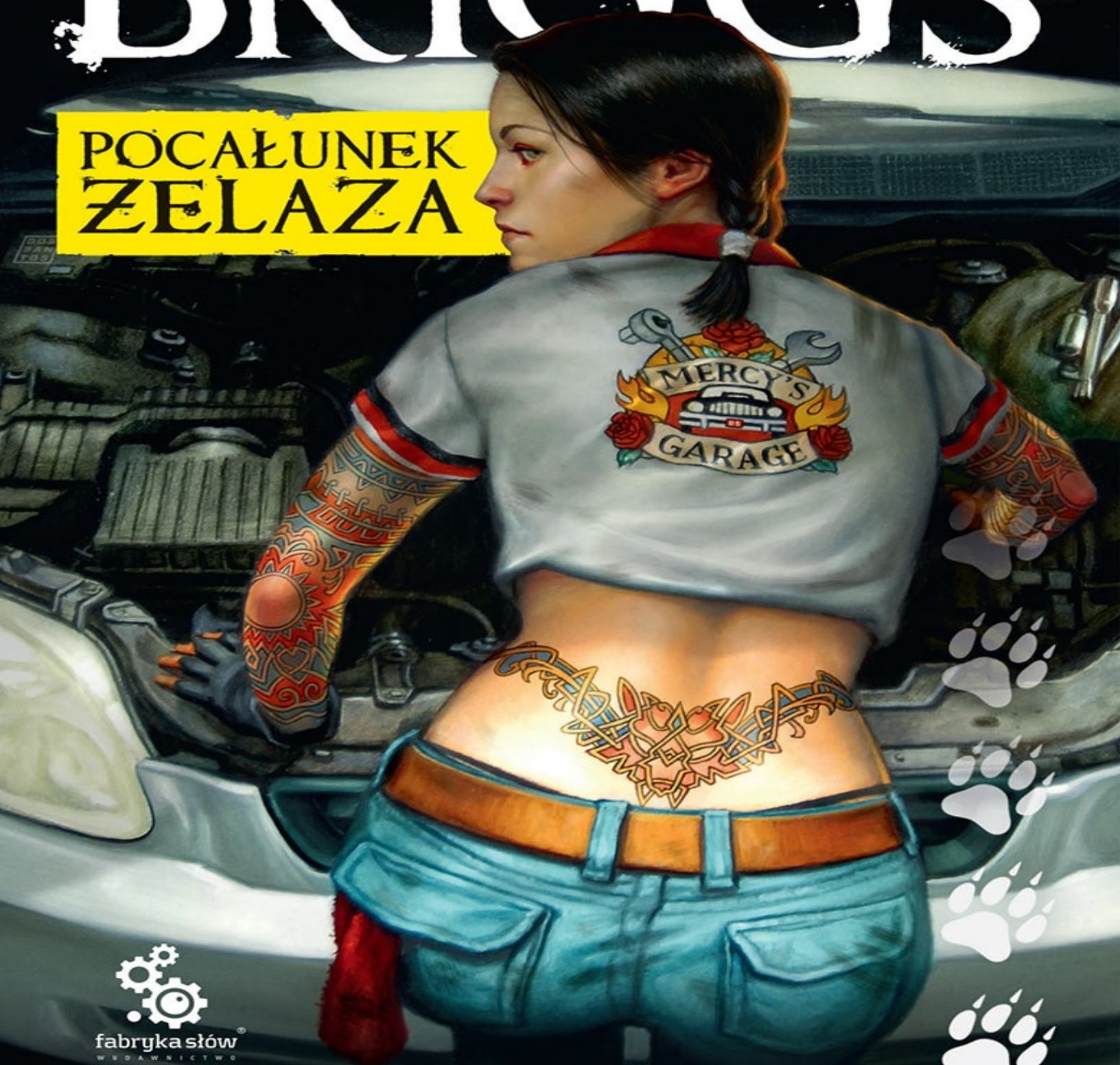


SERIA Z MERCEDES THOMPSON **3**

PATRICIA BRIGGS

POCAŁUNEK
ŻELAZA



Spis treści

Karta tytułowa

Seria z Mercedes Thompson

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Karta redakcyjna

Okładka

PATRICIA
BRIGGS
POCĄŁUNEK
ŻELAZA

TEUMACZYŁA
DOMINIKA SCHIMSCHEINER

fabryka słów®

Lublin – Warszawa

Seria z Mercedes Thompson:

1. *Zew księżycyca*
2. *Więzy krwi*
3. *Pocałunek żelaza*
4. *Znak kości*
5. *Zrodzony ze Srebra*
6. *Piętno rzeki*
7. *Żar mrozu*
8. *Night broken*

Podziękowania

Wydawcom: oczywiście Annie Sowards, ale także Mike'owi i Collinowi Briggsom, Dave'owi, Katherine i Caroline Carson, Jeanowi Matteucci, Ann (Sparky) Peters, Kaye i Kyle'owi Robersonom oraz Gene Walker – dzielnym ludziom, którzy czytali tę książkę w całości lub częściach, w różnych opłakanych stanach, i zawsze byli mi podporą.

Niemiecki: Michaelowi i Susann Bockom z Hamburga – Zee jest bardzo wdzięczny za ich chwalebne wysiłki. Danke.

Informacje: Janie i Deanowi z Butte Silver Bow Arts Foundation, George'owi Bowenowi i Wydziałowi Policji z Kennewick, Cthulu Bobowi Lovely oraz Dr. Ginny Mohl.

Mapa: Michaelowi Enzweilerowi.

Autorka jest szczególnie wdzięczna Jesse'owi Robisonowi, który życzliwie wkroczył, gdy Mercy potrzebowała księgarni i osoby, która zna swoje książki.

Oraz oczywiście dla gorliwych członków Three Rivers Folklife Society i wielu utalentowanych muzyków, którzy zapewniają oprawę muzyczną Święta Pracy, organizując Tumbleweed Music Festival.

Mimo heroicznych wysiłków tych wielu zdolnych ludzi zdają sobie sprawę z niedoskonałości tej powieści, a odpowiedzialność za nie przyjmuję całkowicie na siebie.



Rozdział 1

Kowboj, prawnik i mechanik oglądają „Królową potępionych” – mruknęłam.

Warren, który dawno temu był kowbojem, prychnął, przebieierając palcami nagich stóp.

– Tak może się zaczynać albo kiepski dowcip, albo straszna opowieść.

– Nie – zaprotestował Kyle, prawnik, który leżał z głową na moich udach. – Straszna opowieść zaczynałaby się tak: wilkołak, jego zabójczo przystojny kochanek i zmiennokształtna...

Warren, wilkołak, zaśmiał się, potrząsając głową.

– Zbyt skomplikowane. Niewielu już wie, co to są zmiennokształtni.

Zwykle mylnie brano nas za skórokształtnych, określonych przez Indian mianem „tych, którzy biegają jak zwierzęta”. Po części rozumiałam to zamieszanie, bo i skórokształtni, i zmiennokształtni należą do tubylczych metamorfów. W dodatku nazwy wymyśliła zapewne jakaś głupia blada twarz, która nie rozróżniała tych istot.

Nie jestem skórokształtną. Po pierwsze, pochodzę z innego szczepu. Mój ojciec był Czarną Stopą z północnej Montany, a skórokształtni wywodzą się z plemion południowych, na przykład Hopi czy Nawaho.

Po drugie, skórokształtni muszą założyć skórę zwierzęcia, w które się przemieniają, przeważnie kojota lub wilka, a ich oczy pozostają ludzkie. Skórokształtni to złe wiedźmy, ściągające na ludzi choroby i śmierć.

Ja do przemiany w kojota nie potrzebuję skóry czy – zerknęłam na Warrena, niegdyś kowboja, aktualnie wilkołaka – księżyca.

W postaci kojota wyglądam dokładnie jak każdy przeciętny kojot. Raczej nieszkodliwy, stojący na najniższym szczeblu drabiny magicznych stworzeń zamieszkujących stan Waszyngton. Który to zresztą fakt zapewniał mi dotychczas względne bezpieczeństwo.

Nikt nie zauważał tak niepozornej istoty. Ostatnio jednak uległo to zmianie. Nie żebym zyskała jakieś moce, jednakże moje poczynania zwróciły uwagę magicznego światka. Na przykład kiedy wampiry dowiedziały się, że zabiłam nie jednego, a dwóch z ich rodzaju...

Jakby w odpowiedzi na moje przemyślenia na ekranie telewizora, telewizora tak wielkiego, że nie pomieściłby się w saloniku mojego bungalowu z prefabrykatów, pojawił się wampir. Zamiast dreszczyku pożądania na widok aktora odzianego jedynie w seksownie opięte na biodrach skórzane spodnie, przeszła mnie fala lęku. Zabawne, jak zabicie wampira wzmacnia strach przed nimi. W koszmarach wampiry wylaniały się z dziur w podłodze domku i szeptały do mnie z mroku. W snach czułam przebijający ciało kółek i zatapiające się w moim ramieniu kły.

Gdyby to Warren leżał mi z głową na kolanach, na pewno zauważyłby moją reakcję. Ale rozciągnięty na dywanie wilkołak wpatrywał się ze skupieniem w ekran.

– Wiecie – zaczęłam jakby od niechcienia, rozpierając się wygodniej na nieprzyzwoicie miękkiej skórzanej kanapie, stojącej w telewizyjnym pokoju wielkiego domu Kyle’a. – Zastanawiam się, dlaczego Kyle wybrał właśnie ten film. Po tytule w życiu bym się nie domyśliła, że może w nim być tyle nagich męskich torsów.

Warren parsknął, wpychając sobie do ust garść popcornu z miski, którą trzymał na brzuchu.

– A co? – rzekł, przeciągając po teksańsku zgłoski. – Spodziewałaś się więcej półnagich kobiet, Mercy? Znasz Kyle’a, więc nie powinnaś być zaskoczona. – Zachichotał, wskazując na telewizor. – Hej, nie wiedziałem, że wampiry nie podlegają prawu grawitacji. Widzieliście kiedyś jakiegoś zwisającego tak z sufitu?

Potrząsnęłam głową, obserwując, jak filmowy wampir rzuca się na dwie swoje fanki.

– Nie, ale nie zdziwiłabym się. Nie widziałam też, jak pożywiają się na ludziach. Ble.

– Cicho. Uwielbiam ten film – bronił swojego wyboru Kyle. – Śliczni chłopcy wijący się w pościeli, nagie torsy i obcisłe skórzane biodrówki. Myślałam, że tobie też podejdzie, Mercy.

Zlustrowałam mężczyznę wzrokiem, każdy jego opalony,

muskularny kawałek, i doszłam do wniosku, że jest o wiele bardziej interesujący niż jakiś tam przystojniak z ekranu – bardziej rzeczywisty.

Miał aparycję stereotypowego geja, od żelu na doskonale przyciętych ciemnych włosach aż po kosztowne, lecz gustowne ubrania. Nieuważnym obserwatorom łatwo umykała ukryta w tym ślicznym opakowaniu wybitna inteligencja. Co oczywiście było celem Kyle'a.

– Niewystarczająco kiepskie jak na wieczór kiepskich filmideł – ciągnął Kyle, nie przejmując się, że przeszkadza. I tak nikt z nas nie śledził wyjątkowo błyskotliwych dialogów. – Wziąłbym „Blade'a” trójkę, ale ktoś go wypożyczył.

– Wesley Snipes jest boski w każdym filmie, nawet jeśli do oglądania trzeba wyłączyć dźwięk – oświadczyłam i schyliłam się do miski z popcornem.

Warren nadal nie stracił chorobliwej chudości, wspomnienia po wypadkach sprzed miesiąca, kiedy był ciężko ranny, bliski śmierci. Na szczęście wilkołaki są twarde, inaczej nie przeżyłby ataku wampira – nosiciela demona. To jego właśnie zabiłam za wiedzę i zgodą Pani tutejszej chmary. Fakt, że tak naprawdę nie chciała, bym go zabiła, nie negował jej oficjalnego przyzwolenia – nie mogła wyciągnąć wobec mnie żadnych konsekwencji za tę śmierć. Natomiast jeśli chodzi o drugiego zabitego wampira, nie wiedziała, że to ja jestem za to odpowiedzialna.

– Pod warunkiem, że nie gra transa – wycedził Warren.

Kyle przytaknął mruknięciem.

– Snipes to niezłe ciacho, ale jako laska wygląda koszmarnie.

– Ej – zaprotestowałam, wracając myślami do tematu rozmowy. – „Ślicznotki” to całkiem niezły film. – Oglądaliśmy go tydzień wcześniej u mnie.

Na dźwięk dochodzącego od strony schodów cichego buczenia Kyle podniósł się z kanapy z lekkością tancerza. Przeznaczony dla Warrena pokaz gracji przeszedł bez echa. Wilkołak skupił wzrok na telewizorze, choć jego uśmiezek nie był zapewne reakcją, na jaką reżyser liczył, tworząc wyjątkowo krwawą scenę. Moje odczucia okazywały się bliższe oczekiwanemu odbiorowi. Zbyt łatwo przychodziło mi postawienie się w roli ofiary.

– Murzynek gotowy, cukiereczki – ogłosił Kyle. – Chcecie coś do picia?

– Nie, dzięki – rzuciłam. To tylko film, pomyślałam, obserwując pożywiającego się wampira.

– Warren?

Na dźwięk swojego imienia wilkołak w końcu oderwał oczy od ekranu.

– Wodę poproszę.

Warren nie był tak ładny jak Kyle, odznaczał się raczej surową, męską urodą. Odprowadził schodzącego do kuchni partnera pożądanym spojrzeniem.

Uśmiechnęłam się w duchu, uradowana widokiem szczęścia Warrena. Gdy tylko Kyle zniknął z pola widzenia, oczy wilkołaka spoważniały. Usiadłszy prosto, pogłośnił telewizor i przeniósł na mnie spojrzenie.

– Musisz się zdecydować – zaczął z naciskiem. – Adam, Samuel albo żaden. Nie możesz trzymać ich w niepewności.

Adam był Alfą miejscowego stada wilkołaków i moim sąsiadem, z którym od czasu do czasu się umawiałam, Samuel z kolei moją pierwszą miłością, pierwszym zawodem miłosnym i obecnym współlokatorem. Tylko współlokatorem, choć pragnął czegoś więcej.

Żadnemu z nich nie ufałam. Opanowanie Samuela w kontaktach ze mną było tylko fasadą, skrywającą cierpliwego, bezwzględного drapieżcę. A Adam... Cóż, Adam mnie przerażał. Niestety, obawiałam się, że kocham ich obu.

– Wiem.

Warren odwrócił wzrok, co oznaczało, że czuje się niezręcznie.

– Nie myłem dziś zębów prochem, więc nie będę strzelał z grubej rury, ale to poważna sprawa, Mercedes. Rozumiem, że to niełatwe, jednak dwa dominujące wilkołaki zainteresowane jedną samicą oznaczają rozlew krwi. Nie znam przypadku, żeby jakiś wilk dawał samicy tak duże pole manewru, jakie oni dają tobie, ale lada moment któryś z nich się złamie.

Moja kieszeń zagrała „Baby elephant walk”. Wyłowiłam komórkę i zerknęłam na numer dzwoniącego.

– Wierzę ci – powiedziałam do Warrena. – Tylko nie mam pojęcia, co z tym zrobić.

Problem z Samuelem nie polegał tylko na jego dozgonnej miłości do mnie, ale to była sprawa pomiędzy nami i Warrenowi nic do tego. Jeśli zaś chodzi o Adama... Po raz pierwszy zaczęłam się zastanawiać, czy nie lepiej zebrać manatki i zniknąć.

Telefon nie przestawał wygrywać melodyjki.

– To Zee. Muszę odebrać.

Zee, mój były szef i mentor, nauczył mnie, jak złożyć silnik od podstaw, a także zaopatrzył w akcesoria umożliwiające zabicie wampira odpowiedzialnego za stan Warrena oraz koszmary, które kładły pod jego oczami głębokie cienie. Uznałam, że Zee zyskał sobie tym prawo do przerywania Piątkowych Wieczorów Filmowych.

– Zastanów się nad tym.

Kiwnęłam głową, odbierając telefon.

– Cześć, Zee.

W słuchawce odpowiedziała mi cisza.

– Mercedes – odezwał się w końcu Zee i nawet twardy niemiecki akcent nie pokrył wahania w jego głosie. Stało się coś niedobrego.

– Z czym dzwonisz? – Natychmiast siadłam prosto i opuściłam nogi na podłogę. – Jestem z Warrenem – dodałam, dając Zee do zrozumienia, że ma jeszcze jednego słuchacza. Obecność wilkołaka odbierała rozmowom poufność.

– Mogłabyś pojechać ze mną do rezerwatu?

Gdyby to nie był Zee, uznałabym, że chodzi o pobliski Rezerwat Umatilla, jednak w tym wypadku nie ulegało wątpliwości, że mowa o Rezerwacie Nieludzi imienia Ronalda Wilsona Reagana leżącym w Walla Walla, który potocznie nazywano Uroczyskiem.

– Teraz?

W sumie... Zerknęłam na filmowego wampira. Nie do końca mnie przekonywał, nie umiał zagrać prawdziwego zła, ale i tak wzbudzał niepokój. Jakoś nie potrafiłam wykrzesać z siebie żalu, że ominie mnie dalszy ciąg filmu. A tym bardziej rozmowy o moich sprawach sercowych.

– Nie – burknął Zee. – W przyszłym tygodniu. *Jetzt*. Oczywiście, że teraz. Gdzie jesteś? Podjadę po ciebie.

– Wiesz, gdzie mieszka Kyle?

– Kyle?

– Chłopak Warrena. – Zee znał Warrena, nie przyszło mi do głowy, że dotychczas nie spotkał Kyle’a. – Zachodnie Richland.
– Daj adres, trafię.



Ciężarówka Zee pruć autostradą jak strzała, mimo że liczyła sobie więcej lat niż ja. Szkoda, że tapicerka nie była w podobnym stanie jak silnik. Przesunęłam się trochę, żeby wystająca sprężyna nie uwierała mnie tak boleśnie w krzyż.

Lampki na desce rozdzielczej oświetlały pobrużdżoną twarz, którą Zee przybrał na użytek świata. Gęste siwe włosy były w nieładzie, jakby mierzwił je palcami.

Po zakończeniu rozmowy z Zee Warren nie wrócił już do tematu Samuela i Adama, bo w pokoju pojawił się Kyle z murzynkiem. Nie przeszkadzało mi, że Warren wtrąca się w moje sprawy sercowe – ja wystarczająco wtrącałam się w jego, żeby zyskał sobie do tego prawo. Nie chciałam po prostu o tym myśleć.

Droga mijala nam w milczeniu. Znałam starego tetryka na tyle, żeby powstrzymać się od nagabywań. I tak nie wyciągnęłabym z niego żadnych informacji, zostawiłam go więc w spokoju. W każdym razie po pierwszych kilkunastu pytaniach, na które nie udzielił mi odpowiedzi.

– Byłaś już kiedyś w rezerwacie? – zapytał nieoczekiwanie, kiedy przejeżdżaliśmy przez rzekę za Pasco, kierując się na drogę do Walla Walla.

– Nie.

Rezerwat niełudzi w Nevadzie był przyjazny turystom. Wybudowano tam nawet kasyno i niewielki park tematyczny. W przeciwieństwie do Nevady, rezerwat w Walla Walla skutecznie odstraszał wszystkich spoza społeczności niełudzi. Czy taka była polityka rządu, czy sprawiły to wysiłki samych niełudzi, dość, że nieciekawa reputacja zniechęcała do odwiedzin.

Zee zabębnił nerwowo palcami po kierownicy. Zgrubiała, poblizniona skóra na dłoniach, poplamiona głęboko wżartym smarem, nie pozostawiała wątpliwości, że ręce te należą do osoby, która całe życie naprawiała samochody.

Tak właśnie miały wyglądać dłonie człowieka, którego postać przyjął Zee. Kiedy kilka lat wcześniej, jakiś czas po ujawnieniu się pierwszego nieczłowieka, Szarzy Panowie, potężne, bezlitosne istoty sekretnie rządzące nieлюдźmi, zmusiły go do wyjawienia światu swego pochodzenia, Zee nie zawracał sobie głowy zmianą wcześniejszej powierzchowności.

Znałam Zee od ponad dekady i nie widziałam w innej formie niż naburmuszonego starszego mężczyzny. Wiedziałam jednak, że posiada drugą twarz. Większość nie ludzi nawet po ujawnieniu funkcjonowała w społeczeństwie, przybierając iluzoryczne powłoki. Ludzie nie byli jeszcze gotowi, aby ujrzeć ich prawdziwe postaci. W zasadzie większość i tak posiadała humanoidalne kształty, jednak się nie starzeli. Właśnie przerzedzone włosy, zmarszczki i starcze plamy stanowiły najlepszy dowód, że to nie naturalna postać Zee. Kwaśna mina natomiast nie zaliczała się do integralnej części magicznej aparycji.

– Na miejscu nic nie jedz i nie pij – rzekł ostro.

– Spokojnie, czytałam baśnie – przypomniałam. – Żadnych przekąsek, napojów, żadnych przysług. I nie dziękować.

– Bajki. Przekłęte opowiadania dla dzieciaków – mruknął.

– Czytałam też Katherine Briggs – dodałam. – I braci Grimm. – Głównie w poszukiwaniu istoty, którą mógłby być Zee. Nie mówił o tym nigdy, ale sądziłam, że jest kimś. Dlatego też próby zidentyfikowania go stały się dla mnie swego rodzaju hobby.

– No, to już lepiej. Niewiele, ale zawsze. – Znowu zabębnił palcami o kierownicę. – Briggs była archiwistką. W jej opowieściach jest tyle prawdy, co w źródłach, z których korzystała, a te są w większości przeraźliwie niepełne. Zaś Grimmowie w swoich historiach kładą większy nacisk na dostarczenie rozrywki niż faktów. Jedne i drugie są *nur Schatten...* jedynie echemi rzeczywistości. – Obrzucił mnie badawczym spojrzeniem. – Wujek Mike uważa, że możesz się nam przydać. Uznałem, że lepiej wykorzystać w ramach odpłaty tę sytuację, bo nie wiadomo, kto stanie na twojej drodze w przyszłości.

Zee, narażając się na gniew Szarych Panów, dostarczył mi kilku przedmiotów należących do nie ludzi, narzędzi umożliwiających skuteczne pozbycie się wampira-czarnoksiężnika, nad którym

kontrolę stopniowo przejmował użyczający mu mocy demon. Z ich pomocą zabiłam wampira, a także jego stwórcę. Jednak, jak to w baśniach bywa, wykorzystanie daru nie ludzi po raz drugi, bez zgody właścicieli, niesie ze sobą konsekwencje.

Gdybym wiedziała, że pomoc Zee ma być zapłatą, zadanie od początku wzbudziłoby we mnie obawy – ostatnim razem spłacanie długu wdzięczności nie skończyło się dla mnie zbyt dobrze.

– Dam sobie radę – zapewniłam towarzysza mimo ściśniętego strachem serca.

Skrzywił się kwaśno.

– Nie pomyślałem o konsekwencjach twojej wizyty w rezerwacie po zmroku.

– Przecież ludzie go odwiedzają – zaprotestowałam niepewnie.

– Nie tacy jak ty i nie w nocy. – Potrząsnął głową. – Turyści przychodzą za dnia i widzą tylko to, co mają zobaczyć. W świetle łatwiej oszukać ludzkie zmysły. Ale ty... Szarzy Panowie zakazali polowania na ludzi, jednak mieszkają tam drapieżniki, a trudno przeciwstawić się głosowi natury. Szczególnie gdy Szarych Panów, którzy ustalają zasady, nie ma na miejscu. Będę tylko ja. Jeśli zobaczysz coś, czego nie powinnaś, niektórzy mogą twierdzić, że działali, chcąc chronić...

W tym momencie przeszedł na niemiecki, a ja zorientowałam się, że od jakiegoś czasu mówił właściwie do siebie. Dzięki Zee zrobiłam większe postępy w niemieckim niż przez dwa lata nauki w szkole, mimo to moja znajomość tego języka nie była aż tak dobra, bym mogła zrozumieć wszystko.

Minęła już ósma, lecz ciepłe promienie słońca kładły się jeszcze na koronach drzew porastających zbocza wzniesień. Większe tworzyły nadal zieloną okrywą, jednak tu i ówdzie krzewy pyszniły się już pełnymi barwami jesieni.

W okolicach Tri-Cities jedynymi drzewami były te podlewane w upalne lata przez ludzi oraz rosnące przy rzece. W miarę zbliżania się ku Walla Walla, gdzie Pasma Błękitne zapewniało większą wilgotność, okolica stawała się bardziej zielona.

– Najgorsze jest to – ciągnął Zee, przechodząc znów na angielski – że prawdopodobnie nie powiesz nam nic nowego.

– O czym?

Stropiona mina nie pasowała do jego twarzy.

– *Ja*, trochę namieszałem. Pozwól, że zacznę od początku. – Westchnął ciężko. – W rezerwacie mamy własnych stróżów porządku. Działają po cichu, bo świat ludzi nie jest jeszcze gotowy, aby poznać nasze metody egzekwowania prawa. Niełatwo byłoby zamknąć w areszcie kogoś z nas, prawda?

– Wilkołaki mają ten sam problem – stwierdziłam.

– *Ja*, nie dziwię się – przytaknął. – Do rzeczy. Ostatnio mieliśmy w rezerwacie parę niewyjaśnionych śmierci. Uważamy, że ich sprawcą jest ta sama osoba.

– Należysz do sił porządkowych rezerwatu? – zdziwiłam się.

– Nie. Nie mamy czegoś takiego. Nie w sensie policji. Ale Wujek Mike należy do Rady. Uznał, że twój nos może nam się przydać, więc posłał po ciebie.

Wujek Mike prowadził w Pasco bar dla nie ludzi i innych magicznych istot. Zawsze czułam, że jest kimś ważnym, bo jak inaczej udałoby mu się trzymać tylu Pradawnych w ryzach? Nie zdawałam sobie jednak sprawy, że jest członkiem Rady. Może przysłoby mi to do głowy, gdybym wiedziała, że istnieje w ogóle jakaś rada.

– Co ja mogę zrobić takiego, czego nie może jeden z was? – Zee otworzył usta, ale powstrzymałam go gestem. – Nie, nie mam nic przeciwko. Potrafię sobie wyobrazić dużo gorsze sposoby na spłatę długu wobec was. Ale dlaczego akurat ja? A te wasze psy z oczami jak spodki czy koła młyńskie? A wasza magia? Nie możecie znaleźć mordercy dzięki magii?

Niewiele wiedziałam o magii, jednak przypuszczałam, że w rezerwacie nie ludzi znajdzie się ktoś o mocach przewyższających w tym wypadku możliwości mojego nosa.

– Może Szarzy Panowie mogliby wskazać zabójcę dzięki magii – przyznał Zee – ale nie chcemy ich w to mieszać. Są zbyt nieprzewidywalni. Poza nimi... – Wzruszył ramionami. – Sprawca jest nieuchwytny. Jeśli chodzi o węch, większość z nas nie została nim hojnie obdarzona. Ten zmysł rozwinęły raczej stworzenia pokrewne zwierzętom, a kiedy Szarzy Panowie uznali, że lepiej nam będzie żyć pośród ludzi, wybili większość zwierzopochodnych

istot, które przetrwały pojawienie się Chrystusa i żelaza. Może mieszka tu kilka stworzeń zdolnych wywęszyć człowieka, lecz są zbyt słabe, żeby im zaufać.

– To znaczy?

Spojrzał na mnie ponuro.

– Żyjemy tu inaczej niż wy. Ktoś, kto nie posiada mocy, żeby się bronić, nie może pozwolić sobie na narażanie się silniejszym. Jeśli zabójca dysponuje potężną magią lub posiada koneksje, żaden z nie ludzi potrafiących rozpoznać winnego po zapachu nie zdobędzie się na jego wskazanie. – Wykrzywił się w gorzkim uśmiechu. – Może i nie jesteśmy w stanie kłamać, ale prawda i szczerść to dwie różne rzeczy.

Zostałam wychowana przez wilkołaki, stworzenia, które potrafiły wyczuć kłamstwo na odległość. Dobrze znałam różnicę pomiędzy prawdą a szczerścią.

Uderzyło mnie coś, co wcześniej powiedział.

– No tak, ale ja też nie jestem potężna. Co, jeśli się komuś narażę?

– Będiesz moim gościem. – Uśmiechnął się. – Choć może się to okazać niewystarczające, jeśli zobaczysz za dużo. Nasze prawa jasno określają sposób postępowania z wałęsającymi się po Podgórzu śmiertelnikami, którzy naruszają nasze sekrety. Aczkolwiek fakt, że zostałaś zaproszona przez Radę oraz że nie do końca jesteś człowiekiem, powinien zapewnić ci względną nietykalność. Zresztą każdy, kto poczuje się urażony twoimi słowami prawdy, zgodnie z naszymi prawami dotyczącymi gości, stanie raczej przeciwko mnie niż tobie. A ja potrafię się bronić.

W to nie wątpiłam. Zee mienił siebie gremlinem, które to określenie było zapewne tak bliskie prawdzie, jak każde inne, choć akurat to słowo powstało dużo, dużo później niż on sam. Mój towarzysz należał do istot zaprzyjaźnionych z żelazem, co dawało mu przewagę nad większością nie ludzi, dla których metal ten stanowi śmiertelne zagrożenie.

Żadna tablica nie informowała o zjeździe na dobrze utrzymaną drogę, w którą skręciliśmy z autostrady. Szosa wiała się pomiędzy niewysokimi, zalesionymi pagórkami, a te zdecydowanie bardziej przypominały Montanę niż jałowe, porośnięte stokłosą i bylicą obszary wokół Tri-Cities.

Za kolejnym zakrętem, pokonawszy gęsty zagajnik topolowy, wjechaliśmy pomiędzy wysokie na pięć metrów mury z beżowych betonowych bloków. Gościnnie progów podkreślały dodatkowo umieszczone na szczytach murów zasieki z drutu ostrzowego.

– Wygląda jak więzienie – podsumowałam. Wąska droga biegnąca pomiędzy wysokimi ścianami przyprawiała mnie o klaustrofobię.

– Owszem – przyznał Zee odrobinę ponuro. – Zapomniałem zapytać, masz ze sobą prawo jazdy?

– Tak.

– To dobrze. Musisz mieć na uwadze, Mercy, że wiele istot zamieszkujących rezerwat nie przepada za ludźmi, a w tobie jest wystarczająco dużo z człowieka, żeby czuły wobec ciebie niechęć. Jeśli naruszysz jakąś granicę, najpierw cię zabiją, a potem dopiero dadzą mi szansę szukania sprawiedliwości.

– Będę uważała na to, co mówię – obiecałam.

– Uwierzę, jak zobaczę – prychnął drwiąco. – Żałuję, że nie ma tu Wujka Mike’a. Przy nim nie ważyliby się cię tknąć.

– Myślałam, że moja wizyta tutaj jest pomysłem właśnie Wujka Mike’a?

– Owszem, ale on prowadzi interes, nie może tak sobie zostawić baru.

Po kilkuset metrach droga zakręciła ostro, a naszym oczom ukazały się brama i budka strażnicza. Zee zatrzymał się i opuścił szybę.

Wartownik miał na sobie mundur z dużą naszywką ASN na ramieniu. Nie interesowałam się Agencją Spraw Nieludzi na tyle, by wiedzieć, z jaką komórką militarną są skojarzeni, o ile w ogóle. Strażnik robił raczej wrażenie najemnego ochroniarza, którego chyba trochę uwierał mundur, mimo że dawał mu pewną władzę. Na plakietce przypiętej na piersi widniało nazwisko O'Donnell.

Gdy pochylił się do okna, wyczułam bijący od niego zapach czosnku i potu, choć nie śmierdział niemytym ciałem. Mam po prostu bardziej wrażliwy nos niż przeciętny człowiek.

– Dokumenty – polecił.

Mimo że nazwisko miał typowo irlandzkie, wyglądał bardziej na Włocha albo Francuza. Grubo ciosaną twarz wieńczyły wyraźne

zakola.

Zee wyciągnął z portfela prawo jazdy i podał je wartownikowi, który z namaszczeniem dokonał ceremonii porównywania zdjęcia z twarzą kierowcy. Po chwili kiwnął głową i burknął:

– Jej też.

Już zdążyłam wyjąć swój portfel z torebki, więc od razu wręczyłam dokument Zee, który przekazał go wartownikowi.

– Brak oznaczenia – zauważył O'Donnell, stukając kciukiem w róz mojego prawa jazdy.

– Ona nie jest nieczłowiekiem, panie władzo – wyjaśnił Zee pełnym szacunku tonem. W życiu nie słyszałam, żeby Zee mówił do kogokolwiek w ten sposób.

– Doprawdy? A co w takim razie ją tu sprowadza?

– Jest moim gościem – pospieszył z odpowiedzią Zee, jakby przeczuwał, że lada chwila ofuknę umundurowanego bałwana, że to nie jego sprawa.

Zaiste, strażnik okazał się bałwanem. Podobnie zresztą jak szef ochrony. Sprawdzanie zgodności wyglądu ze zdjęciem w przypadku nieczłowieka? Jedyna cecha wspólna wszystkich nie ludzi to umiejętność zmiany właśnie wyglądu. Ich iluzje były tak realne, że potrafiły oszukać nie tylko zmysły ludzkie, ale i prawa materii. Dlatego właśnie ćwierćtonowy, trzymetrowy ogr mógł nosić sukienkę w rozmiarze 36 i jeździć mazdą miata. Proces był inny niż w przypadku zmiennokształtnych. Jednak według moich informacji różnił się tak niewiele, że nie miało to znaczenia.

Nie wiem, jaki miałoby okazać dokument Pradawni, ale zdjęcie na pewno się nie sprawdzało. Oczywiście nie ludzie z uporem głosili, że potrafią przyjmować tylko jedną postać, choć nigdy nie padło z ich strony oficjalne stwierdzenie na ten temat. Może udało im się przekonać do tego jakichś biurokratów?

– Proszę wysiąść z samochodu – zwrócił się do mnie bałwan. Sam wyszedł z budki i okrążył półciężarówkę, stając przy moich drzwiczkach.

Zerknęłam na Zee. Kiwnął głową, więc wyskoczyłam na drogę.

Wartownik obszedł mnie dookoła. Z trudem powstrzymałam warknięcie. Nie znoszę mieć obcych za plecami. Nie był chyba tak głupi, na jakiego wyglądał, bo prawdopodobnie wyczuł moje

napięciu i stanął z przodu.

– Brass nie lubi, gdy cywile przyjeżdżają tu po zmroku – rzekł do Zee, który też podszedł do nas.

– Mam pozwolenie na jej odwiedziny – odparł Zee tak samo potulnie, jak wcześniej.

Strażnik parsknął, przewracając kartki w swoim notesie, ale nie sądziłam, żeby cokolwiek czytał.

– Siebold Adelbertsmiter. – Błędnie wymówił imię Zee, zabrzmiało jak „Sibolt” zamiast „Zibold”. – Michael McNellis i Olwen Jones. – Michael McNellis to prawdopodobnie Wujek Mike. Albo i nie. Olwena nie znałam wcale, ale znajomych z imienia nieładzi mogłam policzyć na palcach jednej ręki, i to z zapasem wolnych palców. Nieładzie unikali wyjawiania swoich imion.

– Zgadza się. – Zee po mistrzowsku udawał cierpliwość. A że udawał, wiedziałam tylko dlatego, że nigdy nie miał cierpliwości do głupców. Ani nikogo innego, swoją drogą. – Nazywam się Siebold – wymówił swoje imię w ten sam sposób, co strażnik.

Urzędas zabrał moje dokumenty i zniknął w budce. Ciężarówka zasłaniała mi widok na stróżówkę, lecz dobiegł mnie klekot klawiatury. Trwało to kilka minut, po których O'Donnell wrócił i oddał mi prawo jazdy.

– Trzymaj się z dala od kłopotów, Mercedes Thompson. Uroczysko to nie miejsce dla grzecznych dziewczynek.

Najwyraźniej O'Donnell spał, kiedy Bóg rozdawał wyczucie. Nie byłam zwykle przewrażliwiona na swoim punkcie, ale w jego ustach określenie „dziewczynka” zabrzmiało obelżywie. Pomna ostrzegawczego spojrzenia Zee, powstrzymałam się od komentarza, odebrałam spokojnie prawo jazdy i wsunęłam je do kieszeni spodni.

Nie kontrolowałam chyba jednak mimiki, bo O'Donnell nagle zbliżył do mnie twarz.

– Słyszałaś, co powiedziałem, dziewczynko?

Owiał mnie zapaszek szynki i musztardy, które musiał jeść na kolację. Czosnku raczej używał dzień wcześniej. Może w pizzy lub lasagne.

– Słyszałam – potwierdziłam tak łagodnie, jak potrafiłam. Trzeba przyznać, że talentem aktorskim z pewnością nie dorównywałam Zee.

O'Donnell musnął palcami wiszącą u pasa broń.

– Może zostać dwie godziny. Jeśli nie wróci do tego czasu, przyjdziemy jej szukać – rzucił do mojego towarzysza.

Zee skłonił głowę na podobieństwo filmowych karateków, nie spuszczać oczu z twarzy strażnika. Odczekał, aż O'Donnell wróci do budki, i dopiero wtedy wsiadł do samochodu. Zrobiłam to samo.

Wrota stalowej bramy rozchyliły się niechętnie, jakby oddając nastawienie wartownika. Materiał, z jakiego wykonano bramę, był pierwszym przejawem kompetencji, jaki tu dostrzegłam. Jeśli mury nie były zbrojone, mogły powstrzymać co najwyżej ludzi takich jak ja, lecz nie tutejszych mieszkańców. Druciane zasieki lśniły tak, że nie mogły być wyprodukowane z niczego innego jak z aluminium, metalu absolutnie niegroźnego dla ludzi. Oczywiście wszelkie zabezpieczenia miały rzekomo zapewniać spokój i chronić mieszkańców rezerwatu, więc teoretycznie nie miało znaczenia, że ludzie mogą sobie wchodzić i wychodzić pomimo murów i strażników.

Zee minął bramę, wjeżdżając na teren Uroczyska.

Nie jestem pewna, czego spodziewałam się po rezerwacie, może wojskowych baraków albo angielskich chat? Zamiast tego ujrzałam rzędy schludnych, zadbanej parterowych domków z jednostanowiskowymi garażami, identycznej wielkości ogródkami, otoczonych jednolitymi ogrodzeniami, siatką od frontu i cedrowym płotem z tyłu.

Różniły je tylko kolory elewacji oraz zagospodarowanie ogródków. Wiedziałam, że rezerwat powstał w latach osiemdziesiątych, lecz zabudowania wyglądały, jakby postawiono je zaledwie rok temu.

Tu i ówdzie stały samochody, w większości SUV-y i półciężarówki, ale nigdzie nie dostrzegłam ludzi. Jediną oznaką życia, poza mną i Zee, był czarny pies, obserwujący nas błyszczącymi inteligencją ślepiami zza ogrodzenia jasnożółtego domku.

Pies podnosił tutejszą atmosferę Stepford do poziomu superdreszczowca.

Odwróciłam się, żeby podzielić się z Zee swoimi wrażeniami, i nagle zdałam sobie sprawę, że mój nos mówi mi dziwne rzeczy.

– Gdzie jest woda? – zapytałam.

- Jaka woda? – zdziwił się, unosząc brwi.
 - Czuję mokradła, wodę, zgniliznę i rośliny.
- Obrzucił mnie zagadkowym spojrzeniem.

– To właśnie mówiłem Wujkowi Mike’owi. Nasze iluzje działają najlepiej na wzrok i dotyk, nieźle na smak i słuch, ale znacznie gorzej w przypadku węchu. Większość ludzi ma kiepski węch, więc w zasadzie to bez znaczenia. A ty już przy pierwszym spotkaniu wyczułaś, że jestem nieczłowiekiem.

Nie do końca. Nigdy nie spotkałam dwóch ludzi, którzy pachnieliby identycznie, uznałam zatem, że specyficzna, ziemista nuta woni Zee oraz jego syna Tada jest tylko częścią ich zapachów. Żyłam w tym przekonaniu dość długo, dopóki nie nauczyłam się wyczuwać różnic pomiędzy ludźmi i nieлюдźmi. Jeśli nie mieszka się w pobliżu jednego z czterech rezerwatów nieлюдzi, szansa na spotkanie Pradawnego jest niewielka. Zanim nie przeprowadziłam się do Tri-Cities i nie zaczęłam pracować dla Zee, nie natknęłam się na żadnego nieczłowieka albo o tym nie wiedziałam.

- Więc gdzie te bagna? – powtórzyłam.

Pokręcił głową.

– Mam nadzieję, że uda ci się przejrzeć sposoby, jakimi zacierał za sobą ślady morderca, ale sekrety rezerwatu powinnaś zostawić w spokoju. Dla własnego dobra, Liebling.

Skręcił w ulicę bliźniaczą do innych, które mijaliśmy. Tu jednak, przy jednym z domów, ośmio-, może dziewięcioletnia dziewczynka bawiła się jo-jo. Śledziła wzrokiem wirujący, podskakujący krążek z intensywnością, która nie osłabła, gdy Zee zaparkował przed budynkiem. Dopiero gdy pchnął bramkę, złapała jo-jo i zwróciła na nas dorosłe oczy.

- Nikt nie wchodził – odezwała się.

Zee skinął głową.

– To miejsce ostatniej zbrodni – rzucił do mnie. – Odkryliśmy je dzisiaj rano. Oprócz tego jest jeszcze sześć, ale tam kręci się sporo osób. Tu przebywała tylko ona – wskazał na dziewczynkę – i Wujek Mike. Oboje są członkami Rady. Poza nimi od śmierci ofiary nie było tu nikogo.

Spojrzałam na nieletniego członka Rady. Dziewczynka

uśmiechnęła się do mnie, po czym zrobiła balon z gumy do żucia.

Zdecydowałam, że najbezpieczniej będzie ją zignorować.

– Więc mam wywęszyć osobę, która pojawiła się we wszystkich miejscach zbrodni, tak?

– Jeśli dasz radę.

– Ale zapachów nie przechowuje się w żadnej bazie, jak odcisków palców. Nawet jeśli zidentyfikuję woń, nie będę wiedziała, do kogo należy. Chyba że będziesz to ty, Wujek Mike, albo ta tutaj członkini Rady. – Wskazałam brodą dziewczynkę.

Zee uśmiechnął się niewesoło.

– Jeśli uda ci się wyłowić jeden zapach, który powtarza się we wszystkich domach, osobiście obwiozę cię po całym rezerwacie, a nawet całym stanie, dopóki nie znajdziesz sukinsyna.

W tym momencie zrozumiałam, że to sprawa osobista. Zee przeklinał rzadko, a po angielsku nigdy. A już na pewno pilnował, żeby nie używać przy mnie wulgaryzmów zawierających słowo „suka”.

– Lepiej wejdę tam sama – powiedziałam. – Żebyś nie wnosił dodatkowych zapachów. Masz coś przeciwko, żebym przemieniła się w samochodzie?

– *Nein, nein.* Idź.

Wracając do półciężarówki, czułam na plecach wzrok dziewczynki. Skoro przybrała tak niewinną, bezbronną formę, musiała być niezwykle groźna.

Wskoczyłam na miejsce pasażera, które zapewniało najwięcej przestrzeni, i zrzuciłam ubranie. Przemiana wilkołaków jest niezwykle bolesna, szczególnie jeśli zwlekają z nią podczas pełni i księżyc wyciąga z nich wilka przemocą.

Moja transformacja nie przysparza cierpienia, wprost przeciwnie, jest dość przyjemna, jakbym przeciągała się po długiej pracy. Ale robię się po niej głodna, a częste przemiany w krótkim czasie powodują zmęczenie.

Przymknęłam powieki, płynnie wsuwając się w formę kojota. Podrapałam się zadnią łapą po uchu, żeby pozbyć się resztek mrowienia, i wreszcie dałam susa przez otwarte okno.

W ludzkiej postaci mam wyczulone zmysły. W zwierzęcej wyostrzają się jeszcze trochę, ale główna różnica polega na czymś

innym. Jako kojot wszystkie informacje, których dostarczają mi uszy i nos, odbieram i przetwarzam znacznie lepiej niż jako człowiek.

Przytknęłam nos do ziemi zaraz na ścieżce za furtką, próbując ogarnąć wszystkie zapachy domu. Zanim dotarłam do ganku, rozróżniałam już woń mężczyzny (w każdym razie istoty płci męskiej, choć nie miałam pojęcia, jakiej istoty), właściciela budynku. Wyłowiłam także zapachy jego najczęstszych gości, jak na przykład dziewczynki, która powróciła do zabawy, tym razem jednak skupiając uwagę bardziej na mnie niż na krążku.

Poza tym jednym zdaniem na początku nie zamieniła już z Zee ani słowa. Mogło to oznaczać, że za sobą nie przepadali, choć w mowie ich ciał nie dostrzegłam oznak antypatii czy spięcia. Może po prostu nie mieli sobie nic do powiedzenia?

Zee otworzył mi drzwi i przez próg wytoczyła się fala odoru śmierci.

Cofnęłam się mimowolnie. Najwyraźniej nawet Pradawni po śmierci podlegali prawom natury. Nie istniał żaden racjonalny powód do ostrożności, z jaką przekradłam się przez próg, ale czasem, szczególnie w formie kojota, górę biorą we mnie instynkty.



Rozdział 2

Zapach krwi zaprowadził mnie wprost do salonu, w którym zginął nieczłowiek. Czerwone plamy suto krasily meble i dywan, na którym widniał także jeden większy ślad, gdzie ofiara najwyraźniej dokonała żywota. Ciało zostało usunięte, ale poza tym wszystko zostawiono nietknięte.

Nie miałam doświadczenia w oględzinach miejsc zbrodni, jednak nie zauważyłam zniszczonych czy powywracanych sprzętów, doszłam więc do wniosku, że zabójca nie trafił na opór. Rozbryzgi krwi świadczyły raczej o tym, że znajdował przyjemność w masakrowaniu ofiary.

To była brutalna śmierć, taka, która stwarza idealne warunki dla zakotwiczenia się ducha.

Nie miałam pewności, czy Wujek Mike lub Zee wiedzieli o moich kontaktach z duchami. Nie starałam się tego jakoś specjalnie ukrywać, po prostu długo nie zdawałam sobie sprawy, że to coś szczególnego.

Jednak właśnie dzięki tej zdolności zdołałam dopaść drugiego wampira. Wampiry potrafią świetnie ukrywać miejsca swojego dziennego spoczynku, także przed nosami wilkołaków albo kojotów. Nawet fachowcy od magii nie są w stanie przełamać ich zaklęć ochronnych.

Ja mogę je odnaleźć. To dlatego, że ofiary nagłej śmierci często pozostają na miejscu jako duchy, a ofiary wampira zazwyczaj giną gwałtowną śmiercią.

To właśnie powód, dla którego zostało tak niewielu zmiennokształtnych (nie spotkałam jeszcze żadnego) – wampiry o to zadbały.

Jeśli jednak duch nieczłowieka, którego krew znaczyła pokój, pozostał w tym domu, nie chciał mi się pokazać. W każdym razie nie w tej chwili.

Wróciłam do korytarza i przycupnąwszy przy drzwiach

do salonu, przymknęłam oczy, żeby lepiej skoncentrować się na zapachach. Woń ofiary zignorowałam. Każdy dom, podobnie jak każdy człowiek, ma swój charakterystyczny zapach. Wciągnęłam powietrze w nozdrza, chcąc wyłowić elementy do niego nieprzynależne. Szybko odnalazłam nutę bazową, w tym wypadku dym fajkowy, aromat wełny oraz palonego drewna. To ostatnie wydało mi się dziwne.

Otworzywszy oczy, rozejrzałam się wokół, ale nie dostrzegłam nigdzie kominka. Gdyby unosząca się w powietrzu spalenizna była bardziej ulotna, uznałabym, że jej źródło pozostawało w domu chwilowo, jednak przy takiej koncentracji wydawało się to mało prawdopodobne. Oczywiście mogła pochodzić z kadzidła albo czegoś innego, co przesiąkło dymem.

Stwierdziwszy, że ten trop jest raczej nieistotny, złożyłam pysk na przednich łapach i znów zamknęłam oczy.

Po ustaleniu specyficznego zapachu domu łatwiej przyszło mi wyodrębnić delikatniejszych woni istot żywych, które tu przychodziły. Zgodnie z oczekiwaniami wyczułam Wujka Mike'a oraz starszą i świeższą korzenną woń dziewczynki z jo-jo. Musiała być tu częstym gościem.

Całą resztę niezidentyfikowanych śladów wdychałam tak długo, aż nabrałam pewności, że w razie potrzeby je rozpoznam. Pamięć węchowa służyła mi lepiej niż wzrok. Mogłam zapomnieć czyjąś twarz, ale niezwykle rzadko zdarzało mi się zapomnieć jego zapach czy głos.

Otworzyłam oczy, chcąc ruszyć na dalsze poszukiwania, i zatrzymałam się jak wryta. Pokój zmienił się całkowicie.

Przedtem niewielki, uporządkowany i tak samo bezosobowy jak otoczenie, teraz był nieomal dwukrotnie większy. Zamiast gipsowych tynków ściany pokrywała dębowa boazeria obwieszona małymi, misternymi gobelinami przedstawiającymi scenki leśne. Plamy krwi rozbryzgane wcześniej na jasnobieżowej wykładzinie, teraz ciemniały na szmacianym dywaniku oraz lśniącym parkiecie.

Na ścianie, na której poprzednio znajdowały się wychodzące na ulicę okna, królował kominek zbudowany z otoczków, zaś przez umiejscowione po przeciwnej stronie okna widziałam bujny las, który nie miał prawa istnieć w suchym klimacie wschodniego

Waszyngtonu. W dodatku wydawał się zbyt rozległy, by porastać maleńki, ogrodzony drewnianym płotem ogródek.

Oparłszy łapy o parapet, patrzyłam w las jak urzeczona, czując, że zachwyty wypiera dziecinne rozczarowanie wyjątkowo nudnym, podmiejskim charakterem rezerwatu.

Kojot aż rwał się, by zanurkować w morze zieleni i odkryć jego sekrety. Miałam jednak zadanie do wykonania. Odkleiłam zatem nos od szyby i przeskakując plamy krwi na podłodze, wróciłam do korytarza, który pozostał niezmienny.

W domu znajdowały się jeszcze dwie sypialnie, dwie łazienki oraz kuchnia. Teraz skupiałam się tylko na świeżych zapachach, więc obejście reszty pomieszczeń nie zajęło mi wiele czasu.

Kierując się do wyjścia, jeszcze raz zerknęłam do salonu. Za oknami nadal pysznił się las. Mój wzrok spoczął przelotnie na wygodnym fotelu ustawionym przodem do okien. Widziałam siedzącego w nim gospodarza, otoczonego aromatycznym, fajkowym dymem, cieszącego oczy zieloną gęstwiną. Nie naprawdę. Nie jako ducha. Obraz podsuwała mi wyobraźnia, napędzana zapachem tytoniu i lasu. Nadal nie znałam tożsamości ofiary, domyślałam się jednak, że musiała być potężną istotą. Dom jeszcze długo przechowa wspomnienie jej obecności, choć nie pozostała w nim jako duch.

Przez drzwi frontowe znów wyszłam na nijaki świat, stworzony przez ludzi dla istot, które chcieli trzymać z dala od swoich miast. Zastanawiałam się, jak wiele z tych malutkich ogródków porasta las lub bagienna roślinność, i byłam wdzięczna, że postać kojota uniemożliwia mi zadawanie pytań. Wątpiłam, czy w innym wypadku potrafiłabym trzymać język za zębami, a przypuszczałam, że las był jedną z tych rzeczy, których nie powinnam zobaczyć.

Zee otworzył mi drzwiczki półciężarówki i po chwili jechaliśmy na kolejne miejsce zbrodni. Dziewczynka w milczeniu odprowadzała nas wzrokiem z miną, której nie umiałam rozszyfrować.

Kolejny dom był kopią poprzedniego, łącznie z kolorem obwódki wokół okien. Jediną różnicę stanowił rosnący we frontowym ogródku bez oraz rabatka przy ścieżce, jedna z niewielu rabat, które zauważyłam na osiedlu. Kwiaty uschły, a pożółkły trawnik aż prosił

się o skoszenie.

Tego domu nikt nie pilnował. Zee położył rękę na klamce, ale nie otworzył drzwi.

– W poprzednim domu dokonano ostatniej zbrodni, w tym pierwszej, więc przypuszczam, że od tamtej pory kręciło się tu wiele osób.

Usiadłam, przypatrując się twarzy towarzysza – właściciel tego domu musiał być dla Zee kimś ważnym.

– Miała na imię Connor. Przyjaźniliśmy się – powiedział wolno, jednocześnie naciskając klamkę. – W jej żyłach płynęła ludzka krew, tak jak w przypadku Tada. Mniej, ale i tak ją osłabiała.

Tad, syn Zee, w połowie człowiek, studiował teraz na uniwersytecie. Z tego, co wiedziałam, bliskie pokrewieństwo z ludźmi nie osłabiło zamiłowania do metalu, które dzielił z ojcem. Nie wiedziałam jednak, czy odziedziczył także nieśmiertelność. Miał dziewiętnaście lat i na tyle wyglądał.

– Była naszą bibliotekarką i archiwistką. Gromadziła historie o nas. Znała każdą opowieść, wiedziała o każdym rodzaju magii, z którego ograbiło nas żelazo i chrześcijaństwo. Nienawidziła swojej słabości, a jeszcze bardziej nienawidziła ludzi, gardziła nimi. Choć Tada traktowała dobrze.

Zee odwrócił twarz, ukrywając malujące się na niej emocje, i gwałtownie otworzył drzwi.

Ponownie weszłam do środka sama. Nawet gdyby Zee nie wspomniał o profesji gospodyni, nie miałabym trudności z jej odgadnięciem. Dom kipiał od książek. Piętrzyły się na półkach, podłodze, krzesłach i stołach. Niewiele z nich pochodziło z ostatniego wieku, nie dostrzegłam też żadnego tytułu w języku angielskim.

Tak jak w poprzednim, i w tym domostwie obecny był zapach krwi, jednak dużo starszy. Tu dominowała stęchlizna, woń zepsutego jedzenia i detergentów.

Zee nie powiedział, kiedy Pradawna została zabita, ale oceniłam, że zdarzyło się to jakiś miesiąc temu.

Mniej więcej w tym samym czasie przez Tri-Cities przetoczyła się fala zbrodni wywołana obecnością demona. Nieludzie musieli brać to pod uwagę, ale pewnie słusznie założyli, że oddalony rezerwat

znajdował się poza wpływem zła. Niemniej postanowiłam porozmawiać o tym z Zee po zmianie formy.

Sypialnię Connory, kobiecą, przytulną, urządzone w dawnym angielskim stylu wiejskim. Deski podłogowe, sosnowe lub z innego gatunku miękkiego drewna, przykrywały gdzieśgdzie gałgankowe dywaniki. Biała szydełkowa kapa kojarzyła mi się ze starym pensjonatem lub babcinym domem. Dziwne, bo ani nie znałam swoich dziadków, ani nie spałam nigdy w pensjonacie.

Na nocnej szafce, jedynym miejscu niezaruszonym książkami, stał wazonik z uschniętą różą.

Drugi pokój wyglądał na gabinet gospodyni. Kiedy Zee mówił, że gromadziła historie o nieludziach, spodziewałam się znaleźć w domu masę papierów i zeszytów. Zaskoczona, ujrzałam niewielki, prawie pusty regał. Tylko na jednej z półek leżało zafoliowane pudełko czystych płyt do nagrywania danych. Z pokoju zabrano komputer, zostały jedynie drukarka i monitor. Niewykluczone, że opróżniono także regał.

Kuchnię wyszorowano środkiem z amoniakiem, lecz w lodówce zostało jakieś psujące się jedzenie. Może dlatego na blacie stał jeden z tych ohydnych odświeżaczy powietrza. Cofnęłam się z kichnięciem. Wiedziałam, że nic tu nie znajdę – silna woń z odświeżacza tylko przytępiłaby mój węch.

Obeszłam resztę domu i drogą eliminacji ustaliłam, że gospodyni zginęła w kuchni. W pomieszczeniu tym znajdowały się okna i drzwi prowadzące na zewnątrz, więc zabójca mógł wejść i wyjść, nie zostawiając śladu w innych pokojach. Zapamiętałam wnioski na później, mimo to zrobiłam jeszcze jedną rundę po całym budynku. Wyczułam zapach Zee i trochę słabszy Tada. Trzy czy cztery osoby odwiedzały to miejsce regularnie, kilkoro bywało rzadziej.

Jeśli ten dom, jak poprzedni, krył w sobie jakieś tajemnice, nie zdołałam ich odkryć.

Kiedy skończyłam, słońce już prawie zaszło. Zee czekał na mnie na ganku. Przymknąwszy oczy, zwracał twarz w stronę ostatnich promieni. Musiałam zaskomlić, żeby zwrócić jego uwagę.

– Zrobione? – mruknął nie bardziej ponuro niż zwykle, choć nieco inaczej. – Skoro Connora zginęła pierwsza, może teraz

odwiedzimy resztę domów w kolejności? – zasugerował.

Na miejscu drugiej zbrodni w ogóle nie wyczułam zapachu śmierci. Albo zostało tak dokładnie wysprzątane, albo ofiara była istotą tak bardzo różniącą się od człowieka, że nie zostawiła po sobie żadnej rozpoznawalnej woni. Wyłowiłam jednak zapachy kilku gości, pokrywające się z tymi zapamiętanymi wcześniej. Zanotowałam je w myślach na liście podejrzanych, ponieważ w domu Connory nie zdołałam odkryć nic szczególnego. Tutaj robotę utrudniała mi kliniczna czystość, nie byłam więc w stanie stwierdzić z całą pewnością, kto odwiedzał jedynie pierwszy dom. Wygodnie byłoby zaznaczyć sobie, gdzie wyczuwałam zapachy poszczególnych istot, lecz nie potrafiłam przelać na papier opisu woni. Pozostawało mi pracować z tym, czym dysponowałam.

Czwarty dom, do którego zabrał mnie Zee, nie różnił się od pozostałych. Beżowy z mdłymi, białymi obramowaniami i pożółkłym trawnikiem.

– Tego nie sprzątano – rzekł kwaśno, otwierając drzwi. – Po trzecim morderstwie wszelkie wysiłki, skoncentrowane do tej pory na ukrywaniu zbrodni przed ludźmi, skupiły się na ustaleniu sprawcy.

Nie żartował z tym sprzątaniem. W korytarzu musiałam przeskoczyć stertę starych gazet i rzucone na ziemię ubrania.

Ten nieczłowiek nie został zabity ani w salonie, ani w kuchni. Ani też w głównej sypialni, gdzie gniazdo zrobiły sobie myszy. Gryzonie czmychnęły, kiedy tam weszłam.

Dominujący w tej części domu zapaszek myszy bez wyraźnej przyczyny ustępował w łazience świeżości morskiej bryzy. Wiedziona impulsem zamknęłam oczy, pozwalając przemówić innemu zmysłom.

Najpierw usłyszałam szum fal i wiatru. Później chłodny powiew zmierzwił mi futro. Po dwóch krokach, zamiast zimnej powierzchni płytek, poczułam miękkość piasku. Gdy rozchyliłam powieki, stałam na wydmie nad brzegiem morza.

Unoszony wiatrem piasek kłuł mnie w nos i drażnił oczy, a skóra mrowiła od magii przesycającej to miejsce. Osłupiała, wpatrywałam się w wodę połyskującą feerią tysiąca barw zachodzącego słońca.

Zeszłam z porośniętej sztywnymi kępami trawy wydmy

na utwardzoną wilgocią plażę. Morze rozciągało się aż po horyzont. Łagodne fale marszczyły powierzchnię, omywając leniwie brzeg. Obserwowałam je, dopóki silniejsza fala przyływu nie sięgnęła moich łąp.

Lodowaty dotyk wyrwał mnie z bezruchu, przypominając o zadaniu. Widok był cudowny, wręcz nierzeczywisty, lecz w tym miejscu raczej nie miałam szans na odnalezienie zabójcy. Nie wyczuwałam nic poza piaskiem i morzem. Odwróciłam się, gotowa do powrotu, ale ujrzałam jedynie wydmy i majaczące za nimi pagórki.

Albo piasek zawiał ślady moich łąp, albo nigdy ich tu nie było. Nie wiedziałam nawet, z której strony przyszłam.

Zamarłam przekonana, że jeśli się poruszę, nigdy nie odnajdę drogi do domu. Zakłęcie było bardzo rozległe, a na pejzażu, choć nadal pięknym, zaczynały kłaść się groźne cienie.

Powoli usiadłam. Mogłam mieć tylko nadzieję, że Zee mnie odnajdzie albo to miejsce zniknie samo, tak jak się pojawiło. W oczekiwaniu na jedno z powyższych położyłam się na brzuchu tyłem do brzegu.

Oparwszy pysk na łapach, przymknęłam oczy, myśląc intensywnie o łaźnicy, przywołując zapach myszy i starając się ignorować słony wiatr, który unosił mi sierść. Nic to nie dało.

– A to co? – rozległ się męski głos. – Co my tu mamy? Nigdy nie widziałem kojota włóczącego się po Podgórzu.

Podskoczyłam jak oparzona i przypadłam do ziemi, gotując się, w zależności od rozwoju sytuacji, do ataku lub ucieczki. Parę metrów dalej, pomiędzy mną a morzem, stał człowiek. Przynajmniej na pierwszy rzut oka. Jego głos, z nalotem harwardzkiego akcentu, brzmiał tak zwyczajnie, że dopiero po chwili uświadomiłam sobie, jak mało ta istota ma z człowieka.

Jego oczy były zieleńsze niż fartuchy obsługi u Wujka Mike'a, tak zielone, że nawet zmierzch nie gasił ich barwy. Jasne włosy, wilgotne od słonej wody, z wplątanymi gdzieniegdzie glonami, sięgały mu do kolan. Choć całkiem nagi, w swej nagości czuł się absolutnie swobodnie.

Nie miał przy sobie żadnej broni, a w jego postawie czy głosie nie wyczułam krzty agresji, ale mój instynkt bił na alarm. Nie

spuszczając z przybysza oczu, zniżyłam głowę i opanowałam chęć warknięcia.

Pozostanie w zwierzęcej formie wydało mi się najbezpieczniejsze. Istniała szansa, że uzna mnie za zwykłego kojota... który wszedł sobie do łazienki ofiary zabójcy i dostał się tutaj. Czyli raczej zerowa szansa. Chyba że istniały inne sposoby dotarcia w to miejsce. Nie widziałam tu żywej duszy, ale może uwierzy, że jestem tym, na co wyglądałam.

Wpatrywaliśmy się w siebie dłuższą chwilę. Żadne z nas się nie poruszało. Skórę istoty, kilka tonów jaśniejszą niż włosy, znaczył delikatny błękitny labirynt żył.

Nozdrza stworzenia poruszyły się, wciągając mój zapach, ale ten należał do kojota.

Dlaczego Zee nie skorzystał z jego pomocy? Widać, że ten Pradawny posługiwał się węchem, a nie wyglądał mi na słabeusza.

A może podejrzewał, że to właśnie on jest zabójcą?

Przegrzebałam w myślach wszelkie znane mi legendy, usiłując dopasować do którejś humanoidalną istotę, która żyła przy lub w morzu. Mimo że opowieści o wodnych stworach krążyła cała masa, kojarzyłam tylko kilka z nich. Jedynymi niegroźnymi, jakie przychodziły mi do głowy, były selkie. Nie sądziłam jednak, że to jeden z nich stoi teraz przede mną. Po pierwsze, trudno przyszło mi uwierzyć w aż takie szczęście, po drugie, nie pachniał jak istota przemieniająca się w ssaka, a raczej zimno i rybio. W jeziorach występowały jeszcze inne przyjazne stworzenia, lecz morskie opowieści nie opisywały nigdy uczynnych krasnoludków; przypominały raczej scenariusze horrorów.

– Pachniesz jak kojot – odezwał się wreszcie. – Wyglądasz jak kojot. Ale żaden kojot nie zawędrował nigdy Podgórzem do królestwa Władcy Mórz. Czym więc jesteś?

– *Gnädiger Herr* – powiedział ostrożnie Zee gdzieś zza moich pleców. – Ona pracuje dla nas, zabłądziła tu przypadkiem.

Czasami uwielbiałam tego człowieka jak nikogo na świecie, ale jeszcze nigdy nie byłam tak szczęśliwa, słysząc jego głos.

Morska istota nie poruszyła się, przeniosła jedynie spojrzenie w górę i wszystko wskazywało na to, że zatrzymała je na twarzy Zee. Nie spuszczając wzroku z nieczłowieka, zaczęłam się cofać, aż

otarłam się grzbietem o łydkę Zee. Dopiero wtedy nabrałam całkowitej pewności, że Zee nie jest tylko wytworem mojej wyobraźni.

– Nie jest nieczłowiekiem – rzekła istota.

– Ani też człowiekiem. – Coś w tonie Zee, coś niezwykle bliskie respektowi, przekonało mnie, że miałam rację, bojąc się przybysza.

Pradawny ruszył gwałtownie naprzód, przyklęknął przy mnie, po czym nie zapytawszy nawet o pozwolenie, chwycił mój pysk, drugą ręką przesuwał po oczach i uszach. Lodowaty dotyk nie był niedelikatny, mimo to, gdyby nie szturchnięcie Zee, ostro sprzeciwiłabym się takiej bezpośredniości. Potem równie nieoczekiwanie puścił mnie i wstał.

– Nie jest pokryta elfim balsamem ani nie cuchnie specyfikami, które czasem sprowadzają tu zabłąkanych na śmierć. A z tego, co wiem, twoja magia nie jest w stanie tego uczynić. Jak więc się tu dostała?

Po tej wypowiedzi uświadomiłam sobie, że specyficznego akcentu nie nabrał w Harvardzie, a w starej dobrej Anglii.

– Nie wiem, *mein Herr*. Podejrzewam, że ona również. Sam wiesz najlepiej, że Podgórze jest kapryśne i samotne. Gdyby moja przyjaciółka zniweczyła czary ukrywające wejścia, nie wypuściłoby jej.

Morskie stworzenie zamarło, fale naraz cofnęły się, niczym drapieżnik gotujący się do skoku. Pasma chmur pociemniały.

– A w jaki sposób – zaczął nieczłowiek bardzo, bardzo spokojnie – przełamała naszą iluzję?

– Sprowadziłem ją do pomocy przy odnalezieniu mordercy ze względu na jej węch – wyjaśnił Zee. – Jeśli iluzje posiadają jakiś słaby punkt, to właśnie zapach. Kiedy pokonała ten aspekt, reszta rozsypała się sama. Ona nie jest potężna i nie stanowi dla nas zagrożenia.

Fale runęły bez ostrzeżenia. Gigantyczny bałwan podciął mi łapy i oślepił. W jednej chwili lodowate morze wyssało ze mnie całe ciepło, pozbawiając oddechu, choć i tak nie mogłabym oddychać z nosem pod wodą.

Silna dłoń pochwyciła mój ogon i mocno szarpnęła. Bolało, ale nie wyrywałam się, bo cofająca się fala zabrałaby mnie ze sobą.

Kiedy opadła, Zee puścił.

Oboje ociekaliśmy wodą, ale w przeciwieństwie do mnie, on nie drżał. Wyparskałam słoną wodę z nosa, otrzepałam się i rozejrzałam wokół. Morski stwór zniknął.

Zee dotknął mojego grzbietu,

– Żeby stąd wyjść, będę musiał cię nieść – oświadczył i, nie czekając na reakcję, wziął mnie na ręce. Doznałam nieprzyjemnego zawirowania zmysłów, szarpnęły mną mdłości, a w następnej chwili stałam już na zimnych kafelkach łazienki. W pomieszczeniu panowały egipskie ciemności.

Światło, które włączył Zee, po barwnym zachodzie słońca robiło wrażenie nieprzyjemnie ostrego.

– Możesz kontynuować? – zapytał.

Popatrzyłam na niego, ale surowo potrząsnął głową. Nie chciał mówić o tym, co przed chwilą zaszło. Rozdrażniło mnie to, ale przeczytałam wystarczająco dużo baśni, żeby wiedzieć, że czasami mówienie o nieludziach wprost daje im możliwość podsłuchiwania. Odłożyłam zatem rozmowę na później, postanawiając wydrzeć Zee z gardła odpowiedzi, gdy tylko opuścimy rezerwat.

Na razie musiałam uzbroić się w cierpliwość i zabrać do roboty. Kichnąwszy dwukrotnie dla oczyszczenia nozdrzy, wróciłam do węszenia gości tego domu.

Tym razem Zee został przy mnie. Trzymał się co prawda w pewnej odległości, żeby nie przeszkadzać, jednak postępował za mną krok w krok. Milczał, więc nie zwracałam na niego uwagi, zastanawiając się intensywnie, czego byłam świadkiem. Czy ten dom istniał naprawdę? Zee wspomniał o przełamaniu iluzji, a to sugerowało, że to tamto miejsce było realne. Idąc tym tropem, musiałyby znajdować się tu cały ocean, jednak mimo że nadal czułam słonawy zapach morskiej bryzy, wydawało się to niemożliwe. Wiedziałam, że Podgórze jest legendarną krainą, ale opowieści o niej były mgliste i pełne sprzeczności.

Zmierzch przerodził się w noc i Zee zapalał lampy w kolejnych pomieszczeniach, do których wchodziliśmy. Mimo że dobrze widzę w ciemnościach, byłam wdzięczna za światło. Moje serce, nadal przekonane, że lada moment zostaniemy pożarci, biło dwa razy szybciej niż zwykle.

Fatalne perfumy śmierci przyciągnęły moją uwagę do zamkniętych drzwi. Przy odrobinie wysiłku poradziłabym sobie z ich otwarciem, ale nie mam oporów przed wysługiowaniem się innymi. Zaskomlałam (kojoty nie szczekają, w każdym razie nie tak jak psy) i Zee posłusznie pchnął skrzydło, za którym znajdowały się schody do piwnicy.

W żadnym z poprzednich domów nie było piwnicy, chyba że miały ukryte wejścia, których nie znalazłam.

Pokonałam stopnie kilkoma susami. Zapaliwszy światło, Zee podążył za mną. Większość piwnic wygląda podobnie – rupieciarnia bez ładu i składu, z niewykończonymi ścianami i betonową posadzką. Poszłam jak po sznurku za odorem śmierci, stając przed kolejnymi drzwiami. I te Zee otworzył bez słowa, wpuszczając mnie do pomieszczenia, w którym zginął mieszkający tu nieczłowiek.

W przeciwieństwie do reszty domu, ten pokój wydawał się być utrzymany w nieskazitelnym porządku. Wykafelkowana podłoga pomiędzy plamami krwi aż lśniła. Na ustawionych pod ścianami regałach, pomiędzy zniszczonymi książkami i skryptami uniwersyteckimi, stały tomiszczą o spękanych, skórzanych oprawkach, charakterystycznych dla książek sprzed epoki druku.

Spośród wszystkich miejsc zbrodni, które widziałam dotychczas, to było najbardziej krwawe. A biorąc pod uwagę brutalność zbrodni w pierwszym domu, tutaj odbyła się prawdziwa rzeź. Mimo że stara i zaschnięta, krew była wszędzie. Rozbryzgi, plamy i kałuże musiały powstać, gdy nieczłowiek walczył z napastnikiem. Dolne półki trzech regałów pokrywały rdzawe ślady, a na podłodze leżały rozbita lampa i przewracane stołki.

Może nie skojarzyłabym faktów, gdyby nie tkwiły mi w głowie, ale wiedziałam, że zginęła tu selkie. Nigdy wcześniej żadnej nie spotkałam, jednak bywałam w zoo i znałam zapach fok.

Nie miałam ochoty wchodzić do tego pomieszczenia. Zwykle nie byłam tak przewrażliwiona, lecz ostatnio widziałam już zbyt wiele krwi. Tam gdzie zebrało się jej więcej, w zagłębieniu posadzki przy regale, pomiędzy płytkami i na kartach książki nie zaschła, tylko uległa rozkładowi. Pokój cuchnął juchą, foką i zepsutą rybą.

Ominięłam najgorsze miejsca, a o tych, których ominąć się nie dało, usiłowałam nie myśleć. Powoli informacje wychwytywane

nosem odwróciły moją uwagę od odstręczającego widoku. Obeszłam pomieszczenie. Zee czekał na mnie przed drzwiami.

Kierując się do wyjścia, coś wyczułam. Rozbryzgana wokół krew należała głównie do ofiary, jednak kilka plamek tuż pod progiem wydzielalo inny zapach.

Gdyby towarzyszył mi policjant, natychmiast dokonałabym przemiany i przekazała wieści. Jednak Zee nie był ani policjantem, ani nawet człowiekiem, wobec czego musiałam wykazać daleko idącą ostrożność, gdyż w tym wypadku winnego czekały szczególne konsekwencje. Wilkołaki także stosowały swój własny kodeks karny. Nie mam nic przeciwko zabijaniu morderców, jednakże jeśli to ja miałam pełnić rolę oskarżyciela, musiałam mieć całkowitą pewność. A istota, którą zidentyfikowałam, wydawała się mało prawdopodobnym zabójcą tylu ludzi.

Zee wyszedł za mną po schodach, wyłączył światło i zamknął drzwi. Nie musiałam szukać dalej. Poza Wujkiem Mikiem w piwnicy bywały jeszcze tylko dwie osoby. Albo gospodarz nie zapraszał wielu gości do swojej biblioteki, albo niedawno ją wysprzątał. Najbardziej obciążający dowód stanowiła ta krew pod drzwiami.

Wyszliśmy na posrebrzone zimnym blaskiem księżyca podwórko. Jak długo wpatrywałam się w nieprawdopodobne morze?

Cień na ganku poruszył się, przybierając kształt Wujka Mike'a. Pachniał whisky i pikantnymi skrzydełkami. Zauważyłam, że jest ubrany w swój szynkarski strój – luźne, jasne spodnie i zieloną koszulkę z własnym imieniem, nadrukowanym wielkimi białymi literami. Nie wynikało to z samouwiełbienia, po prostu tak samo nazywał się jego bar.

– Jest mokra – stwierdził z irlandzkim akcentem, jeszcze twardszym niż niemieckie naleciałości Zee.

– To woda morską – wyjaśnił Zee. – Nic jej nie będzie.

Twarz Wujka Mike'a stężała.

– Woda morską – powtórzył.

– Myślałem, że dziś pracujesz – zmienił temat Zee tonem, w którym zabrzmiała ostrzegawcza nuta. Nie byłam pewna, czy nie chciał mówić o spotkaniu na plaży, czy starał się mnie chronić, czy może jedno i drugie.

– Cobweb zadzwoniła do baru, że ASN kręci się po okolicy,

szukając was. Bała się, że będą się wtrącać. Ochrzaniłem ich i odesłałem. Nie mają prawa ograniczać wizyt twoich gości. Obawiam się jednak, że wzbudziliśmy ich zainteresowanie tobą, Mercedes. Możesz mieć z nimi kłopoty.

Słowa nie niosły ze sobą ponadprzeciętnej treści, jednakże w tonie Wujka Mike'a kryło się coś mrocznego, co nie miało nic wspólnego z późną porą, zaś wiele z mocą.

– Macie coś nowego? – Przeniósł wzrok na Zee.

Ten wzruszył ramionami.

– Musimy poczekać, aż się przemieni. – Spojrzał na mnie. – To byłoby chyba tyle, Mercy. Widzisz zbyt dużo, a teraz to jeszcze bardziej niebezpieczne niż zwykle.

Wrażenie, że jakieś ślepie śledzą nas z mroku, zjeżyło mi sierść na karku. Wystawiłam nos do wiatru. Obserwatorów było więcej. Rozejrzałam się i warknęłam, odsłaniając kły.

Wujek Mike uniósł brwi, po czym powiódł wzrokiem po otaczających nas cieniach i zadarł głowę.

– Idźcie do domów, natychmiast – powiedział i dorzucił coś ostro po gaelicku.

Rozległ się łomot i oddalający się stukot kopyt na chodniku.

– Już ich nie ma – zwrócił się do mnie. – Możesz się przemienić.

Zerknęłam na niego, potem na Zee i zadowolona, że nie umknęło mu moje znaczące spojrzenie, pobiegłam do samochodu.

Wraz z obecnością Wujka Mike'a ryzyko wzrosło. Może udałoby mi się przekonać Zee do wstrzymania się z działaniami, póki nie znajdę innych dowodów potwierdzających moje podejrzenia, ale Wujka Mike'a nie znałam tak dobrze.

Myślałam intensywnie i dotarwszy do półciężarówki, wiedziałam z całą pewnością, na jaką może sobie pozwolić ktoś niebędący naocznym świadkiem morderstwa, że znaleziona przeze mnie krew należała do zabójcy. Już przedtem żywiłam wobec tej osoby pewne podejrzenia. Jego zapach unosił się w każdym z domów, nawet w tym wyszorowanym, zupełnie jakby je przeszukiwał.

Zee poszedł za mną, otworzył drzwiczki samochodu i zamknął je, kiedy wdrapałam się do środka. Sam wrócił na ganek do Wujka Mike'a. Przybrawszy znów ludzką postać, z ulgą wskoczyłam w ciepłe ubrania. Chłód nocy sam w sobie nie był dokuczliwy, ale

nieplanowa kąpiel w lodowatej wodzie zrobiła swoje. Pominęłam zakładanie tramppek i z samochodu wyszłam na bosaka.

Stojący na ganku nieludzie przypominali moją kotkę Medeę, która polując na mysz, potrafiła godzinami siedzieć nieporuszona, cierpliwie wyczekując przed kryjówką gryzonia.

– Czy ASN wyznaczyła kogoś z pracowników do zebrania śladów z miejsc zbrodni? – zapytałam.

– Nie, co prawda nie potrzebują zezwolenia do przeszukiwania losowo wybranych domów, ale nie zajmowali się tą sprawą – odparł Zee.

– Sugerujesz, że wszędzie, gdzie byłaś, wyczułaś kogoś z ASN? – zareagował natychmiast Wujek Mike. – Kto to i jakim cudem go znasz?

Zee zmrużył oczy.

– Miała do czynienia tylko z jednym agentem. O'Donnell pełnił służbę przy bramie, kiedy przyjechała.

Kiwnęłam głową.

– Jego zapach wyczułam wszędzie, a w tej bibliotece na dole znalazłam kilka kropel krwi należących do niego. – Wskazałam brodą na budynek, przed którym staliśmy. – Był tam jako jedyny prócz selkie i ciebie, Wujku Mike.

– To nie byłem ja – uśmiechnął się do mnie szynkarz i z tym samym czarującym uśmiechem spojrzał na Zee. – Musimy porozmawiać na osobności.

– Weź mój samochód, Mercy. Zostaw go pod domem swojego przyjaciela. Odbiorę jutro.

Ruszyłam w stronę półciężarówki, lecz odwróciłam się po kilku krokach.

– A ten tam, z łazienki...? – Machnęłam w kierunku zaniedbanego ogródka.

Zee westchnął ciężko.

– Nie przywiozłem cię tutaj, żebyś ryzykowała życiem. Twój dług wobec nas nie jest aż tak duży.

– Jakiś problem? – zainteresował się Wujek Mike.

– Sprowadzenie zmiennokształtnej do rezerwatu nie należało chyba do najlepszych pomysłów – oświadczył Zee sucho. – Myślę jednak, że nic złego się nie stanie. Przynajmniej dopóki nie

będziemy o tym rozmawiać.

Wujek Mike przybrał obojętny, miły wyraz twarzy, pod jakim zwykł skrywać swoje myśli.

– Dość, Mercy – Zee uprzedził moje nagabywania. – Tym razem ciesz się ze swojej niewiedzy.

Coś takiego nie leżało w mojej naturze, lecz Zee nie zamierzał puścić pary z ust.

Już miałam odejść, kiedy zatrzymało mnie ciche chrząknięcie starego mechanika. Spojrzałam na niego, ale milczał. Patrzył za to dokładnie tak, jak wtedy, gdy podczas nauki składania silnika coś pominęłam. Coś pominęłam...

Podniosłam wzrok na Wujka Mike'a.

– Od tej chwili nie jestem już nic winna ani tobie, ani twojemu rodzajowi za użyczenie artefaktów do zabicia drugiego wampira. Dług spłacony w całości.

Wujek Mike obdarzył mnie chytrym uśmieszkiem, na którego widok poczułam wdzięczność dla Zee za przypomnienie.

Oczywiście.



Według zegarka spędziłam w rezerwacie sześć godzin. Zakładając, że nie dobie i sześć godzin. Lub stulecie i sześć godzin. Odsuwając na bok fantazje w stylu Washingtona Irvinga, doszłam do wniosku, że Zee lub Wujek Mike uprzedziliby mnie, gdyby pobyt w Uroczysku rzeczywiście trwał dłużej. Musiałam jednak spędzić nad morzem o wiele więcej czasu, niż mi się wydawało.

W każdym razie zrobiło się bardzo późno. Gdy dojechałam do Kyle'a, dom był ciemny, postanowiłam więc nie pukać. Mimo wolnego miejsca na podjeździe zaparkowałam przy chodniku, bojąc się, że stary samochód Zee może poplamieć nieskazitelne betonowe płyty olejem. Z tego samego powodu stawiałam mojego Królika na asfalcie. Musiałam być bardzo zmęczona, bo dopiero po zgaszeniu silnika uświadomiłam sobie, że przecież w żadnym należącem do Zee samochodów nic nie miało prawa cieknąć.

Zatrzymałam się, by przepraszająco poklepać maskę półciężarówki, gdy ktoś położył mi rękę na ramieniu.

Chwyciłam dłoń, wykręcając napastnikowi nadgarstek, po czym szarpnęłam trochę na bok i unieruchomiłam, zakładając drugą ręką dźwignię na łokieć. Mały obrót i jego bark był mój. Teraz mogłam zetrzeć przeciwnika w pył.

– Do diabła, Mercy, puść!

Albo przeprosić.

Uwolniłam Warrena, wciągając ze świstem powietrze.

– Następnym razem najpierw się odezwij. – Naprawdę powinnam przeprosić, ale i tak nie zrobiłabym tego szczerze. Sam sobie winien, nie trzeba mnie było tak zaskakiwać.

– Nie omieszka – mruknął skrzywiony, rozcierając ramię.

Popatrzyłam na wilkołaka z politowaniem. Nie zrobiłam mu krzywdy – nic by mu się nie stało, nawet gdyby był człowiekiem.

Uśmiechnął się, przestając udawać.

– No dobra, dobra. Usłyszałem, jak podjeżdżasz, i chciałem sprawdzić, czy wszystko u ciebie w porządku.

– I nie mogłeś się oprzeć, żeby mnie nie zająć zniecka.

– Nie skradałem się specjalnie. Musisz być czujniejsza. Co tam?

– Żadnych opętanych wampirów tym razem. Tylko mała robótka detektywistyczna. – Oraz wycieczka nad morze.

Okno na piętrze otworzyło się i Kyle wychylił się do nas.

– Skończcie tę zabawę w Indian i kowbojów, niektórzy potrzebują snu, żeby zachować urodę.

– Słyszałeś, biały bracie. Ja wracać do mój wigwam, zrobić zamknięte oko.

– Hej, czemu to ty zawsze jesteś Indianinem? – oburzył się Warren płaczliwie.

– Bo, jakby blada twarz nie zauważyła, jest Indianką – skwitował Kyle, siadając na parapecie. Nie miał na sobie dużo więcej niż aktorzy z filmu, który oglądaliśmy, ale wyglądał od nich o wiele lepiej.

Warren prychnął, mierzwiąc mi włosy.

– Tylko w połowie. A poza tym ja lepiej znam Indian niż ona.

Kyle błysnął szelmowskim uśmiechem.

– A jak dobrze poznałeś tych Indian, chłoptasiu? – rzucił, naśladując frywolny szczebiot Mae West.

– Natychmiast przestańcie! – Zasłoniłam uszy dłońmi. – Nie słyszę, lalalala. Zaczekajcie z tym, aż wskoczę do mojego wiernego blaszanego mustanga i odjadę w stronę zachodzącego słońca. – Wspiąwszy się na palce, pocałowałam Warrena gdzieś w okolicach podbródka.

– Późno już – zauważył Warren. – Na pewno chcesz iść jutro z nami na Tumbleweed?

Tumbleweed, festiwal muzyki folkowej, odbywał się corocznie w weekend Święta Pracy. Tri-Cities znajdowało się na tyle blisko wybrzeża, że na scenach pojawiała się śmietanka wykonawców z Seattle i Portland, grająca wszystko od bluesa poprzez jazz, klimaty celtyckie i całą resztę. Dobra, tania rozrywka.

– Nie przegapiłabym czegoś takiego. Samuelowi nie udało się wykręcić od występu, muszę tam być, żeby go zakrzykiwać.

– W takim razie o dziesiątej przy Scenie Rzecznej – rzucił Warren na odchodnym.

– Do zobaczenia.



Rozdział 3

Festiwal Tumbleweed odbywał się w parku Howard Amon, zlokalizowanym nieopodal rzeki Kolumbia w Richland. Pomiedzy rozstawionymi scenami zachowano na tyle duże odległości, żeby poszczególne zespoły sobie nie przeszkadzały. Scena Rzeczna, na której miał występować Samuel, nie mogła się znajdować już dalej od jakiegokolwiek parkingu. Normalnie by mi to nie przeszkadzało, ale poranny trening karate nie skończył się dla mnie najlepiej. Burcząc pod nosem, pokuśtykałam przez trawnik.

W parku, dość jeszcze pustawym, rozległe zieleńce przemierzali głównie muzycy taszczący swoje instrumenty na wyznaczone sceny. No dobrze, park nie był aż tak wielki, ale jeśli boli noga – albo trzeba dźwigać na drugi koniec kontrabas – wszędzie robi się daleko.

Po drodze skinęliśmy sobie z kontrabasistą głowami w geście wzajemnego zrozumienia i współczucia.

Gdy dotarłam na miejsce, Kyle i Warren siedzieli już na trawie, zaś Samuel kręcił się po scenie, ustawiając instrument.

– Coś ci się stało? – zatroskał się Kyle na mój widok. – Wczoraj nie kulałaś.

Usiadłam na nierównym, wilgotnym od rosy trawniku, moszcząc się wygodnie.

– Nic takiego. Oberwałam w udo na treningu. Posiedzę trochę i przejdzie. O, widzę, że znaczkarz już was dopadł?

Na Tumbleweed obowiązywał wstęp wolny, ale można było okazać wsparcie, kupując znaczek za dwa dolary... A sprzedawcy znaczków byli niestrudzeni.

– Mamy też dla ciebie. – Warren pochylił się, podając mi nad Kyle'em plaketkę.

Przypięłam ją do buta, gdzie nie rzucała się w oczy.

– Założę się, że do lunchu zaczepi mnie ze czterech znaczkarzy –

zwróciłam się do Kyle'a.

– Masz mnie za żółtodzioba, który nie zna festiwalowych zwyczajów? – Roześmiał się. – Czterech w takim czasie to pestka.

Biorąc pod uwagę, że Samuel występował jako jeden z pierwszych, zaskoczył mnie spory tłumek widzów zbierających się przed sceną.

Na wprost podestu rozsiadła się grupka, wśród której rozpoznałam kilka osób pracujących z Samuelem w szpitalu. Sądząc po skupionym ustawieniu składanych krzesełek i przyjacielskiej atmosferze rozmów, wszyscy musieli należeć do personelu placówki.

Przyszły też wilkołaki. W przeciwieństwie do współpracowników Samuela rozproszyły się, zajmując miejsca na obrzeżach widowni. Wilkołaki z Tri-Cities, poza Adamem Alfą, nadal udawały ludzi, więc generalnie unikały spędów. Pewnie wszystkie słyszały już wcześniej, jak Samuel śpiewa, ale nie miały okazji widzieć go na scenie – występował niezwykle rzadko.

Znad rzeki dmuchnęło chłodem. Poryw wiatru opadł, wzniósł się i przeskoczył nad ścieżką. Poranek był ciepły, jak większość poranków w Tri-Cities wczesną jesienią, orzeźwiający podmuch sprawiał zatem przyjemność.

Jeden z festiwalowych wolontariuszy, ubrany w biały fartuch z poprzypinanymi plakietkami z tego i poprzednich lat, powitał widzów i podziękował za przybycie na Tumbleweed. Przez kilka minut, przy wtórze brzęczenia zniecierpliwionej publiczności, wymieniał sponsorów, po czym wreszcie zapowiedział występ Samuela, przedstawiając go jako śpiewającego lekarza z Tri-Cities.

Nagrodziliśmy schodzącego ze sceny konferansjera oklaskami i gwizdami. Ktoś usiadł za mną, ale nie odwróciłam głowy, bo na deski wychodził właśnie Samuel, niosący nonszalancko swoje skrzypce.

Miał na sobie kobaltową koszulę, która sprawiała, że jego szare oczy wydawały się błękitne. Nowe czarne dżinsy były tak obcisłe, że pod materiałem rysowały się wyraźnie mięśnie ud.

Wpadłam na niego rano, gdy pił kawę, i czym prędzej uciekłam z domu. Nie było żadnej racjonalnej przyczyny, żeby robił na mnie takie wrażenie.

Większość wilkołaków ma atrakcyjną powierzchowność, a do tego dochodzi jeszcze młodość i świetnie rozwinięta muskulatura. Samuel jednak miał w sobie coś więcej. I nie chodziło tylko o żywy temperament, tak charakterystyczny dla co bardziej dominujących osobników.

Samuel sprawiał wrażenie osoby godnej zaufania. Skrzące się humorem, głęboko osadzone oczy i coś wokół ust sprawiały, że był tak cenionym lekarzem. Pacjenci wierzyli mu, gdy mówił, że wyzdrowieją.

Jego wzrok zatrzymał się na moment na mnie, a kąciki ust uniosły się lekko.

Na widok tego uśmiechu robiło mi się ciepło na sercu. Przywodził na myśl czasy, gdy Samuel był całym moim światem, czasy, kiedy wierzyłam w rycerzy w lśniącej zbroi, którzy potrafiliby mnie uszczęśliwić i przed wszystkim obronić.

Samuel wiedział o tym, bo rozpromienił się bardziej. A potem, kiedy przeniósł spojrzenie na osobę siedzącą za mną, ciepło w jego oczach zgasło, choć nadal uśmiechał się do publiczności. W ten sposób zyskałam całkowitą pewność, że mam za plecami Adama.

Nie żebym była zaskoczona. Co prawda znajdował się na zawietrznej, ale dominujące wilki emanują siłą, a Adam, nie dość, że był Alfą, to miał tak silny instynkt przywódczy, jak to tylko możliwe. Czuję się niczym podłączona kablami do stojącego z tyłu akumulatora.

Nie odwracałam głowy, wiedząc, że dopóki skupiam uwagę na scenie, Samuel będzie spokojny. Wolałabym, żeby Adam usiadł gdzie indziej, lecz z drugiej strony, coś takiego nie leżałoby w naturze osobnika będącego Alfą – najsilniej dominującego wilka w stadzie. Niemal równie dominującego, co Samuel.

Powody, dla których Samuel nie przewodził stadu, były dość złożone. Przede wszystkim Adam był Alfą tutejszej gromady wilkołaków od samego początku, jeszcze na długo, zanim osiadłam w Tri-Cities. Pozbawienie władzy Alfą nie jest łatwą sprawą, nawet dla wyjątkowo dominującego wilka. W dodatku tu, w Ameryce Północnej, coś takiego nie mogłoby się wydarzyć bez zgody Marroka, przywódcy wszystkich wilkołaków. Co prawda jako syn Marroka Samuel zapewne otrzymałby przyzwolenie, jednakże nie

zależało mu na władzy. Twierdził, że jako lekarz i tak musi się opiekować całą masą ludzi. Dlatego też oficjalnie był wilkiem samotnikiem, osobnikiem nieznajdującym się pod pieczęcią stada. Mieszkał u mnie, czyli tuż pod bokiem Adama. Nie znałam powodów takiego wyboru, ale wiedziałam, dlaczego się na to zgadzałam – gdybym nie pozwoliła mu zostać w domku, spałby na ganku.

Samuel umiał dopilnować, aby ludzie postępowali zgodnie z jego życzeniem.

Podczas strojenia skrzypiec, smyczek Samuela tańczył po strunach z lekkością wypracowaną przez lata... w zasadzie wieki ćwiczeń. Znałam go całe życie, a dopiero niedawno dowiedziałam się o tych „wiekach”.

Nie zachowywał się jak inne stare wilkołaki, przeważnie skryte, drażliwe i, szczególnie po ostatnim stuleciu tak szybkich zmian, decydujące się raczej na życie pustelnika niż lekarza na oddziale ratunkowym, naszpikowanym nowoczesnymi maszynami i zawsze pełnym ludzi. Samuel był jednym z nielicznych znanych mi wilkołaków, którzy lubili bliźnich, i ludzkich, i wilkołaczych. Mało tego, lubił nawet tłumy.

Nie żeby pasjami występował na festiwalach folkowych. Skłonienie go do udziału w imprezie wymagało niewielkiego szantażu.

Ale nie ja byłam sprawcą. Nie tym razem.

Praca na pogotowiu jest sama w sobie niezwykle stresująca, a Samuel musiał zmagać się dodatkowo ze swoją wilkołaczą naturą, która reakcje na śmierć i krew czyniła nieco nieprzewidywalnymi. Dlatego też zabierał do szpitala gitarę lub skrzypce i grał w ramach odprężenia.

Jedna z pielęgniarek usłyszała go kiedyś i wpisała na listę uczestników festiwalu, zanim zdołał wymyślić racjonalny powód, żeby się wykręcić. Swoją drogą, nie starał się jakoś specjalnie. Oczywiście, narobił szumu, ale znałam Samuela. Gdyby naprawdę nie chciał, nie zaciągnęliby go na scenę wołami.

Obrócił skrzypce, umieszczając je pod brodą, i szarpnął struny. Po kilku pierwszych taktach widzowie przycichli, ale wiedziałam, że on dopiero się rozgrzewa. Nikt nie przegapi momentu, kiedy

naprawdę zacząć grać – przed publicznością wstępowało w niego nowe życie.

Czasami gra Samuela miała charakter bardziej komediowego występu solowego niż koncertu. Wszystko zależało od tego, jak czuł się w danym momencie.

I tak też się stało, nadeszła magiczna chwila, kiedy całkowicie zauroczył widownię. Stare skrzypce wydały drżący dźwięk, podobny nocnemu huczeniu sowy, i od razu wiedziałam, że dzisiaj postanowił być natchnionym muzykiem. Ostatnie szmery umilkły, a wszystkie oczy skierowały się na scenę. Wieki ćwiczeń i fakt, że był wilkołakiem, mogły przydawać mu szybkości i zręczności, ale muzyka płynęła wprost z walijskiej duszy. Uśmiechnął się nieśmiało i rzewne tony przerodziły się w melodię.

Wiedza nabyta przeze mnie podczas studiów historycznych odarła z romantycznej otoczki Uroczego Księcia Karolka, którego pragnienie zdobycia tronu Anglii przywiodło Szkocję do upadku. Mimo to Samuelowa wersja pieśni „Poprzez morze na Skye” wycisnęła mi łzy z oczu. Samuel znał słowa i mógł je zaśpiewać, ale chciał pozwolić przemawiać muzyce.

Nim ucichły ostatnie nuty, zaczął śpiewać „Barbarę Allen”, balladę będącą dla wykonawców folkowych utworem tej miary, co „Schody do nieba” dla gitarzystów. Po pierwszych paru wersach oderwał smyczek od strun i resztę zwrotki wyśpiewał a cappella. Refrenowi dodał atmosfery akompaniamentem w niesamowitej, wysokiej tonacji, potem zaś uśmiechem zachęcił widownię do śpiewania drugiej zwrotki. Początkowo niepewny chórek nabrał mocy, gdy przyłączył się do niego przechodzący zespół muzyków festiwalowych.

Samuel skinął artystom głową, a przy ostatniej zwrotce zamilkł, pozwalając zaprezentować grupie ich specjalność, którą stanowił śpiew na głosy. Po skończeniu, przy wtórze oklasków, podziękował pięknie muzykom za gościnny występ. Zwabionej jego koncertem publiczności przybywało, musieliśmy się więc trochę ścieśnić.

Po kilku kawałkach zamienił skrzypce na gitarę i zagrał utwór Simona i Garfunkela. Nawet huk latających wzdłuż rzeki samolotów nie odwracał uwagi od jego występu. Skończywszy na wesołej pirackiej piosence, odłożył gitarę, biorąc do ręki bodhrán, płaski,

szeroki bęben, z którego dźwięk wydobywa się za pomocą pałeczki, i zaczął śpiewać szanty.

Na obrzeżach widowni dostrzegłam rozłożonych na leżakach Cathersów, starszą parę mieszkającą obok mnie.

– Mam nadzieję, że nie będzie padało – powiedziała wczoraj, gdy spotkałam ją przed domem pracującą w ogródku. – Koniecznie chcemy iść na występ Samuela. To taki miły młodzieniec.

Jasne, bo z nim nie mieszkasz, myślałam, opierając brodę na kolanach i patrząc na Samuela. To prawda, Samuel był „miłym młodzieńcem”, ale również upartym, zaborczym i aroganckim. Ja jednak byłam jeszcze bardziej upartą gangreną niż on.

Ktoś podszedł i wyszeptawszy grzeczne „przepraszam”, usiadł przede mną. Nie lubiłam przebywać tak blisko obcej osoby, odsunęłam się więc trochę do tyłu, aż plecami dotykałam nogi Adama.

– Dobrze, że namówiłaś go na udział w imprezie – mruknął wilkołaczy Alfa. – Widać, że przed publicznością jest w swoim żywiole.

– Do niczego go nie namawiałam – zaprzeczyłam. – To jedna z pielęgniarek.

– Słyszałem kiedyś Samuela śpiewającego z bratem, Charlesem, i Marrokiem – powiedział Warren tak cicho, że poza nami chyba nikt go nie słyszał. – To było... – Napotkawszy ponad głową Kyle’a spojrzenie Adama, wzruszeniem ramion skwitował niemoc znalezienia odpowiednich słów.

– Też miałem okazję – rzekł Adam. – Niezapomniane przeżycie.

Podczas tej wymiany zdań Samuel zastąpił poprzedni instrument starą walijską harfą. Zagrał kilka taktów, dając technikom czas na dostosowanie nagłośnienia do nowego delikatnego brzmienia. Powiódł wzrokiem po widowni, zatrzymując się na mnie. Gdybym mogła odsunąć się od nieznajomego, unikając przy okazji kontaktu fizycznego z Adamem, tak bym zrobiła. Adam także dostrzegł spojrzenie Samuela i zaborczym gestem położył mi dłoń na ramieniu.

– Przestań – syknęłam.

Widząc, co się święci, Kyle przygarnął mnie po przyjacielsku do siebie, strącając przy okazji rękę Adama. Wilkołak warknął

cicho, ale odsunął się odrobinę. Lubił Kyle'a, a ponieważ ten był człowiekiem, a w dodatku gejem, nie postrzegał go jako zagrożenia.

Samuel nabrał powietrza, uśmiechnął się, choć nieco sztywno, i zapowiedział kolejny tytuł. Oparłam się o Kyle'a zasłuchana w starą walijską pieśń, którą harfiarz przywracał do życia, trącając struny instrumentu. Samuel od dziecka posługiwał się walijskim, w chwilach napięcia nadal mówił z lekkim akcentem. Język ten był jakby stworzony do muzyki, miękki, melodyjny i magiczny.

Wicherek wzmógł się trochę, szeleszcząc liśćmi do wtóru Samuelowej muzyki. Kiedy śpiew umilkł, dźwięk ten przez kilka sekund pozostał jedynym odgłosem. Dopóki huk głupiego samolotu nie przełamał czaru. Runęła lawina oklasków, widzowie podnosili się, nagradzając występ aplauzem na stojąco.

Ustawiony na wibracje telefon dawał mi znaki już od kilku minut, odeszłam więc na bok, podczas gdy Samuel pakował instrumenty, żeby zwolnić scenę dla kolejnego wykonawcy.

Znalazłszy w końcu spokojniejsze miejsce, wyjęłam komórkę. Na ekranie widniało pięć nieodebranych rozmów, wszystkie z tego samego, nieznanego mi numeru. Wcisnęłam oddzwanianie. Ktokolwiek próbował się ze mną skontaktować tyle razy w tak krótkim czasie musiał mieć jakąś niecierpiącą zwłoki sprawę.

Odebrał po pierwszym sygnale.

– Mercy, mamy kłopoty.

– Wujek Mike?

Głos należał do niego, nie znałam nikogo, kto mówiłby z tak wyraźnym irlandzkim akcentem, ale w życiu nie słyszałam u niego takiego tonu.

– Policja ma Zee.

– Co?! – Jednak mogłam spodziewać się takiego obrotu sprawy. W poważnych sytuacjach prastare istoty odwoływały się do dawnych praw. Wyjawiając sprawcę, brałam pod uwagę, że wydaję na O'Donnella wyrok śmierci, choć sądziłam, że załatwią wszystko tak, aby nie wyglądało na zabójstwo. Raczej na wypadek lub samobójstwo.

Nie sądziłam, że zachowają się na tyle nieostrożnie, aby zwrócić uwagę policji.

Telefon pisnął, sygnalizując drugą rozmowę na linii,

zignorowałam to jednak. Zee zamordował człowieka i został przyłapany.

– Jak to się stało?

– Wzięli nas z zaskoczenia. Poszliśmy z Zee porozmawiać z O'Donnellem.

– Porozmawiać? – wychrypiałam z niedowierzaniem. Idąc do strażnika, nie zamierzali chyba rozmawiać.

Wujek Mike zaśmiał się niewesoło.

– Wiem, co o nas myślisz, ale najpierw chcieliśmy porozmawiać. Udaliśmy się do domu O'Donnella po twoim odjeździe. Dzwoniliśmy do drzwi, ale nikt nie otwierał, mimo że paliły się światła. Po jakimś czasie po prostu weszliśmy. O'Donnell leżał w salonie. Ktoś go skatował i oderwał mu głowę. Nie widziałem takich ran od czasu, gdy po ziemi chodzili giganci.

– Więc nie wy go zabiliście. – Odetchnęłam z ulgą. Jeśli Zee był niewinny, nie wszystko jeszcze stracone.

– Nie. Ale kiedy tam staliśmy jak te głupki, wpadła policja, świecąc nam po oczach i wrzeszcząc jak *bean sí*[1]. – Zamilkł, a w tle usłyszałam odgłos znajomy z treningów karate. Uderzył w coś drewnianego i połamał przedmiot. – Kazał mi zniknąć. Jego moc nie pozwalała na ukrycie się przed policjantami. Patrzyłem, jak wsadzają go do samochodu i odjeżdżają. – Znów pauza. – Mogłem ich powstrzymać – rzekł gardłowo. – Mogłem ich wszystkich powstrzymać, ale pozwoliłem ludziom zabrać Siebolda Adelbertkriegera... – Tak brzmiało niemieckie imię i nazwisko Zee, których używał. – Pozwoliłem ludziom zabrać Mrocznego Kowala do aresztu. – Oburzenie nie do końca pokryło strach w jego głosie.

– Nie, nie – zaprzeczyłam stanowczo. – Zabijanie policjantów jest fatalnym pomysłem.

Chyba nie zwrócił uwagi na moje słowa, bo kontynuował:

– Zrobiłem, jak mi kazał, a teraz z której strony bym na to nie patrzył, wiem, że moja pomoc tylko mu zaszkodzi. To zły czas dla nieładzi, Mercy. Jeśli staniemy w obronie Zee, cała sprawa może skończyć się rozlewem krwi.

Miał rację. Przemoc i śmierć, które przetoczyły się przez Tri-Cities nie dalej jak miesiąc wcześniej, zostawiły po sobie głębokie rany. Fala zbrodni zbiegła się z falą upałów. Zmiana pogody wraz

z chłodnym powiewem przyniosły też ostudzenie wiszących w powietrzu złych nastrojów. Wypędzenie w zaświaty demona, spowodowane zabiciem jego gospodarza-wampira, zakończyło najgorsze, ale wieść o tym nie została podana do wiadomości publicznej. Ludzie wiedzieli tylko o istnieniu kilku wilkołaków i niegroźnych nie ludzi. Bezpieczniej dla wszystkich było nie wyjawiać społeczeństwu informacji o istotach takich, jak demony czy wampiry – szczególnie bezpieczniej dla tegoż społeczeństwa.

Jednak tu i ówdzie pojawiały się głosy podające w wątpliwość, czy tak nasiloną serię okrutnych zbrodni można wytłumaczyć jedynie upałami. Ostatecznie, okresy gorąca przychodziły każdego lata, a nigdy dotąd miasto nie było świadkiem takiej eskalacji brutalnej przestępczości. Wśród tych głosów odzywały się także i te skłonne obwiniać za wszystko nie ludzi. Ledwie w minionym tygodniu przed gmachem magistratu w Richland odbyła się demonstracja antyniec człowieka.

Tegoroczne ujawnienie się wilkołaków też nie polepszyło sytuacji. Wszystko przebiegło pozornie gładko, lecz nic nie jest do końca idealne. Cała ta paskudna sprawa sprzeciwów wobec nie ludzi, która ucichła, gdy ci z własnej woli odeszli mieszkać do rezerwatów, wychodziła ponownie, przybierając na sile w skali całego kraju. Grupy fanatyków tylko czekały, by w poczet zwalczanych istot włączyć także wilkołaki oraz inne „nieboskie stworzenia”, obojętne, ludzkie czy nie.

Miesiąc wcześniej w Oklahomie miało miejsce palenie czarownicy. O ironio, kobieta, która spłonęła na stosie, nie była, jak później wyszło na jaw, wiedźmą, uzdrowiaczką czy nawet wikanką – to trzy całkiem różne rzeczy, choć jedna osoba może być zarazem wszystkimi.

Dziewczyna okazała się katoliczką, której jedyny grzech polegał na słabości do tatuaży, piercingu i czarnej odzieży.

Nawet w Tri-Cities, miejscowości nieupolitycznionej, wolnej od aktywnego elementu radykalnego, wyraźnie rosły w siłę grupy przeciwników nie ludzi oraz wilkołaków.

Nie oznaczało to wysypu wywrotowych napisów na murach, rozbijania szyb lub czynnego podburzania do prześladowań. W końcu to Tri-Cities, nie Eugene czy Seattle. Na ostatnim Festiwalu

Sztuk mieli swój punkt informacyjny, w skrzynce znalazłam ze dwie ichniejsze ulotki. Organizacje radykalistów w Tri-Cities działały cywilizowanymi metodami – jak dotąd.

Sprawa O'Donnella mogła wszystko zmienić. Jeśli śmierci towarzyszyły tak dramatyczne okoliczności, jak mówił Wujek Mike, artykuły o tym morderstwie zaleją szpalty wszystkich krajowych gazet. Staralam się powściągnąć rosnącą panikę.

Nie martwiłam się o konsekwencje prawne – nie wątpiłam, że Zee mógłby wyjść z każdego więzienia, kiedy tylko chciał. Zmiana iluzji aparycji pozwoliłaby przyjąć mu taką postać, że nawet ja bym go nie rozpoznała. Ale to wszystko mogło okazać się niewystarczające, żeby go uratować. Obawiałam się, że nawet niewinność może nie zagwarantować ocalenia mu skóry.

– Macie jakiegoś adwokata? – Lokalne stado wilkołaków nie zatrudniało oficjalnie prawnika, choć podejrzewałam, że Adam ma na liście płac fachowca, który dba o bezpieczeństwo interesów. Jednak wilkołaków było mało w porównaniu do nie ludzi.

– Nie. Szarzy Panowie są właścicielami kilku kancelarii na Wschodnim Wybrzeżu, ale uznali, że w rezerwacie taka pomoc będzie zbędna. Jesteśmy zamkniętą społecznością, działamy dyskretnie. – Zawahał się. – Podejrzany o przestępstwo nieczłowiek raczej nie ma szans doczekać na prawnika.

– Wiem – powiedziałam ze ściśniętym gardłem.

Szarzy Panowie, podobnie jak Marrok u wilkołaków, sprawowali władzę i opiekę nad swoimi pobratymcami. Bran, aktualny Marrok, choć surowy, był na wskroś sprawiedliwy. Szarzy Panowie w swoich metodach postępowania skłaniali się raczej ku rozwiązaniom wygodnym niżli sprawiedliwym. Przy tak gęstniejącej atmosferze uprzedzeń, jaka teraz panowała, będą chcieli jak najszybciej wyciszyć sprawę.

– Na ile może to zaszkodzić Zee? – spytałam.

– Nie mam pojęcia – westchnął Wujek Mike. – To morderstwo na pewno nie przejdzie bez echa. Nie widzę, jakim sposobem nie ludziom mogłaby przynieść większe korzyści jego śmierć niż ocalenie, szczególnie że nie popełnił tej zbrodni. Kontaktowałam się z nimi, powiedziałem, że Zee tego nie zrobił. – Nimi, czyli Szarymi Panami. – Jeśli udałoby nam się udowodnić jego niewinność... Nie

wiem, Mercy. Zależy, kto naprawdę zabił O'Donnella. Na pewno nie człowiek, do czegoś takiego byłby zdolny troll albo wilkołak. Może wampir, ale strażnika nie zabito, by się nim pożywić. Zabójca był na niego wściekły. Jeśli sprawcą jest nieczłowiek, Szarym Panom nie będzie zależało na dociekaniu prawdy, tylko jak najszybszym zakończeniu sprawy.

Najszybszym, czyli jeszcze przed procesem, który przyciągnęłyby ogromną uwagę. Najszybszym, czyli samobójstwie z listem zawierającym przyznanie się do winy.

Telefon piknął grzecznie, informując ponownie o drugiej rozmowie.

– Zakładam, że masz jakiś pomysł, jak mogę pomóc? – zapytałam retorycznie. W innym wypadku w ogóle by do mnie nie zadzwonił.

– Nie możemy się w to wtrącać, a on potrzebuje dobrego prawnika i kogoś, kto znajdzie prawdziwego zabójcę. Ktoś musi powiedzieć policji, że nie Zee zabił to ścierwo. Ktoś, komu uwierzą. Masz znajomego policjanta z Kennewick.

– O'Donnell zginął w Kennewick?

– Tak.

– Znajdę mu prawnika – obiecałam Wujkowi Mike'owi. Kyle był co prawda adwokatem od rozwodów, ale z pewnością znał dobrego karnistę. – Może policja nie ujawni prasie wszystkich makabrycznych szczegółów. Raczej nie będą chcieli ściągać sobie na łeb dziennikarzy z całego kraju. Nawet jeśli powiedzą, że ofiara została pozbawiona głowy, nie zabrmi to aż tak przerażająco, prawda? Może uda nam się powstrzymać na jakiś czas Szarych Panów, jeśli nie zrobi się wokół tego wielki szum medialny. I porozmawiam z tym policjantem, ale zastrzegam, że może mi nie uwierzyć.

– Daj znać, jeśli będą potrzebne pieniądze – zaznaczył Wujek Mike. – Zee nie jest bogaty, przynajmniej tak sędzę, choć z nim nigdy nic nie wiadomo. Ale ja mam spore możliwości, a jeśli trzeba będzie więcej, zatroszczę się o to. Tylko pamiętaj, wszystko musi przejść przez ciebie. Nieludzie nie mogą być w to zamieszani bardziej, niż już są. Ty musisz zatrudnić prawnika, a my ci zapłacimy tyle, ile będzie trzeba.

– W porządku – powiedziałam i rozłączyłam się, czując w gardle

wielką gulę.

Wyświetlacz informował o dwóch nieodebranych rozmowach z tego samego numeru, należącego do mojego znajomego gliniarza, Tony'ego. Przysiadłam na pniaku i oddzwoniłam.

– Montenegro, słucham – odebrał.

– Wiem o Zee – powiedziałam bez wstępów. – Wiem też, że macie nie tego sprawcę.

W słuchawce zaległa cisza.

– Mówisz tak, bo nie wierzysz, że potrafiłby kogoś zabić? – odezwał się po chwili. – Czy dlatego, że wiesz coś na temat tej konkretnej zbrodni?

– Zee z pewnością potrafiłby zabić – zapewniłam Tony'ego. – Ale wiem ze sprawdzonego źródła, że to nie on zamordował tego człowieka. – Nie wspomniałam, że gdyby Zee zastał O'Donnella żywego, na pewno by to zrobił. Jakimś trafem informacja ta nie wydawała mi się istotna.

– A co to za pewne źródło? I czy przypadkiem nie wspomniało, kto jest sprawcą?

Uszczypnęłam się w nos.

– Nie mogę ci powiedzieć. I nie, nie wie, kto zabił. Tylko tyle, że nie Zee. Znalazł O'Donnella już w takim stanie.

– Masz coś bardziej konkretnego? Kiedy policja przyjechała na miejsce, pan Adelbertsmiter klęczał przy ofierze z rękami we krwi, cieplej jeszcze. Aresztowany jest nieczłowiekiem, zarejestrowanym w bazie ASN od siedmiu lat. Sprawca nie miał w sobie krzty człowieczeństwa, Mercy. Nie mogę zdradzać szczegółów, ale to nie była istota ludzka.

Odchrząknęłam.

– Pewnie nie dasz rady utrzymać tej ostatniej informacji z dala od prasy, hm? Bo wiesz, dopóki nie złapiesz prawdziwego mordercy, może lepiej nie nastawiać społeczeństwa przeciwko nieлюдziom.

Tony był bystry, zrozumiał to, czego nie powiedziałam wprost.

– Czy to coś jak wtedy, gdy powiedziałaś, żeby policja nie szukała wśród niełudei przyczyny fali brutalnych zbrodni tego lata?

– Dokładnie. – Cóż, może nie do końca. Uczciwość nakazała mi sprostowanie. – Tyle że tym razem to nie policja jest zagrożona.

Ale Zee owszem, a prawdziwy sprawca zostanie na wolności i dalej będzie mógł zabijać.

– Potrzebuję więcej niż twojego słowa – oświadczył Tony. – Nasz biegły konsultant jest przekonany co do winy Zee, a jest autorytetem.

– Wasz biegły konsultant? – zdumiałam się. Z tego, co wiedziałam, do tej pory to ja byłam osobą najbardziej odpowiadającą temu określeniu. To do mnie policja z Tri-Cities przychodziła z pytaniami o niełudzi.

– Doktor Stacy Altman, znawczyni folkloru z Uniwersytetu Oregońskiego, przyjechała tu dziś rano. Sporo jej płacą, a to oznacza, że według szefów powinniśmy słuchać jej zdania.

– Może i ja powinnam sobie słono liczyć za pomoc?

– Następnym razem podwoję ci stawkę – obiecał.

Nie płacono mi za wskazówki, i dobrze. Miałam wystarczająco dużo kłopotów z tutejszymi istotami nadnaturalnymi; nie potrzebowałam jeszcze tego, żeby uznano mnie za kapusia na usługach glin.

– Słuchaj, to, co ci powiem, jest nieoficjalne. – Zee nigdy wprost nie zakazał mi mówić o serii zabójstw w rezerwacie. Po prostu uważał, że nie musi tego robić. Ja z drugiej strony wiedziałam, że nie powinnam o tym kłapać na lewo i prawo.

Aczkolwiek, jeśli będę mówiła wystarczająco szybko, może zdążę opowiedzieć wszystko, zanim opadną mnie myśli o tym, jak niechętnie zostanę potraktowana, kiedy ten przeciek wyjdzie na jaw.

– Ostatnio w rezerwacie doszło do kilku morderstw. Twarde dowody wskazywały, że zrobił to O'Donnell. Dlatego właśnie Zee do niego poszedł. Jeśli ktoś dowiedział się o tym przed Zee, mógł zabić strażnika.

Gdyby tak właśnie się to odbyło, Zee miałby szansę – przynajmniej jeśli chodzi o lokalny wymiar sprawiedliwości. Niestety, społeczne konsekwencje mogły wyglądać dużo gorzej. Byłam dzieckiem, kiedy ujawnił się pierwszy nieczłowiek, ale dobrze pamiętałam, jak KKK spalił dom niełudzi z mieszkańcami w środku. Późniejsze zamieszki w Houston i Baltimore doprowadziły w efekcie do odizolowania niełudzi w rezerwach.

Jednak najważniejszy był teraz Zee. Jeśli on będzie bezpieczny, reszta nieludzi mogła sobie szczeznąć.

– Nie słyszałem nic o problemach w Uroczysku.

– A niby skąd? Nie wywlekają swoich spraw przed obcymi.

– To skąd ty o tym wiesz?

Mówiłam już Tony'emu, że nie jestem nieczłowiekiem ani wilkołakiem, jednak pewne rzeczy trzeba powtarzać, żeby w nie uwierzono. Tę teorię musiałam teraz wprowadzić w życie.

– Mówiłam ci już, że nie jestem nieczłowiekiem. I powtórzę: nie jestem. Ale posiadam pewne umiejętności, które uznali za przydatne. – Zabrzmiało to jak niezły bajer.

– Niezły bajer, Mercy.

– Kiedyś ci wszystko wyjaśnię – obiecałam. – Teraz nie mogę. O tamtym też nie powinnam ci mówić, ale to ważne. Moim zdaniem, w zeszłym miesiącu O'Donnell zabił – musiałam policzyć w myślach – siedmiu nieludzi. – Zee nie zabrał mnie na resztę miejsc zbrodni. – To nie jest sprawa praworządnego funkcjonariusza sił porządkowych zabitego przez złoczyńców. To sprawa złoczyńcy zabitego przez... – Kogo? Dobroczyńców? Jeszcze gorszych złoczyńców? – Kogoś.

– Kogoś dysponującego wystarczającą siłą, żeby oderwać silnemu facetowi głowę, Mercy. To coś złamało mu przy okazji oba obojczyki. Nasz hojnie opłacany konsultant uważa, że Zee byłby w stanie to zrobić.

Czyżby? Wykrzywiłam się do telefonu.

– A do jakiego rodzaju nieludzi zaklasyfikowała Zee? Ile w ogóle o nich wie? – Doszłam do wniosku, że ta konsultantka nie mogła wiedzieć więcej ode mnie, której, po pierwsze, Zee opowiadał historie ze swoich dawnych czasów, a która, po drugie, grzebała w nich później we własnym zakresie.

– Powiedziała, że jest gremlinem, on zresztą twierdzi to samo. W każdym razie tak określił się w formularzu rejestracyjnym. Bo odkąd go zwinęliśmy, nie odezwał się ani słowem.

Musiałam zastanowić się, w jaki sposób najlepiej pomogę Zee. W końcu stwierdziłam, że skoro jest niewinny, im więcej prawdy ujrzy światło dzienne, tym lepiej dla niego.

– Ta twoja konsultantka nie jest warta złamanego grosza –

oświadczyłam. – Albo nie posiada takiej wiedzy, jaką wam wmawia, albo specjalnie wciska wam brednie.

– A skąd ten wniosek?

– Nie ma czegoś takiego jak gremliny. To słowo wymyślone przez brytyjskich lotników podczas pierwszej wojny światowej na określenie przyczyn niewyjaśnionych usterek w ich samolotach. Zee nazwał się gremlinem dlatego, że mu się tak podoba.

– Czym więc jest?

– Mettalzauberem, jednym z zaklinaczy metalu. To bardzo pojemne określenie niewielkiej grupy istot. Kiedy go poznałam, z czystej ciekawości sięgnęłam do germańskich legend, ale nie znalazłam podobnego do niego stworzenia. Wiem, że zajmuje się obróbką metalu, bo widziałam na własne oczy, jak to robi. Nie wiem, czy jest wystarczająco silny, żeby oderwać komuś głowę, ale twoja konsultantka nie wie tego tym bardziej. Na pewno nie, skoro posługuje się słowem „gremlin”, przyjmując je jako nazwę funkcjonującą w klasyfikacji naukowej, i przypisuje ją konkretnej istocie.

– Pierwsza wojna światowa? – zadumał się Tony.

– Możesz sobie sprawdzić w Internecie – poradziłam. – W okresie drugiej Disney umieścił je już w kreskówkach.

– Może w tym czasie Zee się urodził? Może właśnie jest zaczątkiem legendy? Grzebanie w samolotach wroga pasuje mi do nieczłowieka-Niemca.

– Zee urodził się na długo przed pierwszą wojną.

– Skąd wiesz?

Dobre pytanie. I nie potrafiłam na nie odpowiedzieć. Zee nigdy nie powiedział mi, ile ma lat.

– W momentach gniewu – zaczęłam – przeklina po niemiecku. Ale to nie jest współczesny język, który jako tako rozumiem. Na studiach jeden z profesorów czytał nam „Beowulfa” w oryginale, mowa Zee brzmi podobnie.

– Myślałam, że „Beowulf” jest napisany w staroangielskim, nie w niemieckim.

Znalazłam się na twardym gruncie. Studia historyczne nie są jednak całkiem nieprzydatne.

– Angielski i niemiecki wywodzą się z grupy języków

zachodniogermańskich. W średniowieczu różnice pomiędzy nimi były dużo mniejsze niż dzisiaj.

Tony prychnął z niezadowoleniem.

– Do diabła, Mercy. Mam tu brutalne morderstwo, a góra chce, żeby zamknąć sprawę na wczoraj. Szczególnie że złapaliśmy podejrzanego na gorącym uczynku. Teraz mówisz mi, że to nie on jest odpowiedzialny, a nasza kosztowna konsultantka kłamie lub nie ma pojęcia, o czym mówi. O'Donnell był zabójcą, choć nieludzie zaprzeczają, jakoby w rezerwacie popełniono jakiegokolwiek morderstwa. A jeśli o tym wspomnę, będziemy mieć na karku federalnych, bo do rzeczonych zbrodni doszło na terenie Uroczyska. A wszystko to bez potwierdzonego źródła czy okruchu dowodu.

– Uhm.

Zaklął szpetnie.

– Najgorsze, że ci wierzę, choć nie mam zielonego pojęcia, jak przekazać to szefowi. Tym bardziej że to nie ja prowadzę śledztwo.

Oboje zamilkliśmy.

– Musisz mu załatwić prawnika – Tony pierwszy odzyskał głos. – Na razie nic nie powiedział, co jest akurat mądrym posunięciem. Ale musi mieć prawnika. Nawet jeśli jesteś przekonana o jego niewinności, a tym bardziej jeśli jest niewinny, potrzebuje cholernie dobrego adwokata.

– Jasne. Może mogłabym zerknąć – a w zasadzie niuchnąć – na miejsce zbrodni? – Niewykluczone, że udałoby mi się odkryć jakiś ślad, niewykrywalny nowoczesnymi metodami naukowymi. Na przykład kogoś przebywającego i u O'Donnella, i w pozostałych domach, które odwiedziłam z Zee.

– Zajmij się prawnikiem. – Westchnął. – Co do tamtego, to małe szanse. Nawet gdybym jakimś cudem mógł cię tam zabrać, i tak musiałabyś poczekać, aż skończą nasi technicy. Lepiej zatrudnić prywatnego detektywa, kogoś, kto wie, czego szukać na miejscu zbrodni.

– Dobra, poszukam jakiegoś prawnika. – Płacenie detektywowi człowiekowi byłoby stratą pieniędzy. Mogło też skończyć się śmiercią detektywa, jeśli odkryłby coś, co Szarzy Panowie chcieli zataić przed ludźmi. Ale nie widziałam potrzeby wyjaśniania tego Tony'emu.

– Proszę cię tylko o jedno, Tony, miejcie oczy szeroko otwarte, nie wierzcie pozorom. Zee tego nie zrobił.

– Dobra, dobra. – Westchnął ponownie. – Nie zajmuję się tą sprawą, ale pogadam, z kim trzeba.

Pożegnaliśmy się i natychmiast zaczęłam rozglądać się za Kyle'em.

Dostrzegłam go pośród grupy stojącej na tyle daleko od sceny, żeby nie przeszkadzać kolejnemu wykonawcy. W centrum gromadki znajdował się Samuel, w otoczeniu futerałów z instrumentami.

Wsunęłam telefon do tylnej kieszeni spodni (nawyk ten kosztował mnie już dwa aparaty) i przybrałam obojętny wyraz twarzy. Wilkołaki i tak wyczują moje napięcie, ale przynajmniej uniknę pytań obcych ludzi.

Jakiś rozentuzjasmowany młodzieniec w abstrakcyjnie zafarbowanej koszulce rozmawiał z Samuelem, który patrzył na niego z rozbawieniem dostrzegalnym jedynie dla osób znających go bardzo dobrze.

– Nigdy nie słyszałam tej wersji pieśni, wiesz, tej ostatniej – trajkotał młody człowiek. – Muzyka różniła się od tych najpopularniejszych. Ciekawi mnie, skąd ją znasz. A w ogóle, świetny występ. Tylko w ostatnim wersie słowo... – powiedział coś, co brzmiało walijsko – powinno się wymawiać... – kolejny niemożliwy zestaw dźwięków brzmiący dokładnie tak, jak poprzedni. Dorastałam co prawda w stadzie przewodzonego przez Walińczyka, ale ani Marrok, ani Samuel nie mówili w tym języku na tyle często, bym mogła się osłuchać. – Pomyślałam, że skoro cała reszta była tak doskonała, to pewnie chciałbyś wiedzieć...

Samuel ukłonił się lekko, wypowiadając kilkanaście walijsko brzmiących słów.

Młodzieniec zmarszczył brwi.

– Jeśli stamtąd czerpałeś informacje o wymowie, to wszystko jasne. Tolkien oparł język elfów na walijskim, ale również fińskim.

– Zrozumiałeś, co mówił? – zapytał Adam.

– Proszsz... To inskrypcja z Jedynego Pierścienia, no wiesz, „jeden, by wszystkimi rządzić” i tak dalej. Każdy to zna.

Przystanąłam niepewnie, mimo nerwowego pośpiechu nieco

speszona. Folkowy kujon, kto by pomyślał?

– Nieźle – zaśmiał się Samuel. – Tylko tyle umiem powiedzieć w języku elfów, ale nie mogłem się powstrzymać, żeby nie zażartować. Pieśni nauczył mnie stary Walińczyk. Nazywam się Samuel Cornick, a ty?

– Tim Milanovich.

– Miło cię poznać, Tim. Występujesz?

– Prowadzę z kumplem prelekcję – uśmiechnął się nieśmiało chłopak. – Może cię zainteresować. Ludowa muzyka celtycka. O drugiej w niedzielę, w domu kultury. Grasz świetnie, ale jeśli chciałbyś w ten sposób zarabiać, powinieneś inaczej się zorganizować, dobierać kawałki tematycznie, jak na przykład „ballady celtyckie”. Wpadnij na wykład, może skorzystasz.

Samuel śmiertelnie poważnie pokiwał głową, choć wiedziałam, że on i organizacja zamieszkują przeciwne strony globu. W jego przypadku szanse na „zorganizowanie” muzyki są takie, jak na zamrożenie piekła.

– Dzięki, spróbuję zajrzeć – skłamał uprzejmie.

Tim uścisnął mu rękę na pożegnanie i odszedł, zostawiając mnie z Kyle'em i wilkołakami.

Samuel odczekał, aż się oddali, po czym spojrzał na mnie.

– Co się stało, Mercy?

¹Irl. banshee (przyp. tłum.)



Rozdział 4

Kyle zareklamował mi polecaną prawniczkę jako piekielnie drogą, upartą żołą i najlepszą karnistkę po tej stronie Seattle. Nie była szczególnie uszczęśliwiona klientem nieczłowiekiem, ale Kyle zapewnił, że to nie wpłynie na jej zaangażowanie, a jedynie wysokość wynagrodzenia. Mieszkała w Spokane, lecz zgodziła się z nami, że w tym przypadku liczy się czas. Do Kennewick dotarła przed trzecią.

Upewniwszy się, że Zee nie rozmawiał z policją, oświadczyła, iż w pierwszej kolejności chce spotkać się ze mną. Kyle'owi wyjaśniła, że zanim pójdzie na policję albo do Zee, musi usłyszeć całą historię.

Zaaranżowaliśmy spotkanie u Kyle'a w pracy. W sobotnie popołudnie nie było tam ani personelu, ani dwóch pozostałych współników, więc mieliśmy całe biuro dla siebie.

Jean Ryan, choć po pięćdziesiątce, miała świetną figurę, nad którą, sądząc z rysujących się pod cienką garsonką mięśni, ciężko pracowała. Bardzo, bardzo jasny blond musiał być dziełem fryzjera, ale błękitu zaskakująco łagodnych oczu nie zawdzięczała soczewkom.

Nie wiem, co pomyślała na mój widok, jednak na pewno zauważyła połamane paznokcie i trwale poplamione smarem dłonie.

Przy wpisywaniu kwoty na blankiecie wstrzymałam oddech, żywiąc nadzieję, że Wujek Mike nie zawiedzie i czek będzie miał pokrycie – a obejmował tylko wynagrodzenie za zasięgnięcie wstępnej porady. Może mama miała rację i powinnam była iść na prawo? Zawsze twierdziła, że przynajmniej w tym zawodzie moja krnąbrność byłaby zaletą.

Ryan schowała czek do torebki i splotła dłonie na blacie stołu.

– Proszę mi opowiedzieć, co się wydarzyło – odezwała się.

Już otwierałam usta, gdy Kyle powstrzymał mnie chrząknięciem. Spojrzałam na niego pytająco.

– Powaga sytuacji Zee nie pozwala na przedstawienie adwokatowi okrojonej wersji – pouczył mnie. – Nie możesz nic zatajać. Nikt nie ma takiego nosa do kłamstwa, jak adwokaci broniący w sprawach kryminalnych.

– Mam powiedzieć wszystko? – Popatrzyłam na niego okrągłymi ze zdumienia oczami.

– Nie martw się. – Poklepał mnie po ramieniu. – Jean potrafi dochować tajemnicy. Nie znając wszystkich szczegółów, będzie broniła Zee jedną ręką.

Skrzyżowałam ramiona na piersiach i niespiesznie zmierzyłam karnistkę wzrokiem. Na pierwszy rzut oka nie wzbudzała ochoty do zwierzeń. Rzadko spotykało się kobiety do tego stopnia pozbawione ciepła. Wyjątek stanowiły oczy.

Chłód na jej twarzy podszyty był lekkim niezadowoleniem, nie wiedziałam, czy wynikającym z konieczności pokonania długiej trasy w sobotę, czy perspektywy bronięcia nieczłowieka, czy jednego i drugiego.

– W porządku – zgodziłam się z westchnieniem.

– Niech pani zacznie od pobudek, którymi kierował się pan Adelbertsmiter, pokazując mechanikowi miejsca zbrodni – poleciała, nie zająknąwszy się przy wymawianiu nazwiska Zee. Pomyślałam uszczypliwie, że pewnie ćwiczyła wymowę po drodze. – Najlepiej od słów: „Ponieważ jestem nie tylko mechanikiem, ale też...”.

Zmarszczyłam brwi. Niechęć, wywołana pierwszym wrażeniem, rozkwitła pod wpływem protekcyjnego tonu. Po tylu latach spędzonych wśród wilkołaków został mi uraz do protekcyjności. Nie budziła we mnie sympatii, nie miałam ochoty zawierzać jej obrony Zee – a tylko w imię tego ostatniego skłonna byłabym wyjawiać moje sekrety.

Kyle dobrze odczytał moją minę.

– Owszem, jest suką, Mercy. Właśnie dlatego jest taka dobra. Wyciągnie twojego przyjaciela, o ile to możliwe.

Uniosła jedną brew.

– Dziękuję ci za tę wyjątkową analizę osobowości, Kyle.

Kyle uśmiechnął się do Jean promiennie. Mnie się nie podobała, ale on wyraźnie ją lubił. Z pewnością nie za serdeczność, a to znaczyło, że musiała być dobrym człowiekiem.

Lepiej bym się czuła, gdyby miała jakieś zwierzę. Pies, nawet kot dodałby tę nutkę ciepła, którego mi w niej brakowało. Jednak pachniała tylko „Chanel Nr 5” i pralnią chemiczną.

– Mercy – zaczął Kyle łagodnym tonem, wypracowanym w kontaktach z kobietami, których rozwody prowadził. – Musisz jej powiedzieć.

Nie mam w zwyczaju opowiadać wokół, że jestem zmiennokształtną. Poza rodziną, Kyle jest jedynym człowiekiem, który o tym wie.

– Uwolnienie przyjaciela może oznaczać konieczność ujawnienia pani natury na sali sądowej – rzekła Ryan. – Jak bardzo zależy pani na panu Adelbertsmiterze?

Myślała, że jestem nieczłowiekiem.

– Dobrze. – Wstałam z nieprzyzwoicie wygodnego fotela, podeszłam do okna i przez chwilę obserwowałam ruch na Clearwater Avenue. Istniał tylko jeden sposób, żeby szybko przez to przejść.

– Jestem nie tylko mechanikiem, ale też – powtórzyłam jej słowa – przyjaciółką Zee. – Odwróciłam się do niej raptownie i zdjęłam koszulkę, jednocześnie zrzucając buty i skarpetki.

– Chce pani powiedzieć, że jest również striptizerką? – zapytała, kiedy na podłodze wylądował stanik. Mówiła takim tonem, jakbym robiła przysiady, a nie obnażała się na środku biura.

Zsunęłam spodnie razem z figami, stając przed kobietą naga, przystrojona jedynie w tatuaże, i przywołałam kojota. W jednej chwili wślizgnęłam się w zwierzęcą formę.

– Wilkołak? – Panna Ryan podniosła się od stołu, powoli cofając ku drzwiom.

Nie rozróżniała wilkołaka od kojota? To jakby stać przed garbusem i nazywać go hummerem.

Wyczułam jej lęk. Usatysfakcjonowało to tkwiącą w głębi mnie cząstkę, która wiała się pod chłodnym, wyniosłym spojrzeniem karnistki. Uniosłam wargę, prezentując garnitur kłów. Może i byłam niepozornym, niespełna piętnastokilogramowym, ale jednak drapieźnikiem, który potrafiłby zabić człowieka. Raz zabiłam nawet wilkołaka z pomocą właśnie tych kłów.

Kyle zerwał się, podbiegając do Jean, zanim zdążyła umknąć.

– Gdyby była wilkołakiem, miałabyś posprzątane – zapewnił ją, ściskając mocno za ramię. – Nie wolno uciekać przed drapieżnikiem. Nawet najbardziej opanowanym trudno powściągnąć instynkt pogoni za ofiarą.

Usiadłam i ziewnęłam szeroko, pozbywając się resztek mrowienia po przemianie. Przy okazji znów pokazałam zęby, których widok wprawiał prawniczkę w wyraźną nerwowość. Kyle zbeształ mnie wzrokiem, nie przestając uspokajać koleżanki po fachu.

– Mercy nie jest wilkołakiem. Uwierz, wilkołaki są dużo większe i groźniejsze. Nie jest też nieczłowiekiem. Jest trochę inną istotą, tubylczą, a nie napływową jak niełudzie czy wilkołaki. Potrafi się tylko przemieniać w kojota i na powrót w człowieka.

Nie do końca. Potrafiłam też zabić wampira – w każdym razie podczas snu, kiedy był bezbronny.

Z trudem przełknęłam ślinę przez nagle wyschłe gardło. Nie znosiłam tych napadów lęku, które przychodziły zupełnie bez ostrzeżenia. Za każdym razem na widok lekkiego utykania Warrena czułam pewność, że mogłabym znów zabić wampira, jednak poprzedni raz okupiłam właśnie takimi atakami paniki.

Wyjaśnienia Kyle’a dały Ryan czas na ponowne przybranie maski niewzruszonego spokoju. Kyle prawdopodobnie nie zdawał sobie sprawy, jaka jest wściekła, ale moich zmysłów to pozorne opanowanie nie zwiodło. Nadal się bała, jednak strach ten był niczym wobec jej gniewu.

Zwykle i we mnie lęk wzbudzał złość. Złość i lekkomyślność. Przyszło mi do głowy, że może przemiana na oczach prawniczki nie była zbyt dobrym pomysłem.

Powróciłam do postaci ludzkiej i ignorując głód, o jaki przyprawiła mnie dwukrotna zmiana formy w tak krótkim czasie, założyłam ciuchy. Nie spieszyłam się zbyt przy zawiązywaniu butów, co było ukłonem w stronę Ryan, która w tym czasie miała szansę wziąć się w garść.

Kiedy podniosłam głowę, siedziała przy stole, jednak już po drugiej stronie, bliżej Kyle’a.

– Zee jest moim przyjacielem – powtórzyłam spokojnie. – Nauczył mnie wszystkiego, co wiem o samochodach, i sprzedał mi warsztat,

kiedy został zmuszony do wyjawienia, że jest nieczłowiekiem.

Zmarszczyła czoło.

– Wygląda pani bardzo młodo, a nieludzie ujawniali się dawno temu.

– Ale przecież nie wszyscy jednocześnie – przypomniałam. Jej stwierdzenie pozwoliło mi powściągnąć nerwy. To życie Zee było tu stawką, nie moje. Przynajmniej na razie.

Nie przestawałam mówić, nie chcąc dopuścić do drażnienia przyczyn, dla których Zee musiał się ujawnić. Jednego nie mogłam zdradzić na pewno – istnienia Szarych Panów.

– Zee przyznał, że jest nieczłowiekiem, jakieś siedem, osiem lat temu. Wiedział, że przez to straci klientów. Pracowałam u niego parę lat, polubił mnie, więc sprzedał mi interes.

Zebrałam myśli, odsiewając najniezbędniejsze informacje, żeby przedstawić prawnicze wszystko dokładnie, a przy okazji nie zagadać na śmierć.

– Jak wspominałam, zadzwonił do mnie wczoraj z prośbą o pomoc w sprawie serii morderstw w rezerwacie. Uznał, że może będę w stanie wyczuć zapach zabójcy. Sądzę, że mój udział traktował jako ostateczność. Przy bramie rezerwatu straż pełnił O'Donnell. Zanotował nasz wjazd, spisał dane, więc moje nazwisko będzie na liście. Pewnie policja do tego dojdzie, jeśli wpadnie na pomysł, żeby sprawdzić odwiedzających. Zee pokazał mi miejsca zbrodni, a ja odkryłam, że wszędzie powtarza się zapach jednej osoby, właśnie O'Donnella.

Ryan przez cały czas robiła notatki, ale w tym momencie odłożyła ołówki i spojrzała na mnie marsowo.

– Obecność O'Donnella stwierdziła pani na podstawie węchu?

Uniosłam brwi.

– Kojoty mają bardzo czuły zmysł powonienia, pani Ryan. Mam też świetną pamięć zapachową. Spotkałam O'Donnella przy bramie, później skojarzyłam jego zapach z tymi na miejscach przestępstw. Przebywał w każdym z domów ofiar, które odwiedziłam.

Gapiła się na mnie, a ponieważ nie była wilkołakiem, który takie zachowanie odebrałby jako wyzwanie, spojrzałam jej prosto w oczy.

Pierwsza odwróciła wzrok, ostentacyjnie wczytując się w notatki.

Ludzie są zwykle głusi na mowę ciała. Może nie zdawała sobie sprawy, że przegrała tę potyczkę woli, ale jej podświadomość pewnie to zarejestrowała.

– Rozumiem, że O'Donnell był pracownikiem ochrony zatrudnianym przez ASN? – zapytała, wertując kartki. – Może prowadził śledztwo w sprawie tych morderstw?

– ASN w ogóle nie wie, że w rezerwacie doszło do zabójstw. Nieludzie mają własnych stróżów prawa. A nawet jeśli zgłosiliby to federalnym, śledztwo przejąłoby raczej FBI niż ASN. Poza tym O'Donnell był zwykłym strażnikiem, nie śledczym. Powiedziano mi, że O'Donnell nie miał powodu przebywać w tych domach, a ja nie mam powodu w to wątpić.

Znów zaczęła pisać, stenograficznie. Nigdy wcześniej nie widziałam nikogo posługującego się stenografią.

– Więc to pani powiedziała panu Adelbertsmitterowi, że O'Donnell był mordercą?

– Powiedziałam, że był jedyną osobą, której zapach wyczułam na każdym miejscu przestępstwa.

– Ile domów pani odwiedziła?

– Cztery. – Postanowiłam nie wspominać o pozostałych, żeby nie wyjaśniać, dlaczego do nich nie poszłam. Skoro Zee wzdragał się rozmawiać na temat mojego wypadu do Podgórze nawet ze mną, tym bardziej nie chciałby, żebym omawiała to z prawnikiem.

Ryan znów przerwała pisanie.

– W rezerwacie doszło do czterech morderstw i nikt tego nie zgłosił?

– Nieludzie wolą nie ściągać na siebie uwagi obcych. – Uśmiechnęłam się krzywo. – To mogłoby być niebezpieczne dla obu stron. Zdają sobie też sprawę, jaki stosunek mają do nich ludzie, włączając w to władze federalne. Zasada „dobry nieczłowiek to martwy nieczłowiek” jest dość powszechnie wyznawana przez konserwatystów, którzy stanowią większość szarych funkcjonariuszy w szeregach agencji rządowych, obojętnie, ABW, FBI, ASN czy innych „skrótowych instytucji”.

– Ma pani coś przeciwko agencjom rządowym?

– Z tego, co wiem, żadna z nich nie jest uprzedzona do mechaników-Metysów – odpowiedziałam tym samym

beznamiętnym tonem, jakim Ryan zadała pytanie. – Więc czemu miałabym mieć coś przeciwko nim? Aczkolwiek rozumiem powody, dla których niechęć nie chcieli informować o serii morderstw rządu, którego postępowanie wobec tej społeczności nie jest bez skazy. – Wzruszyłam ramionami. – Może gdyby wcześniej było wiadomo, że zabójcą nie jest nieczłowiek, zwróciliby się o pomoc do władz państwowych? Zresztą nie wiem.

Zerknęła w notatki.

– A więc powiedziała pani Zee, że to O'Donnell jest sprawcą, tak?

Skinęłam głową.

– A potem wsiadłam do ciężarówki i pojechałam do domu. Pożegnaliśmy się około czwartej nad ranem. Uznałam, że Zee pewnie będzie chciał iść od razu do O'Donnella, żeby z nim porozmawiać.

– Tylko porozmawiać?

Wzruszyłam ramionami i zerknęłam na Kyle'a, rozważając, na ile ufam jego osądowi. Hm, całą prawdę? Westchnęłam.

– Tak powiedział, choć przypuszczałam, że jeśli O'Donnell nie będzie miał w zanadrzu wiarygodnej historyjki, raczej nie ujrzy już słońca.

Ołówek trzasnął o blat.

– Sugeruje pani, że Zee poszedł do O'Donnella z zamiarem zabicia go?

Nabrałam powietrza.

– Nie zrozumie pani tego. Nie zna pani niełudek. System penitencjarny w ich przypadku... nie sprawdza się. Przede wszystkim samo uwięzienie jest cholernie trudne. Nawet przetrzymywanie człowieka nie jest prostą sprawą, a już upilnowanie nieczłowieka zatrzymanego wbrew woli jest praktycznie niemożliwe. Choćby przez krótki okres, a co dopiero, gdy mówimy o dożywociu, które w tym przypadku mogłoby trwać kilkaset lat. – Lub znacznie więcej, choć śmiertelnicy o tym nie wiedzieli. – Poza tym te istoty nie traktują kary pozbawienia wolności w kategorii spłaty długu wobec społeczeństwa, a po odsiadce nie przeszłyby nad tym do porządku dziennego. Pradawni to żadna zemsty rasa. Ktokolwiek zamknie nieczłowieka, obojętne, słusznie czy nie, lepiej, żeby po jego wyjściu był martwy, inaczej

będzie żałował, że żyje. Ludzki wymiar sprawiedliwości nie jest przystosowany do postępowania z nieлюдźmi, dlatego biorą oni sprawiedliwość we własne ręce. Jeśli nieczłowiek popełni poważne przestępstwo, jak na przykład morderstwo, zostaje natychmiast zgładzony. – Wilkołaki stosowały tę samą zasadę.

Ryan pomasaowała nasadę nosa, jakby moja wypowiedź przyprawiła ją o ból głowy.

– O'Donnell nie był jednym z nich. Był człowiekiem.

Przez moment miałam zamiar wyjaśnić, dlaczego społeczność, przyzwyczajona do stosowania własnego systemu sprawiedliwości, nie bierze pod uwagę, czy sprawca jest człowiekiem czy nie, jednak uznałam, że to bez sensu.

– Ale fakt jest taki, że Zee nie zabił O'Donnella. Ktoś zrobił to wcześniej.

Najwyraźniej nie była przekonana, zapytałam więc:

– Zna pani opowieść o Rymującym Tomaszu?

– Tomaszu Prawdomównym? To fantastyka – odparła. – Pierwowzór Irvingowego „Ripa Van Winkle'a”.

– Uhm. W rzeczywistości to prawdziwa historia. To znaczy sam Tomasz istniał naprawdę, żył w trzynastym wieku i był znaną osobistością. Twierdził, że został porwany przez królową czarodziejek i po siedmiu latach odzyskał wolność. Są różne wersje jego historii, jedna mówi, że poprosił królową o dar, dzięki któremu po powrocie ludzie uwierzą mu, gdzie spędził ten czas, inna, że skradł jej całusa, dość że został obdarowany, a jak to zwykle bywa z darami legendarnych istot i ten okazał się raczej przekleństwem niż łaską. Królowa sprawiła, że nie mógł kłamać. Okrutny prezent w przypadku dyplomaty, kochanka czy biznesmena, ale nie ludzie są okrutni.

– Do czego pani zmierza?

Nie wyglądała na uszczęśliwioną. Pewnie wzbraniała się przed przyjęciem do wiadomości, że bajki i legendy opisują prawdę. To powszechna postawa.

Ludzie skłonni byli uznać istnienie baśniowych istot, ale podania ludowe wkładali między bajki, zmyślane opowiadki, w które wierzyły tylko dzieci.

Takie podejście propagowali sami nie ludzie. Większość legend

nie przedstawiała ich jako przyjazne istoty. Zee wspomniał kiedyś, że w rezerwacie mieszka sporo stworzeń, które, jeśli zostawić im wolność wyboru diety, chętnie uczyniłyby swoimi głównymi daniami ludzi, w szczególności dzieci.

– Tomasz został obdarzony jednym z atrybutów nieludzi – podjęłam. – Większość z nich, w tym Zee, nie może kłamać. Potrafią po mistrzowsku manipulować słowem, sprawiając, że rozmówca całkiem opacznie rozumie ich wypowiedzi, jednak nie mogą kłamać.

– Każdy może kłamać.

Uśmiechnęłam się cierpko.

– Nieludzie nie mogą. Nie wiem dlaczego. Są w stanie wyczyńnić z prawdą niebywale rzeczy, jednak kłamać nie mogą. Tak więc... – Westchnęłam ciężko. Usiłowałam wymyślić sposób na pominięcie roli Wujka Mike'a w tym wszystkim, ale niestety, nie dało się opowiedzieć reszty, nie wspominając o nim. Nie widziałam się z Zee od momentu jego aresztowania, można to było sprawdzić drogą oficjalną. Musiałam przekonać prawniczkę, że Zee jest naprawdę niewinny. – Nie rozmawiałam już później z Zee, więc nie wiem, jaka jest jego wersja wydarzeń...

– Nikt nie rozmawiał z Zee – wtrąciła. – Mam kontakty w policji i wiem, że od chwili zatrzymania nie odezwał się ani słowem. Mądre posunięcie, które pozwoliło mi najpierw porozmawiać z panią.

– Zee nie był sam. To ten drugi nieczłowiek powiedział mi, że Zee nie zabił O'Donnella. Poszli razem do domu strażnika i znaleźli ciało. Prawie w tej samej chwili nadjechały radiowozy. Ten drugi ukrył się przed policją.

– A Zee nie mógł zrobić tego samego?

– Nieludzie posiadają dar tworzenia iluzji, pozwalający im zmieniać wygląd. – Wzruszyłam ramionami. – Niektórzy potrafią nawet stać się niewidzialnymi dla postronnych oczu. Trzeba by go zapytać, choć wątpię, żeby odpowiedział. Myślę, że Zee zrobił to, aby policja nie zaczęła szukać zbyt dokładnie i nie nakryła jego towarzysza.

– Poświęcił się? – Może ktoś, kto nie wychował się pośród wilkołaków, nie dostrzegłby pogardliwego niedowierzania, z jakim

skwitowała moje słowa. Najwyraźniej uważała, że nieludzie nie są zdolni do poświęceń.

– Zee należy do nielicznych Pradawnych obdarzonych odpornością na metale. Jego przyjaciel nie. Większości nieludzi więzienie przysporzyłoby więcej cierpień, niż się wydaje.

Zastukała krawędzią notesu w blat.

– Reasumując, nieczłowiek, który nie jest w stanie kłamać, powiedział pani, że Zee jest niewinny. To nie przekona sądu.

– Miałam nadzieję, że przekona panią.

Uniosła brwi.

– To, co ja o tym myślę, panno Thompson, nie ma tu znaczenia.

Nie mam pojęcia, jaką zrobiłam minę, ale roześmiała się na jej widok.

– Prawnik ma bronić klienta, obojętne, winnego czy nie. Tak działa nasz system prawny.

– Ale on jest niewinny.

– Pani tak twierdzi. – Teraz ona wzruszyła ramionami. – Nawet jeśli przyjaciel pana Adelbertsmitera jest niezdolnym do kłamstwa nieczłowiekiem, to pani nie, prawda? Zresztą każdy jest niewinny, dopóki nie udowodni mu się winy. Jeśli to wszystko, co ma mi pani do powiedzenia, pójdę porozmawiać z panem Adelbertsmiterem.

– Może mi pani załatwić wejście do domu O'Donnella? – zapytałam. – Może udałoby mi się dowiedzieć czegoś o prawdziwym mordercy. – Dotknęłam nosa.

Zastanowiła się, po czym pokręciła głową.

– Wynajęła mnie pani do obrony pana Adelbertsmitera, ale mam też pewne zobowiązania wobec pani. Wyjawienie specyfiki pani natury, przynajmniej w tej chwili, nie leżałoby ani w pani interesie, ani w interesie pana Adelbertsmitera. Płaci pani za moje usługi, więc policja się panią zainteresuje. Mam nadzieję, że nie doszukają się niczego?

– Niczego szczególnego.

– Nikt nie wie, że potrafi się pani... przemieniać?

– Nikt, kto powiedziałby o tym policji.

Podniosła notatnik i odłożyła go z powrotem.

– Śledząc krajowe wiadomości, wiedziałyby pani, że wszczęto pewne prawne działania wobec wilkołaków.

Prawne działania. Więc tak to określano. Nieludzie, akceptując system rezerwatów, otworzyli drogę politykom, którzy przedstawili w Kongresie projekt ustawy sprzeciwiającej się przyznaniu wilkołakom pełnego obywatelstwa oraz idących za nim praw konstytucyjnych. Jak na ironię, akt ten miał stanowić poprawkę do ustawy o gatunkach chronionych.

– Jeśli możliwość przemiany w kojota wyjdzie na jaw, sąd może odrzucić pani zeznania, a to z kolei pociągnie za sobą inne konsekwencje prawne. – Pewnie, mogliby uznać mnie za zwierzę, nie człowieka. – Wszystko, co udałoby się pani odkryć, stanowiłoby słabe dowody, o ile w ogóle by je dopuszczono. Sąd nie będzie pokładał takiej wiary w pani możliwości jak Zee. Tym bardziej, jeśli na potwierdzenie wyjawi pani przynależność do innego gatunku, co w obecnej atmosferze w ogóle byłoby niebezpieczne. – Projekt ustawy o wilkołakach miał małe szanse na przegłosowanie, Bran posiadał na to za duże wpływy w Kongresie, jednakże ja nie byłam ani nieczłowiekiem, ani wilkołakiem, mogłam więc znaleźć się w całkiem innej sytuacji.

Ryan zasepłała się, nerwowo przesuwając notes.

– Musi pani wiedzieć, że należę do Stowarzyszenia Johna Laurena.

Spojrzałam na Kyle'a. Stowarzyszenie Johna Laurena było największą grupą skupiającą przeciwników nieludzi. Choć zachowywało fasadę przyzwoitości, chodziły słuchy, że wspomagało niewielką grupkę licealistów, którzy w minionym roku usiłowali wysadzić w Los Angeles znany bar należący do nieczłowieka. Na szczęście umiejętności młodych ludzi nie dorównywały sile przekonań, skończyło się zatem na niewielkich szkodach i kilku zaczadzonych turystach. Władze szybko schwytały sprawców, a w siedzibie młodocianych przestępców odkryto skład profesjonalnych materiałów wybuchowych. Dzieciaki zostały skazane, jednak tej większej, bogatej organizacji nie udało się postawić w stan oskarżenia.

Posiadałam dojrzenie do informacji niedostępnych władzom, wiedziałam więc, że Stowarzyszenie Johna Laurena ma za uszami dużo więcej, niż podejrzewało FBI.

Kyle znalazł mi prawnika, który nie tylko darzył nieludzi

niechęcią, ale także pragnął ich eliminacji.

Kyle poklepał mnie po ręce.

– Nie martw się, Jean nie pozwoli, by jej osobiste przekonania miały wpływ na profesjonalizm. – Uśmiechnął się. – Poza tym fakt, że w tej sprawie broniącym jest aktywny działacz ruchu antynieczłowieczego, działa na korzyść twojego przyjaciela.

– Nie robię tego z przekonania, że jest niewinny – zaznaczyła Ryan.

Kyle odwrócił się do niej, a jego uśmiech stał się drapieżny. Rzadko odkrywał się tak przed kimkolwiek.

– I możesz spokojnie powiedzieć to prasie, ławie oraz sędziemu, a oni i tak nie uwierzą, że jest winny, skoro właśnie ty podjęłaś się obrony.

Wyglądała na zbulwersowaną, lecz nie zaprzeczyła.

Usiłowałam wyobrazić sobie wykonywanie zawodu, przy którym własne przekonania stanowią niedogodność i należy je ignorować. Po chwili uznałam, że bez względu na różnicę w ilości zer na wypisywanych nam czekach, zdecydowanie wolę machać kluczem francuskim.

– Dobrze, w takim razie będę się trzymała z dala od śledztwa – skłamałam. W końcu nie byłam nieczłowiekiem. Czego oczy panny Ryan i policji nie widzą, tego ich sercom nie żal. Kojoty to szczone bestie, którym nieobcy jest podstęp, a ja nie zamierzałam pozostawić losu Zee wyłącznie w rękach tej kobiety.

Zamierzałam dowiedzieć się, kto zabił O'Donnella, i znaleźć sposób, aby udowodnić winę mordercy bez potrzeby opowiadania dwunastu obowiązkowym obywatelom, jak to wyczułam go nosem.



Po rozmowie, w drodze powrotnej, kupiłam kilka fastfoodowych burgerów z frytkami. Mój dom wyglądał zacnie, na tyle, na ile zacnie może wyglądać prefabrykowany bungalow z lat siedemdziesiątych. Przy nowym pokryciu ścian ganek wyglądał tandetnie, odświeżyłam go więc szarą farbą. Samuel sugerował upiększenie roślinami, ale nie lubię, jak cokolwiek, co żyje, niepotrzebnie się męczy, a nie mam ręki do kwiatów.

Samuelowego mercedesa nie było na zwykłym miejscu, co oznaczało, że mój współlokator nie wrócił jeszcze z Tumbleweed. Proponował, że pójdzie ze mną na spotkanie, podobnie jak Adam zresztą. W efekcie towarzyszył mi tylko Kyle, którego żaden z wilkołaków nie postrzegał jako rywala.

Gdy otworzyłam drzwi, owiał mnie zapach prażonki, na który mój żołądek zareagował aprobującym burczeniem.

Obok garnka, na blacie kuchennym, leżał liścik. Samuel uczył się pisać w czasach, zanim powszechność komputerów i maszyn do pisania wyparła ze szkół lekcje kaligrafii. Jego notki przypominały bardziej zaproszenia ślubne. Wprost trudno uwierzyć, żeby lekarz miał takie pismo.

Mercy – piękne zawijasy czyniły z każdej litery istne dzieło sztuki – przepraszam, że nie mogłem na ciebie poczekać. Obiecałem pomóc przy festiwalu i muszę zostać do końca koncertów. Zjedz coś.

Stosownie do instrukcji wyjęłam miskę. Byłam głodna, Samuel wybornie gotował, a do zmroku pozostało jeszcze kilka godzin.



Adres O'Donnella znalazłam w książce telefonicznej. Mieszkał w Kennewick, nieopodal Olympii, w niewielkim domu z zadbanym ogródkiem frontowym i białym płotem ogradzającym podwórko od tyłu. Te zbudowane z pustaków segmenty były niezwykle popularne w okolicy. Niedawno ktoś wiedziony mylnym przekonaniem uznał, że pomalowanie elewacji na niebiesko i zamontowanie okiennic złagodzi nijaki charakter budynku.

Przejechałam obok, zatrzymując spojrzenie na żółtej taśmie policyjnej umieszczonej na drzwiach tego oraz sąsiadujących po obu stronach domów.

Znalezienie odpowiedniego miejsca do zaparkowania zajęło mi trochę czasu. W takiej okolicy ludzie szybko zwracają uwagę na obce samochody. Wreszcie stanęłam na placyku przy pobliskim kościele.

Założyłam obrozę, na której widniał adres i numer telefonu Adama. Jedna wizyta w schronisku nauczyła mnie doceniać ten środek ostrożności. Nie przypominałam co prawda psa, ale

w mieście nie było krewkich rolników skłonnych strzelać do mnie bez sprawdzenia obroży.

Znalezienie miejsca do przemiany stanowiło nieco większe wyzwanie. Schronisko jeszcze bym zniosła, jednak nie zamierzałam dać się aresztować za publiczne obnażanie. W końcu trafiłam na pusty dom z tabliczką agencji nieruchomości na froncie i otwartą szopą na narzędzia w ogródku.

Stamtąd od celu dzieliło mnie kilka przecznic. Na szczęście ogrodzenie dobrze osłaniało podwórko O'Donnella, bo musiałam przemienić się z powrotem i wyjąć przyczepione do obroży wytrychy.

Pomyślnym zrzędzeniem losu lato nie spieszyło się z odejściem i noce były jeszcze ciepłe, bo trochę trwało, nim całkiem goła uporałam się wreszcie z zamkami. Samuel nauczył mnie posługiwać się wytrychem, gdy miałam czternaście lat. Od tamtej pory nie korzystałam z tej umiejętności zbyt często – ledwie kilka razy, gdy zatrzasnęłam kluczyki w samochodzie.

Zaraz po otwarciu drzwi umieściłam wytrychy z powrotem pod obrożą. Na szczęście porządna taśma klejąca nie straciła przyczepności.

Pralnia znajdowała się w korytarzu zaraz przy wejściu, a szczęśliwym trafem na suszarce leżał brudny ręcznik. Użyłam go do wytarcia drzwi, klamki, zamka i wszystkiego, czego dotykałam. Nie wiedziałam, czy można zidentyfikować też ślady bosych stóp, więc na wszelki wypadek przetałam też miejsca, gdzie stawałam, sięgając po ręcznik. Po skończeniu cofnęłam się na próg i rzuciłam gałgan z powrotem na suszarkę.

Drzwi przymknęłam, nie zatraskując ich jednak, po czym przybrałam znów postać kojota, kuląc się przed wzrokiem świadków, których nie było. Miałam całkowitą pewność, że nikt mnie nie widział. Łagodny powiew przyniósłby ze sobą zapach przyczajonego gdzieś człowieka. Mimo to nie opuszczało mnie wrażenie, że jestem obserwowana, zupełnie jakby dom był świadom mojej obecności. Nieprzyjemne uczucie.

Podkuliwszy niewygodnie ogon, skupiłam się na zadaniu, żeby jak najszybciej mieć je za sobą. Niestety, w przeciwieństwie do domów nie ludzi, ten kipiał od świeższych i dawniejszych

zapachów. Policja, technicy kryminalni, to oczywiste, jednak nawet wcześniej bywało tu wielu gości.

Nie przypuszczałam, że taki odpychający prostak jak O'Donnell mógł mieć aż tylu przyjaciół.

Wśliznęłam się do pierwszego pomieszczenia z brzegu, które okazało się kuchnią, i natłok zapachów z korytarza przerzedził się znacznie. Trzy, cztery słabe nuty plus O'Donnell i jakiś mężczyzna używający wyjątkowo kiepskiej wody kolońskiej.

Szafki były pootwierane, wysunięte szuflady prawie wisiały na końcach prowadnic. Na blacie leżała sterta ścierek.

Może Pan Koloński przeszukiwał dom w ramach śledztwa? No, chyba że O'Donnell był typem trzymającym naczynia w nieporządnym piramidach tylko po jednej stronie półek, a środki czystości na podłodze przy otwartej, ziejącej pustką szafce pod zlewem.

W nikłej poświacie księżycy ciemniał czarny proszek, pokrywający płaszczyzny drzwiczek i blatów. Doszłam do wniosku, że to substancja, za pomocą której policja wyodrębnia odciski palców – telewizja jest świetnym narzędziem edukacyjnym, a w dodatku Samuel był uzależniony od tych tasiemcowych seriali o technikach kryminalnych.

Przesunęłam wzrokiem po podłodze, lecz nie dostrzegłam niczego ciekawego. Niewykluczone, że przesadziłam z tym wycieraniem śladów stóp na linoleum.

Pierwszy pokój, znajdujący się naprzeciwko kuchni, był niewątpliwie sypialnią O'Donnella. Osoby bywające w kuchni gościły i tutaj, włącznie z Panem Kolońskim.

To pomieszczenie też ktoś przeszukiwał w pośpiechu. Zawartość szuflad wyrzucono na łóżko, a komodę przewalono na bok. Każdą kieszeń spodni wywleczono na lewą stronę.

Zastanawiałam się, czy policja zostawiłaby po sobie taki bałagan.

Wycofawszy się do korytarza, ruszyłam do kolejnego pokoju. Na podłodze królowały trzy wywrócone do góry nogami stoliki karciane. Rozbite szyby w oknie zaklejono taśmą policyjną. Ktoś, kto narobił takich szkód, musiał być wściekły i stawiałam, że nie należał do szeregow policyjnych.

Lawirując między odłamkami szkła, podeszłam do okna. Należało

do tych nowoczesnych, plastikowych, z podnoszoną dolną częścią. Cokolwiek w nie uderzyło, prawie wypchnęło ramę ze ściany.

Jednak już wcześniej wiedziałam, że sprawca dysponował wielką siłą. Koniec końców oderwał ofierze głowę.

Porzuciłam okno na rzecz sprawdzenia reszty pokoju. Mimo panującego tu bałaganu w rzeczywistości nie było co oglądać – trzy stoliki, jedenaście składanych krzeseł... Spojrzałam znowu na okno, dochodząc do wniosku, że jedno z nich, ciśnięte z wielką siłą, mogłoby uczynić takie szkody.

W kącie, pod sporym wgnieceniem w ścianie, leżało dziwnie znajome metalowe urządzenie. Przyjrzawszy się bliżej, odkryłam, że to stara frankownica. Ktoś z jej pomocą wysyłał stąd masowo korespondencję.

Zniżyłam nos, koncentrując się na tym, co mi przekazywał. Pomieszczenie to odwiedzało wiele osób, więcej niż kuchnię czy sypialnię. Zapachy tłoczyły się tutaj tak samo, jak w korytarzu i przy tylnym wejściu.

Większość domów posiada charakterystyczny zapach, na który składa się wiele czynników, na przykład aromaty używanych środków czystości lub brak powyższych czy woń ciał mieszkających w nim ludzi. Ten pokój pachniał inaczej niż pozostałe. Bywało w nim – powiodłam wzrokiem po krzesłach – dziesięć, może dwanaście osób, i to na tyle często, by zostawić po sobie trwałe ślady.

Świetnie, pomyślałam. Biorąc pod uwagę sposób, w jaki potraktował mnie O'Donnell, każdy z jego znajomków mógł chcieć go zabić. Jednakże – spojrzałam znów na okno – wśród gości nie zidentyfikowałam żadnego nieczłowieka czy innego legendarnego stworzenia, zaś zwykły człowiek nie zdemolowałby w ten sposób futryny ani tym bardziej nie oderwałby O'Donnellowi głowy.

Mimo wszystko zapamiętałam wszystkie zapachy stałych gości.

Skończywszy obwąchiwanie pomieszczenia, postanowiłam przejść do pokoju, który zostawiłam sobie na koniec z dwóch powodów. Po pierwsze, jeśli istniała groźba, że ktoś mnie zobaczy, to właśnie przez wielkie, wychodzące na ulicę okno salonu. Po drugie, nawet ludzki nos mógł bez trudu powiedzieć, że właśnie tam zabito O'Donnella, a ja miałam serdecznie dość rzezi i odoru krwi.

Myszę, że bardziej strach przed tym, co tam zastanę, skłonił mnie do ponownego odwiedzenia sypialni, bo na pewno nie przecucie, że coś pominęłam.

Kojot, a przynajmniej ja, ma nie więcej niż pół metra w kłębie. Prawdopodobnie dlatego nie spojrzałam wcześniej na wiszące w sypialni obrazy. Na pierwszy rzut oka wydały mi się plakatami. Do tego wniosku przystawał rozmiar, kształt, tanie czarne ramy oraz pleksi. Poza tym panował tu większy mrok niż w rozjaśnionej księżycem kuchni. Jednak, stojąc w drzwiach, miałam lepszy widok na ściany.

Rzeczywiście, były to plakaty, i to wyjątkowo ciekawe jak na pracownika ochrony zatrudnionego przez ASN.

Pierwszy przedstawiał odziane w niedzielną sukieneczkę dziecko. Dziewczynka miała jasne, kręcone włosy, okrągłą buzię, zadarty nos i różowe usteczka. Siedziała w ogrodzie na marmurowej ławce i spoglądała na trzymany w ręku kwiat. Nad zdjęciem widniał wytłuszczony napis „Strzeż dzieci”. Pod spodem mniejszy informował o spotkaniu inicjatywy obywatelskiej Świetlana Przyszłość, mającym odbyć się osiemnastego listopada, przed dwoma laty.

Podobnie jak Stowarzyszenie Johna Laurena, Świetlana Przyszłość również głosiła hasła antynieczołowiecze. Zrzeszenie to jednak było mniejsze i osadzone w nieco innej klasie społecznej. Członkowie SJJ, jak Ryan, wywodzili się z warstw bogatej inteligencji. Poparcie finansowe zdobywali, organizując bankiety i turnieje golfowe. Świetlana Przyszłość natomiast działała na bazie tradycyjnych pikników z namiotami, na których sympatycy bawili się, wysłuchiwali przemówień, po czym wrzucali pieniądze do puszczonego w obieg kapelusza.

Pozostałe afisze wyglądały podobnie, różniły się jedynie datami. Trzy z nich zaprojektowano na zloty w Tri-Cities, jeden na spotkanie w Spokane. Plakaty skomponowano profesjonalnie i wydrukowano na błyszczącym papierze.

Szablony, domyśliłam się, drukowane były w siedzibie głównej bez dat i miejsc, które później w miarę potrzeb nanoszono dermatografem.

Dom O'Donnella musiał być jedną z kwater organizacji. Stąd

maszyna do masowej wysyłki korespondencji oraz tylu przychodzących.

Zamyślona, powędrowałam do salonu. Ostatnio widziałam chyba zbyt wiele krwi, bo to nie ona, choć rozbryzgana w wielkiej ilości i z rozmachem, była pierwszą rzeczą, jaka uderzyła mnie po wejściu.

Moją uwagę od razu przyciągnęła znajoma woń, przesączająca się spod odoru krwi i śmierci, zupełnie niepasująca do tego miejsca. Coś, co pachniało podobnie jak las w domu nieczłowieka. Zaraz potem zdałam sobie sprawę, że cokolwiek to jest, posiada ogromny ładunek magii.

Znalezienie źródła okazało się jednak bardziej problematyczne. Miałam wrażenie, jakby bawiło się z moim nosem w ciepło-zimno, dając mi znaki intensywnością natężenia magii. Wreszcie zatrzymałam się przy solidnej, szarej lasce, wetkniętej w kąt za drzwiami razem z inną, dłuższą, misternie rzeźbioną i pachnącą zwykłym tworzywem sztucznym.

Na pierwszy rzut oka podpora niczym się nie wyróżniała, choć na pewno była stara. Po chwili zdałam sobie sprawę, że rączkę wykonano nie ze stali, a ze srebra i że widnieje na niej słabo widoczny grawer. Niestety, w pokoju panował mrok, a nawet ja nie widziałam tak dobrze, żeby rozróżnić szczegóły.

Przedmiot ten mógł mieć równie dobrze wymalowany fluorescencyjną farbą napis „Ważny Trop”. Przez chwilę intensywnie rozważałam zabranie laski, ale doszłam do wniosku, że skoro przetrwała rewizję mordercy i policji, raczej nikt jej stąd nie wyniesie.

Podporę otulał aromat dymu drzewnego oraz tytoniu fajkowego. Uznałam, że O'Donnell wykradł ją z domu leśnego nieczłowieka.

Zostawiwszy laskę w spokoju, wróciłam do przeszukiwania reszty salonu.

Wzdłuż ścian ciągnęły się wbudowane regały, wypełnione głównie płytami DVD oraz kasetami video. Jeden przeznaczono na kolorowe gazety, które mężczyźni czytali „dla ciekawych artykułów”, po czym spierali się na temat różnic między artyzmem i pornografią. Sądząc po zdjęciach na okładkach, magazyny z dolnej półki w ogóle zarzuciły pretensje do jakiegokolwiek artyzmu.

Inny regał posiadał w dolnej części drzwiczki. Górne półki

pozostawały prawie puste, jeśli nie liczyć kilku... kamieni. Rozpoznałam sporą drużę ametystową i wyjątkowo piękny okaz kwarcu. O'Donnell kolekcjonował minerały.

Na odtwarzaczu DVD leżało otwarte pudełko filmu „Nasz cudowny samochodzik”. Jakim cudem ktoś taki jak O'Donnell mógł być fanem Dicka Van Dyke'a? W głowie mignęła mi myśl, czy O'Donnell zdążył przed śmiercią obejrzeć film.

Prawdopodobnie właśnie ten moment zadumy sprawił, że usłyszałam skrzypienie desek podłogowych uginających się pod stopami nieżyjącego mieszkańca tego domu.

Także inni ludzie, ci całkiem ludzcy ludzie, widują duchy. Może nie tak często i nie w świetle dnia, ale jednak. Ponieważ na miejscach zbrodni w rezerwacie nie pojawiły się żadne duchy, założyłam podświadomie, że i tu ich nie będzie. Nic bardziej mylnego.

Do pokoju wsnuł się cień O'Donnella. Podobnie jak w przypadku wielu duchów i on nabierał ostrości, w miarę jak się na nim skupiałam. Dostrzegałam szwy na niebieskich dżinsach, ale jego twarz stanowiła zamazaną plamę.

Zaskomliłam, lecz minął mnie, nie zaszczycając spojrzeniem.

Tylko niewielka część duchów potrafi nawiązać kontakt z żyjącymi w takiej formie, jak przed śmiercią. Nie zdawałam sobie sprawy, że rozmawiam z duchami, dopóki nie przyłapała mnie na tym mama, pytając, do kogo mówię.

Inne duchy z kolei powtarzają czynności, do których nawykły za życia. Czasem także reagują, ale zwykle nie da się z nimi prowadzić dialogu. Nieopodal miejsca, gdzie się wychowałam, pewien duch rolnika co rano wychodził, by nakarmić krowy, które pozdychały pół wieku wcześniej. Czasami zauważał mnie i machał ręką lub witał skinieniem głowy, zupełnie jak człowiek pozdrawiający przechodnia. Kiedy jednak próbowałam go zagadnąć, nie przestawał wykonywać swojej pracy, jakbym dla niego nie istniała.

Trzecią grupę stanowią te zrodzone w tragicznych okolicznościach. Przeżywają własną śmierć, dopóki całkiem nie znikną. Czasem trwa to kilka dni, w innych wypadkach mogą powtarzać scenę nawet przez całe wieki.

O'Donnell nie widział mnie, mimo że stałam przed jego nosem, nie należał więc do tej pierwszej, przydatnej kategorii duchów.

Mogłam jedynie obserwować, jak podchodzi do regału z kamieniami i dotyka czegoś na górnej półce. Przedmiot stuknął o półkę z płyty wiórowej. O'Donnell stał przez chwilę, całkowicie skupiony na obiekcie, muskając go palcami.

Poczułam rozczarowanie. Jeśli powtarzał tylko czynność, którą wykonywał co dnia, niczego ciekawego się nie dowiem.

Naraz jednak drgnął, jakby zaalarmowany dźwiękiem, którego ja nie słyszałam, po czym ruszył szybko do drzwi. Usłyszałam skrzypienie zawiasów, choć prawdziwe skrzydło, wyraźniejsze od zjawy, ani drgnęło.

Wyglądało na to, że O'Donnell nie jest duchem „nawykowym”. Usiadłam wygodniej, gotowa na oglądanie sceny zabójstwa.

Na pewno znał swojego gościa. Traktował go ze zniecierpliwieniem, lecz po krótkiej rozmowie cofnął się, wpuszczając przybysza do środka. Nie wi działam tego drugiego – nie był martwy – podobnie jak nie słyszałam nic poza stukotem i skrzypieniem desek, odgłosami będącymi echem rozgrywających się tu wydarzeń.

Obserwując zachowanie O'Donnella, domyśliłam się, że morderca podszedł wprost do regału. Mowa ciała gospodarza wskazywała na rosnącą wobec przybysza wrogość. Jego pierś zaczęła unosić się gwałtownie, uczynił też porywczy gest ręką, po czym ruszył agresywnie w stronę intruza.

Naraz coś chwyciło go za ramię i gardło. Nieomal widziałam kształt dłoni na bladej skórze O'Donnella. Wyglądała na ludzką. Zanim jednak zdołałam lepiej się przyjrzeć, atakujący dowiódł, że nie ma w nim krzty człowieczeństwa.

Wszystko potoczyło się niewiarygodnie szybko. W jednej chwili O'Donnell był cały i żywy, a w następnej jego ciało podrygiwało i wiło się na podłodze, zaś głowa toczyła się w podskokach, lądując tuż pod moimi łapami. Tym razem ujrzałam twarz O'Donnella wyraźnie. Oczy zachodziły mgłą, lecz usta poruszały się, formując słowo, któremu brakło mocy tchu. Na obliczu dominował nie strach, a gniew, jakby ofiara nie zdążyła sobie uświadomić, co się stało.

Nie jestem mistrzem w czytaniu z ruchu warg, ale w tym

wypadku odniosłam sukces.

„Moje”.

Drżałam jeszcze przez kilka minut po odejściu zjawy O'Donnella. Nie była to pierwsza śmierć, jaką widziałam – morderstwo to jedna z najczęstszych przyczyn narodzin ducha. Raz nawet sama odciąłam komuś głowę – to najlepszy sposób na zabicie wampira. Nie zrobiłam tego jednak w tak brutalny sposób, choćby dlatego, że nie miałam tyle siły, by ją oderwać.

Wreszcie otrząsnęłam się, przypominając sobie, że mam sporo do zrobienia, a w każdej chwili ktoś mógł zorientować się, że po miejscu zbrodni biega sobie kojot. Przytknęłam nos do dywanu, ciekawa, czego mogę się dowiedzieć.

Wyodrębnienie jakiegokolwiek zapachu z przesiąkniętych krwią O'Donnella tkanin i ścian okazało się nie lada wyzwaniem. W rogu pokoju złowiłam słaby ślad należący do Wujka Mike'a, ale ulotnił się tak szybko, że mimo ponownego, dłuższego obwąchiwania nie zdołałam go znowu wychwycić. Pan Koloński także przebywał w salonie, podobnie jak gospodarz, Zee oraz Tony. Dopiero w tym momencie zdałam sobie sprawę, że Tony był wśród policjantów dokonujących aresztowania. Ktoś zwymiotował przy drzwiach frontowych, ale świadczył o tym tylko odór, gdyż miejsce dokładnie wytarto.

Poza tym panował tu ruch zapachowy, jak w centrum handlowym. Kręciło się zbyt wiele osób, by cokolwiek wywnioskować. Mogłabym wyniuchać konkretny ślad, ale rozróżnić wszystkie... Raczej niemożliwe.

Poddałam się, wracając do kąta, gdzie wcześniej wyczułam obecność Wujka Mike'a. Chciałam sprawdzić, czy uda mi się wychwycić woń jeszcze raz lub przynajmniej odkryć, jakim sposobem udało mu się zostawić tak nikły trop.

Nie wiem, jak długo myszkowałam w tym miejscu, nim podniósłszy głowę, ujrzałam kruka.



Rozdział 5

Obserwował mnie, siedząc na progu, zupełnie jakby przypadkiem wleciał przez uchylone drzwi. Mimo powszechnego przekonania oraz koloru kruki nie są zwierzętami nocnymi. Już samo to nasunęło mi myśl, że jest w tym ptaku coś osobliwego.

Jednak nie była to jedyna rzecz, jaka mnie tknęła. Ani też pierwsza.

Dopiero gdy jego pióra zalśniły srebrną poświatą, dotarł do mnie zapach – zupełnie, jakby zwierzę pojawiło się dopiero w tym momencie.

Woń kruków, podobnie jak wron czy srok, w których diecie dominuje padlina, jest ostra, ciężka. Tego otaczał świeży aromat deszczu, lasu i żyznej, wiosennej ziemi ogrodowej. Poza tym uwagę zwracały jego rozmiary.

W Tri-Cities widywałam wyjątkowo duże okazy, ale nigdy aż takie. Ten był większy ode mnie – kojota, gabarytami bez mała dorównywał orłowi przedniemu.

Ponadto każdy włoszek sierści stanął mi dęba w odpowiedzi na falę magii, która zalała salon.

Mój gwałtowny sus naprzód sprawił, że ptak przekrzywił łeb, a upierzenie odbiło sączący się przez okno nikły blask. W jednym miejscu pióra były białe, jakby miał na głowie zlepek śnieżnych płatków. Ale najbardziej przyciągały uwagę oczy – krwistoczerwone niczym u królika albinosa, niesamowicie lśniące, skierowane w moją stronę i patrzące na wskroś wzrokiem ślepca.

Pierwszy raz w życiu bałam się odwrócić spojrzenie. Wilkołaki przywiązują ogromną wagę do kontaktu wzrokowego, a ja beztrudnie wykorzystywałam ich zasady na swoją korzyść. Nigdy nie miałam kłopotu ze spuszczeniem oczu na znak uznania czyjejs wyższości, i tak postępując później wedle własnego widzimisie. Przyjęte wśród wilkołaków tradycje wymagały jednorazowego

uznania dominacji, po którym zwyczaj pozwalał dominującemu wilkowi trzepnąć mnie co najwyżej w ucho... podczas gdy ja z kolei mogłam albo to zignorować, albo kombinować, jak mu dopiec w odwecie.

Tyle że teraz nie miałam przed sobą wilkołaka i paraliżowało mnie przekonanie, że jeśli choć drgnę, stworzenie zmiecie mnie jednym ruchem, mimo iż nie wysyłałam żadnych sygnałów znamionujących agresję.

Ufam swojemu instynktowi, zastygłam więc w bezruchu.

Ptaszysko rozwarło dziób, kracząc głucho. Odgłos przypominał klekot kości potrząsanych w drewnianym pudełku. Potem kruk przestał zwracać na mnie uwagę. Podreptał do pokoju, trącił szarą łaskę, a kiedy upadła na podłogę, pochwycił ją i, ignorując mnie zupełnie, wyleciał przez ścianę.



Kwadrans później siedziałam już w ludzkiej postaci za kierownicą, mając połowę drogi do domu za sobą.

Jako że sama należałam do istot posiadających nadprzyrodzone właściwości, a w dodatku zostałam wychowana przez wilkołaki, żywiłam przekonanie, że widziałam już wszystko – wiedźmy, wampiry, duchy i pół tuzina innych stworzeń, które w zasadzie nie miały prawa istnieć. Ten kruk był jak najbardziej realny, materialny jak ja – przy każdym oddechu jego klatka piersiowa unosiła się i opadała. Szara łaska także należała do przedmiotów namacalnych, dotykałam jej przecież.

Jednakże po raz pierwszy zdarzyło mi się widzieć na własne oczy, wyłączając komputerowe efekty specjalne i sztuczki Davida Copperfielda, jak jedna materia przechodzi przez inną.

Magia nie działa w taki sposób jak w „Czarodziejkach” czy „Sabrinie, nastoletniej czarownicy”. Jeśli ptak stałby się przeźroczysty albo niematerialny, albo zmienił w inny sposób, uznałabym jego spektakularne wyjście za magię.

Zaczęłam się zastanawiać, choć wydawało mi się to mało prawdopodobne, czy podobnie jak reszta świata nie akceptuję przypadkiem istnienia legendarnych istot tylko na jednej

płaszczyźnie, wtlaczając je w ramy czegoś zwyczajnego, rządzonego powszechnie przyjętymi, zrozumiałymi zasadami.

A przecież właśnie ja powinnam wykazać się większą otwartością. W końcu zdawałam sobie sprawę, że publiczna wiedza o wilkołakach stanowi jedynie czubek paskudnej góry lodowej. Znałam nie ludzi, przynajmniej na tyle, by mieć świadomość, że są jeszcze bardziej skryci niż wilkołaki. Mimo iż przyjaźniłam się z Zee już dziesięć lat, mało wiedziałam o nim jako stworzeniu mitycznym. Moje informacje na jego temat ograniczały się do tych o Steelersach – ulubionej drużynie futbolowej, o człowieczej żonie, która zmarła na raka na krótko przed tym, jak się poznaliśmy, o tym, że jada frytki z sosem tatarskim, ale nie miałam zielonego pojęcia, jak naprawdę wygląda.

Kiedy dojechałam, w domu paliły się światła, a obok samochodu Samuela stał obcy ford explorer. Wracając, miałam nadzieję, że zastanę już Samuela, którego będę mogła wykorzystać w roli interaktywnego ekranu do projekcji rozważań, lecz obecność nieznanego SUV-a niweczyła moje plany.

Skrzywiłam się do samochodu. Druga w nocy to osobliwa pora na odwiedziny. Przynajmniej dla ludzi.

Wciągnęłam powietrze nosem, jednak nie wyczułam woni wampira – ani niczego innego. Aromat powietrza też wydawał się dziwnie przytłumiony. Zrzuciłam to na karb niedawnej przemiany. Nawet w ludzkiej formie mój nos był wrażliwszy niż u przeciętnego człowieka, ale nie tak wyczulony jak u kojota, dlatego powrót do dwunożnej postaci przypominał trochę zdjęcie aparatu słuchowego. Ale mimo to...

Wampiry umiały ukryć przede mną swój zapach, jeśli tego chciały.

Zadrzałam, choć noc była ciepła. Pewnie stałabym tak do rana, gdyby nie dobiegł mnie dźwięk gitary. Nie wyobrażałam sobie Samuela grającego dla Marsilii, Pani wampirzej chmary, wspięłam się więc po schodkach i weszłam do domu.

Na wyściełanym fotelu, którym Samuel zastąpił mój wygrzebany na pchlim targu stary grat, siedział Wujek Mike. Wilkołak pólleżał na sofie, rozciągnięty niczym rozleniwiona puma. Jakby od niechcienia przebierał palcami po strunach gitary. Robił

wrażenie całkiem rozluźnionego, jednak za dobrze go znałam, żeby dać zwieść się pozorom. Jedynym stworzeniem w pomieszczeniu, które aktualnie doświadczało prawdziwego błogostanu, była leżąca na oparciu sofy, rozmruczana kotka.

– W kuchni jest wrzątek – rzucił Samuel, nie spuszczać wzroku z Wujka Mike’a. – Zrób sobie kakao, a potem przyjdź i opowiedz nam o Zee, który kazał ci wywęszyć seryjnego mordercę, żebyś go później zabić. Będziesz mogła również wyjaśnić, co też takiego robiłaś do tej pory, że na kilometr woniejesz krwią i magią.

Taa... Samuel był wściekły na Wujka Mike’a.

Przejrzałam szafki, znajdując w końcu puszkę kakao. Nie brązowego, sztucznego ulepka, a prawdziwego, gorzkiego, z dodatkiem odrobiny papryczki jalapeño. Nie musiałam tak naprawdę pocieszać się w tej chwili aromatycznym napojem, ale jego przygotowanie dawało mi czas na zastanowienie się, w jaki sposób rozwiązać sprawę pokojowo. Prawdziwe kakao nie może obejść się bez mleka, wyjęłam więc rondelki i zabrałam się do podgrzewania.

Idąc na spotkanie, powiedziałam Samuelowi i reszcie tylko to, że Zee jest w więzieniu i potrzebuje prawnika. Najwyraźniej ktoś podczas mojej nieobecności przybliżył im szczegóły. I z pewnością nie był to Wujek Mike.

Prawdopodobnie także nie Warren, któremu co prawda Kyle, za moim przyzwoleniem, zdał relację z rozmowy z panną Ryan, ale który potrafił trzymać język za zębami.

Ach. Przecież Warren nie zachowałby tego w tajemnicy przed swoim Alfą, Adamem, który z kolei nie wahałby się opowiedzieć wszystkiego Samuelowi.

To właśnie kłopot z sekretami. Wystarczy zdradzić go jednej osobie i nagle wszyscy o nim wiedzą. Z drugiej strony, gdybym zaginęła, wolałabym móc liczyć na to, że wilkołaki zaczną mnie szukać. Miałam nadzieję, że nieludzie, w osobie Wujka Mike’a, wezmą to pod uwagę i jednak nie zaginę bez wieści. Jeśli Szarzy Panowie byli skłonni sfingować samobójstwo Zee, nie zawahaliby się zaaranżować czegoś podobnego w moim przypadku. Świadomość, że wataha wie, co robię, mogłaby pokrzyżować im szyki.

Szklanka mleka nie wymaga długiego podgrzewania. Przełałam je do kubka, spróbowałam słodko-gorzkiego, pikantnego napoju, po czym wróciłam do saloniku. Kuchenne rozważania skierowały moje kroki w stronę sofy. Usiadłam przezornie daleko od Samuela, nie chcąc, by wybór miejsca sugerował obranie strony w sporze, od którego atmosfera wrzała niczym ciemna tafla Loch Ness tuż przed wynurzeniem się potwora. Nie życzyłam sobie żadnych potworów w salonie. Potwory oznaczały kosztowne naprawy i usuwanie plam z krwi. Dorastanie pomiędzy wilkołakami aż nadto wyczuliło mnie na wszelkie próby sił oraz znaczenie gestów.

W przypadku innego wilkołaka okazanie poparcia mogłoby obniżyć poziom agresji o kilka stopni, ponieważ czułby się on pewniejszy siebie. Samuel nie potrzebował dowartościowania. Potrzebował sygnału, że bez względu na jego zdanie, całkowicie popieram decyzję Wujka Mike'a o włączeniu mnie w sprawę morderstw.

– Znalazłam Zee dobrego prawnika – poinformowałam Wujka Mike'a.

– Jest członkiem Stowarzyszenia Johna Laurena. – Oko w oko Wujek Mike był bardziej sobą, niż gdy rozmawiałam z nim przez telefon. To oznaczało pełne wcielenie się w rolę „wesolutkiego karczmarza”. Z tego też powodu nie potrafiłam wyczuć, czy akceptuje mój wybór prawnika, czy też nie.

– Kyle... – Ugryzłam się w język i zaczęłam inaczej. – Jeden z moich przyjaciół jest najlepszym prawnikiem rozwodowym w mieście. Zadzwońłam do niego, a on polecił mi Jean Ryan ze Spokane. Powiedział, że ta kobieta to prawdziwa lwica na sali sądowej, a jej członkostwo w antyniecłowieczej organizacji działa na naszą korzyść. Wszyscy pomyślą, że skoro wzięła sprawę Zee, jest całkowicie przekonana o jego niewinności.

– A jest tak? Naprawdę wierzy, że jest niewinny?

– Nie wiem. – Wzruszyłam ramionami. – Ale i ona, i Kyle twierdzą, że to nie ma znaczenia. Zrobiłam, co w mojej mocy, żeby ją przekonać. – Łyknęłam kakao i przekazałam wszystko, co Ryan mi powiedziała, łącznie z tym, że mam nie wtykać nosa w śledztwo.

Przy tych ostatnich słowach Samuel wykrzywił się w uśmiešku.

– No to ile odczekałaś z wizytą w domu O'Donnella?

– No wiesz? – oburzyłam się szczerze. – Chyba nie sądzisz, że poszłabym przed zmrokiem? Za dnia od razu miałabym hycła na głowie, obojętne, z obrożą czy bez. Nie mogłabym prowadzić dochodzenia ze schroniska, a tego lata zaliczyłam tam już jedną wizytę. – Zerknęłam na Wujka Mike’a, rozważając, jak skłonić go do wyjawienia potrzebnych mi informacji. – Wiedziałeś, że O’Donnell jest członkiem ruchu obywatelskiego Światłana Przyszłość?

Wyprostował się gwałtownie.

– Nie sądziłem, że jest tak głupi. Gdyby ASN się o tym dowiedziało, straciłby pracę.

Nie uszło mojej uwagi, że nie zaprzeczył.

– Chyba nie bardzo się z tym krył – stwierdziłam. – W jednym z pokojów poobwieszał ściany ich plakatami.

– ASN nie ma w zwyczaju przeszukiwać domów swoich pracowników. W dodatku znów obcięli im fundusze, ze względu na ten bajzel na Bliskim Wschodzie. – Sądząc z tonu, Wujek Mike nie był szczególnie przybity kłopotami finansowymi ASN.

Potarłam dłońmi twarz.

– Nie odkryłam w jego domu nic pomocnego, liczyłam na więcej. Żaden z zapachów nie pokrywał się z tymi z rezerwatu, z wyjątkiem oczywiście O’Donnella. Wygląda na to, że działał sam. – Chyba że pomagał mu Pan Koloński. Chociaż nie umiałam dociec, dlaczego miałyby pryskać się perfumami przed zabiciem O’Donnella, natomiast przed zaatakowaniem nie ludzi już nie. Przecież nie mógł zakładać, że nie ludzie będą szukać sprawcy z pomocą jakiegoś wilkołaka czy kogoś takiego jak ja.

– Czyli nie znalazłaś tam nic ciekawego? – głos Samuela był tylko odrobinę ostrzejszy od harfianych dźwięków delikatnie szarpanych strun. Pomyślałam, że jeśli nie przestanie tak brzdąkać, grozi mi zaśnięcie w pół słowa. – Skąd w takim razie ten zapach krwi i magii?

– Nie powiedziałam, że nie znalazłam niczego ciekawego. Krew to przez to, że cały salon O’Donnella był w niej skąpany.

Wujek Mike skrzywił się lekko, co uznałam za czystą obłudę. Może i spośród nieśmiertelnych najlepiej znałam wilkołaki, ale nie ludzie także nie należeli do łagodnych, wrażliwych istot. Uwięzienie Zee mogło wyprowadzić go z równowagi, krew i rzeź –

nigdy.

– A magia... – Wzruszyłam ramionami. – To mogły być różne rzeczy. Widziałam na przykład przebieg samego morderstwa.

– Dzięki magii? – zdziwił się Wujek Mike. – Nie wiedziałem, że posiadasz moce wizjonerskie. Myślałem, że magia się ciebie nie ima.

– Byłoby cudownie – mruknęłam. – Ale nie, poddaję się magii, tyle że częściowo jestem na nią odporna. Zwykle na takiej zasadzie, że im słabsza magia, tym większe szanse, że nie zadziała. Na prawdziwie potężną moc nie ma to wpływu.

– Ona widzi duchy – oświadczył Samuel zniecierpliwiony moim paplaniem.

– Widzę martwych ludzi – wyszeptałam dziecinnym głosem. Zaskakujące, ale Wujek Mike się roześmiał. Nie sądziłam, że jest kinomanem.

– I co? Duchy ci coś powiedziały?

Potrząsnęłam głową.

– Widziałam retrospekcję zabójstwa, rodzaj jednostronnej pantomimy z O'Donnellem jako jedynym aktorem. Wywnioskowałam, że morderca czegoś szukał. Czy O'Donnell ukradł coś jakiemuś Pradawnemu?

Twarz Wujka Mike'a zastygła w kamienną maskę, dzięki czemu nabrałam przekonania co do dwóch kwestii. Po pierwsze, że odpowiedź na moje pytanie jest twierdząca, i po drugie, że Wujek Mike nie zamierza powiedzieć mi, o jaki przedmiot chodzi.

– A tak na marginesie – podjęłam, nie czekając, aż się odezwie. – Ilu jest nie ludzi zdolnych przyjąć formę kruka?

– Tutaj? – Wujek Mike wzruszył ramionami. – Pięcioro, może sześćoro.

– W domu O'Donnella pojawił się kruk, który na kilometr śmierdział prastarą magią.

Wujek Mike zaśmiał się chrapliwie.

– Jeśli sugerujesz, że wysłałem kogoś do tego domu, to się mylisz. Jeśli podejrzewasz, że któryś z tych nie ludzi zabił strażnika, znów się mylisz. Żaden z przyjmujących kształt kruka nie ludzi nie miałby tyle siły, żeby oderwać komuś głowę.

– A Zee? – Czasami działanie z zaskoczenia przynosi dobre efekty. Uniósł brwi i odpowiedział z wyraźniejszym akcentem.

– On tak, ale skąd to pytanie? Przecież powiedziałem ci, że Zee tego nie zrobił.

– Wiem, że tego nie zrobił – przyznałam. – Jednak policyjny ekspert orzekła, że miał do tego warunki. Podejrzewam, że ona nie ma pojęcia, o czym mówi, a jeśli miałabym na to dowody, mogłabym pomóc Zee.

Wujek Mike nabrał tchu i przekrzywił głowę.

– Kiedyś, dawno, dawno temu, Mroczny Kowal z Drontheim posiadał warunki, aby zrobić coś takiego. Wieki panowania zimnej stali i chrześcijaństwa sprawiły, że większość z nas straciła część mocy, którą niegdyś posiadaliśmy. Zee nie należy do tej większości. Może mógłby to uczynić i teraz, a może i nie.

Już wcześniej wspominał o Mrocznym Kowalu z Drontheim. Kiedyś poszukiwanie wzmianek na temat przeszłości Zee stało się moim konikiem. W obecnej sytuacji ten drogocenny okruch informacji miał posmak popiołu. Nad Zee wisiało teraz widmo śmierci, wobec której to, kim był kiedyś, traciło znaczenie.

– Ilu z niełudzi zamieszkujących rezerwat – po namyśle rozszerzyłam teren – oraz rejon Tri-Cities mogłoby zabić w ten sposób?

– Kilkoro – odparł Wujek Mike bez zastanowienia. – Rozmyślałem nad tym przez cały dzień. Na pewno jeden z ogrów, choć prędeży założę habit, niż odgadnę, jaki mógłby mieć powód. Poza tym nie ma takiej siły, która powstrzymałaby ogra przed skonsumowaniem swojej ofiary. Faktem jest, że ogry nie darzyły szczególną sympatią żadnego z zamordowanych, a w zasadzie w ogóle żadnego z mieszkańców rezerwatu, może z wyjątkiem Zee. Kilkoro innych kiedyś spełniałoby kryteria, lecz większość nie oparła się próbie czasu tak dobrze jak Zee.

Przypomniałam sobie o spotkaniu na plaży.

– A to stworzenie z domu selkie... – Popatrzyłam na Samuela i ugryzłam się w język. Tamten ocean był ściśle chronioną tajemnicą, która raczej nie miała wpływu na los Zee. Nie powinnam wspominać o tym w obecności Samuela, ale stało się.

– Jakie stworzenie? – Pytanie Samuela, łagodne w wymowie, zagłuszył potok krańcowo odmiennych słów z ust Wujka Mike'a.

Poczułam lęk Wujka Mike'a, równie gwałtowny i ostry, jak jego

wypowiedź. Strach nie był uczuciem, które z nim kojarzyłam.

Obrzucił salonik szybkim, uważnym spojrzeniem i zaczął mówić nerwowym szeptem:

– Nie wiem, jakim cudem w ogóle do tego doszło, ale z gadania o tym nic dobrego nie wyniknie. Owszem, ten, którego spotkałaś, mógłby w ten sposób zabić, ale od wieku pozostawał w bezruchu. – Odetchnął głęboko, starając się uspokoić. – Uwierz, Mercedes, to nie Szarzy Panowie zabili O'Donnella. Morderstwa dokonano zbyt nieudolnie jak na nich. Powiedz mi coś więcej o kruku.

Wpatrywałam się w niego zaskoczona. Czyżby istota z plaży była jednym z Szarych Panów?

– Co z tym krukiem? – ponaglił mnie, uspokoiwszy się.

Opowiedziałam wszystko ze szczegółami od momentu znalezienia laski do efektownego wyniesienia jej przez ścianę.

– Jak to możliwe, że ją przeoczyliśmy? – zastanawiał się Wujek Mike wyraźnie skonfundowany.

– Stała w kącie za drzwiami – wyjaśniłam. – Należała do jednej z ofiar, prawda? Tej, której dom pachniał dymem fajkowym, a okno wychodziło na las?

Wujek Mike otrząsnął się i spojrzał na mnie uważnie.

– Poznałaś zbyt wiele naszych sekretów, Mercedes.

Zanim w ogóle uzmysłowiłam sobie pobrzmiwającą w głosie Wujka Mike'a groźbę, Samuel zdążył odłożyć gitarę na siedzisko i mnie zasłonić.

– Uważaj – rzekł ostrzegawczo, z silnym walijskim akcentem. – Uważaj, zielony panie. Dziewczyna naraża się, żeby ci pomóc, a ty co? Hańba tobie i twemu domowi, jeśli spadnie jej przez to włos z głowy.

– Dwoje – powiedział Wujek Mike. – Dwoje spośród Szarych Panów skojarzy twoją twarz z naszymi sprawami. Jeden może by i zapomniał, ale dwoje nigdy. – Zbył Samuela zniecierpliwionym machnięciem ręki. – Uspokój się, wilku, ja nie zamierzam skrzywdzić twojej maskotki. Mówię tylko, jak to wygląda. Są istoty ani na jotę dobrotliwe, które nie zareagowałyby najlepiej, wiedząc, jak wiele ona zna naszych tajemnic. A dwie z nich już wiedzą.

– Dwie? – Mój głos zabrzmiał cienie, niż chciałam.

– Stworzenie, które spotkałaś, nie jest krukiem – rzekł ponuro. –

To sama Czarnowrona. – Spojrzał na mnie przeciągle. – Zastanawiam się, dlaczego cię nie zabiła.

– Wzięła mnie za kojota? – pisałam cichutko.

Wujek Mike potrząsnął głową.

– Może jest ślepa, ale postrzega wszystko wyraźniej niż ja.

Zapadło milczenie. Nie wiem, o czym myśleli pozostali, ale ja dumalam nad tym, że ostatnio coś zbyt często balansuję na krawędzi. Jak nie wampir, to nieczłowiek czy inny potwór zamierzał pozbawić mnie życia. Całe lata ostrożności, trzymania się z dala od kłopotów, a teraz co?

– Jesteś absolutnie pewien, że to nie żaden z Szarych Panów zabił O'Donnella? – upewniłam się.

– Tak – potwierdził bez wahania i zawiesił głos. – W każdym razie mam taką nadzieję. Bo jednak jeśli oni, to aresztowanie Zee to nie przypadek, a jego los jest przesądzony. Podobnie jak mój zresztą. – Przesunął ręką po podbródku gestem, który nasunął mi myśl, czy aby nie nosił kiedyś brody. – Nie. To nie oni. Nie brzydzą się krwawą jatką, ale nie zostawiliby kostura. Sama Czarnowrona przybyła, by zabrać go i ukryć przed ludźmi, choć dziwne, że dopiero teraz. – Spojrzał na mnie w zadumie. – Przebywaliśmy z Zee w tym pokoju bardzo krótko, lecz to niemożliwe, żeby żaden z nas go nie dostrzegł. Zastanawiam się...

– Co to za laska? – zapytałam. – Wiem, że jest magiczna, ale nic więcej.

– I nic ci do tego – uciął, wstając z fotela. – Nie pchaj palca między drzwi, które trzyma Czarnowrona. W aktówce są pieniądze... – Dopiero teraz zauważyłam brązową, skórzaną teczkę opartą o podłokietnik. – Jeśli zabraknie, daj mi znać.

Uchylił Samuelowi wyimaginowanego kapelusza, po czym ujął moją dłoń i pochylając się, złożył na niej pocałunek.

– Nie przysłużyłbym ci się, Mercy, nie nakazując ci przestać. Doceniamy twoją dotychczasową pomoc, lecz od tej pory już nam się nie przydasz. Dzieją się rzeczy, o których nie wolno mi mówić. Drażąc nadal, i tak nic nie odkryjesz, a tylko napytasz sobie biedy, jeśli Bezimienni dowiedzą się, ile już wiesz. A już o dwoje za dużo dostrzegło twoje istnienie. – Skinął mi oschle, potem Samuelowi. – Miłego poranka życzę wam obojgu – dodał i wyszedł.

– Uważaj na niego, Mercy – poradził Samuel, który wciąż stojąc do mnie tyłem, śledził smugi reflektorów odjeżdżającego samochodu. – To nie Zee. W pierwszej kolejności działa na swoją korzyść i tylko swoją.

Podniosłam się, masując kark. Nigdy nie prowadź konwersacji z wilkołakiem, który stoi, podczas gdy ty siedzisz. To automatycznie stawia cię w gorszej pozycji, a w nim wywołuje przekonanie, że może ci rozkazywać.

– Za grosz mu nie ufam – przyznałam. Wujek Mike nie posunąłby się do zrobienia mi krzywdy, ale... – Wiesz, jedna z rzeczy, które pojęłam, wychowując się wśród wilkołaków, to to, że w rozmowie z osobą niezdolną do kłamstwa najciekawsze są kwestie, na które nie uzyskuje się odpowiedzi.

– Tak, też to zauważyłem. Ta laska, czymkolwiek jest, została skradziona z domu jednej z ofiar. A on nie puścił na ten temat pary z ust.

Ziewnęłam dwukrotnie pod rząd. Za drugim razem o mało nie wywichnęłam sobie szczęki.

– Kładę się – oznajmiłam. – Rano muszę iść do kościoła. – Zatrzymałam się w pół kroku. – Wiesz coś o Czarnym Kowalu z Drontheim?

Uśmiechnął się półgębkiem.

– Na pewno nie tak dużo jak osoba, która pracowała z nim przez dziesięć lat.

– Samuel! – warknęłam ostrzegawczo.

Roześmiał się.

– Znasz historię Czarnego Kowala z Drontheim? – Byłam śmiertelnie zmęczona i słałam się pod ciężarem walących się na mnie lawinowo zmartwień: Zee, Szarzy Panowie, Adam, Samuel i na dokładkę Marsilia, która lada moment mogła dowiedzieć się, że Andre nie zginął z ręki swoich bezbronnych ofiar. Jednakże latami szukałam podań o Zee. Zbyt wielu nieudzi darzyło go wielką estymą, by nie krążyły o nim żadne opowieści. Po prostu do tej pory ich nie znalazłam.

– Mrocznego, Mercy, Mrocznego Kowala.

Skrzyżowałam ramiona, tupiąc nogą, i wreszcie ustąpił.

– Odkąd po raz pierwszy zobaczyłem jego sztylet, zastanawiałem

się, czy nie jest Mrocznym Kowalem. Tym, który wykuł ostrze zdolne przeciąć każdy materiał.

– Drontheim... – wymruczałam. – Trondheim? Dawna stolica Norwegii? Ale przecież Zee jest Niemcem?

– Lub podaje się za Niemca. – Samuel wzruszył ramionami. – Albo w legendzie są przekłamania. Te, które znam, głoszą, że Mroczny Kowal był geniuszem, a zarazem podstępny nikkzemnikiem i synem norweskiego króla. Miecz, który wykuł, miał paskudny zwyczaj zwracać się przeciwko temu, kto nim władał.

– Hmm – odezwałam się po namyśle. – Chyba prędeż uwierzyłabym w historię, w której jest czarnym charakterem niż cukierkowatym rycerzykiem.

– Czas zmienia ludzi – rzucił filozoficznie Samuel.

Podniosłam gwałtownie głowę, napotykając jego spojrzenie. Nie mówił teraz o Zee.

Dzielił nas jeden krok i ocean przeszłości. Kochałam go bardzo, kiedyś. Miałam szesnaście lat, on parę wieków więcej. Widziałam w nim mężnego obrońcę, rycerza, który przyjdzie mi na ratunek i złoży świat u mych stóp. Kogoś, dla kogo nie byłabym obowiązkiem, ciężarem czy kłopotem. On widział we mnie tylko matkę, która może rodzić mu żywe dzieci.

Wilkołaki, z jednym wyjątkiem, są istotami stworzonymi, nie zrodzonymi. Do ich powstania trzeba więcej niż ugryzienia czy, jak czytałam kiedyś w pewnym komiksie, zadrapania. Człowiek, który chce stać się wilkołakiem, jest rozszarpywany niemal na strzępy i albo umiera, albo przemienia się w dziką bestię, której wyjątkowe zdolności regeneracji pozwalają na przeżycie pośród podobnych, brutalnych potworów.

Z niewiadomego powodu kobiety przeżywają Przeistoczenie znacznie rzadziej od mężczyzn, a te, którym się uda, nie mogą donosić ciąży. Są płodne, owszem, lecz comiesięczna przemiana podczas pełni jest ogromnym szokiem dla organizmu i prowadzi do poronienia.

Wilkołaki mogą wiązać się z ludźmi i często właśnie wśród nich znajdują sobie partnerki. Jednak i w tym przypadku występuje olbrzymie ryzyko poronienia oraz wysoka śmiertelność noworodków. Adam ma córkę urodzoną już po Przeistoczeniu, ale

od czasu, kiedy go poznałam, jego ekszona poroniła trzykrotnie. Jedyne dziecko, które przeżyło, jest człowiekiem.

Samuel natomiast ma brata, jedynego w swoim rodzaju, który urodził się wilkołakiem. Nie słyszałam, żeby kiedykolwiek wcześniej czy później wydarzyło się coś podobnego. Matka Samuela pochodziła z rodu obdarzonego magią przynależną tej ziemi, nie była Europejką, jak większość posługujących się mocą. Dzięki temu potrafiła powstrzymać przemiany aż do urodzin Charlesa. Osłabiona walką, zmarła przy porodzie, ale jej sukces dał Samuelowi do myślenia.

Kiedy przywieziono mnie – ani człowieka, ani wilkołaka – jego ojcu na wychowanie, Samuel ujrzał swoją szansę. Moje przemiany nie są wymuszane przez naturę, a samo przekształcenie jest łagodnym procesem. Choć wilki zabijają kojoty, które wkroczą na ich terytoria, mogą się z nimi parzyć i mieć zdrowe potomstwo.

Samuel poczekał, aż skończę szesnaście lat, a potem mnie w sobie rozkochał.

– Wszystko się zmienia – powiedziałam. – Idę do łóżka.



Tak jak zawsze wiedziałam, że istnieją potwory, a nawet jeszcze gorsze istoty, tak zawsze wiedziałam, że istnieje Bóg, który utrzymuje zło w ryzach. Dlatego też co niedzielę chadzam do kościoła i regularnie się modłę. Od czasu zgładzenia Andre oraz demona kościół był jedynym miejscem, gdzie czułam się naprawdę bezpiecznie.

– Wyglądasz na zmęczoną. – Pastor Julio Arneza miał sękatę, zniszczone dłonie. Podobnie jak ja, utrzymywał się z pracy rąk. Zanim przeszedł na emeryturę i został duchownym w naszej parafii, pracował jako drwal.

– Jestem trochę niewyspana – przyznałam.

– Słyszałem o twoim przyjacielu – ciągnął. – Może zanieść mu pociechę?

Zee polubiłby pastora – każdy go lubił. Taki duchowny mógłby nawet rzeczywiście uczynić znośniejszym pobyt w więzieniu. Jednak zbliżanie się do Zee było zbyt niebezpieczne.

Pokręciłam głową.

– Mój przyjaciel jest nieczłowiekiem – wyjaśniłam przeprasząco. – Oni raczej nie cenią sobie zbyt wiary chrześcijańskiej. Ale dziękuję.

– Jeśli mógłbym jakoś pomóc, wystarczy, że powiesz. – Ucałował mnie w czoło i pobłogosławił na pożegnanie.

W drodze do domu rozmyślałam o Zee. Po powrocie wystukałam numer Tony’ego – nie widziałam innego sposobu na spotkanie się z Zee.

Odebrał w radosnym, swobodnym nastroju, zupełnie nieoficjalnym tonem, doszłam więc do wniosku, że pewnie jest w domu.

– Cześć, Mercedes. Nieładnie z twojej strony, że nasłałaś na nas pannę Ryan. Sprytnie, ale nieładnie.

– Cześć, Tony. Wybacz, zależy mi na Zee. A poza tym naprawdę jest niewinny, więc znalazłam mu najlepszego prawnika w okolicy. Jeśli cię to pocieszy, też muszę ją znosić.

– W porządku – roześmiał się. – Co słyhać?

– To głupie – zaczęłam – ale nigdy wcześniej nie miałam nikogo w więzieniu i nie wiem, jak załatwić widzenie. Są jakieś określone godziny? Mam poczekać do poniedziałku? A w ogóle, to gdzie on jest?

Po drugiej stronie zapadło milczenie.

– Odwiedziny są chyba w weekendy, po południu – Tony odezwał się wreszcie. – Ale zanim pójdziesz, skontaktuj się z prawnikiem – rzekł ostrożnie. Co mogło być złego w moich odwiedzinach u Zee? – Lepiej poradź się tej adwokat – powtórzył w odpowiedzi na moje pytanie.

Tak też uczyniłam. Na wizytówce, którą dała mi Ryan, znajdował się również numer prywatnej komórki.

– Pan Adelbertsmiter z nikim nie rozmawia – oświadczyła lodowatym tonem, tak jakby mnie za to winiła. – W tych okolicznościach trudno będzie mi skonstruować skuteczną linię obrony.

Zasępiłam się. Zee był zgryźliwym tetrykiem, ale nie durniem. Skoro nie chciał z nikim rozmawiać, miał widocznie ważne powody.

– Muszę się z nim zobaczyć – upierałam się. – Może przekonam

go, żeby się z panią zobaczył.

– Nie sądzę, żeby udało się pani na niego wpłynąć – stwierdziła z nieskrywaną satysfakcją. – Nie odzywał się do mnie, więc powiedziałam, co wiem o śmierci O’Donnella, wszystko, co od pani usłyszałam. Wtedy zareagował. Oświadczył, że nie miała pani prawa wyjawiać jego tajemnic obcym. – Zawahała się. – A później groził. Normalnie nie powtórzyłabym czegoś takiego ze względu na dobro klienta, lecz... Czuję się w obowiązku, żeby panią ostrzec. Powiedział, że lepiej dla pani, żeby nie wyszedł z więzienia, i że żąda natychmiastowej spłaty reszty zobowiązań. Wie pani, o co chodzi?

Oszołomiona, skinęłam głową, zapominając, że Ryan mnie nie widzi.

– Tak. Sprzedał mi warsztat. Nie spłaciłam go jeszcze w całości. – Co miesiąc przelewałam na konto Zee pewną sumę, tak jak bym robiła to w przypadku pożyczki bankowej. Ale to nie wizja konieczności oddania pieniędzy, których nie miałam, sprawiła, że poczułam suchość w gardle i pulsowanie w skroniach.

Uważał, że go zdradziłam.

Zee był nieczłowiekiem, nie mógł kłamać.

– Cóż – odezwała się Ryan. – Nim zamilkł na dobre, jasno dał do zrozumienia, że nie życzy sobie pani widzieć. Czy w tej sytuacji nadal będzie pani korzystała z moich usług? – w jej głosie pobrzmiwała nadzieja.

– Owszem – odparłam. To nie ja płaciłam prawnicze. Nawet przy jej stawkach w teczce od Wujka Mike’a było więcej, niż potrzeba.

– Będę szczerą, panno Thompson. Jeśli Zee ze mną nie porozmawia, nie zdołam go bronić.

– Proszę robić, co w pani mocy – powiedziałam drętwo. – Postaram się jakoś pomóc.

Sekrety. Zadrżałam, mimo że po powrocie z kościoła podkreśliłam ogrzewanie, które Samuel obniżył dzień przed wyruszeniem na festiwal. Wilkołaki preferowały niższe temperatury niż ja. Obecnie jednak termostat wskazywał dwadzieścia sześć stopni, nie powinnam więc trząść się z zimna.

Zastanawiałam się, które informacje przekazane prawnicze Zee uznał za drażliwe. Morderstwa w rezerwacie czy obecność drugiego

nieczłowieka przy znalezieniu zwłok O'Donnella?

Do diabła. Nie zdradziłam Ryan niczego, czego policja i tak się nie dowie. W zasadzie sama będę zmuszona powtórzyć władzom większość tego, co jej.

Tyle że rzeczywiście powinnam wcześniej kogoś się poradzić. Postąpiłam nierozważnie. Przy obcych trzymać język za zębami – to pierwsze prawo stada.

Zamiast polegać na własnym osądzie, mogłam zapytać Wujka Mike'a, ile wyjawić policji i obrońcy. Nie zrobiłam tego, ponieważ... Wiedziałam, że jeśli policja ma szukać innego sprawcy, musi mieć więcej informacji, niż Wujek Mike czy inny nieczłowiek zechce im udzielić.

Łatwiej uzyskać wybaczenie niż pozwolenie – chyba że ma się do czynienia z tak bezlitosnymi istotami jak Pradawni. Miłosierdzie było według nich cnotą chrześcijańską, a nieszczególnie cenili sobie cokolwiek chrześcijańskiego.

Nie oszukiwałam się, że Zee przejdzie w końcu nad tym do porządku dziennego. Może nie znałam jego przeszłości, ale jego samego owszem. Gromadził cały gniew, urazę, wypalając nimi w sercu ślad tak trwały, jak tatuaż na moim brzuchu. Nigdy nie wybaczy mi, że zdradziłam jego zaufanie.

Musiałam zająć czymś ręce i umysł, żeby oderwać się od ponurego przeświadczenia, że zrobiłam coś strasznego. Niestety, planując w sobotę dłuższy pobyt na festiwalu, pracowałam w piątek do późna, żeby skończyć wszystkie bieżące naprawy. Nie miałam nawet żadnego samochodu do renowacji. Karmann ghia, którym się zajmowałam, pojechał do tapicera.

Jakiś czas krążyłam nerwowo po domu, później zrobiłam porcję ciasteczek z masła orzechowego, aż w końcu poszłam do pokoiku, który służył mi jako gabinet, i zanim zabrałam się za pieczenie murzynków, włączyłam komputer.

Odpowiedziałam na e-maile od siostry i matki, posurfowałam trochę po Internecie, a ciastko, które ze sobą przyniosłam, leżało nietknięte na talerzyku obok. Gotuję, gdy jestem zdenerwowana, ale nie zajadam stresu.

Postanowiłam znaleźć sobie jakiś konkretniejszy cel. Przebiegłam myślami rozmowę z Wujkiem Mikiem, dochodząc do wniosku, że

prawdopodobnie nie ma pojęcia, kto zabił O'Donnella, choć uważa, że nie zrobili tego ogry, inaczej w ogóle by o nich nie wspomniał. Ja miałam pewność co do Zee. Wujek Mike nie sądził, żeby stali za tym Szarzy Panowie, i w tej kwestii też się z nim zgadzałam. Z punktu widzenia nieczłowieka, morderstwo O'Donnella zakrawało na partactwo, partactwo, jakiego Szarzy Panowie z łatwością mogli uniknąć.

Ale laska znaleziona za drzwiami salonu musiała mieć coś z tym wspólnego. Była na tyle istotna, żeby kruk... nie, jak to go nazwał Wujek Mike? Ach, Czarnowrona. Żeby Czarnowrona pofatygowała się po nią, zaś Wujek Mike milczał na jej temat jak grób.

Powróciłam spojrzeniem do wyszukiwarki, którą miałam ustawioną jako stronę domową. Wiedziona impulsem, wpisałam słowa „laska” i „legenda”, po czym kliknęłam przycisk szukania.

Rezultaty były do przewidzenia, kombinowałam więc dalej, zmieniając wyraz „legenda” na „podania ludowe”, później spróbowałam z „magiczną laską”, „zaczarowanym kijem”, ale dopiero hasło „kostur” zaprowadziło mnie na stronę ze zbiorem starych legend i podań.

Znalazłam swój kostur, a przynajmniej jakiś kostur.

Pewien rolnik otrzymał go w darze od bóstw opiekuńczych, którym regularnie zostawiał na progu chleb i mleko. Kostur sprawiał, że każda jego owca rodziła co roku dwoje zdrowych jagniąt, zapewniając może i skromne, lecz stale rosnące dochody oraz dobrobyt. Ale (w tego rodzaju opowieściach zawsze jest jakieś „ale”) pewnego dnia, podczas przechodzenia przez most, mężczyzna upuścił kostur do rzeki, a nurt go porwał ze sobą. Po powrocie do domu okazało się, że ziemię rolnika zalała powódź, topiąc większość owiec. Tak oto stracił wszystko, co zyskał dzięki lasce. Człowiek nigdy nie odnalazł swojego magicznego daru.

Mało prawdopodobne, by warto było zabijać za kawałek drewna zapewniający właścicielowi płodność owiec, szczególnie że morderca O'Donnella go nie zabrał. Albo więc trafiłam na nie ten kostur, albo nie był on tak ważny, jak sądziłam, albo zabójcy nie chodziło o artefakt. Pewność miałam tylko co do jednego, że tę konkretną laskę O'Donnell ukradł ofierze z „leśnego” domu.

Ofiary, choć w większości bezimienne, zaczynały nabierać dla

mnie realnych kształtów – Connora, leśny człowiek, selkie... Zee, szczególnie w chwilach, gdy podpytywałam go o przeszłość, zwykł mówić, że przyporządkowywanie wszystkiemu nazw to cecha typowa dla ludzi.

Potem wstukałam w okienko „mroczny kowal” i „Drontheim” i znalazłam legendę, którą opowiedział mi Samuel. Przeczytawszy ją dwukrotnie, odchyliłam się na krześle.

Generalnie pasowała. Nietrudno mi było uwierzyć w przewrotność Zee, która kazała mu stworzyć miecz jednym cięciem mogący rozplątać wszystko, czego dotknęło ostrze, łącznie z dzierżącym go właścicielem.

Tyle że historia nie wspominała o Sieboldzie ani Adelbercie. Nazwisko Zee, Adelbertsmiter, składało się z członu, który mógł być imieniem, oraz końcówki “smite” oznaczającej potężne uderzenie. Kiedyś słyszałam, jak jakiś nieczłowiek mówi o nim szeptem: ten Adelbertsmiter.

Wpisawszy „Adelbert”, roześmiałam się mimowolnie. Pierwsze trafienie dotyczyło świętego Adelberta, nortumbryjskiego misjonarza, szerzącego chrześcijaństwo w Norwegii w ósmym wieku. Dowiedziałam się o nim tyle, że zginął śmiercią męczennika.

Czy mógł być Adelbertem od Zee?

Moje rozważania przerwał dzwonek telefonu.

Nim się odezwałam, uprzedził mnie głos o bardzo brytyjskim akcencie:

– Zbieraj tyłek w troki, Mercy, i przyjdź tu natychmiast.

W tle rozległ się ryk. Zabrzmiał z dziwnym pogłosem, odsunęłam więc słuchawkę od ucha i okazało się, że dochodził z dwóch stron – z telefonu i domu Adama.

– Coś z Adamem? – zapytałam, ale Ben zaklął tylko i przerwał połączenie.

To wystarczyło, żebym tak jak stała, wybiegła z domu. Rzuciwszy telefon na ganek, popędziłam na sąsiednią posesję.

Przełaziłam przez odrutowane ogrodzenie oddzielające moje podwóreczko od rezydencji Adama, kiedy uderzyła mnie myśl, że Ben zadzwonił właśnie do mnie, a nie do Samuela, wilkołaka, jednego z niewielu silniejszych od Adama, który miał zdecydowanie większe możliwości, żeby pomóc.



Rozdział 6

Nie traciłam czasu na okrążanie budynku, kierując się wprost do drzwi kuchennych. W środku nie zastałam nikogo.

Kuchnię Adama urządzono według wytycznych *Le Cordon Bleu*. Córka Hauptmana, Jesse, zdradziła mi kiedyś, że ojciec świetnie gotuje, ale zwykle nie korzystali z kuchni.

Resztę domu urządziła ekszona Adama. Zaskakiwało mnie, że kobieta tak chłodna wybrała tak spokojne, radosne kolory. Jedyne salon został udekorowany w bardziej oficjalnym stylu i pomalowany w odcieniach bieli. Mój domek wyglądał jak składowisko gratów, których pozbyli się rodzice lub które kupiłam na targach. Ich brzydotę podkreślało dodatkowo kilka ładnych mebli wstawionych przez Samuela.

Dom Adama pachniał cytrynowym detergentem, płynem do mycia szyb i wilkołakami. Nie potrzebowałam jednak ani nosa, ani uszu, by wiedzieć, że gospodarz jest wewnątrz – i to w nie najlepszym humorze. Fala jego gniewu dotarła do mnie już przed drzwiami.

– Nie, tatusiu – usłyszałam szept Jesse z salonu.

Następny odgłos, niski warkot, nie brzmiał zachęcająco, ale Ben nie sprowadziłby mnie tutaj, gdyby sytuacja nie była kiepska. Swoją drogą zaskoczył mnie tym telefonem – nie pozostawaliśmy w szczególnie zażyłych stosunkach.

Kierując się głosem Jesse, ruszyłam do salonu. W pomieszczeniu siedziało pełno wilkołaków, lecz moc Alfego podziała na mnie od progu i już po chwili skupiałam się tylko na Adamie, choć ten stał do mnie tyłem. Widok był na tyle atrakcyjny, że dopiero po chwili przypominałam sobie o sytuacji kryzysowej.

Dwoje jedynych w tym pokoju ludzi kuliło się pod spojrzeniem Adama na nowej antycznej sofce, która zastąpiła poprzednią, połamaną antyczną sofkę. Na miejscu Adama nie wyrzucałabym

pieniędzy na antyki. Kruche przedmioty miały w domu Alfy bardzo krótki żywot.

Jednym z ludzi była córka Adama, drugim Gabriel, licealista pomagający mi w warsztacie. Gabriel, obejmujący Jesse ramieniem, przy drobnej dziewczynce wydawał się większy niż w rzeczywistości. Od ostatniego naszego spotkania Jesse zafarbowała włosy na jasnoturkusowo. Przyjemny kolorek, choć nieco osobliwy. Mocny makijaż spłynął jej z oczu, tworząc na policzkach srebrzystoczarne zacieki.

W pierwszej chwili pomyślałam o oczywistym. Ostrzegałam Gabriela, że musi bardzo uważać, i wyjaśniłam mu minusy umawiania się z córką Alfy. Wysłuchał mnie i przyrzekł solennie odpowiednio się zachowywać.

Naraz pod ciemnymi smugami kosmetyków dostrzegłam świeże sińce. Część zabrudzeń pod nosem, które wzięłam za rozmokły tusz, była śladami zakrzepłej krwi. Na odkrytym ramieniu ciemniała się plama poznaczona czarnymi drobinami asfaltu. Na pewno nie zrobił tego Gabriel, skoro jeszcze siedział tu i oddychał.

Cholera, pomyślałam, lodowaciejąc z wściekłości. Ktoś dzisiaj zginie.

Przygarbienie Gabriela musiało być świeżą reakcją na coś, co zrobił Adam, bo chłopak wyprostował się i podniósł wzrok na ojca dziewczyny. Niezbyt mądre posunięcie wobec rozwścieczonego Alfego, choć na pewno odważne.

– A ty ich znasz, Gabrielu? – Nie widziałam twarzy Adama, lecz grzmiący głos powiedział mi, że jego oczy pałają teraz jasnozłotym blaskiem.

Wsunęłam się głębiej do salonu, a fala gniewu nieomal zbiła mnie z nóg. Podobnie jak resztę wilków, które autentycznie runęły pokotem na podłogę. Ruch przyciągnął ku nim moją uwagę i uzmysłowiłam sobie, że nie było ich tak wiele, jak wcześniej mi się wydawało. Wilkołaki posiadały tendencję do wypełniania sobą całej przestrzeni pomieszczeń.

W rzeczywistości było ich czworo. Honey, jedna z niewielu wilkołaczyc w stadzie Adama, i jej partner pochylali nisko karki, trzymając się kurczowo za ręce.

Darryl starał się trzymać głowę wysoko, zachowując obojętną

minę, ale na jego mahoniowym czole perliły się krople potu. Płynąca w żyłach wilkołaka mieszanina krwi azjatyckiej i afrykańskiej stworzyła niezwykłą kombinację rysów i koloru skóry. Za dnia pracował jako naukowiec w placówce badawczej Pacific Northwest National, poza pracą był Drugim Adama.

Skurczony obok niego Ben, o niezwykle jasnych włosach i białej jak ściana cerze, robił wrażenie kruchego – złudne wrażenie, gdyż był twardy jak skała. Podobnie jak Honey, wbijał wzrok w podłogę, ale po opadnięciu na klęczki rzucił mi nerwowe spojrzenie, którego niestety nie umiałam rozszyfrować.

Ben uciekł z Wielkiej Brytanii i przyłączył się do stada Adama, by uniknąć przesłuchań w sprawie serii brutalnych gwałtów. Raczej nie wątpiłam w jego niewinność, ale było w Benie coś, co z łatwością stawiałoby go na pierwszym miejscu i na mojej liście podejrzanych.

– Daj spokój Gabrielowi, tatusiu – odezwała się Jesse z echem zwykłej zadziorności w głosie.

Ale i Adam, i Gabriel zignorowali jej protesty.

– Nie byłoby mnie tu, gdybym wiedział, kto to i gdzie teraz jest, proszę pana – oświadczył Gabriel ponuro. – Zostawiłbym Jesse i poszedł za nimi.

Gabriel szybko musiał przejąć rolę najstarszego mężczyzny w domu, gdzie bieda nie była zjawiskiem przelotnym. Te okoliczności sprawiły, że stał się nad wiek poważnym, zdeterminowanym i pracowitym chłopcem. Jeśli nawet uważałam, że jego umawianie się z córką wilkołaczego Alfya jest lekkomyślne, to wybór Jesse popierałam w całej rozciągłości.

– Nic ci nie jest, Jesse? – zapytałam, sama zaskoczona niskimi nutami w swoim głosie.

Dziewczyna, która nie chcąc bardziej drażnić ojca, starała się zanedbnie przytulać do Gabriela, z jękiem poderwała głowę, zeskoczyła z kanapy i przypadła do mnie, kryjąc twarz na moim ramieniu.

Adam odwrócił się do nas. Wykazując większą niż Gabriel rozwagę (w każdym razie w tych chwilach, kiedy mi to odpowiadało), natychmiast spuściłam wzrok, zdążyłam jednak dobrze przyjrzeć się Adamowi. Jego oczy pały niczym

na krawędzi przemiany, jasnym, intensywnym blaskiem porannego zimowego słońca. Białe i różowe linie znaczyły napiętą skórę na z całej siły zawartych szczękach.

Gdyby jakiemuś kamerzyście udało się uchwycić Hauptmana w takim momencie, cały wysiłek zatrudnianych przez wilkołaki specjalistów od wizerunku poszedłby na marne. Każdy człowiek widzący ogarniętego furją Adama uznałby go za skrajnie groźną bestię.

Tego stanu nie dało się nazwać wściekłością. Wątpię, czy istniały słowa zdolne oddać malujące się na jego obliczu emocje.

– Musisz powstrzymać ojca – mruknęła mi w szyję Jesse najciszej jak umiała. – On ich pozabija.

W stresie zapomniała, że nie jest w stanie szeptać tak cicho, by znajdujący się w tym samym pomieszczeniu wilkołak jej nie usłyszał.

– Jeszcze ich bronisz! – ryknął oburzony, uzmysławiając mi, jaka niewielka drobina człowieczeństwa tamuje zalew gniewu bestii. Podejrzywałam, że gdyby nie był tak silny, gdyby nie był Alfą, już dawno by się przemienił. Teraz linie jego szczęk zaczęły niebezpiecznie tracić na wyrazistości.

Tylko tego nam brakowało.

– Nie, nie, nie – pomiaukiwała mi w ramię drżąca Jesse. – Zabiją go, jeśli ich skrzywdzi. Nie pozwól mu... Nie pozwól...

Nie wiem, czym kierowała się moja matka, która za radą ulubionego wuja-wilkołaka oddała mnie na wychowanie jemu podobnym stworzeniom. Nie wiem, czy oddałabym własne dziecko obcym. Ale nie jestem samotnym, nastoletnim rodzicem na głodowej pensji, który odkrywa, że jego pociecha może zmieniać się w kojocie szczenię. W każdym razie ta decyzja dała w moim przypadku efekty – na pewno nie gorsze niż w przypadku dzieci wychowywanych w ludzkich rodzinach. Ponadto zapewniła mi nabranie umiejętności postępowania z rozjuszonymi wilkołakami. Mój przybrany ojciec powtarzał, że przy takim talencie do drażnienia bestii to wyjątkowo cenna biegłość.

Wszystko przychodziło jeszcze łatwiej, gdy nie byłam źródłem ich gniewu. Przede wszystkim trzeba było przyciągnąć uwagę.

– Dostyc tego – oświadczyłam stanowczo, na tyle głośno,

by słycać mnie było poprzez pochliipywania Jesse. Nie potrzebowałam jej tłumaczeń, wiedziałam, że ma rację. Adam był gotów zabić sprawców krzywdy swojej córki, nie bacząc na konsekwencje. A zignorowanie ich mogło skończyć się fatalnie nie tylko dla niego, ale dla każdego jednego wilkołaka.

Uniosłam wzrok, napotykaając gorejące oczy Adama, i ciągnęłam ostrzej.

– Nie sądzisz, że już dość cierpi? Co ty sobie myślisz? Ile to już trwa? Dlaczego nikt nie zajął się jej ranami? Wstydzilibyś się.

Wzbudzenie poczucia winy jest wspaniałą, potężną bronią.

Pociągnęłam Jesse w kierunku schodów. Dziewczyna zachwiała się, zaskoczona. Nie odważyłabym się zostawić Gabriela, gdyby nie obecność Darryla. Ale Darryl był sprytny, był też Drugim Adama, wiedziałam więc, że potrafi zadbać o bezpieczeństwo chłopaka.

Ponadto nie przypuszczałam, że Adam długo pozostanie w salonie.

Zrobiłyśmy kilka kroków, kiedy poczułam na karku jego gorący oddech. W milczeniu podążył za nami do łazienki na piętrze. Odniosłam wrażenie, jakby od ostatniej mojej wizyty na górze dobudowano setkę dodatkowych schodów. Z wilkołakiem za plecami każda chwila wydaje się ciągnąć w nieskończoność.

Usadziwszy Jesse na spuszczonej klapie sedesu, zwróciłam się do Adama.

– Przynieś mi jakiś ręcznik.

Przez moment stał bez ruchu, po czym odwrócił się i grzotnął we framugę drzwi, gruchocząc drewno. Może powinnam była dodać „proszę”... Zerknęłam z obawą do góry, ale poza chmurką opadającego pyłu sufit wyglądał na nienaruszony.

Adam wpatrywał się intensywnie w sterczące z pięści drzazgi, choć raczej nie dostrzegł zniszczeń, jakie wyrządził.

Musiałam ugryźć się w język, by nie rzucić sarkastycznego komentarza w stylu: „Jasne, to było niezwykle pomocne” tudzież: „Pilnujesz, żeby tutejsi stolarze mieli co robić?”. W zdenerwowaniu wyostrza mi się język – co akurat nie jest plusem w otoczeniu wilkołaków. Szczególnie tych bliskich wyłamania drzwi ze ściany.

Obie zamarłyśmy. Nagle z gardła Adama dobyło się wycie, bardziej zwierzęce niż ludzkie. Uderzona ponownie futryna nie

wytrzymała. Pięść przeszła przez drewno, dwa wzmocnienia i przebiła gipsową ścianę.

Odważyłam się zerknąć za siebie. Jesse była tak przerażona, że widziałam niemal całe białka jej oczu. Przypuszczam, że i ona mogłaby zobaczyć moje, gdyby nie wpatrywała się w ojca.

– To się nazywa nadopiekuńczy ojciec – podsumowałam z wyważonym rozbawieniem. Brak lęku w głosie zaskoczył mnie podobnie jak pozostałych. Kto by pomyślał, że jestem tak doskonałą aktorką?

Adam wyprostował się, przenosząc na mnie spojrzenie. Wiedziałam, że w rzeczywistości nie jest aż tak ogromny – nie był wiele wyższy ode mnie – ale teraz zdawał się wypełniać sobą cały korytarz.

Spojrzałam mu prosto w oczy.

– Mógłbyś przynieść mi ręczniki, proszę? – powiedziałam tak grzecznie, jak zdołałam.

Odwrócił się na pięcie, ruszając do swojej sypialni. Kiedy zniknął z pola widzenia, zorientowałam się, że Darryl przyszedł za nami. Oparł się teraz o ścianę, przymknął powieki i zrobił dwa głębokie wdechy. Wetknęłam lodowate dłonie do kieszeni.

– Było blisko – rzekł chyba do siebie, bo nie patrzył w moją stronę. Wzruszywszy ramionami, zaczął schodzić na parter, pokonując po dwa schody naraz, w stylu bardziej przystającym do uczniaka niż statecznego doktora fizyki.

Odwróciłam się do Jesse, która trzymała w drżącej ręce czysty ręcznik.

– Schowaj to. – Mrugnęłam do niej. – Inaczej pomyśli, że chciałam się go tylko pozbyć.

Zgodnie z moimi oczekiwaniami, zareagowała śmiechem. Był nieco niepewny i umilkł, kiedy zbytnio rozciągnął pękniętą wargę, ale jednak. Uznałam, że nic dziewczynie nie będzie.

Tak naprawdę nie obchodziło mnie, czy Adam uzna, że odesłałam go bez powodu, zaczęłam więc oczyszczać zadrapanie na ramieniu dziewczyny. Drugie, podobne, znajdowało się w okolicach krzyża.

– Powiesz mi, co się stało? – spytałam, płucząc ręcznik.

– To było głupie.

– Znaczy co? Postanowiłaś dodać sobie trochę kolorów, więc

grzmotnęłaś się kilka razy pięścią, a potem przeszorowałaś sobą jakąś uliczkę?

Wywróciła oczami. Widać tym razem nie byłam zabawna.

– Nie. Poszłam ze znajomymi na festiwal. Tata podrzucił mnie na miejsce. Do domu miałam wracać ze znajomymi, ale było nas za dużo na jeden samochód. Zapomniałam komórki, więc wróciłam się do parku, żeby znaleźć automat.

Zamilkła. Podałam jej ręcznik do otarcia twarzy.

– Wyplułam go w zimnej wodzie, powinno ci przynieść ulgę. Ogarnij się trochę, to dobrze podziała na tatę. Jutro będziesz wyglądała fatalnie, ale sińce pojawią się dopiero za kilka godzin.

Spojrzała w lustro i wydała okrzyk zgrozy. Z werwą, dzięki której upewniłam się, że większość ran jest raczej powierzchowna, zeskoczyła z sedesu i sięgnęła po płyn do demakijażu.

– To okropne, że Gabriel widział mnie w takim stanie – jęczała zrozpaczona, zmywając smugi kosmetyków. – Wyglądam jak maskara!

– Fakt – przyznałam.

Zaczęła się śmiać, jednak szybko spoważniała.

– We wtorek spotkam się z nimi w szkole.

– To były dzieciaki z Finleya?

Przytaknęła, wracając do mycia.

– Powiedzieli, że nie chcą chodzić do szkoły z dziwadłem. Znam...

Chrząknęłam ostrzegawczo, przerywając Jesse. Uśmiechnęła się lekko. Ojciec mógł nas usłyszeć, a lepiej, żeby nie poznał zbyt wielu szczegółów, po których mógł zidentyfikować sprawców. Gdyby doznała większych szkód, nie martwiłabym się tak o nich, ale kilka zadrapań niewartych jest wojny i trupów. Lepiej uczyć, niż mordować. Smarkacze powinni zrozumieć głupotę, jaką popełnili, napadając na córkę Alfę.

– Zupełnie się tego nie spodziewałam. Nie po nich. Nie wiem, co by się wydarzyło, gdyby Gabriel się nie zorientował, co jest grane. – Uśmiechnęła się promiennym uśmiechem, który nie zniknął, gdy przycisnęła ręcznik do opuchniętej wargi. – Żałuj, że go nie widziałas. To stało się na parkingu tej galerii z takimi wielkimi pędzlami przed wejściem, kojarzysz?

Kiwnęłam głową.

– Gabriel szedł uliczką poniżej, kiedy usłyszał mój krzyk. Wbiegł na skarpe i przeskoczył ogrodzenie tak szybko, jakby to zrobił ojciec.

Wątpiłam w to, wilkołaki były niewiarygodnie szybkie. Nie wątpiłam natomiast w skutki ratunku przez kogoś takiego jak Gabriel, który z tymi swoimi czarnymi oczyskami, czekoladową, aksamitną skórą oraz niczego sobie muskulaturą i bez tego stanowił całkiem łakomy kąsek.

– Wiesz... – Uśmiechnęłam się porozumiewawczo. – Chyba lepiej, że on też nie wie, kim byli napastnicy.

– Ale się dowie – oświadczył Gabriel ponad moim ramieniem.

Słyszałam, jak nadchodzi, i mogłam uprzedzić Jesse, jednak uznałam, że chłopakowi należy się nagroda za bohaterstwo, a nie znałam lepszej niż podziw i uwielbienie brzmiące w głosie wybranki. Nie przyszedł sam, ale reszta wilkołaków stała w głębi korytarza.

Gabriel podał mi woreczek z lodem i spojrzał ze ściągniętymi brwiami na Jesse, która ukryła rumieniec pod ręcznikiem.

– Dopadłbym ich, ale bałem się, że Jesse jest poważnie ranna. Tchórze! – Już miał splunąć, powstrzymał się jednak, przypomniawszy sobie, gdzie jest. – Przekłęci macho, którzy rzucają się na połowę od siebie mniejszą dziewczynę. – Popatrzył na mnie. – Po drodze tutaj Jesse mówiła, że chyba wpadła w pułapkę. Jedna z dziewczyn, z którymi bawiła się na festiwalu, ta od samochodu, buja się w którymś z tych drani. A ci dobrze wiedzieli, gdzie na Jesse czekać. Nie tak łatwo znaleźć odpowiednie miejsce, żeby pobić kogoś bez świadków. Zaciągnęli ją za kontener ze śmieciami. Ktoś się postarał, żeby dobrze to zaplanować.

Liceum Finleya było małą szkołą.

– Chcesz się przenieść do szkoły w Kennewick? – zapytałam Jesse, dobrze wiedząc, że Adam słyszy nas zza ściany. Co prawda zachowywał się bezszelestnie, lecz wyczuwałam jego napięcie i widziałam znieruchomiałe sylwetki pozostałych wilkołaków. Teraz należało ostrożnie dobierać słowa, inaczej istniała groźba, że cała wataha ruszy na poszukiwanie tych głupich dzieciaków. – Gabriel też chodzi do Kennewick. Ma tam wielu przyjaciół, mogliby mieć na ciebie oko. A może do Richland, gdzie uczy ciotka Auriele? –

Auriele, partnerka Darryla, była jedną z trzech kobiet należących do stada Adama, a przy okazji nauczycielką chemii.

Jesse odsunęła ręcznik z twarzy i rzuciła spojrzenie, które przypomniało mi, że jest nieodrodną córką swego ojca.

– Absolutnie nie. Nie dam im tej satysfakcji – oświadczyła chłodno. – I nie zamierzam dać się znów zaskoczyć. Broniałam się jak dziewczyna, bo nie wierzyłam, że naprawdę mnie uderzą. Drugi raz nie popełnię tego błędu.

– Jak tylko wydobrzejesz, wrócisz na lekcje aikido – rzekł Adam tak spokojnie, jakby przed chwilą w ogóle nie szalał w amoku. – Masz trzyletnią przerwę w treningach, a jeśli są od ciebie więksi, będziesz musiała trochę popracować.

Gdyby nie oczy, dałabym się nabrać na ten pozorny spokój. Jakimś cudem udało mu się stłumić i ukryć gniew oraz kipiącą moc Alfy, ale bardziej wierzyłam lśniącym złotem oczom niż opanowanemu głosowi. Nie spuszczać wzroku z córki, podał mi granatowy ręcznik.

– Dobrze – oświadczyła Jesse z ponurą determinacją.

– I tak sobie dobrze poradziła – wtrącił Gabriel. – Jeden uciekał, utykając, a drugi miał rozbity nos. – Otaksował dziewczynę spojrzeniem, którego Adam na szczęście nie widział. – Założę się, że wyszli na tym gorzej niż ona.

Darryl chrząknął, a gdy Adam na niego popatrzył, powiedział:

– Na razie lepiej, żeby ktoś ją odprowadzał i przyprowadzał. – Jesse była ulubienicą całego stada. W innym przypadku reakcja Adama wywołałaby niechęć wśród wilkołaków. Oczy Darryla też złociły się bardziej niż zwykle. Na tle ciemnej twarzy wyglądało to niesamowicie.

– Najlepiej wilkołak – zasugerowałam. – W wilczej formie. Przez kilka dni może nawet czekać na Jesse przed wejściem, żeby wszyscy mu się dobrze przyjrzeni.

– Nie – zaprotestowała dziewczyna. – Nie chcę takiego cyrku.

– Zrobisz, jak ci powiem – uciął Adam.

– To kwestia oznaczania terenu – wyjaśniłam. – Nawet ludzie grają w te gierki. Zdecydowali się na pokaz siły, twój ojciec nie może puścić tego płazem. Inaczej będą cię dalej zastraszać, a wtedy sytuacja może wymknąć się spod kontroli i ktoś zginie. – Właśnie

to miały na celu wszystkie działania i teatralne chwytły wilkołacznych polityków, na które tak narzekałam. Zapewniały ludziom bezpieczeństwo.

– Powinieneś zawiadomić policję i szkołę – poradziła Adamowi Honey. – Trzeba ich ostrzec, żeby nikomu więcej nie stała się krzywda.

– Trzeba rozdmuchać sprawę – zgodził się Gabriel. – Zrobić pogadankę z pokazem. Można zadzwonić do nauczycielki od biologii, chyba że chodzisz na zajęcia z WOS-u, Jesse? To byłoby jeszcze lepsze. Mógłby pan zrobić klasie wycieczkę terenową, przybliżyć fakty i dać możliwość bezpośredniego spotkania z wilkołakiem. Podziela podobnie, a Jesse nie będzie się czuła tak skrepowana.

Adam ukazał zęby w szerokim uśmiechu.

– Podoba mi się ten pomysł.

– Może dostałabym nawet ocenę... – wyjaśniała Jesse.

– Szkoła się na to nie zgodzi – chłodził ich zapal Darryl. – Ponoszą odpowiedzialność, jeśli coś stanie się uczniom.

– Trzeba sprawdzić, jak to wygląda – podsumował Adam.

Jesse nie stało się nic poważnego, choć była trochę blada. Gorący prysznic powinien złagodzić ból. Poza tym i tak musiała wziąć prysznic, zanim ojciec okrzepnie i uzmysłowi sobie, że wcale nie potrzebuje jej zeznań, aby znaleźć sprawców. Skoro ja wyczuwałam ich zapach, również on mógł.

Odprawiłam wszystkich stanowczym gestem.

– Idźcie obgadywać to na dole. Ja obejrzę Jesse dokładniej i zdecyduję, czy nie należy wezwać Samuela. – Wzięłam dziewczynę za rękę. – Skorzystamy z łazienki Adama... – Nie pamiętałam, czy ma swoją łazienkę, ale nie wyobrażałam sobie, by w takim domu nie było jej przy głównej sypialni. Poza tym przyniósł skądś ręcznik. – Skoro w tej postanowił zrobić remont. – Owszem, zabrzmiało to uszczypliwie, ale lepiej, żeby skupił na mnie swój gniew i zostawił w spokoju ściganie napastników córki.

Przepchnęłyśmy się zatłoczonym korytarzem do sypialni Adama. Drugie drzwi w pomieszczeniu, uchylone, musiały prowadzić do łazienki. Wepchnęłam dziewczynę do środka i przekręciłam zamek.

– Musisz szybko wziąć prysznic – szepnęłam bardzo, bardzo cicho
– żeby pozbyć się woni napastników, nim ojciec się zorientuje...
O ile już o tym nie pomyślał.

Oczy Jesse zrobiły się okrągłe.

– W ubraniu? – wyszemrała.

– We wszystkim.

Spojrzała z żalem na sportowe buty, ale weszła do kabiny tak, jak stała.

– Przyniosę ci coś do przebrania.

W drzwiach sypialni natknęłam się na Adama. Wskazał podbródkiem łazienkę, z której dochodził głośny szum wody.

– Zapach – burknął.

– Strasznie się ubrudziła – odrzekłam z odrobiną satysfakcji. –
Buty też.

– Kur... – urwał, nie kończąc. Adam był starszy, niż wyglądał. Dorastał w latach pięćdziesiątych, kiedy to mężczyźni nie przeklinali w obecności kobiet. – ...czę – dokończył, lecz już bez tej ekspresji, jaką niosła ze sobą ostrzejsza wersja.

– Popieprz solić kurczy syn, napierpapier – wyrecytowałam. Popatrzył na mnie ze zdumieniem, więc powtórzyłam, odpowiednio akcentując. – Popie-przsolić, kur-czysyn, napier-papier. Mój ojczym tak mówił, kiedy stałam gdzieś w okolicy. Najbardziej lubił „kurdebalans”. „Kurdebalans, Mercedes, gdyby głupota była lżejsza od powietrza, latałabyś jak gołębicą”.

Adam przymknął powieki, wspierając czoło o framugę.

– Myślisz, że przy dwóch ścianach dostaniesz zniżkę? – spytałam złośliwie.

Otworzył oczy i spojrzał na mnie.

Rozłożyłam ręce.

– Jak sobie chcesz. Masz zamiar finansować cech stolarzy, twoja sprawa. A teraz odsuń się, bo muszę przynieść twojej córce ubrania.

Przepuścił mnie z egzaltowaną kurtuazją, jednak kiedy go mijałam, trzepnął mnie w tyłek. Zapiekło.

– Uważaj, Mercedes – warknął. – Dalej wsadzaj nos w moje sprawy, a ktoś ci go utnie.

– Ostatni facet, który mnie tak trzepnął, wacha kwiatki od spodu – oświadczyłam słodko, kierując się do pokoju Jesse.

– Nie wątpię – w tonie Adama zabrzmiało więcej satysfakcji niż skruchy.

Odwróciłam się do tych złotozółtych ślepi i całej reszty.

– Zastanawiam się nad zakupem syncro na części. Mam jeszcze sporo miejsca na podwórku.

Ktoś niewtajemniczony mógłby sądzić, że ostatnie zdanie było całkiem oderwane od tematu, ale Hauptman dobrze wiedział, o czym mówię. Od kilku lat karałam go, wystawiając na podwórko wrak Królika. Świetnie widoczny z okien jego sypialni, pozbawiony wielu różnych części, stał teraz na trzech kołach. Graffiti było pomysłem Jesse.

Normalny człowiek nic by sobie z tego nie robił, ale Adam był typem wyznającym zasadę „wszystko na swoim miejscu i we właściwym miejscu”. Ten grat doprowadzał go do szału.

Uśmiechnął się z uznaniem, lecz natychmiast spoważniał.

– Powiedz chociaż, że miałaś na tyle rozumu, żeby zapamiętać woń.

Uniosłam brew.

– A po co? Żebyś zamiast Jesse mógł zadręczać mnie?

Jeden zapach był mi całkiem obcy, ale drugi... Coś mi mgliście przypominał. Zdecydowałam, że zastanowię się nad tym w domu.

Zaśmiał się ostro.

– Kłamczucha.

Podszedł do mnie nagle, położył dłoń na karku i pocałował. Zupełnie się tego nie spodziewałam – nie w momencie, gdy był tak blisko przemiany. Pewnie dlatego się nie wyrwałam.

Dotyk warg Adama był delikatny, nieśmiały, pytający o zgodę, podczas gdy jego ręce domagały się jej. Diabeł wcielony. Przemocy opierałabym się z całej siły, ale taki proszący o przyzwolenie pocałunek to zupełnie co innego.

Przyłgnęłam do wilkołaka skłoniona subtelnym dotykiem i lekkim cofnięciem warg, stanowiącym błagalne zaproszenie, by udać się tam, gdzie prowadził. Zar jego ciała, tak kuszący w wychłodzonym domu, nagroził bliskość rozkosznym ciepłem, a siła drzemiąca w wyraźnie zarysowanych mięśniach zachęcała, by przywrzeć do nich jeszcze mocniej.

Tak samo tańczył. Prowadził, nie ciągnął. Musiał to wypracować,

kontrolować każdy ruch, bowiem dominacja leżała w jego naturze – naturze Alfy. Lecz Adam nie posługiwał się jedynie dominacją, był też sprytny. I nie grał uczciwie.

I w ten sposób on stał przyparty do ściany, a ja przylepiona do niego, kiedy naraz ktoś – Darryl – chrząknął niegłośnie.

Wyrwałam się, odskakując gwałtownie na środek korytarza.

– To ja lecę po ubranie Jesse – poinformowałam miękki dywanik i czmychnęłam do pokoju dziewczyny, zatraskując za drzwiami zapłonioną twarz. Nie chodziło o to, że zostaliśmy przyłapani na całowaniu; to było coś znacznie bardziej zmysłowego niż zwykły pocałunek.

Czasem doskonały słuch jest przekleństwem.

– Wybacz – rzekł Darryl obłudnie. W jego rozbawionym tonie nie wychwyciłam ani jednej przeproszającej nutki.

– Chciałbyś – warknął Adam. – Cholera. To się musi skończyć.

Darryl zaśmiał się na całe gardło. Nigdy nie słyszałam, żeby tak się śmiał. Był raczej sztywny w obejściu.

– Wybacz – powtórzył i tym razem zabrzmiało to bardziej szczerze. – Odniosłem wrażenie, że raczej wolałbyś nie kończyć.

– Uhm – westchnął Adam. – Już dawno powinienem podjąć jakieś kroki. Ale po Christy miałem tak serdecznie dość, że nie myślałem o kobietach. A Mercy trudno podejść, jest strasznie płochliwa. – Christy, czyli ekszonie.

– A potem Samuel upatrzył sobie tę samą zdobycz – dorzucił Darryl.

– Nie jestem żadną zdobyczą – mruknęłam w pełni świadoma, że mnie słyszą. Nie doczekałam się żadnej reakcji.

– Samuel od zawsze jest moim rywalem. Lepiej, że mam go pod bokiem, bo wolę konkurować z żywym człowiekiem niż ze wspomnieniem.

– Jak chcecie mnie obgadywać, to róbcie to przynajmniej dyskretnie – prychnęłam.

Przychylili się do mojego żądania, bo nie usłyszałam już ani słowa. W łazience nadal szumiała woda, usiadłam więc na podłodze, wyjęłam spod pośladka buteleczkę lakieru do paznokci i skorzystałam z wolnej chwili, żeby się pozbierać. Adam miał rację, to trwało już zbyt długo.

Samuel zachowywał się jak anioł, w każdym razie przeważnie. Adam podobnie. Miałam jednak wrażenie, że Adam jest ostatnio niespokojny i gorzej się kontroluje.

To fatalnie, bo Adam był wyjątkowo krewki, nawet jak na wilkołaka. Z drugiej strony, Samuel wspominał, że Marrok częściej eksploatuje Hauptmana w roli rzecznika wilkołaków. Alfa stada z Tri-Cities miał odpowiednią prezencję i umiejętności oratorskie. Zresztą jako konsultant oraz negocjator w Waszyngtonie, i tak był ciągle na widelcu prasy. Adam, choć niebywale zrównoważony, w chwili utraty panowania wpadał w autentyczny szal, a czegoś takiego Marrok nie mógł ryzykować.

Wiedziałam, że tak czy owak, Adam wybuchłby, dowiedziawszy się o pobiciu córki, ale łatwiej przyszłoby mu powściągnąć nerwy, gdyby nie chodził taki podminowany.

Klamka poruszyła się i do pokoju weszła Honey. Honey była jedną z tych osób, przy których czułam się niechlujnie nawet w najlepszym T-shircie. Wyglądała jak żywcem zdjęta z plakatu propagandowego dla żon idealnych. Przerazała mnie w zupełnie inny sposób niż reszta wilkołaków i dużo czasu minęło, zanim przemogłam ten lęk.

Stawiając ostrożnie stopy, obeszła typowy nastoletni bałagan na podłodze – pokój Jesse przedstawiał sobą jeszcze gorszy widok niż zazwyczaj moja sypialnia, a to znaczyło, że wołał o pomstę do nieba.

– Musisz coś z tym zrobić, Mercedes – zaczęła łagodnie. Reszta watahy siedząca na dole nie mogła nas tu usłyszeć. – Całe stado jest niespokojne i podminowane, a Adam niemal stracił dziś panowanie. Wybierz któregoś, Adama czy Samuela, obojętnie. Ale powinnaś szybko zdecydować. – Zawahała się. – Kiedy Adam ogłosił swoje prawa do ciebie...

Dla mojego bezpieczeństwa, jak twierdził, i pewnie miał rację. Wilki leśne zabijają kojoty, które nieopatrznie wejdą na ich terytorium, a wilkołaki zachowywały się pod tym względem tak, jak ich mali bracia.

– Nie pytał mnie o zdanie – oburzona wpadłam Honey w słowo. – Nie było mnie przy tym i nic o tym nie wiedziałam. To nie moja wina.

Potrząsnęła grzywą miodowych włosów i przykucnęła. Gdyby widziała choć skrawek podłogi, usiadłaby moim wzorem, ponieważ technicznie rzecz biorąc, stała niżej w hierarchii stada (właśnie dzięki temu, że Adam ogłosił mnie swoją wybranką), ale była zbyt porządnicka, żeby siedzieć na stercie brudnych ubrań.

– To niczyja wina – rzekła. – Obwinianie kogokolwiek niczego tu nie zmieni. Wszyscy czujemy osłabienie stada. Możesz odrzucić Adama, a wtedy wszystko wróci do normy. Albo zaakceptować, a wtedy wszystko się zmieni na lepsze. Jednak póki nie zrobisz jednego albo drugiego... – Wzruszyła ramionami.

Nawet ja, która obracałam się ciągle wśród wilkołaków, łatwo zapomniałam, że istoty te posiadały nie tylko moc przemian. To pewnie dlatego, że przemiana była zjawiskiem najbardziej spektakularnym, a reszta magii dotyczyła jedynie samej watahy. Nie myślałam o sobie jako o członku stada – inni też o mnie tak nie myśleli – nie, dopóki Adam nie zaznaczył oficjalnie swych praw do mnie.

Mój przybrany ojciec wspomniał kiedyś, że zawsze wyczuwa każdego członka stada. Wilkołaki wiedziały, kiedy jeden z nich cierpiał i kiedy umierał. Po samobójstwie opiekuna co prawda długo szukały jego ciała, ale знаły dokładny moment śmierci. Sama widziałam, jak Adam przyzywa do siebie stado nie tylko głosem, widziałam też, jak ich obecność pomaga wyleczyć mu się z zadanych srebrem ran, które powinny go zabić.

Dopóki nie dałam rady pomóc Warrenowi okiełznać jego wilka w chwili, gdy sam był na to za słaby, nie zdawałam sobie sprawy, że ogłoszenie mnie swoją towarzyszką może oznaczać dla Adama coś więcej niż zwykły akt dobrej woli. Byłam mu wdzięczna, lecz nigdy nie zagłębiałam się w szczegóły.

Rozbolała mnie od tego głowa – czasem tak reaguję na strach.

– Wyjaśnij mi to jeszcze raz, ale powoli i dokładnie – poprosiłam.

– Ogłoszenie praw do ciebie automatycznie oznaczało zaproszenie do przyłączenia się do stada. Zrobił dla ciebie miejsce, którego nie zajęłaś. Ta luka stanowi naszą piętę achillesową. Adam chroni nas przed tym, ale kosztem przyjęcia na siebie wszystkich konsekwencji. Jego wilk wie, że istnieje słaby punkt, który można wykorzystać, aby nam zagrozić, i przez to jest w ciągłej gotowości,

bez przerwy spięty. Czujemy to i także nas to dotyka. – Uśmiechnęła się kwaśno. – Dlatego traktowałam cię z taką niechęcią, kiedy kazał mi cię chronić przed wampirami. Sądziłam, że prowadzisz własne gierki, każąc nam za to płacić.

Nie. Żadnych gierek. Tylko strach. Wybór jednego, obojętnie, Adama czy Samuela, oznaczałby utratę drugiego. A to dla mnie zbyt wiele.

– Wszyscy jesteśmy uzależnieni od Alfego. To dzięki niemu możemy żyć wśród ludzi – podjęła Honey. – Część wilków Adama ma ludzkie partnerki. To jego moc pozwala nam utrzymywać w ryzach naturę bestii, szczególnie gdy zbliża się pełnia.

Oparłam czoło na podciągniętych kolanach.

– Co on sobie, do cholery, myślał?

Poklepała mnie po ramieniu niezdarnym ruchem, który miał wyrażać pociechę i jednocześnie współczucie.

– Nie sądzę, żeby wtedy myślał o czym innym poza zapewnieniem ci bezpieczeństwa, zanim jakiś inny wilk posiadzie cię lub zabije.

Spojrzałam na Honey z niedowierzaniem.

– O co tu chodzi? Czy wszyscy nagle potracili rozum? Przez dziesięć lat nie byłam na porządnej randce, a tu nagle Adam, Samuel i... – Ugryzłam się w język, zanim wypowiedziałam imię Stefana. Nie widziałam go, odkąd on i Wulfe Zaklinacz zabili dwa niewinne wampiry, by wziąć na swoje konto śmierć Andre i uchronić mnie przed gniewem Marsilii. W każdym razie nie tęskniłam za nim szczególnie. – Wiem dobrze, dlaczego Samuel mnie pragnie – mruknęłam.

– Tak, uważa, że mógłby mieć z tobą dzieci, a ty nie potrafisz wybaczyć mu, że pragnie cię z tak przyziemnych przyczyn. – Jakaś nuta w tonie Honey wzbudziła we mnie przekonanie, że darzy ona Samuela szczególną sympatią. I że być może to nie posądzenia o pogrywanie z Adamem były przyczyną jej niechęci do mnie. Wyraz jej twarzy powiedział mi znacznie więcej. Ona także pragnęła mieć dzieci.

Nie wiem, dlaczego zaczęłam się zwierzać właśnie Honey. Nie znałam jej dobrze i nawet nie lubiłam. Może to dlatego, że nie znalazł się nikt inny, kto potrafiłby zrozumieć niuanse sytuacji,

w jakiej się znalazłam?

– Nie winię Samuela za przekonanie, że zmiennokształtna, której formą zwierzęcą jest kojot i której przemiany nie zależą od wpływu księżycy, byłaby odpowiednią partnerką – zaczęłam cicho. – Mam do niego żal za to, że rozkochał mnie w sobie, nic nie wspominając o powodach, dla których wzbudziłam w nim zainteresowanie. Gdyby nie wkroczył Marrok, pewnie zostałabym towarzyszką Samuela już wtedy, mając szesnaście lat.

– Szesnaście? – zdumiała się.

Przytaknęłam.

– Peter jest ode mnie o wiele starszy – zaczęła, mówiąc o swoim mężu. – I tak było ciężko. A nie miałam szesnastu lat i... – W zamyśleniu potrząsnęła głową. – Nie przypominam sobie, żeby ktoś wspominał, ile lat ma Samuel, ale jest starszy od Charlesa, a ten pamięta czasy Lewisa i Clarka.

Oburzenie, które wkradło się w jej ton, choć nie podniesiony ze względu na wilkołaki w salonie, zadziało jak balsam na moje serce. Dodało mi również odwagi, by powiedzieć więcej.

– Moja obecna sytuacja całkiem mi odpowiada. Dzięki historii z Samuelem zerwałam ze stadem i znalazłam sobie miejsce w świecie ludzi. Jestem niezależna, robię to, co lubię, i jestem w tym dobra. Nie jest to może prestiżowy zawód, ale cieszy mnie naprawianie rzeczy.

– Tyle że...? – dokończyła za mnie kwestię, której nie wypowiedziałam.

Kiwnęłam głową.

– Właśnie. Tyle że... Boję się tego, co mnie czeka, jeśli przyjmę jego propozycję. Wmawiam sobie, że czułabym się gorsza, ale Samuel nie jest typem mężczyzny chcącego stłamsić osobowość ukochanej. Połowę kłopotów, jakie miałam, będąc nastolatką, miałam przez niego, z tej drugiej połowy to właśnie on mnie wyciągał.

– No to będziesz panią doktorową i będziesz mogła robić, co ci się podoba, bo Samuel nie ma obsesji na punkcie kontroli w przeciwieństwie do większości dominujących samców.

I w tym tkwił problem. Samuel? Gdzieżby! Podobnie jak większość ludzi, tak i Honey postrzegała Samuela dokładnie tak, jak

on tego chciał. Jako łagodnego, beztroskiego doktora. Ha!

Zawsze zastanawiało mnie, dlaczego Honey poślubiła Petera, stojącego dużo niżej w hierarchii niż ona sama, którą to przewyższały góra dwa, trzy wilki. Jako że jej ranga zależała od rangi partnera, znajdowała się teraz na dużo niższym szczeblu niż przed zawarciem związku z Peterem. W wilkołaczej społeczności nie ma zbyt wielu uległych osobników. Ten rodzaj determinacji, której wymaga przetrwanie Przeistoczenia, zwykle idzie w parze z potrzebą osiągnięcia przewagi nad innymi.

– Samuel jest tak samo ogarnięty manią podporządkowania sobie wszystkiego, jak cała reszta – oświadczyłam stanowczo. – Różnica polega na tym, że umie to świetnie ukrywać. Prawda jest taka, że najchętniej owinąłby mnie w watkę i przykrył kloszem. Nigdy nie stałabym się dzisiejszą sobą, gdybym wtedy mu uległa.

– Sobą, czyli kim? Mechanikiem? – Uniosła brwi. – Zarabiasz grosze. Widziałam Gabriela realizującego czeki.

Mylłam się co do Honey. Nie mogła mnie zrozumieć.

– Lubię pracować na swoim – stwierdziłam, nie oczekując nawet, że pojmie, o czym mówię. Odrzucałam wszystko, czego ona tak bardzo pragnęła od życia, status, i to w obu społecznościach, wilczej i ludzkiej, oraz dobrobyt. – Lubię sprawiać, że popsute rzeczy zaczynają działać. Cenię sobie możliwość stania przed Adamem na własnych nogach, podczas gdy wszyscy wokół padają na kolana i zginają karki. Chcę mieć wybór, co będę robiła kolejnego dnia, nawet jeśli to będzie pościg za opętanym wampirem, który niemal zabił Warrena. Nie jestem lepsza, szczególnie w porównaniu do wilkołaków, ale musisz przyznać, że to ja posiadam cechy, które pozwoliły go wyeliminować, podczas gdy wilkołaki nie dały sobie z nim rady. Podobnie jak nieludzie i inne wampiry. Jak potoczyłyby się sprawy, gdybym nie mogła zabić demona? Samuel nigdy nie pozwoliłby swojej partnerce narażać życia.

W tym momencie coś sobie uzmysłowiłam. Choć wszystko to było straszne (czego najlepiej dowodziły moje koszmary i blizny), choć moje działania były bezmyślne, niebezpieczne i w gruncie rzeczy samobójcze, czułam dumę z pokonania dwóch wampirów. Nikt inny nie mógł tego dokonać. Tylko ja.

Samuel nigdy nie pozwoliłby mi zrobić czegoś podobnego.

Nie mogłam być z Samuelem, nie rezygnując z części siebie, którą tak bardzo ceniłam. Po raz pierwszy odważyłam się na taką analizę, gdyż prowadziła do jednej konkluzji – przyznania przed sobą, że nie potrafiłabym żyć z Samuelem.

Pytanie tylko, czy Adam byłby lepszy? Poza tym, jeśli wybrałabym Adama, Samuel odejdzie. A w głębi duszy nadal go kochałam i nie byłam gotowa na wyrzucenie go ze swojego życia.

Miałam przechlapane.

– Myślisz, że Adam pozwoliłby ci polować na tego stwora, gdybyś była jego partnerką? – spytała Honey niedowierzająco.

Może.

– Nie zamierzałam podsłuchiwać – pisnęła Jesse.

Dotarło do mnie, że już od jakiegoś czasu nie słyszę szumu wody. Nie zauważyłam nadejścia dziewczyny.

Wyszła w ręczniku, ale i tak pospiesznie zamknęła za sobą drzwi. Obrzuciła Honey nieufnym spojrzeniem, lecz zignorowała jej obecność.

– Słyszałam kilka ostatnich zdań – zwróciła się do mnie. – Tata zabronił mi się wtrącać w jego sprawy sercowe, jednak coś ci powiem. Niedawno mi powiedział, że jeśli nie skoczy się kiedyś na głęboką wodę, nigdy nie nauczy się pływać.

– Przydzielił mi ochroniarzy – przypomniałam ponuro. Jednym z nich była właśnie Honey.

Jesse przewróciła oczyma.

– Bo nie jest idiotą – prychnęła. – Ale jeśli nie będziesz miała innego wyjścia, stanie za tobą murem. – Widząc moją pełną niedowierzania minę, znów wywróciła oczyma. – No dobra, pójdzie w forpoczcie. Ale na pewno nie każe ci się trzymać z daleka. Nigdy tak nie marnuje środków, które ma do dyspozycji.

Gdy Jesse zniknęła, a Adam był zbyt ranny, żeby coś zrobić, skaptował mnie do jej odnalezienia, mimo że sam niemal zginął z rąk porywaczy. Dziwne, ale ulżyło mi, kiedy sobie o tym przypominałam.

Świadomość, że Samuel na zawsze pozostanie dla mnie niedostępny, bolała. Utrata Adama prawdopodobnie by mnie załamała – co nie oznaczało, że nie będę zmuszona go odrzucić.

Podniosłam się zwawo z dywanu.

– Zapamiętam to sobie – obiecałam i zmieniałam temat. – Jak się czujesz?

Uśmiechnęła się, wyciągając zupełnie już pewną rękę.

– Dobrze. Miałaś rację, gorący prysznic naprawdę pomógł. Mam kilka siniaków, ale to nic takiego. To, co powiedział Gabriel, też pomogło. Rzeczywiście, broniłam się lepiej, niż sądziłam. Teraz już wiem, że muszę na nich uważać i... – Od szerszego uśmiechu powstrzymała ją rozbita warga. – Tata przydzielił mi ochroniarzy – powtórzyła moją wcześniejszą wypowiedź identycznym tonem.



Rozdział 7

Odniosłam wrażenie, jakby odległość pomiędzy moim i Adama domem nagle się zmieniła. Raptem godzinę wcześniej pokonałam ją w mgnieniu oka. Droga powrotna zaś przerodziła się w długą i pełną rozpaczny podróż.

Związek z Samuelem nie wchodził w grę. Nie dlatego, że mu nie ufałam, lecz dlatego, że ufałam mu bezgranicznie. Będzie mnie kochał, hołubił, póki nie odgryzę sobie ręki, żeby się wyzwolić, a to przysporzy cierpienie nie tylko mnie samej. Samuel i bez tego wiele już przeszedł.

Dowiedziawszy się, co czuję, odejdzie.

Miałam nadzieję, że jeszcze nie wrócił do domu, ale jego samochód stał zaparkowany obok Królika. Zawahałam się, zatrzymując na ganku, jednak było za późno. I tak wiedział, że stoję pod drzwiami.

Nie muszę przeprowadzać tej rozmowy natychmiast, pomyślałam. Nie stracę go dzisiaj. Ale już niedługo. Bardzo niedługo.

Warren i Honey mieli rację. Jeśli wkrótce nie podejmę ostatecznej decyzji, poleje się krew. Tylko wyjątkowe opanowanie Adama i Samuela zapobiegło do tej pory ostatecznej konfrontacji. W głębi duszy wiedziałam, że jeśli dojdzie do walki, jeden z nich zginie.

Jakoś poradziłabym sobie z ponowną utratą Samuela, ale nie zniosłabym świadomości, że jestem przyczyną jego śmierci. A nie ulegało wątpliwości, że w przypadku starcia zginie Samuel. Nie dlatego, że Adam walczył lepiej czy posiadał więcej siły. Znałam możliwości Samuela, nieraz widziałam, co potrafi. Jednak Adama charakteryzowała bezwzględność, której Samuelowi brakowało. Adam był żołnierzem, zabójcą, Samuel – uzdrowicielem. Powstrzymałyby się, aż byłoby za późno.

Zewnętrzne skrzydło z moskitierą skrzypnęło i naraz patrzyłam w szare oczy Samuela. Nie był przystojny jak z okładki, ale piękno

pociągłej twarzy i popielato-brązowych włosów chwyciło za serce.

– Co to za mina? – zapytał. – Coś się stało u Adama?

– Jakież zdewociałe smarkacze pobiły Jesse – wyjaśniłam. Nie okłamałam go. Po prostu odpowiedziałam tylko na drugą część pytania.

Przez jego twarz przebiegł skurcz gniewu – on także lubił Jesse. Natychmiast jednak powściągnął emocje i Samuel-wilkołak, ustąpił miejsca Samuelowi-lekarzowi, zwartemu i gotowemu do działania.

– Nic jej nie jest – uprzedziłam pytanie. – Skończyło się na kilku siniakach i zranionych uczuciach. Bardziej baliśmy się o Adama, bo zaczął szaleć, ale udało się go uspokoić.

Wyszedł na ganek i dotknął mojego policzka.

– Pewnie nie było łatwo, co? Lepiej pójść tam i sprawdzę, co z Jesse.

– Idź. Zrobię coś na kolację.

– Mam lepszy pomysł. Powinnaś się trochę rozerwać. Aresztowanie Zee i amok Adama to trochę dużo naraz. Przebierz się, a kiedy wrócę, zabiorę cię na pizzę.



W pizzerii kłębił się tłum lawirujący pomiędzy porozstawianymi wszędzie futerałami instrumentów. Wzięłam z baru sok oraz piwo i zostawiając Samuela przy kasie, rozejrzałam się w poszukiwaniu wolnego miejsca.

Po ostatnim koncercie organizatorzy Tumbleweed postanowili urządzić w knajpce imprezę pożegnalną, zapraszając także Samuela, który z kolei zabrał mnie. Przyszło tyle osób, że prawie wszystkie krzesła były zajęte.

Przy jednym ze stolików wypatrzyłam dwa miejsca. Przepchnęłam się przez ciżbę i pochyliłam do ucha siedzącego faceta. Bardzo blisko, jak na obcego, ale nie miałam wyjścia. Człowiek nie usłyszałby mnie inaczej w tym hałasie.

– Można?

Chłopak odwrócił się, a ja uzmysłowiłam sobie, że nie jest mi zupełnie obcy. Zetknęłam się z nim już dwukrotnie. Raz na festiwalu – to on wytykał Samuelowi błędy wymowy walijskiej.

Przedstawił się wtedy jako Tim Jakiśtam – nie zapamiętałam europejsko brzmiącego nazwiska. Drugi raz nie był spotkaniem, ale przebywaliśmy, choć niejednocześnie, w tym samym domu, domu O'Donnella. Miałam przed sobą Pana Kolońskiego.

– Proszę – odparł głośno.

Może to zbieg okoliczności? Na pewno niejedynemu mężczyźnie w Tri-Cities używa tych perfum; możliwe, że dla kogoś o mniej wrażliwym nosie pachną lepiej.

Znał tolkienowską mowę elfów i walijski (choć nie nazbyt dobrze, skoro krytykował Samuela). Nic nie wskazywało na to, że jest fanatykiem antynieczołwieczym. Prędeż już jednym z tych wielbicieli nadnaturalnych istot, na których właściciel baru w Walla Walla zbijał fortunę i dla których rezerwat w Nevadzie zamieniono w drugie Las Vegas.

Podziękowawszy, usiadłam przy ścianie, zewnętrzne miejsce zostawiając dla Samuela. Ten człowiek wcale nie musiał należeć do O'Donnellowej grupy Światłana Przyszłość. Równie dobrze mógł być zabójcą. Albo policjantem.

Uśmiechając się grzecznie, przyjrzałam się Timowi dokładniej. Nie robił wrażenia wymoczką, ale nadludzką siłą też na pewno nie dysponował. Nie dałby rady pozbawić kogoś głowy bez pomocy topora.

A więc nie świetlanoprzyszłościowiec i nie morderca. W takim razie albo zupełnie przypadkiem podzielał kiepski gust perfumiarzki gościa O'Donnella, albo był policjantem.

– Nazywam się Tim, Tim Milanovich – zdołał przekrzyczeć hałas i ostrożnie, żeby nie potrącić naczyń na stole, wyciągnął do mnie rękę. – A to mój przyjaciel, Austin Summers – przedstawił towarzysza.

– Mercedes Thompson. – Kolejno uścisnęłam dłonie obu mężczyzn. Austin okazał się zdecydowanie bardziej interesujący od swojego przyjaciela.

Jako wilkołak z pewnością znalazłby się wśród dominujących wilków. Posiadał tę specyficzną prezencję dobrego polityka. Nie był zabójczo przystojny, raczej pociągający surową, męską powierzchownością. Całości dopełniały brązowe włosy, kilka tonów jaśniejsze od moich, i piwne oczy. Wyglądał na kilka lat młodszego

od swojego towarzysza, ale nie dziwiłam się, dlaczego Tim się go trzyma.

W zatłoczonej pizzerii nie miałam szans wyłowienia zapachu faceta siedzącego po drugiej stronie stołu, ale kiedy ukradkiem zbliżyłam do nosa dłoń, której przed chwilą dotykał, wypad na pizzę natychmiast nabrał innego wymiaru.

Austin także bywał u O'Donnella. Zrozumiałam też, dlaczego woń jednego z napastników Jesse wydała mi się znajoma.

Zapach to skomplikowana sprawa. Jest niepowtarzalny, lecz jednocześnie stanowi konglomerat wielu woni. Gros ludzi używa zwykle tego samego szamponu, dezodorantu czy pasty do zębów. Ma swoje ulubione środki czystości, kupuje ten sam proszek do prania i chusteczki do suszarek. Wszystkie te nuty tworzą kombinację charakterystycznego dla danej osoby aromatu.

Na pewno nie on zaatakował Jesse. Nie pasował wiekiem i nie do końca zapachem. Ale zamieszkiwał ze sprawcą w tym samym domu. Kochanek lub brat, pomyślałam, stawiając na wersję z bratem.

Austin Summers. Postanowiłam zapamiętać nazwisko i sprawdzić później, czy uda mi się znaleźć jego adres. Czy to nie w jakimś Summersie Jesse kochała się w zeszłym roku? Jeszcze zanim wilkołaki ujawniły swoje istnienie, a Adam funkcjonował w społeczeństwie tylko jako średnio sytuowany biznesmen. John, Joseph... jakieś biblijne imię... Jacob. Jacob Summers. Tak. Nic dziwnego, że tak to przeżyła.

Napiłam się, obserwując znad szklanki zajadającego pizzę Tima. Dałabym głowę, że nie był gliną. Nic nie wskazywało, że pracuje w policji i na co dzień nosi broń. Tacy ludzie, nawet nie mając jej przy sobie, zawsze pachną prochem.

Szansę, że Tim jest Panem Kolońskim, wzrosły do stu procent. Co więc miłośnik folkloru i języka celtyckiego robił w domu człowieka darzącego nienawiścią istoty, które w większości zajmowały poczesne miejsce właśnie w celtyckiej mitologii?

Uśmiechnęłam się serdecznie.

– Spotkaliśmy się już wcześniej, panie Milanovich, na festiwalu. Rozmawialiście z doktorem Cornickiem po jego występie.

Są miejsca, gdzie ludzie zapamiętują mnie ze względu

na indiańską urodę, ale nie w Tri-Cities, mieście o sporej populacji latynoskiej.

– Mów mi po imieniu – zaproponował, szukając mnie gorączkowo w pamięci.

Z kłopotliwej sytuacji wyratowało go nadejście Samuela.

– Tu jesteś – rzekł, przeprosiwszy osobę, która próbowała precyzyjnie się tą samą wąską luką, ale w przeciwną stronę. – Wybacz, że tyle to trwało, Mercy, ale ktoś mnie zagadał po drodze. – Położył na stoliku czerwoną, plastikową tafelkę z numerem trzydzieści cztery. – O, Tim Milanovich – zwrócił się do chłopaka, siadając przy mnie. – Miło cię znowu widzieć.

Samuel oczywiście zapamiętał nazwisko. Sądząc z miny, Timowi bardzo to pochlebiło.

– A to Austin Summers – wykrzyknęłam, aby uczynić zadość kurtuazji, głośniej niż trzeba, biorąc pod uwagę, że Samuel miał tak dobry słuch jak ja. – Austin, poznaj doktora Samuela Cornicka, śpiewającego lekarza. – Już w chwili, kiedy na scenie przedstawiono wilkołaka tym mianem, wiedziałam, że Samuel będzie dostawał na jego dźwięk wysypki. I nie mogłam się powstrzymać, żeby go nie podrażnić.

Samuel spiorunował mnie wzrokiem, po czym przybrawszy miły wyraz twarzy, wdał się w rozmowę z Timem.

Ukryłam tryumf pod maską łagodnego zainteresowania i zaczęłam przysłuchiwać się wywodom na temat ludowych piosenek angielskich i walijskich. Sam jak zwykle snuł swoje czarujące opowieści, argumenty Tima były suche i pedantyczne. W miarę trwania dyskusji, Tim mówił coraz mniej.

Dostrzegłam, że Austin obserwuje interlokutorów z podobną do mojej, grzecznie zaciekawioną miną, i zastanawiałam się, jakie myśli stara się pod nią ukryć.

Naraz rozległ się przenikliwy gwizd, po którym gwar ucichł, a oczy wszystkich zwróciły się ku wysokiemu, stojącemu na krześle mężczyźnie. Na wstępie powitał on wszystkich obecnych i złożył różnym osobom podziękowania za wkład w organizację festiwalu.

– A teraz... Wiem, że wszyscy znacie kapelę Scallywags... – Schylił się, biorąc do ręki bodhrán. Spryskał instrument odrobiną wody z butelki, rozprowadził krople dłonią i przemówił z wystudiowaną

swobodą, która przykuła uwagę słuchaczy. – Są z nami od początku historii festiwalu Tumbleweed. Tak się składa, że wiem na ich temat coś, czego wy nie wiecie.

– Co takiego? – zawołał ktoś z sali.

– A to, że ich piękna wokalistka, Sandra Hennessy, obchodzi dzisiaj urodziny. I to nie byle jakie urodziny.

– Oberwiesz za to, John – rozległ się głos kobiety. – Zobaczysz.

– Sandra kończy dzisiaj czterdzieści lat. Należy jej się elegia urodzinowa, nie uważacie?

Wybuchł gromki aplauz, który szybko przycichł. Salę wypełniła atmosfera wyczekiwania.

– *Żyj nam sto lat...* – mężczyzna zaintonował rzewną, rytmiczną melodię pieśni nadwoźzańskich burłaków. Jego silny, aksamitny bas dotarł do każdego kąta mimo braku mikrofonu. Po pierwszym wersie uderzył w membranę dwustronną pałeczką perkusyjną. BUM.

Żyj nam sto lat. BUM.

*Śmierć kroczy już ku tobie,
czeka w grobie.*

Żyj nam sto lat. BUM. Żyj nam sto lat.

Zgromadzeni, łącznie z Samuelem, z ochoczą radością podjęli posępną pieśń.

W knajpcie znajdowała się ponad setka ludzi, w większości muzyków. Wkrótce sala, niczym muszla koncertowa, rozbrzmiewała słowami śpiewanej na głosy absurdalnej piosenki.

Raz obudzona, muzyka już nie umilkła. Do bodhránu dołączyły gitary, bandzole, skrzypce i piszczałki. Kiedy jedna pieśń zamierała, ktoś wstawał, intonując kolejną, szybko podchwytywaną przez resztę gości.

Austin śpiewał przyjemnym tenorem. Tim nie dałby rady wydusić z siebie czystej nuty, nawet gdyby zależało od tego jego życie. Na szczęście przy takiej ilości gardeł nie miało to znaczenia. Ja śpiewałam, dopóki nie dostaliśmy naszej pizzy.

Wreszcie musiałam wstać, żeby dokupić sobie coś do picia, a gdy wróciłam, przy stoliku siedział już tylko Tim. Samuel pożyczył od kogoś gitarę i w drugim końcu sali wyśpiewywał wraz z innymi sprośną piosenkę biesiadną.

– No i zostaliśmy sami – zagaił Tim. – Twojego doktorka zagonili do grania, a Austin poszedł do auta po swoją gitarę.

– Jak już się rozśpiewa – kiwnęłam głową w stronę Samuela – nie może skończyć.

– Jesteście parą? – zapytał, obracając w ręku słoiczek z parmezanem.

Spojrzałam na Samuela, który sam śpiewał zwrotkę. Jego palce tańczyły po gryfie pożyczonej gitary, a twarz opromieniał szeroki uśmiech.

– Tak – odparłam, choć nie było to prawdą. I nigdy już nie będzie. Prościej skłamać, niż wyjaśniać nasze skomplikowane stosunki.

– Jest świetnym muzykiem – skomplementował Samuela Tim i dodał tak cicho, że w żadnym razie nie powinnam go usłyszeć: – Niektórzy mają wszystko.

– Słucham? – Nachyliłam się ku niemu.

– Austin też dobrze gra na gitarze – zmienił pospiesznie wersję. – Próbował mnie uczyć, ale mam drewniane ucho – przyznał obojętnie, choć napięta skóra wokół oczu znamionowała gorycz i zawiść.

Ciekawe, pomyślałam. Może udałoby mi się wykorzystać to do pociągnięcia Tima za język?

– Wiem, jak to jest – zwierzyłam się i łyknęłam ze szklanki. – Samuel praktycznie mnie wychowywał. – Tyle że był już wtedy od wieków dorosły. – Umiem brzdąknąć kilka nut na pianinie, jeśli ktoś mnie zmusi. Nawet mogę coś zaśpiewać. Ale ile bym nie ćwiczyła... – czyli prawie wcale – w życiu nie zrobię tego tak, jak on. A on w ogóle nie ćwiczył. – Doprawiłam swój ton nutą zazdrości. – Jemu wszystko przychodzi ot tak.

Zee zakazał mi sobie pomagać.

Wujek Mike powiedział, żebym trzymała się od tego z daleka.

Ale nikt nie mógł zarzucić mi potulności – wystarczyło spytać.

Tim popatrzył, jakby dopiero teraz mnie dostrzegł.

– No właśnie – potwierdził. I tu go miałam.

Pytanie, gdzie nauczył się walijskiego, uskrzydliło go na moich oczach.

Jak większość ludzi, którzy mają niewielu przyjaciół, okazał się odrobinę nieobyty towarzyszko, nadrabiał jednak bystrością

i humorem drzemiącym pod mędrkowatością. Zgaszony rozległą wiedzą oraz urokiem Samuela wycofał się i usztywnił, ale wystarczyło trochę zachęty, dwa piwa, a rozluźnił się i zaczął mnie czarować. Sama nie wiedząc kiedy, zapomniałam o prawdziwych pobudkach, oddając się gorącej dyskusji na temat legend arturiańskich.

– Historie te mają źródło na dworze Eleonory Akwitańskiej, gdzie były wykorzystywane, aby szerzyć ideały rycerskie – perorował żywo.

Ktoś na drugim końcu sali, obdarzony tubalnym głosem, wyśpiewał: „Kończy się już rejs, do portu znów wracamy.”[2]

– Jasne – prychnęłam. – Bo zdradzanie męża oraz najlepszego przyjaciela i szukanie prawdziwej miłości w cudzym łóżku to dwa filary etosu rycerskiego.

Tim nagrodził moją ripostę uśmiechem, ale musiał odczekać, aż przebrzmi gromkie: „Hey, haul away! Will haul away Joe!”

– Nie, ale dążenie do doskonałości i właściwe postępowanie, owszem.

„Już za kilka dni swą forszę przeahulamy”.

Musiałam się spieszyć, żeby zdążyć przed zwrotką.

– Bo doskonałość zapewniało sypianie z własną siostrą, a upadek Camelotu był konsekwencją właściwego postępowania.

„Hey, haul away! Will haul away Joe!”

Parsknął sfrustrowany.

– Legenda o Arturze nie jest ani jedyną, ani najważniejszą wśród podań arturiańskich. Jest wiele przypowieści o Parsifalu, Gawainie i innych.

– No dobrze – ustąpiłam. Czas uciekał, więc zaczęłam ignorować muzykę. – Niech ci będzie z tymi szlachetnymi uczynkami, ale obraz kobiet przedstawiany w tych opowieściach jest zgodny z wizją propagowaną przez średniowieczny Kościół. Kobiety zwodzą mężczyzn na manowce i zdradzają ich zaufanie. – Otworzył usta, jednak byłam w trakcie rozwijania myśli, więc nie przerwałam. – Ale tak naprawdę to nie ich wina, bo z natury są niedoskonałe. – Wiedziałam, że jest inaczej, lecz podpuszczałam go.

– To uproszczenie – zaprotestował żarliwie. – Może w tych późniejszych wersjach, bardziej rozpowszechnionych, rola kobiety

jest deprecjonowana, ale poczytaj sobie te pierwsze, Wolframa von Eschenbacha albo Hartmanna von Aue'ego. Tam są osobami z krwi i kości, a nie odbiciem ideałów propagowanych przez Kościół.

– W Eschenbachu owszem, co do Aue'ego nie zgodzę się. Jego „Iwein” opowiada o rycerzu, który uległ prośbom swej ukochanej żony i zrezygnował z bohaterskich czynów. Za to spotyka go kara. Dlatego, aby odzyskać honor, wyrusza w świat, aby ratować kobiety. Uh. Widzisz, bo oczywiście żadna z tych kobiet nie mogła uratować się sama. – Machnęłam ręką. – I nie możesz zaprzeczyć, że najwięcej wątków arturiańskich jest właśnie w legendzie o Arturze. Poślubia on najpiękniejszą kobietę, która zdradza go z jego najlepszym przyjacielem, co w konsekwencji przywodzi do upadku dwóch najszlachetniejszych rycerzy i cały Camelot. Zupełnie jak Ewa, która sprowadziła grzech na cały rodzaj ludzki. Wolę już Robin Hooda. Marion sama ratuje się z rąk Guya Gisbourne'a, ucieka do lasu, zabija jelenia i dzięki przebraniu nabiera Robina, że jest mężczyzną.

Tim roześmiał się nisko, przyjemnie. Dźwięk ten zaskoczył go chyba tak samo, jak i mnie.

– No dobra, poddaję się. Ginewra była ofiarą losu. – Jego uśmiech zgasł, kiedy spojrzał ponad moją głowę.

Samuel położył mi rękę na ramieniu i pochylił się.

– Wszystko w porządku?

Wychwyciwszy w głosie wilkołaka nutkę napięcia, zerknęłam na niego podejrzliwie.

– Przyszedłem, żebyś nie zanudziła się tu na śmierć – rzekł, nie spuszczając oczu z Tima.

– Niepotrzebnie. – Poklepałam go po ręku. – Idź sobie spokojnie pośpiewać.

Dopiero wtedy przeniósł wzrok na mnie.

– Naprawdę. Tim dotrzymuje mi towarzystwa, a ty nie masz wielu okazji, żeby sobie pograć z innymi muzykami. Idź – dodałam stanowczo.

Samuel nie był typem mężczyzny afiszującego się publicznie z uczuciami. Dlatego też zaskoczył mnie zupełnie, całując zmysłowo. Nie miałam wątpliwości, że z początku miał to być pokaz na użytek Tima. Założenia te jednak szybko wyparowały mu z

głowy.

Samuel powiedział kiedyś, że jedną z korzyści długowieczności jest masa czasu na doskonalenie umiejętności.

Pachniał jak Samuel. Czysto, świeżo i mimo że dawno nie był w Montanie, nadal pachniał domem. I dużo, dużo lepiej niż Timowa woda kolońska.

Ale... Ale.

Podczas dzisiejszej rozmowy z Honey wreszcie przyznałam, że mój związek z Samuelem nie ma racji bytu. To stwierdzenie rozstrzygało parę innych spraw.

Kochałam Samuela. Kochałam go całym sercem. Jednak nie zamierzałam spędzić z nim reszty życia. Nawet gdyby nie Adam, moja decyzja nie byłaby inna.

Dlaczego więc przyznanie tego zajęło mi tyle czasu?

Ponieważ Samuel mnie potrzebował. W trakcie tych kilkunastu lat pomiędzy moją ucieczką a minioną zimą, gdy spotkałam go ponownie, coś w nim pękło.

Psychika długo żyjących wilkołaków jest bardzo krucha. Wiele z nich popada w szaleństwo i stado zmuszone jest je zabić. Inne z rozpacz samy wybierają śmierć głodową – a wygłodniały wilkołak jest niezwykle niebezpieczny.

Samuel mówił i zachowywał się normalnie, lecz czasem odnosiłam wrażenie, że działa według wcześniej obranego scenariusza. Tak jakby myślał, że w danej sytuacji powinien poczuć to czy zachować się tak, ale reakcje te były odrobinę nieprzystające lub opóźnione. A po przemianie w kojota, kiedy miałam wyostrzone zmysły, czułam, że nie wszystko jest z nim w porządku.

Chyba po prostu bałam się spojrzeć prawdzie w oczy, bo to pociągało za sobą konieczność oznajmienia Samuelowi mojej decyzji. Na myśl o tym, że kiedy go odrzucę, on ukryje się gdzieś i umrze, paraliżował mnie strach.

Oddając pocałunek, włożyłam weń całą rozpacz i trwogę, które mną zawiądnęły.

Nie mogłam tak stracić Samuela.

Cofnął się z wyrazem zaskoczenia w oczach. Jako wilkołak bez trudu wyczuł echa mojego smutku. Poglądziłam go po policzku.

– Sam – szepnęłam.

Był dla mnie tak ważny, a ja miałam go utracić. Teraz albo niszcząc nasz związek latami buntowania się przeciw łagodnej, starannej trosce, którą by mnie otoczył.

Mimo zdziwienia na twarzy Samuela odmalowała się satysfakcja, która na dźwięk zdrobnienia przekształciła się w czułość.

– Wiesz dobrze, że tylko ty mnie tak nazywasz i tylko w chwilach szczególnej tkliwości – wymruczał. – O czym myślisz?

Samuel był czasem zbyt bystry.

– Idź, zagraj coś, Sam. – Popchnęłam go ku rozśpiewanej grupce. – Nic mi nie będzie. – Przynajmniej żywiłam taką nadzieję.

– No dobrze – rzekł czule, psując cały efekt tryumfalnym spojrzeniem adresowanym do Tima. – Pogadamy później. – Nie mógł powstrzymać się przed oznaczeniem swojego terytorium w obliczu innego mężczyzny.

Odwróciłam się do Tima z przepaszającym uśmiechem, który zamarł mi na ustach na widok malującego się w jego oczach poczucia zdrady. Co prawda szybko się opanował, ale domyśliłam się, co to oznacza.

Niech to diabli.

Dyskusję rozpoczęłam, kierując się nie do końca czystymi pobudkami, jednak wciągnęła mnie tak, że się zapomniałam. Inaczej byłabym ostrożniejsza. Nieczęsto miałam okazję odkurzyć i wykorzystać wiedzę zdobytą na studiach. Mimo to powinnam się zorientować, że ta rozmowa może znaczyć dla Tima więcej niż dla mnie.

Uznał, że z nim flirtuję, podczas gdy ja tylko dobrze się bawiłam. A osoby pokroju Tima, niezdarne, niezbyt cenione towarzysko, nie mają zbyt często okazji do flirtu. Brak doświadczenia sprawia, że trudno im trafnie ocenić sytuację.

Gdybym była piękna, może prędzej dostrzegłabym, na co się zanoszą, albo od początku zachowałabym większy dystans – może też i Tim bardziej by się pilnował. Jednakże moja mieszanka krwi, anglosasko-indiańska, nie dała tak atrakcyjnych rezultatów, jak w przypadku Darryla, którego ojciec pochodził z afrykańskiego plemienia, a matka była Chinką.

Odziedziczone po matce rysy nie prezentowały się najlepiej w kolorystyce jaśniejszych i ciemniejszych brązów, które przekazał

mi ojciec.

Tim nie był głupi. Jak większość odmiennych pod różnymi względami ludzi, pewnie już w podstawówce zaobserwował, że jeśli atrakcyjna osoba obdarza przeciętniaka szczególną uwagą, zwykle ma w tym jakiś ukryty cel.

Nie jestem piękną, ale też nie maskarą. Udaje mi się czasem nawet całkiem doczyścić, choć prze ważnie nie przykładam do tego tak wielkiej wagi. Co prawda na wyjście założyłam schludne ubranie, ale nie umalowałam się, a warkocz zaplotłam niedbale, tylko po to, by włosy nie wchodziły mi do oczu.

Nie ulegało też wątpliwości, że rozmowa sprawia mi szczerą przyjemność – na tyle dużą, że zapomniałam o planie wyciągnięcia jakichś informacji na temat Świetlanej Przyszłości.

Cały ten proces myślowy zajął mi tyle, co Timowi ukrycie rozczarowania i niechęci. Nie miało to jednak znaczenia. I tak zupełnie nie wiedziałam, jak wybrnąć z sytuacji, nie przysparzając chłopakowi przykrości, na którą przecież nie zasłużył.

Polubiłam go, do licha. Kiedy się rozkręcił – co wymagało trochę wysiłku z mojej strony – okazał się bystry, zabawny i gotów ustąpić pola dyskusji bez walki do upadłego – nawet jeśli moim zdaniem miał więcej racji niż ja. Pod tym względem na pewno mnie przewyższał.

– Trochę zaborczy, hm? – podsumował lekko, choć jego chłodna mina przeczyła tonowi.

– Nie jest zły, ale znamy się już bardzo długo – powiedziałam, nie przestając obracać w palcach okruchu zapieczonego sera, znalezione na blacie. – Wie, kiedy się świetnie bawię. – Choć kropla miodu dla jego ego. – Już dawno z nikim mi się tak nie rozmawiało. Chyba od liceum. – Nie mogłam wprost wyjaśnić, że nie flirtowałam z nim celowo; nie bez wprawiania w zakłopotanie i jego, i siebie. Wybrałam zawołany sposób, licząc, że zrozumie.

Uśmiechnął się, lecz jego oczy pozostały obojętne.

– Większość moich znajomych nie rozróżnia Troyes'a od Malory'ego.

– Nie czytałam nic de Troyes'a – przyznałam. – Chodziłam na wykłady z niemieckiej literatury średniowiecznej, a de Troyes był francuskim pisarzem.

Wzruszył ramionami... a potem westchnął.

– Słuchaj, przepraszam, nie mam zbyt nastroju. Jeden mój znajomy został wczoraj zamordowany. Nie jakiś bliski co prawda, ale nawet jak kogoś nie znasz za dobrze, to zawsze wstrząs. Austin przyprowadził mnie tutaj, żebym się trochę oderwał od ponurych myśli.

– Ten strażnik z rezerwatu? Znałeś go? – zapytałam, ważąc każde słowo. Mało prawdopodobne, żeby prasa wspomniała o moich powiązaniach z Zee, lecz nie zamierzałam kłamać. Nie chciałam zranić Tima jeszcze bardziej.

Przytaknęła.

– Był wrednym ciołkiem, fakt, ale nie zasłużył na śmierć.

– Słyszałam, że aresztowali jakiegoś nieczłowieka, którego o to podejrzewają. To straszne. Nie dziwię się, że się przejąłeś.

Przyjrzał mi się uważnie i skinął głową.

– Słuchaj, muszę poszukać Austina i zabrać go do domu. Dochodzi jedenasta, a on idzie na szóstą do pracy. Ale jeśli miałabyś ochotę, paru znajomych organizuje spotkanie we wtorek po południu, o szóstej. Pewnie będzie trochę dziwnie, bo zwykle spotykaliśmy się u O'Donnella. To taki jakby klub dyskusyjny. Rozmawiamy trochę o historii, o podaniach. Powinno ci się spodobać. – Zawahał się i dokończył szybko: – Należymy do lokalnej komórki inicjatywy obywatelskiej Światłana Przyszłość.

Odchyliłam się na oparcie.

– Sama nie wiem...

– Nie wysadzamy barów ani nic takiego – zapewnił. – Tylko dyskutujemy i korespondujemy z naszym kongresmenem... – uśmiechnął się nieznacznie, tym razem szczerze – i kongresmenką. Przeważnie zajmujemy się wyszukiwaniem informacji.

– To trochę do ciebie nie pasuje. No wiesz, znasz walijski i orientujesz się w mitologii, podaniach. Większość moich znajomych o takich zainteresowaniach należy raczej do grona...

– Entuzjastów nie ludzi – dopowiedział. – Spędzają wakacje w Nevadzie, chodzą do ichnich barów i płacą nieczłowieczym dziwkom, żeby choć przez chwilę poudawać, że sami są nie ludźmi.

– Nie za ostro ich oceniasz? – Uniosłam brwi.

– To idioci – prychnął. – Czytałaś kiedyś prawdziwe baśnie

Grimmów? Nieludzie nie są sarnookimi, dobrotliwymi ogrodnikami ani skrzatami, które z poświęceniem opiekują się osieroconymi dziećmi. Mieszkają w lasach, w domkach z piernika, a dzieci wabią podstępnie, po czym zjadają. Sprowadzają statki na skały, a potem topią ocalałych żeglarzy.

Ujrzałam w tym swoją szansę. Czy z niej skorzystać? Zinfiltrować tę grupę, starając się zdobyć informacje, które mogłyby pomóc Zee? Czy wycofać się, żeby nie zranić tego wrażliwego – i świetnie poinformowanego – człowieka.

Zee był moim przyjacielem i jeśli ktoś mu nie pomoże, umrze. Z tego, co wiedziałam, byłam jedynym ktosiem, który starał mu się pomóc.

– To tylko opowieści – powiedziałam, dozując odpowiednio niepewność.

– Tak jak i Biblia – rzekł poważnie. – I wszystkie książki historyczne. Te podania przekazywano sobie z ust do ust, żeby ostrzec ludzi niepiśmiennych. Opowiadano dzieciom, żeby uchronić je przed niebezpieczeństwem ze strony nie ludzi.

– Ale przecież nigdy nie było przypadku, żeby któryś z nie ludzi został skazany za wyrządzenie krzywdy człowiekowi, nigdy żaden nie miał sprawy w sądzie – zaprotestowałam, przytaczając oficjalne dane. – Przynajmniej przez te wszystkie lata, odkąd nie ludzie się ujawnili.

– Mają dobrych prawników – powiedział z przeświadczeniem. – No i są jeszcze te wszystkie podejrzone samobójstwa nie ludzi, którzy „nie mogli znieść przetrzymywania za żelaznymi kratami”.

Mówił przekonująco – i miał rację.

– Uwierz, nie ludzie nas nie kochają. Jesteśmy dla nich niczym. Aż do rozpowszechnienia się chrześcijaństwa, do czasów opanowania obróbki żelaza, byliśmy krótkowiecznym drobiazgiem, który szybko się mnożył. Potem staliśmy się krótkowiecznym niebezpiecznym drobiazgiem. Oni są potężni, Mercedes, dysponują mocą, dzięki której mogą robić rzeczy nie do uwierzenia. A wszystko to jest w legendach.

– To czemu nas nie pozabijali? – zapytałam. I nie było to czcze pytanie. Nieraz się nad tym zastanawiałam. Z tego, co mówił Zee, Szarzy Panowie posiadali ogromną moc. Jeśli żelazo i wiara

chrześcijańska były dla nich taką zmorą, to dlaczego nie wyeliminowali ludzi?

– Potrzebują nas. Nieludzie nie mogą mieć wiele dzieci, jeśli w ogóle mogą, w obrębie własnego gatunku. Muszą się z nami łączyć, żeby ich rasa nie wyginęła. – Położył dłonie na blacie. – Z tego powodu nienawidzą nas najbardziej. Są dumni, aroganccy, a to, że nie potrafią się bez nas obejść, budzi w nich nienawiść. Jeśli przestaniemy im być potrzebni, pozbędą się nas, jak my pozbywamy się szczurów i karaluchów.

Patrzyliśmy na siebie przez chwilę. Widać uznał, że mu uwierzyłam, bo wyjął długopis i niewielki notes, z którego wyrwał kartkę.

– W ten wtorek spotykamy się u mnie. Myślę, że powinnaś przyjść. Tu masz adres. – Wetknął mi świstek w dłoń.

W chwili, gdy nasze ręce się zetknęły, wyczułam zbliżającego się Samuela. Moment później objął mnie ramieniem.

– Dzięki za miłe towarzystwo – zwróciłam się do Tima. – To był naprawdę przyjemny wieczór. – Kiwnęłam mu głową na pożegnanie.

Samuel przyciągnął mnie bliżej, zanim zdjął rękę z mojego ramienia. Kiedy wychodziliśmy, szedł tuż za mną. Na parkingu otworzył mi drzwi samochodu i dopiero wsiadł za kierownicę.

To dziwne w jego przypadku milczenie mocno mnie zaniepokoiło.

Postanowiłam zagaic rozmowę, ale uciszył mnie gestem. Nie wydawał się rozwścieczony, co zaskoczyło mnie po wcześniejszej demonstracji przed Timem. Nie uczynił też nic w kierunku uruchomienia silnika.

– Kocham cię – oświadczył wreszcie z żalem.

– Wiem. – Mój żołądek zwinął się w węzeł, a sprawa Tima i Świetlanej Przyszłości natychmiast wyparowała mi z głowy. Nie chciałam przeprowadzać tej rozmowy teraz. Ani nigdy. – Ja też cię kocham. – Zabrzmiało to równie żałośnie, jak jego oświadczenie.

Rozprostował kark, aż strzeliły mu kręgi.

– To czemu nie drę teraz na strzepy tego bubka?

Przełknęłam nerwowo ślinę. To podchwytliwe pytanie? Jak brzmi właściwa odpowiedź?

– Hmm, bo nie jesteś wściekły? – zasugerowałam.

Grzmotnął pięścią w deskę rozdzielczą tak szybko, że nie dostrzegłam ruchu jego ręki. Gdyby kosztowny samochód Samuela nie był wykończony skórą, roztrzaskałby panel na kawałki.

Zaświtała mi w głowie myśl o jakimś ciętym komentarzu, lecz uznałam, że to niewłaściwy moment. Czegoś się nauczyłam, odkąd byłam nastolatką.

– Cóż, widocznie się myliłam. – Nie. Niczego się nie nauczyłam.

Powoli odwrócił głowę, wbijając we mnie lodowate spojrzenie.

– Śmiejesz się ze mnie?

Zakryłam usta dłonią, ale nie mogłam się powstrzymać. Trzęsłam się cała, bo naraz odpowiedź na jego wcześniejsze pytanie stała się oczywista. Równocześnie wyjaśniała, dlaczego ten brak morderczej wściekłości tak go zdenerwował. Podobnie jak ja, Samuel doznał tego wieczoru objawienia – i nie spodobało mu się to, co odkrył.

– Przepraszam – wychichotałam. – Fatalnie wyszło, co?

– O czym mówisz?

– Miałaś podstępny plan. Perfidnie wprosić się do mojego domu i małymi kroczkami w końcu mnie zbałamucić. Choć tak naprawdę nie zależy ci na uwiedzeniu. Chcesz się połasić, pobawić i podrażnić. – Uśmiechnęłam się szeroko, wiedząc, że wyczuwa moją ulgę. – Nie widzisz we mnie towarzyszki na całe życie; widzisz we mnie członka stada. I to cię wkurza.

Warknął coś ordynarnie, uruchamiając silnik – dobre staroangielskie słówko.

Zachichotałam i zaklął znowu.

Fakt, że nie widział we mnie partnerki, wiele wyjaśniał. Świadczył też o tym, że Bran, Marrok i ojciec Samuela, nie był wcale nieomylny, mimo że za takiego się miał i za takiego uważali go inni. Błędnie ocenił sytuację, a ja przy pierwszej okazji zamierzałam mu to wytknąć.

Zrozumiałam, dlaczego Samuel tak długo i z taką łatwością powstrzymywał się przed konfrontacją z Adamem. Przypisywałam to magii płynącej z faktu bycia jednym z najbardziej dominujących wilków na Ziemi. W rzeczywistości nie przysparzało mu to trudu, bo po prostu nie byłam tą jedyną. A ponieważ stojącemu wyżej w hierarchii Samuelowi brakowało woli walki, Adamowi także

opanowanie przychodziło łatwiej.

Samuel nie pragnął mnie bardziej niż ja jego – w każdym razie nie w ten sposób. Och, oczywiście czuliśmy pociąg fizyczny, iskrzyło między nami, i to bardzo. Czego z kolei nie potrafiłam zrozumieć.

– Hej, Sam, skoro nie jestem twoją wybranką, skąd ten żar, kiedy się całujemy? – Dlaczego po pierwszej fali ulgi poczułam urazę, że nie chce mnie na partnerkę życiową?

– Gdybym był człowiekiem, tak silny pociąg w zupełności by wystarczył – wyjaśnił. – Ale mojemu przekłętemu wilkowi zrobiło się ciebie żal i postanowił ustąpić.

– Słucham? – To już zupełnie nie miało dla mnie sensu.

Kiedy na mnie spojrzał, uzmysłowiłam sobie, że nadal jest zły. Wilk Samuela miał śnieżnobiałe oczy, które w ludzkiej twarzy wyglądały upiornie.

– Dlaczego nadal się wściekasz?

Zatrzymał się na poboczu i zapatrzył w światła pobliskiego hipermarketu.

– Wiem, że ojciec wkłada sporo wysiłku w przekonanie nowych wilkołaków, że człowiek i wilk tworzą jedność, ale to nie do końca prawda. Łatwiej żyć z takim przeświadczeniem i zwykle jest na tyle bliskie rzeczywistości, że nie ma to znaczenia. Ale wilcza i ludzka część różnią się, myślą inaczej.

– Aha. – To potrafiłam zrozumieć. Wielokroć zdarzało się, że mój instynkt kojota buntował się wobec konieczności uznanej przez ludzki umysł.

Przymknął powieki.

– Kiedy miałaś czternaście lat, pomyślałem, że jesteś skarbem, który mi z nieba spadł, a mój wilk cię zaakceptował. Musiałem tylko przekonać ciebie... i siebie. – Otworzył oczy i patrząc prosto w moje, pogładził mnie po policzku. – Prawdziwe połączenie nie wymaga aprobaty uczuciowej ze strony ludzkiej części. Wystarczy spojrzeć na mojego ojca. Gardzi swoją towarzyszką, jednakże wilk zdecydował, że dość już jego samotności. – Wzruszył ramionami. – Może miał rację, bo gdy umarła matka Charlesa, bałem się, że ojciec odejdzie za nią.

Miłość Brana do indiańskiej żony była legendarna. Pewnie dlatego właśnie, przynajmniej częściowo, aktualna partnerka

Marroka, Leah, miała lekkiego bzika.

– A więc to wilk wybiera towarzyszkę i pociąga za sobą człowieka bez względu na porywy serca?

– Nie jest tak źle – uśmiechnął się Samuel. – Z wyjątkiem sytuacji ojca, choć nawet on nie powiedział nigdy złego słowa o Leah. A tym bardziej nie pozwoliłby na to nikomu innemu. Ale nie mówimy o nim.

– Przecież napuściłeś na mnie swojego wilka – przypomniałam. – Kiedy miałam czternaście lat.

– Żeby zdążyć, zanim inny postanowi rościć sobie do ciebie prawo. Nie byłem w stadzie jedynym starym wilkołakiem. A dawniej małżeństwo z czternastolatką nie było niczym niezwykłym. Nie mogłem ryzykować utraty prawa pierwszeństwa. – Otworzył szybę, żeby przewietrzyć duszny samochód. Wraz z nocnym chłodem do środka wtoczył się hałas z autostrady. – Czekałem – wyszeptał. – Wiedziałem, że jesteś zbyt młoda, jednak... – Potrząsnął głową. – Twoje odejście było karą. I ja, i wilk o tym wiedzieliśmy. Lecz w trakcie jednej pełni znalazłem się w Portland. Aż tam dotarł wilk. Popęd... Przebyliśmy całą drogę do Teksasu, żeby sprawdzić, czy istnieje szansa na przypadkowe spotkanie. Gdyby nie odległość... Nie wiem, czy potrafiłbym pozwolić ci odejść.

A więc Bran miał jednak rację co do syna. Na widok rezygnacji na twarzy Samuela serce mi się krajało. Nakryłam dłonią jego rękę.

– Tak mi przykro.

– Niepotrzebnie. To nie twoja wina. – Wykrzywił się w bolesnym uśmiechu, nieomal miażdżąc mi dłoń w uścisku. – Zwykle wszystko układa się dobrze. Wilk jest cierpliwy, dostosowuje się. Przeważnie czeka, aż ludzka część zakocha się, i dopiero potem sam rozpoczyna gody. Czasami wiele lat po ugruntowaniu związku. Ja świadomie zabrałem się do tego od końca i w efekcie obudziłem bestię. To nie twoja wina – powtórzył. – Wiedziałem, co robię.

Odkrycie, jak nikłą wiedzę posiada się o czymś, w czym uważało się za eksperta, jest wybitnie niepokojące. Dorastałam wśród wilkołaków, a wszystko, co powiedział Samuel, było dla mnie nowością.

– I twój wilk teraz mnie nie chce? – Zabrzmiało to dość żałośnie.

Zdawałam sobie z tego sprawę i bez salwy śmiechu wilkołaka. – Palant! – Dałam mu kuksańca w bok.

– A myślałam, że jesteś ponad te babskie fochy – rzekł. – Nie chcesz mnie na towarzysza, Mercy, więc czemu czujesz się dotknięta, kiedy mój wilk uznaje w końcu porażkę?

Nie zdawał sobie sprawy, jak ewidentnie to ostatnie zdanie świadczy o ogromie jego bólu z powodu odrzucenia. Inaczej ugryzłby się w język. Podjąć tę kwestię czy lepiej przemilczeć?

Ha, może i grzebałam w silnikach, i rzadko się malowałam, ale byłam również kobietą – czas, by to okazać.

Szturchnęłam Samuela.

– Kocham cię.

Skrzyżował ramiona na piersiach, opierając się o drzwi, żeby mieć na mnie lepszy widok.

– Doprawdy?

– Tak. I nieziemsko całujesz. A gdyby twój ojciec się nie wtrącił, uciekłabym wtedy z tobą.

Uśmiech zszedł mu z twarzy i nie potrafiłam już odgadnąć, co czuje. Nie z pomocą oczu ani też nosa, który był pod tym względem wrażliwszy. Możliwe, że tak jak mną, targały Samem sprzeczne emocje.

– Ale zmieniłam się, Samuelu. Zbyt długo już jestem samodzielna, żeby teraz bez żalu zdać się na kogoś. Tamta dziewczynka wiedziała, że potrafisz stworzyć jej miejsce, do którego będzie przynależała. I tak byś zrobił. – Musiałam odpowiednio to wyrazić. – Jednak sama zadbałam o miejsce dla siebie i w trakcie tego procesu zmieniłam się w inną osobę. Z nową mną nie byłbyś szczęśliwy, Samuelu.

– Ale ja jestem z tobą szczęśliwy – zaprotestował.

– Ze mną jako towarzyszką doli i niedoli lokalowych. Towarzystką stada. Jako towarzyszka towarzyszka unieszczęśliwiłabym cię.

– Towarzystka towarzyszka? – zaśmiał się.

– Wiesz, o co mi chodzi. – Machnęłam zbywająco ręką.

– I jesteś zakochana w Adamie – dodał cicho, a potem w jego ton wkradła się nuta humoru. – Lepiej nie flirtuj przy nim z tym palantem Timem.

Zadarłam brodę; nie zamierzałam mieć wyrzutów sumienia. Nie rozumiałam swoich uczuć do Adama na tyle, by je dzisiaj omawiać.

– I może mnie kochasz, ale nie jesteś we mnie zakochany. – Uświadomiwszy to sobie, uśmiechnęłam się do Samuela. – Wilk nie wilk, nie kochasz się we mnie. Inaczej drażnienie się z Adamem nie wywoływałoby w tobie tego dreszczyku emocji.

– Nie drażniłem się z Adamem – obruszył się. – Zalecałem się do ciebie.

– Nieprawda. Dręczyłeś go.

– Właśnie, że nie. – Uruchomił silnik i ostro włączył się do ruchu.

– Jedziesz za szybko – wytknęłam z przekąsem.

Odwrócił się, żeby mnie usadzić, i w tym momencie z tyłu błysnął policyjny kogut.



Przestał się dąsać dopiero niedaleko domu.

– No dobra – odetchnął, przestając znęcać się nad kierownicą.

– Nie wiem, o co się tak ciskasz. Nie dostałeś nawet mandatu. Przekroczyłeś prędkość o ponad trzydzieści kilometrów, a skończyło się na ostrzeżeniu. Dobrze masz, że jesteś lekarzem.

Policjantka skojarzyła Samuela i od razu zrobiła się miła. Wywnioskowałam, że leczył jej brata po wypadku samochodowym.

– Mam kilku klientów wśród gliniarzy – mruknęłam. – Może jakbym z nimi poflirtowała...

– Nie flirtowałem z nią – burknął.

Rzadko dawał się tak łatwo podpuścić. Postanowiłam to wykorzystać.

– Ale ona z tobą, owszem – stwierdziłam przekornie, choć nic takiego nie miało miejsca.

– Nie flirtowała ze mną.

– Znowu jedziesz za szybko.

Warknął.

Poklepałam go po udzie.

– Widzisz? Zwariowałbyś ze mną.

Zwolnił po zjeździe do Kennewick, bo część trasy prowadziła między zabudowaniami.

– Jesteś wredna – oświadczył.
– Ty oskarżałeś mnie o flirtowanie z Timem – odcięłam się.
– Bo flirtowałaś – fuknął. – To, że nie rozszarpałem faceta, nie znaczy, że nie łowisz na niebezpiecznych wodach, Mercy. Gdyby na moim miejscu był Adam, twój Tim byłby już karmą dla rybek. Albo wilkołaków. I wcale nie żartuję.

Znów poklepałam go po udzie.

– Nie chciałam, żeby tak wyszło. – Westchnęłam. – Wciągnęłam się za bardzo w rozmowę. Powinnam być ostrożniejsza przy tak niedoświadczonym chłopcu.

– Chłopcu? Nie jest od ciebie wiele młodszy.

– Niektórzy późno dorastają. A wiesz, że Tim i jego kolega byli w domu O'Donnella niedługo przed morderstwem?

Zrelacjonowałam mu ze szczegółami całą historię od chwili, gdy Zee po mnie przyjechał, do momentu otrzymania karteczki od Tima. Jeśli coś pominęłam, to dlatego, że uznałam to za nieistotne. Świadomie zataiłam tylko podejrzewany związek Austina z jednym z napastników Jesse. Samuel może był mniej porywczy od Adama, ale zabiłby szczeniaki z absolutnie czystym sumieniem. W jego świecie nie podnosiło się ręki na kobietę. Sama myślałam nad odpowiednią nauczka, ale moja wersja nie zakładała niczyjej śmierci. Przynajmniej dopóki dadzą Jesse spokój.

Poza tym opowiedziałam wszystko co do joty. Zee i Wujek Mike zostawili mnie z tą sprawą na pastwę losu. No dobrze, zabronili mi się wtrącać, co sprowadzało się do tego samego. Dochodzenie prawdy bez wsparcia nie ludzi było jeszcze bardziej niebezpieczne niż w przypadku współpracy z ich strony, a Zee i tak się wściekł za wyjawienie wszystkiego obcym, więc jeden więcej czy mniej nie robił różnicy. Nadszedł moment porzucenia dyskrecji.

W ciągu kilku ostatnich, obfitujących w ciekawe wydarzenia (w sensie tych ze starej chińskiej klątwy: „Obyś żył w ciekawych czasach”) miesięcy, nauczyłam się, że jeśli robi się niebezpiecznie, ważne, by jak najwięcej osób wiedziało to, co ty. W ten sposób, jeśli dam się zabić, ktoś inny będzie miał większe szanse na znalezienie mojego mordercy.

Kończyłam moją opowieść już w domu, pijąc gorącą czekoladę.

– Masz wyjątkowy dar do wpadania w tarapaty – podsumował

Samuel. – Zdążyłem o tym zapomnieć, odkąd opuściłaś stado.

– To nie moja wina – zaprotestowałam gwałtownie.

– Może tak, może nie. – Westchnął. – Doszukiwanie się winnych nie ma chyba znaczenia w momencie, gdy siedzisz na środku rozgrzanej patelni. – Popatrzył na mnie zmartwiony. – Ale jak zwykle mówić mój ojciec, ty znajdujesz drogę na tę patelnię trochę zbyt często, jak na czysty zbieg okoliczności.

Zdusiłam w sobie dalsze protesty. Przez dziesięć lat żyłam sobie spokojnie na uboczu wilkołaczego stada (a i to tylko dlatego, że Adam stworzył to ubocze, osiadłszy po sąsiedzku na prośbę Marroka). I wszystko zaczęło się właśnie od kłopotów Adama. Zaciągnęłam dług wdzięczności wobec wampirów, żeby pomóc Adamowi. Spłacenie go wymagało zaciągnięcia kolejnego, tym razem u niełudzi.

Byłam zbyt zmęczona na kłótnie, rankiem czekała mnie praca, a tłumaczenia potrwałyby całą noc. Postanowiłam od razu wrócić do istoty rzeczy.

– No dobra, wobec tego, że znów siedzę na tej patelni, proszę cię o pomoc. – Połechtalam próżność Samuela. – Może wyjaśnisz mi, dlaczego ani Zee, ani Wujek Mike nie chcieli mówić, jakim cudem w ogródku za domem może znajdować się knieja, a w łazience cały wielki ocean? I co to może mieć wspólnego ze śmiercią O'Donnella?

Popatrzył na mnie spod oka.

– Daj spokój, widziałam, jak zareagowałeś, kiedy opowiadałam o rezerwacie. Na Boga, jesteś przecież Walińczykiem, więc wiesz dużo o niełudziach.

– Jesteś przecież Indianką – przedrzeźniał mnie. – Więc wiesz, jak tropić zwierzęta i rozpalić ognisko, pocierając patykami.

– Tak się składa, że wiem – oświadczyłam wyniośle. – Charles, inny Indianin, mnie tego nauczył.

Machnął ręką, parodiując mój gest.

– No dobra, dobra – zaśmiał się, ustępując. – Ale moje pochodzenie nie ma nic wspólnego z wiedzą o niełudziach.

– Tak? Wyjaśnij mi zatem ten wielki napis na twoim czole „Więc jednak!”, kiedy wspomniałam o lesie? – Skoro byłaś w Podgórzu, potwierdziłaś jedną z teorii ojca o tym, co niełudzie robią w swoich rezerwatach.

– To znaczy?

– Kiedy niełudzie zwrócili się do rządu o stworzenie rezerwatów, ojciec powiedział, że jego zdaniem to próba odnowienia sanktuariów podobnych do tych, które mieli niegdyś w Europie, zanim rozprzestrzeniło się chrześcijaństwo i ludzie zaczęli budować w tych miejscach kościoły, odzierając je z prastarych mocy. Niełudzie nie przywiązywali wagi do tego, co dzieje się z ich ostojami, bo magia istot pogańskich i tak lepiej działa w Podgórzu. Kiedy się ocknęli, było już za późno. Ojciec uważa, że ostatnie przejście do Podgórza zniknęło w połowie szesnastego wieku, odcinając niełudzi od potężnego źródła mocy.

– Postanowili stworzyć nowe sanktuaria – domyśliłam się.

– I ponownie odnaleźli drogę do Podgórza. – Wzruszył ramionami. – A jeśli chodzi o milczenie na temat morskiego stwora... Cóż, jeśli jest potężny i groźny... Lepiej nie mówić o takich istotach i nadawać im imion. To przyciąga ich uwagę.

Zastanowiłam się nad jego słowami.

– No dobrze, rozumiem, że chcą utrzymać w tajemnicy widoki na odzyskanie potężnej mocy. Co to ma jednak wspólnego ze znalezieniem mordercy O'Donnella? Czyżby strażnik się o tym dowiedział? Albo ukradł coś ważnego? A jeśli tak, to co?

Obrzucił mnie uważnym spojrzeniem.

– Nadal chcesz rozwiązać tę sprawę, mimo że Zee się tak zachował?

– A ty co byś zrobił, gdybym, chcąc cię ratować przed niesłusznym oskarżeniem, powiedziała prawnikowi, że jesteś synem Marroka?

– Ujawnienie morderstw w rezerwacie to chyba inny ciężar gatunkowy?

– Nie wiem. Powinnam zapytać jego albo Wujka Mike'a, zanim cokolwiek komukolwiek powiedziałam.

Zmarszczył brwi, ale nie kłócił się dalej.

– Hej, skoro jesteśmy już tylko przyjaciółmi i członkami stada, a nie potencjalnymi partnerami, mógłbyś dać mi pożyczkę na spłatę warsztatu? – Zee nie rzucał słów na wiatr. Jeśli zażądał przez adwokata natychmiastowej spłaty reszty zobowiązań, mówił poważnie. – Mogę ci oddawać ratami, tak jak jemu. Odzyskasz

wszystko w ciągu dziesięciu lat, z odsetkami.

– Na pewno da się coś załatwić – zgodził się Samuel, nie protestując przed zmianą tematu, jakby rozumiał, że nie mam ochoty roztrząsać dalej zachowania Zee i własnej głupoty. – Chętnie udzielię ci kredytu, podobnie jak ojciec, który jak wiesz, ma jeszcze większe możliwości. Jesteś wykończona. Może się położysz?

– Dobry pomysł – westchnęłam. Perspektywa snu brzmiała zachęcająco. Wstałam, stęknąwszy, gdy nadwerężone wczorajszym treningiem mięśnie zaprotestowały.

– Wyskoczę na minutkę – oznajmił odrobinę zbyt nonszalancko. Zaalarmowana, przystanąłam w drodze do sypialni.

– O nie, nigdzie nie pójdziesz.

– Proszę? – Uniósł wysoko brwi.

– Nie pójdziesz do Adama, żeby mu powiedzieć, że stracił konkurenta.

– Mercy. – Wstał, podszedł do mnie i ucałował w czoło. – Nie masz wpływu na to, co teraz zrobię. To sprawa między mną a Adamem.

Delikatnie zamknął za sobą drzwi, zostawiając mnie z przerażającą świadomością, że właśnie straciłam najlepszy argument obronny wobec Adama.

²Fragment piosenki „Haul away Joe”. Słowa: Łukasz „Kuka” Malcharek. Muzyka: trad. (przyp.tłum.).



Rozdział 8

W sypialni panował mrok, ale nie zawracałam sobie głowy zapalaniem światła. Ciemność należała teraz do moich najmniejszych zmartwień.

Od razu ruszyłam do łazienki wziąć gorący prysznic. Nim skończyła się ciepła woda, doszłam do dwóch ważnych wniosków. Po pierwsze, tej nocy miałam jeszcze Adama z głowy. W przeciwnym razie już czatowałyby pod drzwiami, a w sypialni nie było nikogo. Po drugie, w tej chwili nie mogłam zrobić nic ani w kwestii Adama, ani też w sprawie Zee, wobec czego mogłam spokojnie położyć się spać.

Rozczesałam włosy, podsuszyłam je porządnie i zaplotłam, żeby rano dały się rozplątać.

Podniosłam kołdrę, strącając leżący na niej kij. Zanim zamieszkał u mnie Samuel, sypiałam latem bez przykrycia, ale wilkołak podkręcał klimatyzację tak mocno, że w domu panował chłód, szczególnie nocą.

Wpełzłam do łóżka, naciągnęłam kołdrę pod brodę i zamknęłam oczy.

Skąd ten kij na pościeli?

Usiadłam gwałtownie, patrząc na podłogę. Nawet po ciemku rozpoznałam laskę, którą widziałam u O'Donnella. Zeskoczyłam z łóżka i uważając, żeby nie nadepnąć na kostur, włączyłam światło.

Szary sękacz leżał sobie niewinnie na brudnych skarpetkach i koszulce. Kucnęłam, dotykając go ostrożnie. Pod palcami poczułam twarde drewno. Żadnego promieniowania mocy, jakiego doznałam za pierwszym razem. Przez moment wydawał się zwykłym kijem, ale naraz wysłał iskrę magii, która szybko zamarła.

Znalazłszy komórkę, wybrałam numer, z którego dzwonił wcześniej Wujek Mike. Ktoś odebrał po dłuższej chwili.

– Telefon Wujka Mike’a – rozległ się obcy, dość ponury głos, ledwie słyszalny w kakofonii dźwięków muzyki heavymetalowej

i rumoru, jakby komuś spadła sterta naczyń. – Merde. Posprzątaj to. Słucham.

Uznałam, że ostatnie słowo było skierowane do mnie.

– Czy jest Wujek Mike? Tu Mercy. Proszę mu powiedzieć, że znalazłam coś ciekawego.

– Chwileczkę.

Usłyszałam kilka ostrych francuskich słów i wrzask:

– Wujek Mike! Telefon do ciebie!

Ktoś inny krzyknął:

– Wyrzućcie stąd tego trolla!

Po czym dobiegło mnie głębokie mruczenie:

– Chciałbym zobaczyć, jak wywalasz jakiegoś trolla. Zeżre ci paszczę i wypluję zęby.

Następnie w słuchawce zabrzmiał wesoły głos Wujka Mike'a:

– Wujek Mike przy telefonie, w czym mogę pomóc?

– Nie wiem – odparłam. – Mam tu laskę, sam –wiesz –którą. Ktoś zostawił mi ją na łóżku.

– Doprawdy? – przyciszył głos. – Masz ją?

– Co mam z nią zrobić?

– Co chcesz i co ci się uda – odrzekł dziwnym tonem, a potem dodał już swoim typowym, radosnym: – Spokojnie, wiem, o co ci chodzi. Zadzwoń gdzieś i dowiem się, co robić. Pewnie i tym razem ktoś ją odbierze. Za późno trochę na wizytę, więc może wystaw kostur przed dom. Nic się nie stanie, nawet jeśli nikt po niego nie przyjdzie. A jeśli zdecydują się go wziąć, to nie będą was budzili.

– Na pewno?

– Tak, słonko. A teraz wybacz, mam trolla na głowie. Wystaw go i tyle. – Przerwał połączenie.

Zarzuciłam coś na siebie i podniosłam kij. Samuel jeszcze nie wrócił, a w domu Adama paliły się światła. Przez chwilę przyglądałam się trzymanej w ręku lasce, dumając, kto i po co mi ją podrzucił, po czym oparłam podporę o nowiutki siding i wróciłam do łóżka.

Rankiem kostura nie było, a Samuel jeszcze spał. Miałam ochotę go obudzić, żeby dowiedzieć się, o czym rozmawiał z Adamem oraz czy widział kij, wracając do domu, ale zlitowałam się. Lekarze

oddziału ratunkowego mają dziwny układ dyżurów, a skoro nie obudził się, kiedy nad nim stałam, musiał naprawdę być zmęczony. Doszłam do wniosku, że i tak pewnie wszystko samo się wyjaśni.



Już z oddali dostrzegłam zaparkowany pod warsztatem samochód Adama. Stałam tak daleko, jak tylko się dało, po drugiej stronie placyku, na swoim zwykłym miejscu zresztą.

Na widok nadjeżdżającego Królika Adam wysiadł i oparty o drzwi swojego auta czekał, aż podejść.

Nigdy nie widziałam wymoczkowatego lub otyłego wilkołaka – są na to zbyt ruchliwe. Ale Adam, choć nie napakowany, wyróżniał się muskulaturą. Z natury był bledszy ode mnie, choć po lecie jego skóra zbrązowiała, natomiast króciutkie włosy miał nadal jaśniejsze kilka tonów niż moje. Przy wydatnych kościach policzkowych usta wydawały się odrobinę zbyt wąskie, lecz to nie ujmowało niczego jego urodzie. Nie wyglądał jak grecki bóg, ale do słowiańskiego można go było porównać z powodzeniem. Teraz te wąskie usta rozciągały się w ponurym grymasie.

Zbliżyłam się ostrożnie, żałując, że wiem, co powiedział mu Samuel. Już otwierałam usta, gdy moją uwagę przyciągnęła pewna zmiana w drzwiach do warsztatu. Zamki wydawały się nietknięte, ale obok nich pojawił się czarny panel klawiatury. Adam czekał w milczeniu, kiedy oglądałam lśniące guziczki.

Odwróciłam się do niego, zakładając ramiona na piersi.

Po dłuższej chwili obdarzył mnie uśmiechem uznania, choć w jego skupionych oczach nie zauważyłam rozbawienia.

– Nie chciałaś ochroniarzy – wyjaśnił.

– I dlatego, nie pytając mnie o zdanie, założyłeś alarm? – rzuciłam chłodno.

– To nie jakiś tam alarm – odrzekł poważnie. – Jak wiesz, zarabiam tym na życie. Na parkingu i w warsztacie są też kamery.

Nie zadałam sobie trudu omawiania kwestii włamania się do warsztatu. W końcu, jak sam powiedział, na co dzień zajmował się zabezpieczeniami.

– Czy zazwyczaj nie bierzesz przypadkiem rządowych zleceń

i większych zamówień? Mały warsztat samochodowy chyba nie leży w kręgu twoich zainteresowań biznesowych? Nawet jeśli ktoś by się tu włamał, to co? Przy wielkim szczęściu mógłby wynieść najwyżej pięćset dolarów. Chyba że chciałby ukraść skrzynię biegów do starego garbusa.

Zignorował mój sarkazm.

– Jeśli otworzysz drzwi bez wpisania kodu, włączy się alarm, który jest połączony z naszym biurem – wyrzucił z siebie szybko rzeczowym tonem, jakbym w ogóle nic nie powiedziała. – Masz dwie minuty, żeby go dezaktywować. Wtedy mój człowiek zadzwoni, żeby potwierdzić, że zrobiłaś to ty lub Gabriel. Jeśli nie wyłączysz sygnału, zawiadomią i mnie, i policję.

Dał mi czas na odpowiedź, więc uniosłam brwi. Wilkołaki są aroganckie. Przywykłam do tego, co nie znaczy, że uznawałam.

– Kod składa się z czterech cyfr – podjął. – To data urodzin Jesse, miesiąc i dzień. – Nie zapytał, czy wiem, kiedy urodziła się Jesse. Na szczęście wiedziałam. – Jeśli wstukasz datę swoich urodzin, włączy się cichy alarm. To na wypadek, gdybyś nie chciała mieszać w coś policji, więc przyjadą tylko moi ludzie.

– Nie potrzebuję alarmu. – Zgrzytnęłam zębami.

– Masz pięć kamer na placu i cztery w środku – ciągnął, lekceważąc mnie zupełnie. – Od osiemnastej do szóstej działają w trybie nocnym, co oznacza, że czujnik ruchu włącza nagrywanie, tylko gdy coś go wzbudzi. Jeśli chcesz, mogę to przestawić. Nagrywarka jest cyfrowa, trzeba więc co tydzień wymienić płytę. Przyślę ci dzisiaj kogoś, kto pokaże tobie i Gabrielowi, jak to zrobić.

– Przyślij, przyślij i niech zabierze to wszystko w diabły – oświadczyłam.

– Posłuchaj, Mercedes, i tak jestem na ciebie zły, nie przeciągaj struny.

A o cóż takiego mógł być zły?

– No patrz, to świetnie się składa, bo ja też jestem na ciebie zła – warknęłam. – Nie chcę tego ustrojstwa. – Machnęłam na kamery i panel.

Odepchnął się od samochodu i ruszył w moją stronę. Wiedziałam, że nie jest na tyle rozwścieczony, by mi zrobić krzywdę, mimo to cofałam się, aż poczułam za plecami ścianę warsztatu. Oparł ręce

za mną, ogradzając ramionami, i przybliżył się tak, że czułam jego oddech na twarzy.

Nikt nie mógłby powiedzieć, że Adam nie umie zastraszać ludzi.

– Może się mylę – zaczął chłodno. – Może Samuel źle cię zrozumiał i wcale nie grzebiesz w sprawie dotyczącej nieładzi, w dodatku bez wsparcia, a nawet zgody Wujka Mike’a i Zee, którzy w innym przypadku na pewno mieliby na ciebie oko.

Ciepło bijące od jego ciała nie powinno wywoływać u mnie tak przyjemnych wrażeń. Był rozzłoszczony, każdy mięsień miał napięty. Czułam się niczym przyparta przez masywny, rozgrzany głaz. Bardzo seksowny głaz.

– A może, Mercedes – syczał lodowato – nie spiknęłaś się wczoraj ze Świetlaną Przyszłością, grupą powiązaną z atakami na nieładzi, którzy cię obserwują i mogą być tym co najmniej zaniepokojeni, biorąc pod uwagę, że wypaplałaś masę rzeczy, które woleliby utrzymać w sekrecie. Na pewno będą zachwyceni wieścią, że wychłapałaś synowi Marroka wszystko, co wiesz na temat rezerwatu, a co powinnaś była zachować dla siebie.

– Umm – wymamrotałam.

– I przy dobrych wiatrach Pradawni nie są szczególnie skłonni do ustępstw, ale nawet oni zastanowią się, czy zrobić ci krzywdę przy mnie czy Samuelu. Mam nadzieję, że zdołasz przeżyć do czasu, aż któryś z nas tu dotrze. – Pochylił się i pocałował mnie siarczyście. Trwało to ułamek sekundy. Pocałunek był zaborczy, niemal brutalny. I zdecydowanie nie powinien wywołać we mnie przyspieszonego bicia serca. – Nie myśl też, że zapomniałem o wampirach, które mają równie dobry powód, żeby się na ciebie wściekać. – Pocałował mnie znowu.

W momencie, gdy jego wargi dotknęły moich, wiedziałam, że Samuel nie tylko przekazał Adamowi wszystko, co powiedziałam mu poprzedniej nocy, ale również poinformował go, że nie jest mną zainteresowany jako towarzyszką.

Nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo Adam się powstrzymywał, dopóki nie przestał mnie całować.

Kiedy się odsunął z zarumienioną twarzą, oddychał tak ciężko jak ja. Lewą ręką wystukał kod za moją głową.

– W środku masz instrukcję obsługi, leży koło kasy. Jeśli nie masz

ochoty jej czytać, mój pracownik odpowie na wszystkie twoje pytania. – Jego głos brzmiał chrapliwie, wiedziałam, że jest o włos od utraty kontroli. Powinnam poczuć ulgę, kiedy cofnął się i wsiadł do samochodu.

Nie poruszyłam się, dopóki warkot silnika nie ucichł w oddali.

Gdyby chciał mnie wziąć teraz, pod ścianą warsztatu, nie opierałabym się. Zrobiłabym wszystko, żeby poczuć dotyk Adama, żeby go zadowolić.

Adam przerażał mnie znacznie bardziej niż wampiry czy nawet nieludzie. To dlatego, że mógł mi odebrać coś więcej niż tylko życie. Adam był jedynym Alfą, jakiego znałam, włączając w to nawet Marroka, który mógł mnie skłonić do zrobienia czegoś wbrew własnej woli.

Trzykrotnie próbowałam, zanim udało mi się włożyć klucz do zamka.



W poniedziałki zawsze miałam najwięcej roboty, a ten, choć wypadał w Święto Pracy, nie był wyjątkiem. Moi klienci wiedzieli, że spędzam w warsztacie większość sobót i dni wolnych. Pracownik Adama, nie wilkołak, przyszedł krótko po lunchu. Pokazał mi i Gabrielowi, jak wymienić płytę DVD.

– Są lepsze niż taśmy – mówił z entuzjazmem dziecka, którego nie spodziewałabym się po pięćdziesięciolatku z tatuażami piechoty morskiej na ramionach. – Ludzie rzadko wymieniają taśmy na nowe, więc zapis staje się coraz mniej wyraźny. Albo nagrywają na tej samej kasecie, nie zdając sobie nawet sprawy, że wymazują jakiś ważny incydent. DVD są lepsze. Tych zwykłych nie da się nadpisać. Kiedy kończy się miejsce na jednej płycie, nagrywarka przerzuca się automatycznie na zapasową. Nagrywarka będzie się włączała tylko czasem w nocy, więc nie trzeba wymieniać płyt tak często. Pewnie wystarczy raz na tydzień. Ludzie zwykle robią to w poniedziałek albo w piątek. Pełne należy trzymać przez kilka miesięcy, potem można wyrzucić. Jeśli coś się zepsuje tutaj, proszę się nie martwić, szef wszystko nagrywa też zdalnie. – Nie ulegało wątpliwości, że technik kocha swoją pracę.

Udzieliwszy kilku dodatkowych wyjaśnień i zachwaliwszy system tak, żebyśmy byli zadowoleni i pewni posiadania najlepszego produktu, mężczyzna odjechał, radośnie machając nam na pożegnanie.

– Nie martw się – pocieszył mnie Gabriel. – Będę je wymieniał.

Wykazywał względem nowej zabawki taki entuzjazm jak technik.

– Dzięki – stwierdziłam kwaśno, myśląc o „zdalnym nagrywaniu”.

– Dobra, zajmij się tym, a ja powyżyzmam się na lince sprzęgła w tym passacie.

Później, w przerwie między klientami, pokazałam Gabrielowi, jak reperować kilka drobiazgów. Po skończeniu szkoły zamierzał iść co prawda na studia, ale chciał się nauczyć podstaw.

– Nie wyglądasz na zbyt uszczęśliwioną jak na osobę, która wydała właśnie masę kasy na system alarmowy – stwierdził. – Masz jakieś kłopoty, o których powinienem wiedzieć?

Odgarnęłam kosmyk sprzed oczu, niewątpliwie pozostawiając na twarzy smugę wszystkiego, czym w każdym calu pokryty był trzydziestoletni silnik, nad którym właśnie pracowałam.

– Nic, co by dotyczyło ciebie – odparłam po chwili. – Wiesz, że bym cię ostrzegła. Adam zdecydowanie przesadza.

Przesadzał, tak właśnie uznałam, przemyślawszy wszystko podczas porannej pracy. Tylko idiota uwierzy, że przyłączyłam się do Świetlanej Przyszłości, żeby wyrazić sprzeciw wobec nie ludzi – a miałam wrażenie, że głupota nie jest cechą, która pozwoliłaby nie ludziom przeżyć tyle czasu. Wystarczyło porozmawiać z Wujkiem Mikiem czy Zee (nawet jeśli był na mnie wściekły), żeby rozwiązać wątpliwości i dowiedzieć się, że nadal próbuję oczyścić Zee z zarzutów.

Może i posiadałam wiedzę niewygodną dla Pradawnych, ale jeśli chcieliby mnie zabić, już byłabym martwa.

Gabriel gwizdnął przez zęby.

– Ojciec Jesse zainstalował wszystko bez twojej wiedzy? To zakrawa na lekką obsesję. – Popatrzył na mnie z troską. – Hm, lubię go, Mercy, ale jeśli cię prześladowuje...

– Nie. – Zostawiłby mnie w spokoju, gdybym go odrzuciła. – Uważa, że ma powody. – Westchnęłam. Sprawy komplikowały się coraz bardziej. Nie chciałam mieszać w sprawę Gabriela.

– To ma coś wspólnego z aresztowaniem Zee? – Zaśmiał się na widok mojej miny. – Jesse wspominała wczoraj, że pewnie będziesz miała teraz sporo na głowie. To jasne, że Zee nikogo nie zamordował. – Przekonanie w głosie Gabriela pokazywało, jaki był jeszcze naiwny. Nie przyszłoby mu do głowy, że Zee nie zabił O'Donnella tylko dlatego, że ktoś go uprzedził.

– Adam boi się, że wsadzą głowę w paszczę lwa. I pewnie ma rację. – Tak naprawdę nie byłam zła na Hauptmana o ten system alarmowy. Sama nie mogłabym sobie pozwolić na taki wydatek, a pomysł wyglądał na sensowny.

Zawsze wpadam w złość, kiedy się boję, a Adam mnie przerażał. Tylko tak mogłam się bronić, żeby nie chodzić za nim jak piesek czekający na rozkazy pana. A nie zamierzałam być niczym pieskiem. Ani też, musiałam to przyznać, Adam tego nie chciał.

Oczywiście nie powiedziałam tego wszystkiego Gabrielowi.

– Wiem, że marudzę, przepraszam. Po prostu martwię się o Zee, a to zamieszanie z alarmem dało mi okazję, żeby dać upust nerwom.

– W porządku.

– Przyszedłeś pomóc mi z tym silnikiem czy tylko pogadać?

Gabriel spojrzał na samochód, nad którym pracowałam.

– To tam jest jakiś silnik?

– Gdzieś jest – westchnęłam. – Idź, zajmij się papierami. Zawołam cię w razie czego. Nie ma sensu, żebyśmy oboje się brudzili.

– Nie przeszkadza mi to.

Nigdy nie narzekał na robotę, bez względu na to, co kazałam mu robić.

– Spokojnie, dam sobie z tym radę sama.

Komórka zadzwoniła kwadrans później, nie chciałam umazać jej smarem, więc nie odebrałam. Wiadomość można było zostawić na skrzynce głosowej, a ja właśnie usiłowałam doczyścić silnik, żeby znaleźć przyczynę wycieku oleju.



Gabriel poszedł już do domu, kiedy tuż przed zamknięciem w progu warsztatu stanął Tony.

– Cześć, Mercy – przywitał mnie.

Tony był pół-Włochem, pół-Wenezuelczykiem i generalnie tym, kim akurat chciał być. Ze względu na umiejętności godne kameleona większość czasu pracował pod przykrywką. Kiedyś udawał kilkanaście lat młodszego ucznia w szkole w Kennewick, a Gabriel, który znał Tony’ego przez matkę pracującą w policyjnej dyspozytorni, w ogóle go nie skojarzył.

Tego dnia Tony był stuprocentowym gliniarzem. Oficjalna mina świadczyła zaś, że przyszedł w sprawach zawodowych. Poza tym nie przybył sam. Towarzyszyła mu wysoka kobieta w dzinsach i koszulce. Jedną ręką trzymała go pod ramię, drugą zaciskała na uprząży golden retrievera. Czasami psy zachowywały się wobec mnie dość kłopotliwie. Przypuszczam, że wyczuwały kojota. Ale goldeny są zbyt wesołe i przyjazne, żeby stanowiło to jakiś problem. Machnął do mnie ogonem i szczerknął cicho.

Czekoladowe loki kobiety sięgały za ramiona, a jej twarz nie wyróżniała się niczym, z wyjątkiem ciemnych okularów.

Była niewidoma i była nieczłowiekiem. Dziwnym zbiegiem okoliczności wpadłam ostatnio na ślepego nieczłowieka. Kobieta nie wyglądała na kogoś, kto mógłby przemienić się w ptaka, ale po mnie też nie było widać kojota.

Czekałam na falę mocy, jaką wyczułam od ptaszyska, lecz nic podobnego się nie wydarzyło. Wszystkimi zmysłami odbierałam kobietę taką, jaka przede mną stała.

Wytarłam spocone czoło ramieniem.

– Cześć, Tony, co słyhać?

– Mercedes, pozwól, że ci przedstawię – doktor Stacy Altman z katedry folklorystyki Uniwersytetu Oregońskiego. Jest naszym konsultantem w sprawie Zee Adelbertsmitera. Doktor Altman, to Mercedes Thompson, która bez wątpienia uścisnęłaby pani dłoń, gdyby jej nie była umazana smarem.

– Miło panią spotkać. – Ponownie.

– Panno Thompson – odezwała się. – Poprosiłam Tony’ego – poklepała go po ramieniu – o przedstawienie nas sobie. Rozumiem, że uważa pani, iż zatrzymany nie jest sprawcą, choć posiadał motyw, sposobność, nie mówiąc o tym, że znaleziono go w domu ofiary nad ciepłym jeszcze ciałem.

Wydełam wargi. Nie miałam pojęcia, jaką gierkę prowadzi, jednak nie zamierzałam pozwolić jej zrobić Zee.

– Owszem. Wiem, że jest niewinny, od nieczłowieka, który z nim wtedy był. Zee jest mądry, jeśli chciałby zabić O'Donnella, umiałby to zrobić tak, żeby nikt się nie dowiedział.

– Został zaskoczony. – Mówiła chłodno, wyraźnie, bez śladu jakiegokolwiek akcentu. – Sąsiad usłyszał odgłosy walki i zadzwonił na policję.

Uniosłam brew.

– Więc to tym bardziej nie Zee. Zee nie narobiłby hałasu, a nawet jeśli, zdążyłby uciec przed przyjazdem policji. Zee nie popełnia głupich błędów.

– W zasadzie – dorzucił Tony z lekkim uśmiechem – ten sąsiad zauważył podjeżdżający samochód Zee dopiero po tym, gdy usłyszał krzyki i nas wezwał.

Doktor w osobie nieczłowieka najwyraźniej nie znała tego faktu. Zacisnęła usta. Tony nie lubił panny Altman, w przeciwnym razie nie wykręciłby jej takiego numeru.

– Dlaczego tak usilnie stara się pani przypisać to Zee? – zapytałam. – Czy to nie policja jest od znalezienia winnego?

– A pani dlaczego tak go broni? – odcięła się. – Bo jest pani przyjacielem? Nie w smak mu chyba pani wysiłki.

– Bo tego nie zrobił – odparłam, udając zdziwienie. Po tym, jak zeszywniała, domyśliłam się, że równie łatwo wyprowadzić ją z równowagi, co Adama. – O co pani chodzi? Przecież to nie pani sprawa, że policja wykona trochę więcej pracy. Uważa pani, że nieczłowiek w garści jest lepszy od poszukiwań winnego w rezerwacie?

Twarz Altman stężała, a w powietrzu zaiskrzyła magia. A więc chciała zapobiec śledztwu na terenie rezerwatu. Jej zadanie polegało na dopilnowaniu szybkiego zakończenia sprawy – może Zee miał powiesić się w celi, oszczędzając w ten sposób głośnego procesu oraz dochodzenia, które oznaczało policję w rezerwacie. Była tu, żeby nikt się nie wtrącał i nie przeszkadzał.

Na przykład ja.

Przyjrzałam się jej spod oka.

– Objąłeś celę Zee dozorem? – zwróciłam się do Tony'ego. –

Wiesz, że nieludzie źle znoszą żelazne kraty.

Pokręcił głową, Altman zaś zacisnęła szczęki.

– Doktor Altman twierdzi, że jako gremlin pan Adelbertsmiter nie ma problemu z metalami. Ale jeśli uważasz, że powinienem, zrobię to.

– Będę ci wdzięczna. Bardzo się o niego martwię. – Nic nie mogło zapewnić Zee pełnego bezpieczeństwa, lecz nadzór utrudni Szarym Panom sprawę.

Tony bacznie obserwował naszą wymianę zdań. Jako dobry policjant na pewno wyczuł w dialogu ukryte treści. Prawdopodobnie wiedział nawet, że nie samobójstwem się martwię.

– Wspominała pani, że ma kilka pytań do Mercedes, doktor Altman? – podsunął ze zwodniczą łagodnością.

– Tak, oczywiście – przyznała. – Tutejsza policja żywi uznanie wobec pani wiedzy na temat nieludzi, ale nie umieli mi powiedzieć, jakie ma ona fundamenty poza długoletnią współpracą z panem Adelbertsmiterem.

Ach, więc próba dyskredytacji. Jeśli spodziewała się zbić mnie z pantafelku, czekało ją rozczarowanie. Każda kobieta mechanik umie się bronić przed tego rodzaju atakami.

Uśmiechnęłam się słodko.

– Ukończyłam studia na wydziale historii i sporo czytam, doktor Altman. Wiem na przykład, że gremliny nie istniały, dopóki Zee nie określił się tym mianem. A teraz, jeśli pani wybaczy, wrócę do pracy. Obiecałam skończyć dzisiaj naprawę tego samochodu. – Odwróciłam się, natychmiast potykając o leżącą na podłodze laskę.

Tony podtrzymał mnie za łokieć.

– Zwichnęłaś sobie nogę? – zatroskał się.

– Nie, nie, nic mi nie jest – uspokoiłam go, patrząc spod zmarszczonych brwi na kostur. – Lepiej już idź, zanim się usmarujesz.

– Spokojnie. Odrobina brudu robi wrażenie na żółtodziobach.

– Co się stało? – zapytała doktor Altman, jakby ślepotą naprawdę utrudniała jej zrozumienie, co dzieje się wokół. Co oczywiście nie było prawdą. Zauważyłam, że pies wpatruje się intensywnie w laskę. Może rzeczywiście pomagał jej widzieć?

– Potknęła się o laskę – wyjaśnił Tony. Podniósł przedmiot winny całego zamieszania i odłożył na kontuar. – Piękna robota – ocenił. – Co taki antyk robi na podłodze warsztatu, Mercy?

Żebym to ja wiedziała.

– To nie moje. Ktoś widocznie zapomniał. Postaram się zwrócić ją właścicielowi.

Tony przyjrzał się kosturowi.

– Wygląda na bardzo starą. Właściciel powinien się cieszyć z odzyskania zguby. I następnym razem lepiej jej pilnować. – W stwierdzeniu tym kryło się pytanie. Wątpiłam, czy doktor Altman je wychwyciła.

Nie wiedziałam, jak bardzo Tony wyczulony był na magię, jednak na pewno nie brakowało mu bystrości. Przesunął palcami po celtyckim grawerze.

Podchwyciłam jego wzrok, lekko kiwając głową. W innym wypadku ciągnąłby temat, aż w końcu nawet ślepy nieczłowiek zorientowałby się, że przedmiot budzi w nim nadmierne zainteresowanie.

– Powinien – potwierdziłam. – I mam nadzieję, że będzie.

Uśmiechnął się grzecznie.

– Jeśli nie ma pani więcej pytań, doktor Altman, pozwólmy Mercedes pracować. Przykro mi, że Zee nie akceptuje sposobu, w jaki chcesz go bronić, Mercedes, ale mam nadzieję, że nie zostanie skazany.

Albo zamordowany.

– Uważaj na siebie – rzuciłam zupełnie poważnie. Nie rób niczego głupiego, dodałam w myślach.

Uniósł brwi.

– Zawsze uważam, podobnie jak ty.

Wróciłam do roboty. Bez względu na obietnicę złożoną właścicielowi wiedziałam, że i tak nie zdołam naprawić samochodu dzisiaj. Zamknęłam maskę, umyłam ręce i sprawdziłam komórkę. Miałam dwa nieodebrane połączenia. Późniejsze od Tony’ego, który pewnie chciał mnie uprzedzić o wizycie. Drugiego numeru nie znałam, był zamiejskowy.

Kiedy nacisnęłam oddzwanianie, w słuchawce odezwał się Tad, syn Zee.

Tad był pierwszym moim pomocnikiem, dopóki nie poszedł na studia – podobnie jak zrobił Gabriel za rok czy dwa. W zasadzie to on mnie zatrudnił. Pracował sam, kiedy przyszedłam po pasek do Królika. To było zaraz po nieudanej rozmowie o pracę w liceum w Pasco. Potrzebowali trenera, a ja uważałam, że od nauczyciela historii powinni raczej wymagać wykształcenia historycznego. Pomogłam Tadowi, wtedy dziewięcioletniemu, z jakimś klientem. Wszystko miało miejsce krótko po śmierci jego matki, a Zee nie radził sobie dobrze ze stratą żony. Tad musiał mnie zatrudnić jeszcze trzykrotnie w tamtym miesiącu, nim ojciec ustąpił, pozwalając pracować w swoim warsztacie kobiecie i – jak w pierwszej chwili myślał – człowiekowi.

– Czemu nie odbierasz, Mercy? Próbuję się z tobą skontaktować od soboty. – Nie dał mi czasu na odpowiedź. – Wujek Mike powiedział, że tata został aresztowany pod zarzutem morderstwa. Wyciągnąłem z niego tylko tyle, że ma to związek z zabójstwami w rezerwacie i że Szarzy Panowie kazali mi zostać tu, gdzie jestem.

Tad podzielał moją niechęć i brak poszanowania wobec autorytetów. Prawdopodobnie miał już w ręku bilet na samolot.

– Nie przyjeżdżaj – powiedziałam po chwili gorączkowego namysłu. Szarzy Panowie potrzebowali kozła ofiarnego i nie obchodziło ich, kto nim będzie. Chcieli jak najszybciej załatwić sprawę, a każdy, kto wchodził im w drogę, narażał się na niebezpieczeństwo.

– Co się tam, u diabła, dzieje? Nikt mi nic nie mówi. – Wychwyciłam w głosie Tada frustrację. Czułam się podobnie.

Opowiedziałam mu wszystko, od prośby o pomoc w wytropieniu mordercy do wizyty ślepej kobiety przed momentem. Nie pominęłam też reakcji Zee na moje rozmowy z policją i prawnikiem. Ponieważ akurat mój wzrok padł na łaskę, dodałam także i to.

– To człowiek był mordercą w rezerwacie? Zaraz, zaraz. Ten O'Donnell, ten zabity, to taki śniady, niski facet? Thomas czy jakoś tak?

– Opis się zgadza, ale nie wiem, jak miał na imię.

– Mówiłem jej, że igra z ogniem – mówił Tad. – Cholera. Uważała, że to zabawne, bo on myślał, że robi jej łaskę, a ona tylko wodziła

go za nos. Bawił ją.

– Ją, czyli?

– Connorę... Bibliotekarkę z rezerwatu. Nie przepadała za ludźmi, a O'Donnell był prawdziwym palantem. Lubiła ich podpuszczać.

– Zabił ją, bo robiła go w balona? A co z resztą?

– Właśnie dlatego przestali go podejrzewać. Nie miał żadnych powiązań z drugą ofiarą. Poza tym Connora nie posiadała potężnej mocy, człowiek mógłby ją zabić, ale Hendrick...

– Hendrick?

– Ten od lasu. Był jednym z Łowczych. Jego śmierć wykluczała raczej z kręgu sprawców ludzi. Potrafił się bronić. – Usłyszałam trzask. – Przepraszam. Głupi telefon przewodowy. Ściągnąłem aparat z biurka. Czeka, czeka, kostur, mówisz? I tak sam się pojawia?

– Dokładnie.

– Możesz go opisać?

– Ponad metr długości, z drewna, trochę jakby powykręcany, szarawy. Ma srebrną nasadkę na końcu i srebrną rękojeść z celtyckimi znakami. Nie mam pojęcia, czemu ktoś mi go ciągle podrzuca.

– Nie sądzę, żeby ktokolwiek ci podrzucił kostur. Myślę, że sam za tobą chodzi.

– Co?

– Niektóre bardzo stare artefakty wykształciły sobie szczególne właściwości. Wiesz, moc rodzi moc i tak dalej. Pewne przedmioty, stworzone, kiedy nie ludzie byli znacznie potężniejsi niż teraz, stały się z czasem nieprzewidywalne. Potrafią wyczyniać rzeczy, których nie powinny robić.

– Jak wracanie do kogoś? Myślisz, że w domu O'Donnella też pojawiła się sama?

– Nie, na pewno nie. Kostur został stworzony dla prawdziwych przyjaciół nie ludzi. Pewnie trzyma się ciebie, bo chcesz pomóc tacie, podczas gdy wszyscy inni umyli ręce.

– A więc O'Donnell ją ukradł.

– Mercy... – Zakaszłał, jakby się zakrztusił. – Cholera, Mercy, nie mogę ci powiedzieć. Tabu. *Geis*, jak mówi Wujek Mike. Ma chronić nie ludzi, mnie, ciebie...

– Czy ma to coś wspólnego z sytuacją twojego ojca? – Zastanowiłam się. – Z kosturem? Czy skradziono inne rzeczy? Czy ktokolwiek może o tym mówić? Tak, żebym mogła zadzwonić i zapytać?

– Posłuchaj – powiedział powoli, jakby sprawdzał, czy *geis* go powstrzyma. – W pasażu handlowym Uptown Mall w Richland jest antykwariat. Spróbuj pogadać z jego właścicielem. Może będzie w stanie pomóc ci w zdobyciu informacji o kosturze. Tylko powiedz, że to ja cię przysyłam. I poczekaj, aż będziesz z nim sam na sam.

– Dziękuję.

– Nie, Mercy, to ja ci dziękuję. – Urwał, a potem przez chwilę brzmiał trochę jak dziewięciolatek, którego poznałam w warsztacie.

– Boję się, Mercy. Chcą, żeby wziął na siebie winę, prawda?

– Taki pewnie był plan. Ale chyba już na to za późno. Policja nie wierzy w jego pozorną winę i znaleźliśmy twojemu ojcu świętego prawnika. Zamierzam też pogrzebać trochę w innych sprawach O'Donnella.

– Rany, Mercy – powiedział cicho. – Stawiasz się Szarym Panom? Wiesz, kim jest ta ślepa kobieta, prawda? I wiesz, że ma przypilnować, żeby wszystko poszło gładko i po ich myśli?

– Nieludziom jest obojętne, kto zostanie skazany. W momencie, gdy okazało się, że to nieczłowiek zabił O'Donnella, przestało im zależeć na schwytaniu prawdziwego mordercy. Teraz chcą tylko kozła ofiarnego, który weźmie na siebie winę, żeby władze przestały się zajmować sprawą. Wtedy dopiero po cichu zapolują na prawdziwego mordercę.

– I mimo że ojciec zrobił wszystko, co w jego mocy, żeby cię zniechęcić, ty nie zamierzasz się poddać?

Oczywiście. Oczywiście.

– On tylko stara się mnie trzymać od tego z daleka – wyszeptałam. Po drugiej stronie zapadła cisza.

– Nie żartuj, naprawdę uwierzyłaś, że jest na ciebie wściekły? – odezwał się Tad po chwili.

– Kazał mi natychmiast spłacić całość za warsztat – powiedziałam, czując, jak węzeł w brzuchu rozluźnia się powoli. Zee wiedział, co zrobią nieładzie, i chciał mnie ochronić.

Jak on to ujął? „Lepiej dla niej, żebym stąd nie wyszedł”.

Bo wyciągając go z więzienia, narażę się na gniew Szarych Panów.

– Nic dziwnego. Ojciec jest przemądry i stary jak świat, ale czuje irracjonalny lęk przed Szarymi Panami. Wierzy, że są nie do powstrzymania. Kiedy wyczuł, skąd wieje wiatr, od razu postarał się, żeby trzymać przyjaciół z daleka.

– Tad, zostań na uczelni – poprosiłam. – Nie pomożesz mi, a sam wpadniesz w tarapaty. Nade mną Szarzy Panowie nie mają władzy.

– Chciałbym widzieć, jak im to mówisz prosto w twarz – prychnął. – Z tym że bardziej chcę widzieć cię całą i zdrową.

– Jeśli tu przyjedziesz, zabiją cię, a to na pewno nie pomoże twojemu ojcu. Wyrzuć bilet, a ja się wszystkim zajmę. Nie jestem sama. Adam wie, co jest grane.

Tad bardzo cenił Adama. I jak przypuszczałam, poruszyłam właściwą strunę.

– No dobrze, zostanę. Na razie. Sprawdzę, czy mogę ci choć trochę pomóc. Zobaczymy, jak działa to tabu, które nałożył na mnie Wujek Mike.

Zamilkł, zastanawiając się, co powiedzieć.

– Dobra. Mogę chyba pogadać z Nemanem.

– Z kim?

– Wujek Mike wspominał o Czarnowronie, pamiętasz? Raczej nie miał na myśli niewielkiego ptaka, który żyje na Wyspach Brytyjskich, tylko tę Czarnowronę.

– Tak, trzy białe pióra na głowie zdawały się mieć jakieś znaczenie.

– W takim razie to Neman – stwierdził z satysfakcją.

– To dobrze?

– Bardzo dobrze. Niektórzy Szarzy Panowie natychmiast zabraliby się do zabijania i robili to, póki problem nie zniknie. Neman jest inna

– Nie lubi zabijać?

– Czasem jesteś taka naiwna – westchnął. – Nie znam Pradawnego, który nie lubowałby się choć trochę w rozlewie krwi. Neman jest jednym z aspektów Morrigan, celtyckiej bogini wojny. Do jej zadań należało między innymi zadawanie śmiertelnego ciosu umierającym po bitwie bohaterom, by zakończyć ich cierpienia.

– Nie brzmi to pocieszająco – wymamrotałam.

Mimo to Tad usłyszał.

– Dawni wojownicy posiadali szczególny kodeks honorowy, Mercy. Bezsensowną śmierć lub śmierć w złej sprawie traktowali jako ujmę.

– A więc nie będzie chciała zabić twojego ojca – stwierdziłam.

– Nie będzie chciała zabić ciebie – sprostował łagodnie. – Obawiam się, że ojciec mieści się na liście dopuszczalnych strat.

– Postaram się to zmienić.

– Idź po tę książkę. – Zakasłał. – Głupi *geis* – warknął gniewnie. – Jeśli stracę przez to ojca, porozmawiam sobie poważnie z Wujkiem Mikiem. Zdobądź książkę, Mercy, zobacz, czy nie znajdziesz tam czegoś, co dałoby ci kartę przetargową.

– Zostaniesz na uczelni?

– Do piątku, owszem. Jeśli do tego czasu nie będzie jakiegoś przełomu, wracam do domu.

Już miałam zaprotestować, ale tylko się pożegnałam. W końcu Zee był jego ojcem – i tak miałam szczęście, że zgodził się nie wracać aż do piątku.



Uptown Mall jest skupiskiem budynków połączonych w jeden pasaż handlowy. Można tam znaleźć wszystko, od cukierni i sklepików instytucji charytatywnych poprzez bary, restauracje, a nawet sklep z artykułami dla zwierząt. Bez trudu odnalazłam antykwariat.

Byłam w nim raz czy dwa, jednak odkąd mój gust czytelniczy od pięknie wydanych dzieł zwrócił się bardziej w stronę popularnych czytań, przestałam tam zaglądać. Udało mi się zaparkować przed samym sklepem, obok miejsca dla niepełnosprawnych.

W pierwszej chwili myślałam, że antykwariat jest już zamknięty. Minęła szósta, a z zewnątrz sklep wydawał się opustoszały. Ale drzwi ustąpiły łatwo przy wtórze dźwięków dzwonka.

– Już idę, już idę – zawołał ktoś z zaplecza.

– Proszę się nie spieszyć – odpowiedziałam. Wciągnęłam głęboko powietrze, sprawdzając, co powie mi nos, lecz wokół nagromadziło się zbyt wiele woni; nic tak nie chłonie zapachu jak papier. Udało

mi się rozróżnić papierosy, różne gatunki tytoniu fajkowego i zwietrzałe perfumy.

Wysoki mężczyzna, który wyłonił się zza regałów, miał pomiędzy trzydzieści pięć a pięćdziesiąt lat i włosy mieniające się odcieniami złota i srebra. Radosny, na widok obcego klienta przybrał bardziej zawodowy wyraz twarzy.

– Czym mogę służyć?

– Mój przyjaciel, Tad Adelbertsmiter, powiedział, że może mi pan pomóc. – Pokazałam laskę, którą trzymałam w ręku.

Przyjrząwszy się jej uważnie, poblądł i spoważniał.

– Chwileczkę – powiedział. Przekręcił klucz w zamku, odwrócił wywieszkę na stronę „Zamknięte” i opuścił rolety.

– Kim jesteś?

– Nazywam się Mercedes Thompson.

Obrzucił mnie baczным spojrzeniem.

– Nie jesteś nieczłowiekiem.

Pokręciłam głową.

– Jestem mechanikiem samochodowym.

W oczach mężczyzny błysnęła iskierka zrozumienia.

– Jesteś podopieczną Zee?

– Tak.

– Mogę? – Wyciągnął rękę po laskę.

Zignorowałam jego gest.

– Jesteś nieczłowiekiem?

Jego twarz ściągnęła się, co samo w sobie stanowiło odpowiedź.

– Pradawni nie uznają mnie za swego – rzucił ostro. – Ale moja babka nim była. W moich żyłach płynie wystarczająco dużo krwi nieczłowieka, żeby używać magii dotyku.

– Magii dotyku?

– No wiesz, dotykam przedmiotu i mogę określić jego wiek oraz właściciela. Coś w tym stylu.

Podaliśmy mu kij.

Przytrzymał go i dłuższą chwilę oglądał. Wreszcie zwrócił, kręcąc głową.

– Nie widziałem wcześniej tego kostura, ale słyszałem o nim. To jeden ze skarbów niełudzi. Cenna rzecz.

– Może dla pasterza – prychnęłam.

– Owszem, to ten sam. – Zaśmiał się. – Czasami jednak bardzo stare artefakty wyczyniają niespodziewane rzeczy. W każdym razie nieludzie nie potrafią już posługiwać się magią potrzebną do ich wytwarzania ani zaklinać przedmiotów, dlatego każdego, jaki im pozostał, strzegą jak skarbu.

– Tad twierdził, że możesz mi coś o nim powiedzieć. Co miał na myśli?

– Skoro znasz historię o pasterzu, wiesz tyle co ja. – Potrząsnął głową.

– A co wyczułeś, gdy dotknąłeś kostura?

– Zupełnie nic. – Roześmiał się. – Moja moc działa tylko na niemagiczne przedmioty. Chciałem po prostu wziąć go do ręki. – Zawiesił głos. – Tad powiedział ci, że mogę znaleźć jakieś informacje o tej rzeczy? – Popatrzył na mnie ostrzej. – Ale to nie ma nic wspólnego z kłopotami jego ojca? Nie, oczywiście, że nie. Ach – uśmiechnął się przebiegle – już wiem, dlaczego Tad cię tu przysłał. Sprytny chłopak. Chodź ze mną.

Zaprowadził mnie do niewielkiej wnęki obstawionej oszklonymi, zamykanymi szafkami.

– Tutaj trzymam najcenniejsze zbiory. Sygnowane egzemplarze i stare wydania. – Przysunął stół, wspiął się na niego i otworzył najwyższą szafkę, prawie pustą, pewnie ze względu na trudny dostęp.

Wyciągnął księgę oprawioną w jasną skórę tłoczoną złotymi literami.

– Pewnie nie masz przy sobie półtora tysiąca dolarów, żeby ją kupić?

Aż zaschło mi w gardle.

– Nie, nie mam. Ale może uda mi się zdobyć pieniądze za kilka dni...

Potrząsnął głową, podając mi wolumin.

– Spokojnie. Tylko uważaj na nią i przynieś, kiedy skończysz. Leży tu od pięciu czy sześciu lat, więc nie przypuszczam, że nagle w tym tygodniu trafi mi się kupiec.

Wzięłam tomiszczę ostrożnie. Nie przywykłam trzymać w rękach ksiąg wartych więcej niż mój samochód (nie żeby te dwie rzeczy leżały blisko na skali porównawczej). Wypisany na grzbiecie

i okładce tytuł brzmiał „Zrodzone z magii”.

– Wypożyczam ci tę księgę – rzekł, uważnie dobierając słowa – ponieważ zawiera pewne informacje na temat tego kostura... – Zawiesił głos i dokończył znaczącym tonem: – Oraz innych, nie mniej interesujących rzeczy.

Jeśli kostur został skradziony, może jakieś inne przedmioty także? Przytuliłam księgę do piersi.

– Zee jest moim przyjacielem. – Zamknął szafkę, zszedł ze stołka i odstawił go na miejsce. Później, pozornie bez związku i tym razem z wystudiowaną obojętnością, dodał: – Wiesz oczywiście, że są sprawy, o których nie wolno nam rozmawiać. Ale w tej księdze znajdziesz historię kostura. Powinnaś zacząć właśnie od niej. To chyba rozdział piąty.

– Rozumiem. – Pomagał mi, jak mógł, nie łamiąc tabu.

Odprowadził mnie do drzwi.

– Pilnuj tego kostura.

– Za każdym razem go zwracam.

Odwrócił się i, nie spuszczać wzroku z laski, szedł przez chwilę tyłem.

– Niesamowite. – Zaśmiał się, potrząsnął głową i pokonał resztę drogi do wyjścia. – Te stare artefakty zdają się czasem mieć własną wolę.

Otworzył mi drzwi. Zawahałam się w progu. Gdyby nie był po części nieczłowiekiem, podziękowałabym, ale uznanie długu wobec nieczłowieka miawało nieprzewidziane konsekwencje. Dlatego wręczyłam antykwariuszowi tylko jedną z wizytówek, które zrobił dla mnie Gabriel.

– Gdybyś miał problemy z samochodem, wpadnij. Generalnie zajmuję się niemieckimi autami, ale z resztą też sobie nieźle radzę.

– Zapamiętam. – Uśmiechnął się. – Powodzenia.



Po powrocie do domu nie zastałam Samuela. Zostawił karteczkę, że jest w pracy, a jedzenie w lodówce.

Znalazłam pojemnik z paroma enchiladami, zjadłam kolację, nakarmiłam Medeę, umyłam porządnie ręce i dopiero zabrałam

księgę do salonu.

Nie spodziewałam się wielkiego napisu „Ten to a ten zabił O'Donnella” na pierwszej stronie, ale na pewno doceniłabym, gdyby każda z sześciuset stron nie została zapisana ręcznie wyblakłym atramentem. Cóż, przynajmniej była po angielsku.

Półtorej godziny później musiałam przerwać, żeby dać odpocząć zmęczonym oczom.

Udało mi się przebrnąć przez kilka stron piątego rozdziału, czyli trzy historie. Pierwsza opowiadała o kosturze nieco dokładniej niż ta, którą znalazłam w Internecie. Zawierała też szczegółowy opis przedmiotu. Wyglądało na to, że autor książki był nieczłowiekiem, tak więc po raz pierwszy, z tego, co wiedziałam, miałam okazję czytać opowieść z punktu widzenia nieczłowieka.

Wydawało się, że cały piąty rozdział składa się z historii o artefaktach podobnych kosturowi – darach nie ludzi. Skoro O'Donnell ukradł kostur, może także i inne rzeczy? Może jemu zabrał je z kolei morderca?

Zaniosłam księgę do sypialni i zamknęłam w szafce na broń. Nie była to najlepsza kryjówka na świecie, ale stanowiła jakieś zabezpieczenie, przynajmniej na okoliczność przypadkowego złodzieja.

Myjąc naczynia, myślałam o księdze. Nie tyle o jej treści, ile o tym, co Tad próbował mi w związku z nią przekazać.

Antykwariusz mówił, że przedmioty podobne kosturowi Pradawni traktują jak skarby bez względu na to, czy ich moc jest jeszcze przydatna w nowożytnym świecie.

Potrafiłam to zrozumieć. Dla kogoś, kto stracił większość mocy, taki artefakt stanowił wspomnienie dawnej potęgi. Posiadając spis magicznych przedmiotów, Szarzy Panowie mogli mieć na nie oko i obdarzać nimi według woli. Ale nie ludzie byli bardzo skryci. Trudno sobie wyobrazić, że zrobiliby listę potężnych artefaktów i puścili w obieg.

Dorastałam w Montanie, gdzie stara niezarejestrowana strzelba miała wyższą wartość niż nowa broń, której właściciela łatwo było namierzyć. Nie żeby posiadacze nielegalnej broni w Montanie zamierzali popełniać z jej pomocą zbrodnie – po prostu nie podobała im się myśl, że rząd śledzi każdy ich ruch.

Co więc, jeśli... Co, jeśli O'Donnell ukradł kilka artefaktów i nikt nie wiedział, gdzie one są lub czym są. Jakiś nieczłowiek mógł dojść, że złodziejem jest O'Donnell. Ktoś, kto miał taki nos jak ja albo najzwyczajniej przyuważył strażnika, albo szedł za nim do domu. Taki nieczłowiek mógłby zabić O'Donnella, aby przywłaszczyć sobie te przedmioty.

Może zabójca, wiedząc, że Szarzy Panowie ucieszą się z podanego na tacy winnego, tak wycyrklował wszystko, żeby Zee został złapany?

Gdyby udało mi się znaleźć mordercę oraz skradzione przedmioty, mogłabym użyć ich jako karty przetargowej na rzecz zapewnienia Zee bezpieczeństwa i wolności.

Rozumiałam znaczenie kostura dla nie ludzi, ale czym był on dla O'Donnella? Może nie wiedział nawet, co to jest? Jednakże musiał mieć choć blade pojęcie, inaczej dlaczego w ogóle by go ukradł? Może zamierzał odsprzedać nie ludziom? Z drugiej strony ktoś, kto tak długo przebywał między nie ludźmi, wiedziałby dobrze, że kradzież i wymuszanie nie zagwarantują mu długiego życia.

Ale właśnie tak to wyglądało – O'Donnell nie żył.

Ktoś zapukał do drzwi – a nie słyszałam silnika na podjeździe. Jakiś wilkołak, który przyszedł piechotą z domu Adama? Wciągnęłam nosem powietrze, lecz drzwi skutecznie blokowały wszelkie zapachy z zewnątrz.

Otworzyłam. Na ganku stała doktor Altman. Nie miała ze sobą psa przewodnika, a pod domem nie stał żaden obcy samochód. Może przyleciała na skrzydłach?

– Przyszłaś po kostur? – zapytałam, rezygnując z oficjalnej formy.
– Proszę bardzo, weź go sobie.

– Mogę wejść?

Zawahałam się. Byłam przekonana, że te hece z progiem działają tylko na wampiry, ale skoro nie...

Nemane uśmiechnęła się lekko, przekraczając próg.

– No dobrze. Wejdz. – Chwyciłam kostur i podałam jej.

– Dlaczego to robisz?

Udałam, że opacznie rozumiem pytanie.

– Nie należy do mnie. A owiec nie hoduję.

Rzuciła mi poirytowane spojrzenie.

– Nie mówię o kosturze. Pytam, czemu wsadzasz nos w sprawy nieładzi. Deprecjonujesz wagę mojej opinii jako konsultanta policyjnego, a to w dłuższej perspektywie może się źle skończyć. Mam zadanie dbać o bezpieczeństwo ludzi. Nie znasz wszystkich faktów, możesz sobie napisać więcej biedy, niż się spodziewasz.

Nie udało mi się powstrzymać. Wybuchłam śmiechem.

– Obie doskonale wiemy, że Zee nie zabił O'Donnella. Ja tylko postarałam się, żeby policja sprawdziła, czy ktoś inny nie jest w to zamieszany. Nie zwykłam przyglądać się spokojnie, kiedy ktoś kręci stryczek na mojego przyjaciela.

– Szarzy Panowie nie pozwolą, aby ktoś taki jak ty wiedział o nas zbyt dużo. – Napięcie, które usztywniało ramiona Nemane, naraz zniknęło. Pewnym krokiem przemierzyła salon i zapadła się w głębokim fotelu Samuela.

Gdy podjęła, jej głos nabrał melodyjnych tonów celtyckiej mowy.

– Zee jest starym tetrykiem, ale i ja darzę go sympatią. Co więcej, nie pozostało wśród nas wielu posiadających błogosławieństwo żelaza, by tak beztrako się ich pozbywać. W innych okolicznościach dostałabym wolną rękę, żeby wszelkimi sposobami go ocalić. Jednakże ujawnienie się wilkołaków wywołało ponowną falę strachu, a nie możemy dopuścić do jej spiętrzenia. Szybkie zamknięcie sprawy, przy założeniu, że policja nie ujawni wszystkich szczegółów śmierci ofiary, pozwoli uniknąć burzy. Zee to rozumie. W świetle posiadanej wiedzy powinnaś dostrzec, że czasami zachodzi konieczność poświęcenia jednostki dla dobra większości.

Zee gotów był ponieść tę ofiarę. Chciał mnie odstręczyć tak, abym porzuciła go na pastwę losu, bo wiedział, że w innym wypadku nigdy się nie poddam i nie pozwolę mu się poświęcić, nie bacząc na konsekwencje, które poniosą nieładzi.

– Przyszłam tu dzisiaj dla dobra Zee – rzekła poważnie, przesywając mnie na wskroś niewidzącym wzrokiem. – Nie utrudniaj mu tego, co i tak nie jest dla niego łatwe. Nie pozwól, aby jego wybór kosztował i twoje życie.

– Wiem mniej więcej, kim jesteś.

– Wobec tego zdajesz sobie sprawę, że niewiele ostrzegam, nim uderzę.

– Wiem, że przedkładasz sprawiedliwość ponad zabijanie.

– Ponad wszystko przedkładałam dobro swojej rasy. Jeśli w celu zapewnienia go jej będę musiała zgładzić kilku niewinnych, nawet pobratymców, albo paru krnąbrnych ludzi, uwierz, nie spędzi mi to snu z powiek.

Nie odezwałam się. Nie zamierzałam pozwolić Zee umrzeć, nie mogłam tak postąpić. Jednak wyznając prawdę, naraziłabym się na natychmiastową śmierć z ręki Nemane. Czułam, jak jej moc gęstnieje wokół mnie niczym burzowe chmury. Jak narasta warstwa po warstwie, kiedy milczałam.

Postanowiłam nie kłamać, a prawda zabiłaby mnie, zostawiając Zee bez pomocy.

W tym momencie dobiegł nas chrzęst żwiru pod kołami nadjeżdżającego samochodu. Samochodu Samuela.

Wiedziałam już, co robić, nie miałam tylko pewności, czy to wystarczy i ile będzie kosztowało.

– Wiem, kim jesteś, Nemane – szepnęłam. – Ale czy ty wiesz, kim ja jestem?

– Zmiennokształtną – odparła. – Metamorfem. Zee mi to wyjaśnił. Na tych ziemiach nie pozostało wiele rdzennych istot nadprzyrodzonych, więc nie masz swojego ludu. Nie należysz do wampirów, nieludzi, wilkołaków czy innych plemion obdarzonych mocą. Jesteś sama. – Wyraz twarzy Nemane pozostał niezmienny, choć wyczułam jej żal, jej współczucie. Ona także знаła ból osamotnienia. Nie wiedziałam, czy dała mi to poczuć celowo, czy nie zdawała sobie sprawy, ile emocji potrafię wyczuć w jej zapachu. – Nie chciałabym cię zabijać, ale zmuszona, zrobię to bez wahania.

– Nie sądzę. – Dzięki Bogu, pomyślałam, dzięki Bogu, że powiedziałam wszystko Samuelowi. Nie wejdzie tu niezorientowany w sytuacji. – Zee nie powiedział ci o mnie wszystkiego. – Może uznał, że moje osamotnienie powstrzyma Pradawną przed pochopnym odebraniem mi życia? – Masz rację, nie ma już podobnych mi istot, ale nie jestem sama.

Jak na zawołanie w progu stanął Samuel. Miał przekrwione oczy, był zmęczony i rozdrażniony. Wokół niego unosił się smród krwi i środków dezynfekcyjnych. Przystanął na widok mojego gościa.

– Doktor Altman – zaczęłam grzecznie – to mój współlokator, doktor Samuel Cornick. Samuelu, pozwól przedstawić sobie Stacy Altman, konsultanta policji i Czarnowronę, znaną pośród niełudei pod imieniem Nemane.

Oczy Samuela zwięziły się w szparki.

– Jesteś wilkołakiem – stwierdziła Nemane. – Samuel Cornick... – zawiesiła głos. – Marrok nazywa się Bran Cornick.

– Właśnie wyjaśniałam pani doktor – powiedziałam, nie spuszczać wzroku z Samuela – jak nierozważnym krokiem byłoby usunięcie mnie, nawet jeśli wtykam nos w nie swoje sprawy.

W spojrzeniu, które Samuel przeniósł na nieczłowieka, zapaliła się iskra zrozumienia.

– W istocie, zabicie Mercy byłoby dużym błędem – warknął. – Mój ojciec przyjął ją do stada i wychował jak własną córkę. Dla niej gotów byłby, nie bacząc na konsekwencje, wszcząć wojnę z niełudei. Jeśli mi pani nie wierzy, wystarczy do niego zadzwonić.

Liczyłam na to, że Samuel weźmie mnie w obronę, a niełudei nie zdecydują się zadzierać z synem Marroka, przynajmniej dopóki gra nie toczyła się o znacznie wyższą stawkę. Spodziewałam się, że to zapewni Samuelowi bezpieczeństwo albo że znajdę inny sposób, żeby go chronić. Ale Marrok...

Zawsze sądziłam, że jestem dla Brana utrapieniem, jedyną osobą, po której nie mógł spodziewać się posłuszeństwa. Co prawda i wcześniej, i teraz roztaczał nade mną opiekę, ale instykt opiekuńczy był czymś nierozzerwalnie związanym z przywództwem. Uznałam więc, że jego troska wobec mnie jest naturalna tak samo, jak wobec innych członków stada. Jednak przekonanie w głosie Samuela nie pozostawiało miejsca na wątpliwości, że nie myli się co do stosunku Brana wobec mnie.

Na szczęście Samuel nie spuszczał wzroku z Nemane, która podniosła się, gdy zaczął mówić. Podczas gdy ja łykałam łzy rozczulenia, podeszła do niego, podpierając się kosturem.

– Doprawdy?

– Adam Hauptman, Alfa stada dorzecza Kolumbii, ogłosił wobec Mercy swoje prawa. Jest oficjalnie jego towarzyszką – ciągnął Samuel groźnie.

Na twarzy Nemane zagościł uśmiech, przydając jej rysom subtelnego piękna, którego wcześniej nie dostrzegałam.

– Podobasz mi się – zwróciła się do mnie. – Umiesz prowadzić wyrefinowaną, chytrą grę i jak kojot burzysz porządek świata. – Zaśmiała się szczerze. – Kojot, zaiste. Jesteś przebiegła. Nie wiem, w co jeszcze się wplądziesz, ale powiadomię innych, z kim mają do czynienia. – Dwukrotnie stuknęła kosturem o podłogę. A potem mruknęła pod nosem: – Kto wie... Może to wszystko nie skończy się jednak katastrofą.

Zasalutowała nam, dotykając czoła końcówką laski, i uczyniła krok, w jednej sekundzie znikając z radaru wszystkich moich zmysłów równocześnie.



Rozdział 9

We wtorkowy wieczór, zjadłszy obiad w ulubionej chińskiej restauracji w Richland, ruszyłam do domu Tima. Ponieważ morderca O'Donnella z całą pewnością był nieczłowiekiem, przyłączenie się do Świetlanej Przyszłości nie miało raczej większego sensu, jednak liczyłam, że może przypadkiem wpadnę na jakiś ślad. Widoki na oczyszczenie Zee z zarzutów nadal były marne, a czas uciekał. Tad zapowiedział swój przyjazd na piątek, a to oznaczało kolejną osobę narażającą swoje życie w obronie Zee.

Mimo wszystko im dłużej o tym myślałam, tym bardziej celowa wydawała mi się obecność Tada na miejscu. Na razie nie udało mi się ani trochę zbliżyć do rozwiązania zagadki. Tad jako nieczłowiek mógł wejść do rezerwatu i tam poszukać informacji. O ile oczywiście Szarzy Panowie nie zabiją go wcześniej za nieposłuszeństwo. Zastanawiałam się, czy zdołałabym przekonać Nemane, że pomoc Tada leży w najlepszym interesie Pradawnych. Niewykluczone, że tak.

Tim mieszkał w zachodnim Richland, niedaleko Kyle'a. Dzielnicę zbudowano bardzo niedawno, niektóre domy nie miały jeszcze nawet trawników, a przecnicę dalej znajdowały się dwa nowe place budów.

Elewacja frontowa, w połowie z beżowej, w połowie z rustykalnej, jaśniejszej cegły, robiła wrażenie kosztownej i luksusowej, ale budynkowi brakowało specyficznego szlif, który domowi Kyle'a nadawał charakter rezydencji. Żadnych witraży, marmuru czy dębowych drzwi garażowych.

W każdym razie budowla i tak była dużo bardziej imponująca od mojego prefabrykowanego staruszka, nawet z nowym odeskowaniem.

Na podjeździe stały cztery samochody i dodatkowo jeden, mustang z siedemdziesiątego drugiego z lewym błotnikiem

w kolorze limonki, zaparkowany na ulicy. Zatrzymałam się ochoczo za tym ostatnim, bo trudno znaleźć pojazd, przy którym mój Królik prezentuje się lepiej.

Wysiadając, pomachałam do kobiety, która obserwowała mnie zza firanki okna budynku po drugiej stronie ulicy. Cofnęła się, gwałtownie opuszczając zasłonę.

Nacisnąwszy dzwonek, poczekałam, aż jakaś osoba w skarpetkach zbiegnie po wyłożonych dywanem schodach i otworzy mi drzwi. Nie byłam zaskoczona, widząc stojącą w progu dziewczynę. Mogła mieć kilkanaście, na pewno nie więcej niż dwadzieścia lat. Lekki chód wskazywał właśnie na kobietę. Mężczyźni tupią, łomoczą bądź poruszają się prawie bezszelestnie, jak na przykład Adam.

Dziewczyna miała na sobie koszulkę ze spranym obrazkiem skrzyżowanych pieszczeli, nad którymi znajdowała się głowa pandy z iksami zamiast oczu. Była pulchna, ale tusza ładnie zaokrągliała jej twarz, łagodząc ostre rysy. Pod silną wonią gumy do żucia zidentyfikowałam jej zapach z jednym z domu O'Donnella.

– Nazywam się Mercy Thompson – przedstawiłam się. – Tim mnie zaprosił.

Zlustrowała mnie pobieżnie i dopiero wtedy na jej ustach zawitał gościnny uśmiech.

– Mam na imię Courtney. Wspominał, że może wpadniesz. Jeszcze nie zaczęliśmy. Tim i Austin poszli po przekąski. Wejdz.

Była jedną z tych kobiet przekłętych głosem małej dziewczynki. Po pięćdziesiątce nadal będzie brzmiała jak trzynastolatka.

Idąc za nią po schodach, odfajkowałam dobre maniery.

– Przykro mi, że zakłócam wam spotkanie. Tim wspominał, że jeden z waszych przyjaciół został zamordowany.

– Nie mogło trafić na miłszego człowieka – rzuciła niefrasobliwie i zatrzymała się na podeście. – Wybacz, nie powinnam tak mówić. Nie chciałam być przykra.

– Nie znałam go. – Wzruszyłam ramionami.

– Cóż, to on założył naszą filię. Przy facetach był normalny, tylko kobietom nie popuszczał. Miałam serdecznie dość wiecznego opędzania się od niego. – Po raz pierwszy przyjrzała mi się dokładnie. – Hej, Tim mówił, że jesteś Latynoską, ale nie jesteś,

prawda?

Przytaknęłam.

– Mój ojciec był Indianinem, jeździł na rodeo.

– Tak? – wykazała łagodne zainteresowanie. Chciała wiedzieć więcej, ale i uniknąć nachalności.

Podobała mi się. Czułam, że pod tą paplaniną kryje się bystry umysł.

– Tak.

– Rodeo? Fajnie. Nadal jeździ?

Pokręciłam głową.

– Nie. Zmarł przed moim narodzeniem. Zostawił matkę ze statusem nastoletniej samotnej matki. Zostałam wychowana przez... wujostwo. – Za dużo czasu przebywam z watahą Adama, a za mało z ludźmi, myślałam, podmieniając pospiesznie ostatnie słowo. Na szczęście nie była jednak wilkołakiem, inaczej wychwyciłaby moje kłamstwo.

– Chciałabym być Indianką. – Westchnęła zazdrośnie, ruszając na piętro. – Miałabym powodzenie. Faceci strasznie lecą na tę indiańską tajemniczość, wiesz?

Nie wiedziałam, ale zaśmiałam się, bo tego oczekiwała.

– Ja nie jestem raczej tajemnicza.

Popatrzyła przez ramię.

– Może. Ale gdybym ja była Indianką, byłabym tajemnicza.

Powiodła mnie do salonu. Pod oknem na ustawionych w kręgu krzesłach siedziało pięciu mężczyzn. Pochłonięci rozmową, nie zwrócili uwagi na nasze wejście. Czterej byli nawet młodsi od Tima i Austina. Piąty wyglądał jak stereotyp profesora uniwersyteckiego, z nieodzownymi atrybutami – kozią bródką i brązową sztruksową marynarką.

Pokój, mimo znajdujących się w nim ludzi, wyglądał niczym na zdjęciu z katalogu meblowego. Ściany i wykładzina stanowiły odwzorowanie kolorów fasady.

Przypomniałam sobie żywe, barwne wnętrze domu Kyle'a i dwa naturalnej wielkości posągi w stylu greckim, które stały w holu wejściowym. Kyle ochrzcił je Dickiem i Jane i bardzo lubił, mimo że zostały w spuściźnie po poprzednim właścicielu.

Zwrócone ku niebu twarze kamiennej pary miały ten

charakterystyczny marzycielski, romantyczny wyraz, który w żaden sposób nie korespondował z wyraźnym dowodem nie całkiem anielskich myśli męskiej figury.

Kyle osłonił kobiece wdzięki Jane krótką spódniczką oraz pomarańczowym topem. Dick nie miał na sobie nic poza kapeluszem, i to bynajmniej nie na głowie. Później kapelusz zastąpiła wygrzebana przez Warrena w jakimś lumpeksie wełniana czapka narciarska, której pompon zwisał malowniczo w okolicach kolan posągu.

Dom Tima był równie bezosobowy, co apartament w hotelu, zupełnie jak gdyby gospodarzowi brakowało wiary we własny gust. A przecież nawet podczas tej jednej rozmowy zaprezentował się jako barwna postać, w każdym razie bardziej wyrazista niż mdłe beże i szarości. Nie wiem, jakie wrażenie czyniło to mieszkanie na innych, ale jak dla mnie, aż krzychało chęcią wpasowania się w jakieś otoczenie.

Poczułam do Tima jeszcze większą sympatię – dobrze wiedziałam, jak to jest, gdy nigdzie się nie pasuje.

Salon co prawda był bez wyrazu, ale i tak robił przyjemne wrażenie. Urządzono go za pomocą dobrej jakości, lecz nie nadmiernie kosztownego wyposażenia. Jeden kąt zaaranżowany został na gabinet. Obok podręcznej lodówki stało piękne, choć nie ekstrawaganckie, dębowe biurko. Na ścianie przeciwległej do drzwi wisiał telewizor o rozmiarach mogących usatysfakcjonować nawet Samuela. Przestrzeni kina domowego dopełniały głośniki, ustawione w łuku wygodne fotele oraz sofa obita jasnobrązową tkaniną przypominającą zamsz.

– Sara nie mogła dzisiaj przyjść – rzekła Courtney, jakbym powinna wiedzieć, kim jest Sara. – Dobrze, że chociaż ty przyszłaś, inaczej byłabym tu jedyną kobietą. Hej, chłopaki, to Mercy Thompson, ta, o której mówił Tim. No wiecie, ta, którą poznał na festiwalu.

Dopiero jej głos wywołał reakcję, której nie wzbudziło nasze wejście. Zgromadzeni podnieśli głowy, a Courtney poprowadziła mnie w ich stronę.

– To pan Fideal – przedstawiła najstarszego mężczyznę.

Z bliska jego twarz wyglądała młodziej, niż sugerowały

stalowosiwe włosy. Miał zdrową, ogorzałą cerę i niebieskie oczy o intensywności barwy właściwej małym dzieciom.

Nie kojarzyłam jego zapachu z żadnym z zapamiętanych w domu O'Donnella, ale wyraźna swoboda, z jaką czuł się w towarzystwie, wskazywała, że musiał być regularnym uczestnikiem spotkań...

– Aiden – poprawił Courtney z uśmiechem.

– Nie przejdzie mi to przez gardło – odparła ze śmiechem. – Chodziłam na jego zajęcia z ekonomii – wyjaśniła, zwracając się do mnie – i już na zawsze zostanie dla mnie panem Fidealem.

Nie wiem, czy gdybym nie uścisnęła ręki wykładowcy, wychwyciłabym osobliwą nutę w jego zapachu. Woń morskiej soli rzadko kojarzy się z ludźmi. Oczywiście mógł mieć akwarium oceaniczne albo coś w tym stylu.

Jednak bardziej uderzył mnie delikatny dreszczyk magii wywołany dotykiem dłoni. Nie tylko nieludzie posiadają tę specyficzną aurę, także czarownicy, wampiry i inne istoty. Aczkolwiek mgiełka nieczłowieczej mocy jest bardzo specyficzna. Założyłabym się, że pan Fideal należał do pobratymców Zee, a jeśli nie, to był z nimi spokrewniony przynajmniej w tym stopniu co antykwariusz.

Ciekawe, co robił na spotkaniu Świetlanej Przyszłości? Infiltrował grupę czy w ogóle nie zdawał sobie sprawy z domieszki krwi płynącej w jego żyłach? Ta kropla mogła wyjaśniać intensywny błękit młodzieńczych oczu, jak również echo magii.

– Miło cię poznać. – Skinęłam grzecznie.

– Wiesz już, jak ja zarabiam na życie – rzekł z szorstką sympatią.

– A czym ty się zajmujesz?

– Jestem mechanikiem samochodowym.

– Genialnie – uradowała się Courtney. – Mój grat ostatnio wydaje dziwne odgłosy. Może mogłabyś na niego zerknąć? To ten mustang na ulicy. Tylko od razu mówię, nie mam ani grosza, właśnie zapłaciłam ratę za studia.

– Zajmuję się głównie volkswagenami – powiedziałam, wyjmując z torebki wizytówkę. – Lepiej zawieź go do warsztatu forda. Ale jak chcesz, możesz przyjechać też do mnie. – Podałam jej kartonik. – Z tym że nie mogę zrobić darmowego przeglądu. Mam niższe ceny niż konkurencja, ale rzadko pracuję z fordami, więc zajmie mi to

więcej czasu.

Usłyszałam trzaśnięcie drzwi i po chwili w progu stanęli Tim oraz Austin. W rękach trzymali sześciopaki piwa oraz siatki wypełnione paczkami przegryzek. Przywitali się gremialnie, po czym odłożyli zakupy, usuwając się przed wygłodniałymi gośćmi.

Tim popatrzył na mnie bez uśmiechu.

– Myślałem, że przyjdiesz z chłopakiem.

– Nie jesteśmy już razem. – Przyznanie tego głośno przyniosło mi radosne ukojenie.

Courtney opacznie zrozumiała mój ton ulgi.

– Biedactwo – rzekła ze współczuciem. – Jeden z tych drani, co? Lepiej ci będzie bez niego. Chodź, masz tu piwo.

Pokręciłam głową, łagodząc odmowę uśmiechem.

– Nigdy nie udało mi się przekonać do piwa. – Poza tym chciałam zachować jasny umysł, żeby wyłapać każdy drobiazg, który mógł się przydać, choć widoki na to były coraz marniejsze. Nie spodziewałam się wiele po tym spotkaniu, a dodatkowo, jak na razie, wszystko wskazywało, że zamiast grupy fanatyków, miałam przed sobą studenciaków i jednego profesorka, którzy wpadli do kumpla na piwo.

Żaden z nich ani na jotę nie przypominał krwiożerczego potwora.

– Może colę dietetyczną? – zaproponował Tim, poweselawszy. – Miałem w lodówce kilka puszek piwa imbirowego i korzennego, ale założę się, że te sępy już się nimi zajęły.

Słowa te wywołały falę radosnych protestów, które sprawiły mu wyraźną przyjemność. Świetnie ci idzie, pomyślałam i przestałam Timowi współczuć braku fioletowej ściany czy rzeźby w kapeluszu. Znajdź sobie ludzi, którzy do ciebie pasują.

– Colę chętnie – przystałam. – Masz wspaniały dom, Tim.

Moja pochwała przyniosła mu jeszcze więcej satysfakcji niż żywa reakcja przyjaciół.

– Zbudowałem go po śmierci rodziców. Czuję się fatalnie w pustym domu rodzinnym.

Courtney, widząc, że Tim się zagadał, sama przyniosła napój. Wręczając mi puszkę, poklepała chłopaka po głowie.

– Tim zapomniał ci powiedzieć, że jego rodzice byli bogaci. Zginęli kilka lat temu w okropnym wypadku samochodowym, ale

zostawili mu rezydencję i dostał pieniądze z polisy. Jest ustawiony do końca życia.

Jej bezceremonialność wobec prawie obcego gościa wprowadziła Tima w zakłopotanie.

– Wolałbym mieć rodziców zamiast pieniędzy – oznajmił sztywno, choć musiał już zakończyć żałobę, bo wyczułam w jego zapachu jedynie lekką irytację.

– Wiesz, że znałam twojego ojca, słonko. Nikt nie przedłożyłby go nad pieniądze. Ale twoja mama była kochana, to fakt.

Zmarszczył brwi, lecz po zastanowieniu rozpogodził się.

– Courtney jest moją dalszą kuzynką – wyjaśnił. – Dlatego jest taka bezczelna. Już przywykłem.

Dziewczyna wyszczerzyła się i pociągnęła łyk piwa.

Za jej plecami goście ustawili krzesła mniej więcej w półkołu, poprzysuwali stoliki i zaczęli rozkładać przekąski.

Tim usiadł, zapraszając mnie gestem do zajęcia miejsca obok. Courtney musiała sama przynieść sobie stołek.

Oczekiwałam, że rola przewodniczącego spotkania przypadnie gospodarzowi, ale to Austin przejął inicjatywę, wstając i gwizdząc przenikliwie.

Drgnęłam, ogłuszona niespodziewanym dźwiękiem. Zanim przestało mi dzwonić w uszach, Austin przystąpił do rzeczy.

– No to zaczynamy – rzekł. – Kto chce mówić pierwszy?

Z łatwością zorientowałam się, że to Austin jest liderem grupy. Już w pizzerii dostrzegłam drzemiący w nim potencjał przywódczy, lecz zajęta rozmową z Timem nie zastanawiałam się nad tym. Tutaj jego rola nabrała wyrazistości i była porównywalna z pozycją Adama w stadzie.

Aiden Fideal musiał być kolejny w hierarchii lub trzeci, za Courtney. Miałam trudności z ustaleniem konkretów prawdopodobnie dlatego, że sami nie bardzo wiedzieli, które z nich dźwizży palmę pierwszeństwa. To niezdecydowanie podsunęło mi myśl, że wcześniej rolę Drugiego prawdopodobnie pełnił O'Donnell. Komuś tak małostkowemu jak zamordowany strażnik z pewnością niełatwo przyszło uznać przywództwo Austina. Gdyby Austin należał do grona legendarnych istot, stawiałoby go to na szczycie listy podejrzanych, jednak chłopak był bardziej

człowiekiem niż ja sama.

Tim szybko stracił fory, jakie dawała mu rola gospodarza, plasując się na niskim szczeblu ważności, nie dlatego, że się nie odzywał, ale dlatego, że nikt nie zauważał jego uwag, dopóki nie zostały powtórzone przez Courtney lub Austina.

Po jakimś czasie ze strzępków wypowiedzi zdołałam stworzyć pełniejszy obraz sytuacji.

O'Donnell zainicjował istnienie komórki Świetlanej Przyszłości w Tri-Cities, jednak działalność nabrała rozpędu dopiero po przyłączeniu się Austina. Poznali się kilka lat wcześniej na kursie przygotowawczym na studia. O'Donnell skorzystał z programu podnoszenia kwalifikacji finansowanego przez ASN. Austin dzielił swój czas pomiędzy zajęcia na uniwersytecie, naukę w wyższej szkole CBC, a niedługo miał bronić pracy na wydziale informatyki.

Tim, który nie musiał szukać pracy, żeby się utrzymać, był starszy od reszty.

– Tim skończył studia informatyczne – szepnęła Courtney. – Tam poznał Austina. Nadal robi różne kursy podyplomowe w CBC i na uniwersytecie. Raczej dla zabicia czasu.

Austin, Tim i większość studentów należeli do uczelnianego koła informatycznego. Zajmowali się pisaniem gier czy czymś podobnym. Zajęcia fakultatywne prowadził pan Fideal. Przyłączając się do Świetlanej Przyszłości, Austin pociągnął za sobą członków koła. Choć natura spotkań zmieniła się tak diametralnie, że władze uczelni odcięły się od grupy, pan Fideal nadal utrzymywał kontakt ze swoimi studentami.

Pierwszą sprawą omawianą na dzisiejszym spotkaniu była kwestia zakupu bukietu na pogrzeb, gdy tylko rodzina ustali datę ceremonii. Tim bez słowa przyjął wynikłe z rozmowy założenie, że to właśnie on poniesie koszt całej operacji.

Po ustaleniu szczegółów jeden z młodzieńców powstał i referował sposoby niezawodnej ochrony przed nieładziami, w tym sól, stal, nabicie butów gwoździami oraz zakładanie bielizny na lewą stronę.

Nie mogłam powstrzymać się od wzięcia udziału w dyspucie, która następnie się wywiązała.

– Mówisz, jakby wszyscy nieładzie byli tacy sami. Ja zaś wiem, że

niektórzy są niewrażliwi na metal, a wydaje mi się, że na przykład morskie selkie nie będą miały problemu z solą.

Prowadzący tę dyskusję nieśmiały olbrzym uśmiechnął się do mnie i odpowiedział, znacznie wyraźniej artykułując słowa niż podczas swojej prezentacji.

– Masz rację. Problem tkwi częściowo w tym, że sporo legend koloryzowano podczas kolejnych przekazów, tak że dzisiaj już mało w nich prawdy. Nieludzie też nie palą się do klasyfikowania swojego gatunku. Ten cały spis to śmiech na sali. O'Donnell, który miał dostęp do dokumentacji rezerwatu, mówił, że z całą pewnością przynajmniej jeden na trzech kłamał w rubryce przypisującej rodzaj. Ale tym właśnie się tu zajmujemy, staramy się oddzielić ziarno od plew.

– Myślałam, że nieludzie nie mogą kłamać.

– Nie jestem o tym do końca przekonany. – Wzruszył ramionami.

– Wielu wpisywało jakieś zmyślane, gaelicko albo germańsko brzmiące słowo – rzekł Tim. – Gdybym określił się mianem hibernskitera, to nie byłoby kłamstwo, bo taki wyraz nie istnieje. Umowy okołoustawowe zawarte przy tworzeniu rezerwatów nie pozwalały na kwestionowanie sposobu wypełniania formularzy.

Jeszcze przed końcem spotkania nabrałam przekonania, że żaden z tych dzieciaków nie miał nic wspólnego ani z serią zabójstw w rezerwacie, ani śmiercią O'Donnella. Jako pół-Indianka i nie do końca człowiek nigdy nie należałam do żadnej grupy radykałów. Nie pasowały mi szowinistyczne hasła. Nie spodziewałam się jednak sesji tyle emocjonującej i bezkompromisowej, co rozgrywka szachowa. No dobrze, mniej emocjonującej i bezkompromisowej niż pojedynki szachistów.

Co więcej, zgadzałam się z większością opinii świetlanoprzyszłościowców. Owszem, darzyłam sympatią kilku nieludzi, lecz wiedziałam o tych istotach tyle, żeby się ich obawiać. Trudno było winić dzieciaki za niewiarę w proklamacje nieczłowieczych polityków i wypowiedzi przygotowane przez ich specjalistów od wizerunku. Jak powiedział Tim, żeby je zanegować, wystarczyło trochę poczytać.

Po zebraniu Tim odprowadził mnie do samochodu.

– Dzięki, że przyszłaś. – Przytrzymał mi drzwi. – I co o tym

sądzisz?

Pokryłam uśmiechem niechęć, jaką wywołał we mnie jego kurtuazyjny gest. Poczułam, jakby naruszał moją przestrzeń osobistą, choć Samuel czy Adam często otwierali mi drzwi samochodu i jakoś mi to nie przeszkadzało.

Nie zamierzałam jednak ranić uczuć Tima, odpowiedziałam więc krótko na jego pytanie:

– Podobają mi się ci twoi przyjaciele. Mam jednak nadzieję, że mylicie się co do potencjalnego zagrożenia, jakim mogą okazać się nieładzie.

– A więc nie uważasz nas za bandę przemądrzałych, towarzysko nieprzystosowanych oferm, które sieją panikę apokaliptycznymi wizjami?

– Zabrzmiało to jak cytat.

– Prosto ze szpalt „Heralda”. – Uśmiechnął się krzywo.

– Ups. Nie, wcale tak nie uważam.

Schyliwszy się z zamiarem zajęcia miejsca za kierownicą, dostrzegłam leżący na przednim siedzeniu kostur. Musiałam go przesunąć, żeby wsiąść.

Zerknęłam przy tym na Tima, ale nie robił wrażenia, jakby widział już kiedyś kostur. Może na czas zebrania Świetlanej Przyszłości O'Donnell chował laskę? Niewykluczone też, że sama się ukrywała. Tim nie wydawał się w ogóle zdziwiony, że trzymam w samochodzie kij. Ale ludzie często uważali, że mechanicy volkswagenów to dziwacy.

– Wiesz, odkurzyłem sobie trochę cykl arturiański – powiedział. – Po naszej rozmowie przejrzałem de Troyes'a i Malory'ego. Może wpadłabyś jutro do mnie na kolację?

Tim był naprawdę sympatycznym, normalnym mężczyzną. Przy kimś takim nie musiałabym się zastanawiać, czy manipuluje mną, stosując jakieś wilkołacze czary-mary, albo czy będzie chciał kontrolować mnie na każdym kroku. Nie bałabym się, że jak wpadnie w złość, rozerwie komuś gardło. Nie zabiłby dwóch niewinnych stworzeń, żeby uchronić mnie przed gniewem władczyni wampirów. Swoją drogą, od tamtej pory nie widziałam Stefana, choć bywało, że traciłam z nim kontakt na całe miesiące.

Przez głowę przemknęła mi myśl, że miło byłoby umówić się dla

odmiany z kimś takim zwyczajnym jak Tim.

Oczywiście pojawiłby się kłopot z wyjaśnieniem mu mojej niestuprocentowo ludzkiej natury. No i drugi malutki problem – nie miałam ochoty iść z Timem do łóżka.

Generalnie, byłam jednak trochę zakochana w Adamie, mimo że mnie przerażał.

– Dziękuję, ale właśnie zakończyłam związek i przez jakąś chwilę nie planuję kolejnego.

Uśmiechnął się szeroko, choć ze smutkiem.

– Zabawne, tak się składa, że ja również. Spotykałem się z kimś przez trzy lata. Niedawno pojechałem do Seattle kupić pierścionek. Zabrałem ją do ulubionej restauracji, ściskając pudełeczko w kieszeni, a ona oznajmiła mi, że to koniec i że za dwa tygodnie wychodzi za mąż za swojego szefa. Dodała, że na pewno zrozumie...

– Ups – syknęłam współczująco.

– Ślub wzięli w marcu, więc minęło już kilka miesięcy, ale też nie mam ochoty znowu się angażować.

Zmęczony garbieniem się przy drzwiach, przykucnął obok samochodu. W tej pozycji jego głowa znajdowała się poniżej mojej. Wyciągnął rękę, dotykając mojego ramienia. Na palcu miał srebrną obrączkę, porysowaną, zmatowiałą przez czas. Zaciekawilo mnie, dlaczego ją nosi, bo nie był raczej typem mężczyzny lubiącego obwieszać się biżuterią.

– Skąd więc to zaproszenie? – zapytałam.

– Bo nie chcę się zmienić w pustelnika. Wiesz, w myśl poradnikowego „nie zamykaj się w sobie, wyjdź do ludzi”. Chodziło mi o to, żeby usiąść przy dobrym jedzeniu i pogadać, bez żadnych podtekstów. I żeby było jasne, nie zamierzam cię zaciągnąć do łóżka. Tylko konwersacja. Ty, ja i „Le Morte d’Arthur” Malory’ego. Plus bonus w postaci umiejętności nabytych na kursie gotowania.

Perspektywa wieczorku dyskusyjnego ze średniowiecznymi pisarzami legend arturiańskich brzmiała niezwykle kusząco. Już otwierałam usta, żeby przyjąć zaproszenie, ale ugryzłam się w język. Perspektywa może i była kusząca, jednak konsekwencje już nie.

– Może pół do ósmej – ciągnął Tim. – Wiem, że to trochę późno, niestety, do szóstej mam zajęcia, a chciałbym przygotować wszystko, zanim przyjdiesz.

Podniósł się i zatrzasnął drzwi, na odchodnym klepiąc Królika w maskę.

Czyżbym właśnie przyjęła zaproszenie na randkę?

Oszołomiona, uruchomiłam silnik i skierowałam się na autostradę. W głowie kotłowały mi się słowa, które powinnam była wypowiedzieć. Postanowiłam zadzwonić do Tima zaraz po powrocie, gdy tylko znajdę numer. I powiedzieć, że bardzo dziękuję, ale nie.

Odmowa na pewno go zrani, lecz im dalej w las, tym więcej drzew. A Adam na pewno nie byłby zachwycony moją kolacją z Timem. Absolutnie.

Mijałam właśnie wjazd do centrum handlowego, gdy we wstecznym lusterku dostrzegłam samochód Aideny Fideala. Ruszył spod domu Tima zaraz za mną, mniej więcej wtedy, co większość osób. Zauważyłam go tylko dlatego, że jeździł porsche 911, niskim, szerokim, na których widok zawsze się śliniłam – choć osobiście wolałabym czerwone lub czarne (mało oryginalne) niż żółte. Ktoś w mieście miał fioletowe, które za każdym razem przyprawiało mnie o ślinotok.

Smugi reflektorów Królika padły na tył samochodu, który właśnie mnie wyprzedził, oświetlając naklejkę na zderzaku. Napis głosił: „Niektórzy ludzie są jak schodzące sprężynki. Do niczego tak naprawdę się nie nadają, ale spuszczeni ze schodów, zawsze wywołują uśmiech”.

Zabawny napis rozproszył dziwne uczucie, które wzbudził widok jadącego z tyłu Fideala. Prawdopodobnie po prostu mieszkał w Kennewick i wracał tą samą drogą.

W miarę jazdy z porsche na ogonie niepokój jednak powrócił, zagnieżdżając się na dobre.

Fideal był nieczłowiekiem, ale przecież doktor Altman, ich likwidator problemów, również, a dobrze wiedziała, że nie może mnie bezkarnie zaatakować. Nie powinnam się denerwować.

Telefon do Adama uznałam za przesadę. Choć na pewno zadzwoniłabym po pomoc do Zee, gdyby nie siedział w więzieniu

i gdyby się śmiertelnie nie obraził. On nie zareagowałby tak gwałtownie jak Adam.

Postanowiłam poradzić się Wujka Mike'a. Miałam nadzieję, że nie jest tak wściekły jak Zee i że odbierze.

Wujek Mike wiedziałby, czy mój strach może mieć jakieś podstawy, czy też jest zupełnie irracjonalny. Sięgnęłam po komórkę, ale kiedy otworzyłam klapkę, wyświetlacz pozostał ciemny. Szlag, znowu zapomniałam ją naładować.

Ryzykując mandat, przycisnęłam pedał gazu. Jechałam drogą z ograniczeniem do dziewięćdziesięciu kilometrów na godzinę, w dodatku często obstawianą przez drogówkę, więc większość kierowców nie przekraczała tu setki. Wyprzedziłam kilka samochodów i odetchnęłam z ulgą, kiedy charakterystyczne reflektory porsche skryły się z tyłu za vanem.

Zjechawszy na Canal Street, zwolniłam. Dzisiaj musi być moje święto głupoty, uznałam.

Najpierw zgodziłam się na kolację z Timem, a w każdym razie nie odmówiłam, a potem wpadłam w panikę na widok auta Fideala. Idiotka.

Źle zrobiłam, przyjmując zaproszenie Tima. Bez względu na to, jak wspaniale mi się z nim rozmawiało, żadna rozmowa nie jest warta komplikacji z Adamem. Powinnam odmówić od razu. Teraz będzie trudniej.

Dziwne, ale to nie myśl o gniewie Adama nie dawała mi spokoju. Perspektywa rozzłoszczenia go zwykle zachęcała mnie do zrobienia czegoś na przekór. Prowokowałam Hauptmana notorycznie i przy każdej okazji. Było coś pociągającego w takich rozzłoszczonych, niebezpiecznych mężczyznach, działali na mnie. Czasami mój instynkt przetrwania robił sobie wolne.

Idąc do Tima na kolację we dwoje – a niezależnie od tego, co mówił Tim, takie spotkanie z mężczyzną przy kolacji było randką – zraniłabym Adama. Rozzłościć jak najbardziej, ale zranić go nie chciałam.

Na Washington Street stanęłam na światłach. Potężny silnik stojącej obok ciężarówki wprawiał Królika w drgania. Kiedy zabłysło zielone, ruszyłam, zbierając się do wyprzedzenia olbrzyma. Kilka metrów dalej zerknęłam w lusterko wsteczne,

upewniając się, że odsadziłam go wystarczająco, aby bezpiecznie skręcić w prawo na Chemical Drive. Znajdował się odpowiednio daleko. Podobnie jak jadące obok, lśniące niczym jaskier porsche.

Nieracjonalny strach ścisnął mi żołądek tak mocno, że natychmiast pożałowałam wypicia coli. Brak racjonalnych powodów nie pozbawia lęku przemożnej siły. Kojot, wcześniej zignorowany, wył na alarm.

Oddychałam przez zęby, a wszystkie moje zmysły przeszły w stan pełnej gotowości.

Do pewnego momentu mogłam uwierzyć, że to przypadek. Trasa, którą obrałam, była najszybszym sposobem na dostanie się do wschodniej części Kennewick, a dodatkowo biegła przez Pasco i Burbank, choć tam akurat lepszy dojazd gwarantowała międzystanówka ciągnąca się wzdłuż drugiego brzegu rzeki.

Jednakże Chemical Drive prowadziła tylko do Finley, a Fideal nadal trzymał się mojego zderzaka. Z pewnością zauważyłabym, gdyby ktoś w mojej okolicy jeździł jaskrawożółtym porsche. Czyli mnie śledził.

Instynktownie sięgnęłam po komórkę, lecz kiedy zacisnęłam na niej dłoń, ze środka wyciekła woda. W samochodzie rozszedł się wyraźny zapach morskiej soli. Rzuciłam bezużyteczny aparat i zbliżyłam mokrą rękę do ust. Smakowała bagnem i solą, bardziej jak solnisko niż morze.

Mimo że dom Adama stał po sąsiedzku, a nasze tylne podwórka oddzielał jeden płot, na jego posesję skręcało się kilkaset metrów przed wjazdem do mnie. Nie mogłam sobie przypomnieć, czy Samuel miał dzisiaj dyżur, lecz z całą pewnością wiedziałam, że w domu Adama, nawet podczas jego nieobecności, zawsze ktoś jest. I to nie byle kto, a wilkołak.

Oczywiście istniało prawdopodobieństwo, że zastanę tam Jesse, której umiejętności obrony nawet nie dorównywały moim.

Skręciłam w Finley Road, która prowadziła naokoło i zmuszała do ponownego wjazdu na Chemical, ale potrzebowałam czasu do namysłu. Ostatnio popełniłam zbyt wiele głupot, by nie mając wcześniej jakiegoś planu, zaprowadzić do domu Adama nieczłowieka, nawet jeśli by nie miał złych zamiarów.

Niepotrzebnie martwiłam się na zapas. Mijając Two Rivers Park,

w miejscu gdzie droga biegła kawałek przez przyjemnie wyludnioną okolicę, Królik zakrzusił się, zapluł i z niemiłym charkotem ostatecznie zgasł.

W pobliżu nie było zatoczki, więc pozostało mi tylko sprowadzić samochód z asfaltu i mieć nadzieję na cud. Gdybym stanęła na środku jezdni, jakiś biedak mógłby uderzyć w niego i zginąć. Królik podskoczył kilka razy na kamieniach, co z pewnością nie poprawiło stanu podwozia, i zatrzymał się na w miarę płaskim miejscu.

Zamknięty samochód mógł stać się pułapką, dlatego wyskoczyłam z niego, gdy tylko koła przestały się obracać. Porsche przystanął na jezdni z niskim pomrukiem silnika.

W trakcie tych manewrów zdążyła zapaść całkowita ciemność, więc światła reflektorów raziły moje wrażliwe oczy – minusy wzroku nocnego łowcy. Odwróciłam głowę od jasnego blasku, raczej usłyszałam, niż zobaczyłam wysiadającego Fideala.

– To dziwne, że nieczłowiek jeździ porsche – rzuciłam zimno. – Być może ma aluminiowy blok, ale nadwozie ze stali.

Rozległ się głuchy dźwięk, jakby Fideal poklepał karoserię.

– Porsche nakłada na swoje auta sporo warstw porządnego lakieru. Ja mam dodatkowe cztery wosku i to w zupełności wystarcza.

Tak jak woda z telefonu, wydzielał woń gnijących szczątków roślin i soli. Drażniło mnie, że go nie widzę. Należało czym prędzej zejść z linii oślepiającego światła.

Chciałam rzucić się do ucieczki, ale uciekanie przed czymś, co mogło okazać się szybsze, było raczej ryzykiem niż szansą. Może chodziło mu tylko o ten głupi kostur? Postanowiłam wejść na jezdnię i robiąc spory łuk, stanąć twarzą do boku jego auta.

W chwili gdy moja stopa dotknęła asfaltu, poczułam falę mocy, która zdawała się rozchodzić od nawierzchni. Silna magia wywołuje niezwykle intensywne doznania, nieomal bolesne, jak przy dotykaniu językiem baterii. W tej było coś więcej, coś... drapieżnego.

Wrażenie słabości, które odniosłam przy pierwszym spotkaniu z Fidealem, okazało się złudne.

Syknęłam przez zęby, porażona bólem przeszywającym stopy.

Odsunęłam się na skraj jezdni. Światła nadal raziły, ale zdecydowanie mniej, zdołałam więc rozróżnić sylwetkę nieczłowieka. Wyglądał inaczej niż w domu Tima. Nie widziałam szczegółów, ale był jakby wyższy i bardziej masywny.

Uprzejmie poczekał, aż przestanę się kręcić, i dopiero się odezwał. Uprzejmość myśliwego źle wróży ofierze. Oznacza pewność zdobyczy.

– A więc to ty jesteś tym psiakiem o ciekawskim nosie i niewyparzonym języku – rzekł. – Powinnaś trzymać się swoich spraw.

– Zee jest moim przyjacielem – zakomunikowałam. Dziwne, ale najbardziej z całej wypowiedzi dotknęło mnie określenie „psiak”. Doszłam jednak do wniosku, że riposta w stylu „nie jestem psem” zabrzmiałaby idiotycznie. – Wy, Pradawni, chcecie, żeby oddał życie za zbrodnie kogoś innego. Tylko ja postanowiłam poszukać prawdziwego mordercy. – Przyszedł mi do głowy prawdopodobny powód jego irytacji wobec mnie. – Czyżbym właśnie go znalazła?

Zaśmiał się na całe gardło i pełną piersią. Kiedy odezwał się znowu, mówił głębszym głosem i ze szkockim akcentem.

– Nie zabiłem O'Donnella – oświadczył, w zasadzie nie odpowiadając na moje pytanie.

– Mam silne plecy – powiedziałam, pilnując, by nie zabrzmiało to wyzywająco. – Moja śmierć rozpęta wojnę z wilkołakami. Nemane zna sytuację.

Pokręcił głową w obie strony, jak atleta rozciągający mięśnie karku. Ma długie włosy, pomyślałam, wychwytyjąc szelest mokrych kosmyków.

– Nemane nie jest już taka jak kiedyś – zauważył. – Teraz jest słaba, ślepa i za bardzo przejmuje się ludźmi. – Nabrał powietrza i zaczął rosnać. Po chwili stał się wyższy od najwyższego mężczyzny, jakiego miałam okazję widzieć, i niewiarygodnie masywny. Kiedy moje oczy przywykły wreszcie do innego oświetlenia, dostrzegłam też inne zmiany poza gabarytami.

– Wydano na ciebie wyrok śmierci – oznajmił. – Jaka szkoda, że wiadomość o jego odwołaniu dotarła do mnie zbyt późno.

Zaśmiał się, potrząsając ciemnymi pasmami, które pokrywały całe jego ciało niczym postrzępiony płaszcz. Między mięsistymi

wargami, w ciemnym otworze ust, czerniły się długie, ostre kształty.

– Minęło już tyle czasu. – Młasnął. – Tak dawno nie czułem na języku słodczy ludzkiego mięsa, tak dawno nie miałem okazji pokrzepić się tą rozkoszą, że moje trzewia aż skręcają się na myśl o strawie. – Ryknął jak huragan i jednym susem przesadził jezdnię.

Nim wylądował, pędziłam już drogą w formie kojota, siejąc za sobą częściami garderoby. Potknęłam się zaplątana w stanik, ale uwolniłam się od niego, przetaczając po ziemi.

Miał szansę mnie wtedy dopaść, lecz pościg sprawiał mu chyba zbyt wielką rozkosz, żeby tak prędko go zakończyć. Pewnie z tego też powodu nie skorzystał z samochodu. Skurczenie się i wskoczenie za kierownicę zajęłoby mu chwilę, ale porsche było szybsze od kojota i w przeciwieństwie do mnie, mogło jechać bez wytchnienia.

Musiałam trzymać się drogi aż do mostu, bo nie dałabym rady przeskoczyć kanału, a płynąc, nie umknęłabym przed istotą, której żywiołem była woda.

Na drugim brzegu natychmiast zboczyłam z jezdni, pędząc wzdłuż rzeki. Przesadziłam ogrodzenie pierwszego domu, przecinając trawnik, i zdążyłam przeskoczyć na sąsiedni, zanim zaalarmowany pies roszczękał się na całe gardło. Gnałam z pełną prędkością, przedzierając się przez wyższą ode mnie trawę, zwalniając do truchtu dopiero kilkaset metrów dalej.

Teren był miękki, a na łące pasły się konie i krowy. W jednej z zagród pogonił mnie osioł, mający wyraźnie mordercze zamiary, przyspieszyłam jednak tylko do czasu wydostania się z jego wybiegu. Konie i krowy zwykle nie zwracają uwagi na kojoty, kurczaki uciekają w panice, ale osły zaciekle nas nienawidzą.

Usłyszawszy tętent, w pierwszej chwili pomyślałam, że głupi zwierzak przeskoczył za mną przez ogrodzenie, lecz kwik przerażonego konia, którego właśnie minęłam, uświadomił mi pomyłkę.

Kelpie może przyjmować formę konia, mignęło mi w głowie i rzuciłam się naprzód pędem.

Zorientowałam się nagle, że czymkolwiek był Fideal, na pewno nie lubił torów kolejowych. Przebiegał przez nie, ale wolniej i krzycząc z bólu. W Finley było wiele torowisk, zaczęłam więc tak

kluczyć, by przekraczać ich jak najwięcej, nie nadkładając przy okazji zbyt drogi i nie opóźniając dotarcia do domu Adama.

Na wolnej przestrzeni Fideal okazał się szybszy ode mnie, za to ja z większą łatwością brałam przeszkody. Pokonując wysoką siatkę wokół jakiegoś zakładu chemicznego, modliłam się, by była stalowa. Druć kolczasty utrudniał nieco sprawę, ale dałam radę.

Ogrodzenie zatrzeszczało pod jego ciężarem i runęło z hukiem. Zwolniło to pogoń, dlatego minawszy bramę, znów wdrapałam się na płot po drugiej stronie posesji.

Rzeka w tym miejscu tworzyła zakole, musiałam więc biec kilkaset metrów brzegiem, przez starą przystań. Doganiał mnie, dopóki nie wpadłam w żywopłot z ostrężyn.

Często przechodziłam tędy na skróty, w ciągu kilku lat wydeptałam w zaroślach tunel, który pozwolił mi teraz z łatwością się przedostać. Fideal, przy swoich rozmiarach, nie miał tyle szczęścia.

Pokonując ogrodzenie Adama, nie słyszałam za sobą odgłosów pogoni, zwolniłam odrobinę i zmieniłam się w biegu. Wypadłszy z rytmu, potknęłam się, szorując boleśnie kolanami po żwirowym podejździe. Przed domem stały samochody Darryla i Honey, jak również niewielki czerwony pick-up należący do Bena.

– Adam! – wrzasnęłam. – Kłopoty!

Para nóg nie działała tak sprawnie jak dwie pary łap, zatoczyłam się, usiłując jednocześnie wstać i biec.

Kiedy dotarłam w końcu do ganku, Darryl trzymał już otwarte drzwi. Upadłam znowu i tym razem po prostu przetoczyłam się przez podest, uderzając plecami w ściankę pod wielkim, witrażowym oknem.

– Nieczłowiek, wodny – wyrzuciłam, kasłając i ciężko dysząc. – Może wyglądać jak koń albo inne kopytne zwierzę. Albo jak kupa bagiennych glonów wielkości auta Adama. Potwór z wielkimi kłami.

Musiało zabrzmieć to głupio, lecz nie zbiło Darryla z tropu.

– Wiecznie ciągniesz jakieś potwory za ogon. Któryś cię w końcu pożre, Mercy. – Był spokojny, opanowany, jednak nie spuszczał oka z ogrodzenia, które przed chwilą przeskoczyłam. W rękę dzierżył karabin maszynowy. Musiał go trzymać za plecami, bo nie widziałam broni, kiedy otwierał drzwi.

– Mam nadzieję, że nie – wydyszałam. – Nie chcę być pozarta. Liczę, że wampiry dopadną mnie pierwsze.

Zaśmiał się, choć to wcale nie było zabawne.

– Reszta się zmienia – poinformował mnie zupełnie niepotrzebnie, bo czułam drgania mocy. – Jak dużo odsadziłaś tę istotę?

– Tylko trochę. Wpuściłam ją w jeżyny, ale... Tam! Tam! Od strony rzeki!

Darryl skierował broń we wskazane miejsce i wystrzelił serię w stwora, który wypełził z ciemnej wody i włókł się wysypaną kamykami plażą Adama.

Zasłoniłam uszy, chroniąc wrażliwe bębenki. Mimo światła padającego z ganku i dobrego widzenia w ciemnościach, nie rozróżniałam wyraźnych kształtów istoty, w którą przedzierzgnął się Fideal. Zupełnie jakby pochłaniał światło, pozwalając dostrzec tylko zarys masy wody i traw bagiennych.

Pociski spowalniały go trochę, lecz nie wyrządzały na tyle krzywdy, żeby zatrzymać. Złapałam już pierwszy oddech i chociaż nogi wciąż miałam jak z waty, nie zamierzałam potulnie czekać na rzeź.

W chwili gdy zaczęłam się podnosić, Darryl szarpnął mnie, wywracając ponownie, a witrażowe okno rozpadło się na kawałki. Nad moją głową przeskoczył wilkołak i wylądował na barierce ganku, gdzie znieruchomiał, wpatrując się w intruza.

– Uważaj, Ben – ostrzegłam. – Jest niezwykle szybki i ma wielkie kły.

Chudy wilk odwrócił pysk i przy wtórze ostrzegawczego trzeszczenia barierki błysnął zębami. Lśniące, białe kły robiły znacznie większe wrażenie, niż kiedy szczyrzył się do mnie w ludzkiej postaci. Potem zeskoczył z ganku i zaczął sunąć bezszelestnie w stronę istoty.

Kolejny wilk, czarny ze srebrnymi znaczeniami jak u kota syjamskiego, śmignął zaraz za nim, zatrzymując się na moment. Spojrzał na mnie oczyma Adama, po czym przeniósł wzrok na Darryla.

– Zajmę się nią – zapewnił go Darryl, choć wiedziałam, że Adam, w przeciwieństwie do Brana, w wilkołaczej postaci nie mógł

porozumiewać się ze swoją watahą.

Darryl odłożył karabin i pomógł mi wstać.

– Chodź, musimy pozbyć się tego szkła, bo wykrwawisz się na śmierć i Adam przerobi Bena na mielonkę.

Spojrzałam po sobie, dopiero teraz zauważając, że całą skórę pokrytą mam krwawiącymi rankami, najeżonymi odpryskami szyby. Darryl wziął mnie na ręce i zaniósł do środka, gdzie natychmiast zaczęłam mu się wyrywać.

Postawiwszy mnie na ziemi, zaczął szybko zrzucać ubranie.

Odsunęłam się, potrącona przez biegnącą ku drzwiom smukłą wilczycę. Zaraz za Honey pędziły dwa kolejne wilki z Adamowego stada, moręgowaty i szary, których imion nie mogłam sobie przypomnieć.

– Co to za stwór, Mercy? – zapytał Peter, jedyny pozostały w ludzkiej formie. Na widok mojego pytającego spojrzenia, wyjaśnił: – Adam zakazał mi się zmieniać, w razie czego mam wywieźć stąd Jesse.

Przestałam zwracać na niego uwagę, kiedy z zewnątrz dobiegł mnie skowyt. Wiele trzeba, by wydobyć taki głos z gardła wilka znajdującego się tak blisko legowiska. Potrafią walczyć niemal bezgłośnie, żeby nie ściągać niepożądaney uwagi. Skowyt oznaczał, że ktoś został ciężko ranny.

To ja sprowadziłam do nich wroga i musiałam teraz pomóc w walce z nim.

– Żelazo. – Mój głos wrzał adrenaliną. – Na tego sól nie zadziała, a nie mam bielizny, żeby wywrócić ją na lewą stronę. I jestem boso, więc gwoździe odpadają. Potrzebuję czegoś ze stali.

– Stalowego? – powtórzył Peter.

Zignorowałam go, ruszając do kuchni, gdzie chwyciłam nóż szefa kuchni i rzeźnicki – oba od kompletu, za który Adam swego czasu dał prawdziwą fortunę. Nie były ze stali stopowej, bo węglowa zapewnia twardsze ostrze. I lepiej działa na nie ludzi.

Wypadając z kuchni, niemal zderzyłam się z Peterem, który przesadziwszy jednym susem cały bieg schodów, wylądował tuż przede mną z szablą w dłoni.

– Mercy – jego głos brzmiał zupełnie inaczej niż zwykle. Miękki, środkowozachodni akcent gdzieś zniknął, a wymowa nabrała

twardych tonów, bliskich germańskim, choć nie aż tak wyraźnych jak u Zee. – Adam kazał mi zostać z Jesse, zabronił walczyć.

Coś grzmotnęło w ścianę domu.

Szabla była dużo lepszą bronią niż dwa nożyki.

– Umiesz się tym posługiwać?

– *Ja.*

Jako oficjalna towarzyszka Adama mogłam zmienić rozkaz Alfy, choć oczywiście wiedziałam, że nieźle oberwę, jeśli go to rozgniewa.

– Idź, pomóż im, a ja wyciągnę stąd Jesse w razie potrzeby.

Zniknął, zanim jeszcze przebrzmiały moje ostatnie słowa.

Usiłowałam wyjrzeć przez okno, jednak konstrukcja ganku zasłaniała widok. Uznałam, że z pokoju Jesse lepiej wszystko zobaczę, a poza tym przy okazji pożyczę jakąś odzież.

Wbiegłam na schody, ale po kilku stopniach musiałam zwolnić i ledwie dowlokłam się na piętro. W postaci kojota mogłam całymi godzinami biec truchtem, ale gnanie z pełną prędkością to co innego.

Jesse musiała mnie usłyszeć, bo wytknęła głowę z sypialni i w mgnieniu oka była przy mnie.

– Czego potrzebujesz?

Zaskoczona jej stropieniem, popatrzyłam po sobie. Nie chodziło o nagość. Dziewczyna wychowała się wśród wilkołaków, a istoty zmieniające formę nie mogły pozwolić sobie na zbytnią wstydlivość. Przemiana była powolnym, bolesnym procesem, a obecność krępujących ubrań przydawała dodatkowych cierpień. Wilkołaki robiły się wtedy jeszcze bardziej rozdrażnione. Dlatego pilnowały, aby wcześniej się rozebrać.

Nie, nie zareagowała tak na nagość, a na krew. Byłam nią umazana od stóp do głów.

Tknięta okropną myślą, popatrzyłam na schody. Na wykładzinie ciemniły się wyraźne ślady po moim przejściu.

– Niech to szlag – syknęłam. – Czyszczenie pochłonie majątek.

Ryk, który wstrząsnął domem, skutecznie kazał mi się przestać przejmować dywanami. Puściłam poręcz, dzięki której zdołałam wdrapać się na piętro, i chwiejnie przyskoczyłam do okna Jesse. Nie wypuszczając noży z rąk, usiadłam na parapecie, przerzuciłam nogi na zewnątrz i przedostałam się na daszek ganku, skąd miałam

najlepszy widok.

Wilkołaki były mocno poturbowane. Ben leżał pod samochodem Adama, a w błotniku ponad jego głową widniało głębokie wgniecenie.

Darryl zachodził właśnie istotę od tyłu. Dzięki ciemniejszym i jaśniejszym smugom na sierści stapał się z cieniami tak dobrze, że gdyby się nie poruszał, w ogóle bym go nie dostrzegła.

Adam, wczepiwszy się w kark stwora, młócił pazurami farfocle na jego grzbiecie, ale nie miałam pojęcia, z jakim efektem. Honey i Peter działali wspólnie. Wilczyca szybkimi kłapięciami zmuszała przeciwnika do powolnego obracania się w stronę męża, który, czekając na okazję czystego ataku, szukał najdogodniejszego miejsca do zadania ciosu.

Siedząc na daszku, słyszałam, jak Peter mruknął:

– Nic nie widzę przez te glony.

– Co się dzieje? – zapytała Jesse, przełaząc przez okno. Zarzuciwszy na mnie kape, przykucnęła obok. – Wygrywają?

– Trudno pow... – zaczęłam, gdy ból wywołany falą mocy, przewrócił mnie na tyłek. – Uważajcie! – wrzasnęłam do wilkołaków i zerwałam się na równe nogi, przyskakując na skraj daszku. Udało mi się wychylić w chwili, gdy stwór z niewiarygodną szybkością śmignął przez kamienistą łachę i wskoczył do wody. Z Adamem na plecach.

Wilkołaki nie potrafią pływać. Podobnie jak szympansy mają zbyt mało tkanki tłuszczowej – są zbyt ciężkie, żeby utrzymać się na wodzie. Mój przybrany ojciec popełnił samobójstwo, wchodząc do rzeki.

Już miałam runąć na dół, zamierzając przemienić się w trakcie skoku, żeby na czterech łapach dopaść rzeki, ale zatrzymałam się na wspomnienie obietnicy chronienia Jesse. Uciążliwość obietnicy nie zwalnia od jej dotrzymania.

Peter bez namysłu upuścił szablę, rzucając się w toń. Przez ułamek sekundy widziałam jeszcze jego głowę na powierzchni, po czym zniknęła pod wodą.

Jesse złapała mnie za rękę w miażdżącym uścisku.

– No dalej, pokaż się – mruczała, naraz wydając radosny okrzyk na widok Petera, podtrzymującego dławiącego się i prychającego

wilkołaka.

Ulga wyzwała mnie z resztek sił. Usiadłam ciężko, ukrywając twarz w dłoniach.



Rozdział 10

Cała jesteś pokrwawiona i w szkle – burknęła Jesse, pomagając mi przetransportować zmęczone kości z powrotem do pokoju. – Wciąż są podnieceni walką, ta krew ich nie uspokoi.

– Muszę tam zejść, muszę sprawdzić, czy nic im się nie stało – powtórzyłam uparcie po raz enty. – Widziałam, niektórzy są ranni, to moja wina.

– Wiesz dobrze, że czerpali przyjemność z każdej minuty tej walki. Lepiej dać im chwilę, niech ochłoną. Tata przyjdzie tu, jak tylko do siebie dojdzie. Ty tymczasem śmigaj pod prysznic, zanim wszystkie dywany będą do wyrzucenia.

Popatrzyłam pod nogi, na rozprzestrzeniające się plamki krwi. Stopy zaczęły mnie boleć natychmiast, gdy zobaczyłam, jak są poranione.

Popędzana argumentami Jesse powlokłam się do łazienki Adama – druga nadal nie zapewniała ani odrobiny prywatności. Jesse złapała po drodze spodnie od dresu i razem z koszulką oznajmującą światu, że kocham Nowy Jork, wepchnęła mi w ramiona, po czym zamknęła za mną drzwi.

Podniecenie opadło, pozostawiając śmiertelne znużenie. Łazienka Adama urządzona była w odcieniach brązów, które jakimś cudem nie robiły wrażenia nijakich. Ekszonie Adama, mimo innych – wielu – wad, nie można było na pewno zarzucić braku gustu.

Odkręciłam wodę i czekając, aż popłynie ciepła, zerknęłam w lustro zajmujące całą ścianę pomiędzy prysznicem i komodą z dwiema umywalkami. Pomimo wyrzutów sumienia, że ściągnęłam groźnego nieczłowieka na głowy niczego niespodziewającego się stada, uśmiechnęłam się mimowolnie.

Wyglądałam niczym żywcem wyjęta z kiepskiego horroru. Naga, zakrwawiona i od stóp do głów umazana błotem. Zawsze

zdumiewał mnie ogrom blocka w Tri-Cities, które przecież leży na terenach raczej pustynnych. Na domiar wszystkiego mieniłam się jak posypana brokatem. Przy każdym ruchu opadały ze mnie większe i mniejsze drobiny szkła – miałam ich pełno we włosach.

Każdy centymetr skóry pokrywały tysiące ranek i skaleczeń, z których sączyła się krew. Podniosłam stopę, wyciągając z podeszwy większy kawałek, odpowiedzialny za czerwoną kałużę na kafelkach. Wiedziałam, że rano nie będę się mogła ruszać z bólu. Nie po raz pierwszy żałowałam, że nie mam takich zdolności regeneracji jak wilkołaki.

Woda zaczęła parować, weszłam więc do kabiny, zamykając za sobą szklane drzwi. Syknęłam, kiedy strumienie uderzyły w podrażnione miejsca, i zakląłam, nastąpiwszy na okruch szkła, który musiał mi wypaść z włosów.

Zbyt zmęczona, aby go podnieść, oparłam się o szybę, pozwalając wodzie spływać po głowie. Gorąca, omywała ciało, przynosząc ulgę, której fala niemal ścięła mnie z nóg. Przed osunięciem się na podłogę kabiny powstrzymała mnie tylko obawa, że pokaleczę sobie drogocenniejsze od stóp części ciała.

Sporządziłam w duchu bilans zysków i strat.

Byłam żywa, podobnie jak reszta wilkołaków, prócz Bena, co do którego nie miałam pewności. Zamknęłam oczy, starając się odpędzić obraz leżącego na trawie wilka. Ben na pewno się z tego wygrzebie. Wilkołaki mogą przetrwać nawet bardzo ciężkie rany, a reszta watahy broniła do niego dostępu, gdy stracił przytomność. Nic mu nie będzie, pocieszałam się, ale bezskutecznie. Musiałam wykrzesać z siebie jeszcze odrobinę energii, żeby wyjść spod prysznicza i na własne oczy sprawdzić, jak się czuje.

Drzwi do łazienki otworzyły się i poczułam bijącą od Adama falę mocy.

– Na Finley Road, przy parku, stoi żółte porsche – powiedziałam, przypomniawszy sobie nagle o samochodzie. – Trzeba go usunąć z drogi, zanim ktoś się o niego rozbije.

Dobiegł mnie szmer przyciszonej rozmowy. Przez szum wody wyłowiałam, jak ktoś mówi: „Zajmę się tym”. Prawdopodobnie mąż Honey, bo tylko on pozostał w ludzkiej formie. Do tego czasu wilkołaki mogły przemienić się z powrotem, choć wątpiałam, by to

uczyniły. Bez dobrego powodu pozostaną raczej w wilczej postaci aż do rana. Z wyjątkiem Adama.

Tak szybka przemiana, do jakiej zmusiłam go, ściągając tu nieczłowieka, późniejsza walka i ponowna zmiana formy na pewno nie wprawiły Alfę w dobry nastrój. Miałam nadzieję, że zjadł coś przed przyjściem na górę. Przekształcenia wymagały wiele energii, a spotkanie z głodnym wilkołakiem nigdy nie należało do przyjemności. Biorąc pod uwagę, że na dodatek krwawiłam jak proszę w rzeźni, sprawa mogła skończyć się dla mnie bardzo źle.

Uwaga na temat porzuconego samochodu miała mi dać czas na wyjście spod prysznic i owinięcie się ręcznikiem, byłam jednak tak wyzuta z sił, że nie ruszyłam się z kabiny.

Drzwi uchyliły się, ale nie podniosłam wzroku. Adam w milczeniu odwrócił mnie, przytrzymując pod strumieniem wody. Pochyliwszy głowę jeszcze niżej, postąpiłam naprzód, żeby woda lała mi się po głowie, omijając twarz.

Musiał sięgnąć po grzebień, bo zaczął wyczesywać mi z włosów szklane okruchy. Bardzo przy tym uważał, żeby nie dotykać mnie gdzie indziej.

– Uważaj – mruknęłam. – Wszędzie jest pełno szkła.

Ręka Adama zawisała na moment nad moją głową, po czym wróciła do poprzedniej czynności.

– Jestem w butach. – Niski, chrapliwy głos powiedział mi, że wilk czai się tuż pod powierzchnią, mimo że człowiek operował grzebieniem z niezwykłą delikatnością.

– Co z resztą? – Nie mogłam nie zapytać, choć naprawdę potrzebował teraz spokoju.

– Ben mocno oberwał, ale do rana będzie jak nowy. Zasłużył sobie za to skakanie przez okno. I tak mu się upiekło, bo mógł się nieźle poharatać. A nie upiekłoby się, gdyby i w twoim przypadku nie skończyło się tylko na skaleczeniach.

Wyczułam wibrujący w nim gniew. Wilkołaki nie są wiecznie rozdrażnione, nawet w wilczej formie, tak samo jak niedźwiedzie nie są cały czas rozeźlone, choć takie się wydają. Jednakże jeśli to, co mówiła Honey, to prawda, Adam był spięty bardziej niż zwykle, a teraz jeszcze nałożyła się na to niedawna walka.

To oznaczało, że nie mogłam, jak czyniłam to zazwyczaj, dać

upustu swemu niepokojowi, drażniąc się z Adamem – nie czułamby się wobec niego w porządku. Cholera.

Byłam zbyt zmęczona na gierki, mające na celu ułagodzenie rozstrojonego wilkołaka i jednocześnie ukrycie przed nim mojego strachu.

– Nic mi nie jest – powiedziałam. – Tylko potwornie zmęczyłam się ucieczką. Ten nieczłowiek był niezmordowany.

Warknął na wspomnienie przeciwnika i nie zabrzmiało to jak ludzki dźwięk.

Zakląłam, choć normalnie starałam się nie robić tego w obecności Adama, wyjątkowo na tym punkcie przewrażliwionego. Ostatecznie wychował się w czasach, kiedy kulturalne kobiety nie używały takich słów.

– Nie mam siły – westchnęłam. – Lepiej się już zamknę.

Podjął na nowo wyczesywanie szklanych drobin, a ja cierpliwie czekałam, aż uzna efekt swoich działań za satysfakcjonujący. Wreszcie zakręcił wodę i sięgnął po leżący na komodzie ręcznik. Spojrzałam na niego, kiedy się odchylił, bez ryzyka, że napotkam jego wzrok. Nie miał na sobie koszulki, ale dzinsy i buty owszem – jedno i drugie całkiem przemoczone.

W momencie, kiedy się odwracał, błyskawicznie spuściłam oczy. Okrył mnie ręcznikiem i zaczął wycierać. Tkanina, miękka i puszysta, zbyt długo pozostawała w suszarce ze zmiękczaczem, żeby dobrze chłonąć wodę. Ugryzłam się w język, żeby mu tego nie wytknąć.

Z tak bliska wyraźnie czułam jego podminowanie, dlatego ze wzrokiem wbitym w ziemię, bezwolnie poddawałam się troskliwym zabiegom, bo zajmowanie się mną pozwalało Adamowi opanować nerwy.

Potrafiłam udawać uległość na tyle dobrze, by oszukać każdego wilkołaka. Musiałam się tego nauczyć, by przeżyć w stadzie.

Dotarłszy do brzucha, przerwał wycieranie. Upuścił ręcznik i ukląkł na jedno kolano, opierając czoło o najbardziej bezbronną i wrażliwą część ciała.

Brzuch jest miejscem, gdzie miękkiej tkanki nic nie osłania przed uszkodzeniem. Ale nos podpowiedział mi, że nie głód był bodźcem do tego gestu. Na ułamek sekundy oboje znieruchomieliśmy.

– Samuel wspominał o twoim tatuażu – powiedział, ogrzewając moją skórę ciepłym oddechem.

Jak to, czyżby go wcześniej nie widział? Bardzo uważałam, żeby nie wystawiać Adama niepotrzebnie na próby, więc w jego obecności byłam zawsze ubrana. Rzeczywiście, mógł nie mieć okazji.

– To ślad łapy kojota – powiedziałam. – Zrobiłam go sobie na studiach.

Odchylił głowę, spoglądając mi w twarz.

– Wygląda jak wilcza łapa.

– To pomysł Samuela? – obruszyłam się. Nie pozostawałam niewrażliwa na jego bliskość. Wiedziona przemożnym pragnieniem, przesunęłam palcami po włosach Adama. – Co ci powiedział? Że oznakowałam się jako jego własność? – Och, oczywiście, nie mógł okłamać drugiego wilkołaka, lecz aluzje bywają równie skuteczne.

Adam wtulił twarz w podbrzusze, pozwalając mi widzieć tylko czubek swojej głowy. Szczecina na policzkach powinna drażnić mi skórę lub łaskotać, ale nie takie doznania się we mnie obudziły. Przesunął dłonie z ud na pośladki i przyciągnął mnie bliżej.

Miał miękkie usta, ale nie tak miękkie jak język.

Wszystko zmierzało w kierunku czegoś, na co nie byłam gotowa – choć rozważałam ten krok. Przymknęłam powieki. Może przy kim innym bym się nie zastanawiała. Ale Marrok powtarzał mi, że mając do czynienia z wilkołakami, zawsze trzeba brać pod uwagę dwie natury. Jedna należała do bestii, druga do człowieka. Adam nie należał do wyzwolonych mężczyzn, beztriosko przeskakujących z łóżka do łóżka. Za jego czasów seks uprawiało się dopiero po ślubie albo przynajmniej po zaręczynach, a ja wiedziałam, że przekonania Hauptmana w tym względzie nie zmieniły się mimo upływu lat.

Sama będąc owocem jednej gorącej nocy i ponosząc tego konsekwencje przez całe samotne dzieciństwo, także miałam dość sztywne poglądy w tej kwestii. Nie żyłam jak zakonnica, ale też nie nurzałam się w rozpuście.

Czy związek z Adamem byłby taki zły? Wystarczyło pozwolić mu na ten krok, nic nie musiałabym sama robić.

– Rodzice mojej współlokatorce z akademika prowadzili salon tatuażu. Od dziecka im pomagała, a na studiach miała okazję zdobyć jeszcze więcej doświadczenia. Podciągałam ją z kilku przedmiotów, a ona w zamian zrobiła mi tatuaż – mówiłam, żeby zdekoncentrować któreś z nas.

– Nadal się mnie boisz? – zapytał.

Nie miałam pojęcia, co odpowiedzieć, bo nie o to przecież chodziło. Bałam się tego, kim stanę się przy Adamie.

Odsunął się z westchnieniem i wstał. Rzuciwszy wilgotny ręcznik na podłogę, wyszedł z kabiny.

Ruszyłam za nim, ale mnie powstrzymał.

– Zostań tam.

Chwyciwszy nowy ręcznik, owinął mnie i wziął na rękę, przenosząc na blat między umywalkami.

– Przebiorę się i poszukam ci jakichś butów. Na dole jest pełno szkła, rozniosłaś je po całym domu. Nie ruszaj się stąd, dopóki nie wrócę.

Nie czekając na odpowiedź, wyszedł. I może dobrze zrobił, bo prędzej bym się udławiła, niż potulnie przytaknęła. Miałam ochotę zjeżyć się przy tym ostatnim zdaniu, mimo że nie zostało wypowiedziane rozkazującym tonem. Nie wiem, dlaczego wiecznie kombinowałam, jak radzić sobie z wilkołakami, zamiast odwrócić się i odejść.

Może dlatego, że ta druga forma Adama miała wielkie pazury i kły.

Korzystając z tego, że mogłam dosięgnąć ubrań Jesse, nie opuszczając blatu, zrzuciłam ręcznik i się ubrałam. Moje T-shirty były z grubej, staromodnej bawełny, ale Jesse nosiła te modne, cieniuteńkie, które przylegały niczym druga skóra. Niedokładnie się wytarłam, założywszy więc obcisłą szmatkę, wyglądałam jak zbieg z konkursu mokrej podkoszulki.

Podniosłam ręcznik i okryłam nim moje kobiece atrybuty w chwili, gdy do łazienki wszedł Adam. Przebrał spodnie i zmienił buty, ale nie założył nic na górę. Po dwóch przemianach w ciągu godziny jego skóra musiała być bardzo drażliwa i pewnie piekła, jak po zbyt długim przebywaniu na słońcu. Gorący prysznic też nie pomógł.

Wbiłam wzrok w stopy.

Przyjrzawszy mi się, ku mojemu zdumieniu wybuchł śmiechem.

– Wyglądasz jak potulna owieczka. W życiu nie widziałem cię potulnej.

– Pozory mylą – powiedziałam. – Jestem tylko zmęczona, przerażona i głupia. Przepraszam, że ściągnęłam tu tego potwora, wystawiając Jesse na niebezpieczeństwo.

Obserwowałam, jak jego buty zbliżają się do komody. Nachylił się, otaczając mnie swoją mocą i zapachem. Zanurzył twarz w moich włosach, pocierając zarostem wilgotne kosmyki.

– Masz kilka skaleczeń na głowie – zauważył.

– Tak mi przykro, że go tu doprowadziłam – powtórzyłam. – Myślałam, że go zgubię, ale był za szybki. Po drodze zmienił się też w inną postać, chyba konia, ale nie wiem na pewno, nie miałam czasu oglądać się za siebie.

Wciągnął nosem powietrze, żeby wyczuć stan, w jakim się znajdowałam.

– Zmęczona, przerażona i głupia, mówisz? – Zawiesił głos, jakby szacując moje słowa. – Zmęczona, owszem. – Może miał lepszy węch niż ja, ale nie wierzyłam, że potrafi wychwycić zmęczenie. – Wyczuwam też ślad lęku, choć większość splukał prysznic. Ale głupia, wcale. Sprowadziłaś go tu, wiedząc, że się nim zajmujemy. Co innego mogłaś zrobić?

– Wyprowadzić gdzie indziej.

Ujął mnie pod brodę, patrzyłam teraz wprost w jego jasnozłote oczy.

– Zginęłabyś.

Głos miał spokojny, jednak wilcze ślepie jarzyły się jeszcze żarem bitewnym.

– Ale Jesse mogła zginąć... Ty nieomal zginąłeś. – Znów poczułam w sercu ten straszliwy skurcz, jak wtedy, gdy widziałam go znikającego pod wodą.

Ukryłam twarz na jego ramieniu, żeby nie widział mojej miny, choć czułam, że kipiąca w nim moc ostygła odrobinę. Ucieszył się z mojej reakcji na grożące mu niebezpieczeństwo.

– Ciii – szepnął, wsuwając szorstką dłoń pod moje włosy i przytrzymując za kark. – Napilem się trochę wody, ale nic mi nie

jest. Czułbym się znacznie gorzej, gdybyś dała się zabić, bo nie wierzyłaś, że poradzę sobie z jednym nieczłowiekiem.

Przeciąganie tej chwili było najbardziej niebezpieczną z głupot, jakie udało mi się dzisiaj popełnić, i zdawałam sobie z tego sprawę. Po prostu nie myślałam o konsekwencjach. Pachniał tak przyjemnie, a jego skóra była taka ciepła.

– No dobrze – powiedział w końcu. – Pokaż mi te stopy.

Nie skończyło się na oglądaniu. Umył je w umywalce gorącą wodą i wyszorował ostrą szczotką, co bolałoby, nawet gdyby podeszwy nie były pokaleczone.

Uspokajał mnie, kiedy syczałam i pojękiwałam, ale nie przerywał pracy. Nie miałam szansy wyrwać nóg z żelaznego uścisku. Później polał mi skórę wodą utlenioną i zaczął osuszać ciemnym ręcznikiem.

– Zrobią się plamy – zaprotestowałam, cofając nogi.

– Cicho bądź, Mercy – ofuknął mnie, łapiąc obie stopy jedną ręką, żeby drugą kontynuować wycieranie.

– Tato? – Jesse ostrożnie zajrzała do łazienki. Upewniwszy się, że jest bezpiecznie, weszła i podała Adamowi słuchawkę. – Wujek Mike do ciebie.

– Dziękuję. – Przyłożył telefon do ucha, przytrzymując go ramieniem. – Możesz dokończyć, Jesse? Trzeba wysuszyć, opatrzeć i znaleźć jej jakieś obuwie, zanim zejdzie na podłogę.

Zaczekałam, aż głos Adama ucichnie na dole, po czym wyrwałam ręcznik z rąk rozchichotanej Jesse.

– Żebyś widziała swoją minę – śmiała się. – Wyglądasz jak kocur w kąpieli.

Wytarłam się do końca i otworzyłam apteczkę, którą Adam zostawił na blacie.

– Sama sobie poradzę – prychnęłam. – Siedź tu, zostań tam...

Jesse usiadła na blacie bliżej drzwi.

– To czemu go słuchałaś?

– Bo właśnie uratował mi tyłek, a poza tym nie chciałam go drażnić, i tak był po tym wszystkim nabuzowany. – Tylko trzy rany wymagały plastra, wszystkie na lewej stopie.

– Daj spokój. Przyznaj, że podobała ci się ta jego troskliwość.

Spojrzałam na nią koso. Kiedy nie spuściła wzroku, wróciłam

do odklejania foliowych zabezpieczeń z plastrów. Nie zamierzałam niczego przyznawać. Na pewno nie teraz, kiedy stał gdzieś niedaleko i mógł mnie usłyszeć.

– Czemu jesteś owinięta rękami? – zainteresowała się Jesse.

Pokazałam jej.

– Ups – zachichotała. – Zapomniałam, że nie masz stanika. Przyniosę ci górę od dresu. – Zeskoczyła z blatu i wybiegła.

Uśmiechnęłam się. Dziewczyna miała rację. Taka troska sprawia przyjemność, szczególnie jeśli się jej tak naprawdę nie potrzebuje.

Ale wydarzyło się coś, co radowało mnie znacznie bardziej. Mimo że Adam był bardzo zdenerwowany, mimo że rozkazywał na prawo i lewo, nie czułam pragnienia spełniania jego żądań, które wywołuje magia przynależna Alfie. Jeśli nie działała na mnie w takich okolicznościach... Może jako jego towarzyszka mogłabym pozostać sobą?

Buty Jesse, które przyniósł Adam, okazały się na mnie za małe, ale poza bluzą Jesse złapała przewidująco klapki, które w miarę pasowały.

Peter wszedł do domu w momencie, gdy pokonałam ostatnie stopnie na parterze. Honey, równie piękna w wilczej, co i w ludzkiej formie, truchtała u jego boku. Peter uśmiechnął się przyjaźnie na mój widok.

– Nie znalazłem porsche, ale twój Królik stał na poboczu z kluczykami w stacyjce. Nie mogłem go odpalić, więc tylko zamknąłem. – Wręczył mi klucze.

– Dzięki. Wobec tego Fideal pewnie zabrał swój samochód. A to oznacza, że nie został poważnie ranny. – Właśnie wybierałam się do domu, ale skoro Fidealowi nic nie było, przestało mnie ciągnąć na własne śmieci.

Peter podzielał moje rozczarowanie stanem zdrowia nieczłowieka.

– Przykro mi – rzekł. – Myślę, że szabla załatwiłaby sprawę, ale nie mogłem dojrzeć ciała między tym zielskiem.

– Gdzie nauczyłeś się posługiwać szablą? – zapytałam. – I skąd w ogóle taka broń u Adama?

– To moja szabla – powiedziała Jesse. – Kupiłam ją w zeszłym roku na targu podczas Festiwalu Renesansu i poprosiłam Petera,

żeby mnie trochę poduczył fechtunku.

– Przed Przeistoczeniem byłem kawalerzystą – wyjaśnił z uśmiechem. – Używaliśmy już broni palnej, ale nie była wtedy szczególnie celna, więc przede wszystkim walczyliśmy szablami. – Teraz mówił znów normalnie z miękkim, środkowozachodnim akcentem.

Skoro używali już broni palnej, ale raczej polegali na białej, musiał przejść Przeistoczenie podczas wojny o niepodległość albo niewiele wcześniej. Z tego wynikało, że poza Marrokiem i Samuelem, był najstarszym wilkołakiem, jakiego znałam. Wilkołaki nie umierają zwykle ze starości, lecz przemoc, która towarzyszy im przez całe życie, przeważnie jest też przyczyną jego końca.

– Nie jestem dominującym wilkiem, Mercy – wyjaśnił, widząc moje zaskoczenie. – Tacy jak ja żyją dłużej. – Honey wepchnęła mu pysk pod rękę, więc podrapał ją za uszami.

– Super – ucieszyłam się.

– Fideała mamy z głowy – oświadczył Adam gdzieś z tyłu.

Odwróciwszy się, ujrzałam, jak odkłada słuchawkę na ładowarkę w kuchni.

– Wujek Mike zapewnił mnie, że to była pomyłka. Wynikająca z nadgorliwości Fideała w wykonywaniu rozkazów Szarych Panów.

– Uhm, choć powiedziałabym raczej, że ta nadgorliwość dotyczyła bardziej chęci napchania sobie brzucha ludzkim mięsem – skwitowałam.

Spojrzał na mnie, lecz nie potrafiłam odczytać jego miny ani zapachu.

– Rozmawiałem też z Samuelem. Żałuje, że ominęła go cała zabawa, ale jest już w domu. Jeśli Fideal zechce cię odwiedzić, będzie miał do czynienia z Samuelem. Poza tym w każdej chwili przyjdziemy wam na pomoc. – Potoczył ręką po wilkołakach.

– Wysyłasz mnie do domu? – Czyżbym go kokietowała? Niech to szlag, owszem.

Uśmiechnął się, najpierw samymi oczyma, a potem rozciągnął wargi w uśmiechu, tylko odrobinę, ale wystarczająco, by na ten widok serce zabiło mi szybciej.

– Ależ skąd, możesz zostać – odparł, podchwytując filuterny ton,

i z szelmowskim błyskiem w oku dodał: – Ale dzisiaj za dużo tutaj ludzi na to, co chciałbym robić, gdybyś została.

Wyminęłam Petera i wyszłam, stukając klapkami, które nie zagłuszyły jednak słów, rzuconych mi na pożegnanie:

– Masz śliczny tatuaż, Mercy.

Wyprostowałam się, dumnie krocząc przez podjazd. Nie mógł ujrzeć mojego uśmiechu... a ten szybko zrzędł na widok zniszczeń po walce.

Wyklepanie wgniecenia w samochodzie Adama będzie sporo kosztowało. Ubytki w tynku też wyglądały kiepsko, a nie umiałam na oko wycenić napraw budowlanych. Za wymianę zdewastowanych paneli elewacyjnych w moim domu zapłaciły wampiry.

Zaczęłam podliczać straty, które spowodował Fideal. Nie miałam pojęcia, co zrobił z moim samochodem, lecz nawet jeśli wykorzystam części z grata, który tak denerwował Adama, naprawa zajmie mi długie godziny. Dodatkowo musiałam zdobyć pieniądze na spłatę Zee – nie chciałam pożyczać ich od Samuela, no, ewentualnie w ostateczności. Chyba że groźba Zee rzeczywiście była tylko próbą powstrzymania mnie od grzebania w morderstwach.

Potarłam twarz, nagle znowu znużona. Od opuszczenia watahy Marroka radziłam sobie sama, nie wtykając nosa w cudze sprawy. Kłopoty miałam, owszem, ale własne. Trzymałam się daleko od problemów wilkołaków, a Zee trzymał mnie z dala od swoich. W ciągu ostatniego roku ta cała z trudem wypracowana równowaga runęła jak domek z kart.

Wątpiłam, czy uda mi się wrócić do starych, spokojnych czasów; zresztą nie wiedziałam nawet, czy tego chcę. Ale mój nowy styl życia robił się bardzo kosztowny.

Drobina żwiru wpadła mi do klapka, urażając pokaleczoną stopę. Syknęłam.

I w dodatku bardzo bolesny.



Samuel przywitał mnie na ganku kubkiem gorącej czekolady,

rzucając fachowym okiem na moje rany.

– Nic mi nie jest – zbyłam go, umykając do domu. Zrobiłam czekoladę z proszku, ale akurat potrzebowałam trochę cukru. – Za to Ben jest w kiepskim stanie i widziałam chyba kulejącego Darryla.

– Adam nie prosił mnie o pomoc, więc raczej sami się z tego wygrzebią – uspokoił mnie, zamykając drzwi. Zajęłam mu fotel, więc usiadł naprzeciwko, na kanapie. – Opowiedz, co się stało. Dlaczego Fideal cię w ogóle gonił? Nie jesteś w jego typie.

– Typie?

– Fideal to nikczemny stwór wodny, który zjadał zbłąkane dzieci – wyjaśnił. – Jesteś trochę za stara jak na jego gust. Czym go rozsierdziłaś?

– Niczym. Zupełnie niczym.

Wydał z siebie jeden z tych dźwięków, którymi zwykle dawał do zrozumienia, że nie kupuje mojej bajki.

Wypiłam kilka łyków czekolady, dochodząc do wniosku, że przyda się świeże spojrzenie na całą sytuację. Może zauważy coś, co przegapiłam? Opowiedziałam mu wszystko dokładnie, wyjąwszy jedynie to, co zaszło między mną i Adamem.

Podczas gdy gadałam, zaczęłam zauważać zmęczenie Samuela. Uwielbiał pracę na pogotowiu, ale płacił za tę miłość wysoką cenę. Nie ze względu na zwariowany grafik dyżurów, choć samo to wykańczało lekarzy na oddziałach ratunkowych. Samuel musiał wkładać o wiele więcej wysiłku w opanowanie się, bo krew, strach i śmierć działały na niego znacznie silniej niż na ludzi.

Zanim skończyłam, zdołał częściowo zwalczyć znużenie.

– A więc poszłaś na zebranie Świetlanej Przyszłości, licząc na znalezienie mordercy O'Donnella, a trafiłaś na bandę dzieciaków i nieczłowieka, który uznał, że nadasz się na przekąskę.

– Coś w tym stylu.

– Czy ten nieczłowiek mógł zabić strażnika?

Przymknęłam oczy, przywołując obraz walki z wilkołakami. Czy Fideal potrafiłby oderwać człowiekowi głowę?

– Niewykluczone. Chociaż nie wydawał się zainteresowany kwestią morderstwa strażnika.

– Wspominałaś, że był zły, widząc cię na spotkaniu. Może bał się,

że go zdemaskujesz jako mordercę?

– Też możliwe. Zadzwońię do Wujka Mike’a i zapytam, czy Fideal miał motyw, żeby zabić innych ludzi. Na pewno znał O’Donnella. A ja im więcej dowiaduję się o O’Donnellu, tym bardziej się dziwię, że ktoś nie dziabnął go już kilka lat temu.

Samuel uśmiechnął się lekko.

– Jednak nie jesteś przekonana, że to Fideal jest mordercą?

– Umieściłam go na liście podejrzanych, ale...

– Ale co?

– Wiesz, wydawał się taki wyposzczony. Nie, nie chodziło o samo ludzkie mięso, choć to na pewno też, przede wszystkim pragnął polowania. – Samuel jako wilkołak wiedział, o czym mówię. – Zresztą, gdyby to on zamordował, wyglądałoby to inaczej. Utopiłby O’Donnella albo zostawił tylko resztki, albo w ogóle pożarł w całości. – Wypowiedziane na głos przypuszczenie nabrało prawdopodobieństwa. – Zapytam Wujka Mike’a, choć nie sądzę, żeby Fideal to zrobił. – Przypomniałam sobie, że jest jeszcze jedna sprawa, którą miałam omówić z Wujkiem Mikiem. – I jeszcze coś. Ten kostur, znów go znalazłam, tym razem w aucie.

Zaczęłam podnosić się z fotela, lecz nogi ostatecznie odmówiły mi posłuszeństwa i klapnęłam z powrotem.

– Szlag by to.

– Co ci jest? – Wywołane zmęczeniem rozleniwienie opuściło Samuela w ułamku sekundy. Zbeształam go wzrokiem.

– Mówiłam ci, że nic. Porozciągłam się trochę, natrę maścią rozgrzewającą, wyśpię i rano będę jak nowa. – Przypomniawszy sobie o skaleczeniach na całym ciele, stwierdziłam, że obejdę się bez maści. – Możesz mi podać telefon?

Wziął słuchawkę ze stolika obok kanapy i rzucił w moją stronę.

– Dzięki. – Ostatnio tak często dzwoniłam do Wujka Mike’a, że wpisałam jego numer do pamięci. Chwilę trwało przebijanie się przez kordon pracowników, aż wreszcie do telefonu podszedł Wujek Mike.

– Czy Fideal mógł zabić O’Donnella? – zapytałam bez wstępów.

– Mógł, lecz tego nie zrobił – odparł Wujek Mike. – Ciało O’Donnella jeszcze podrygiwało, kiedy weszliśmy z Zee do pokoju. Zabójca musiał być w domu w momencie, gdy przekraczaliśmy

próg. Fideal nie dysponuje mocą potrzebną do stworzenia iluzji pozwalającej ukryć się przede mną na tak ograniczonej przestrzeni. Poza tym prędzej odgryzłby człowiekowi głowę, a nie oderwał.

Przełknęłam nerwowo ślinę.

– To co Fideal robił na zebraniu Świetlanej Przyszłości i dlaczego nie wyczułam jego zapachu w domu O'Donnella?

– Fideal był na kilku spotkaniach, żeby mieć na nich oko. Kiedy wyszło na jaw, że są raczej grupą dyskusyjną i nie podejmują żadnych konkretnych działań, prawie przestał tam chodzić. Po zabójstwie O'Donnella poprosiliśmy, żeby jeszcze raz im się przyjrzał. I nagle stanął oko w oko z kojotem, na którego wydano wyrok śmierci. Uznał, że to świetna okazja na małą przekąskę. – W głosie Wujka Mike'a pobrzmiwała irytacja, ale nie na Fidealą.

– A dlaczego nie wspomniałeś temu kojotowi o wyroku? – oburzyłam się.

– Mówiłem ci, żebyś trzymała się od tego z daleka – rzekł zimnym, wibrującym mocą głosem. – Za dużo wiesz i za dużo gadasz. Powinnaś zrobić, jak ci kazano.

Może gdyby stał obok, czułabym się zastraszona, ale ponieważ znajdował się po drugiej stronie miasta, zaprotestowałam:

– Jasne, a Zee zostałby skazany za morderstwo.

Zapadło milczenie, które po chwili przerwałam.

– A następnie prawem nieczłowieczym wykonano by wyrok w trybie natychmiastowym.

Samuel, którego słuch pozwalał śledzić wypowiedzi po obu stronach słuchawki, warknął groźnie.

– Nie zwalaj tego na Mercy, Wujku Mike. Dobrze wiedziałeś, że nie zostawi tak tej sprawy. Tym bardziej, jeśli każesz jej to zrobić. Przekorność to drugie imię Mercy, a ty pozwoliłeś jej zobaczyć więcej, niż wolno ci było pokazać. Dlaczego? Co powiedzieli Szarzy Panowie? Zakazali tobie i innym nieludziom szukać prawdziwego mordercy? Poza wrobieniem Zee nie mieli do niego pretensji, prawda? W końcu zabił mordercę nieludzi, więc sprawiedliwości stało się zadość.

– Zee był z Szarymi Panami w stałym kontakcie. – Zmiana tonu na przeproszający wskazywała nie tylko, że Samuel się nie mylił i faktycznie oczekiwano ode mnie kontynuowania śledztwa, ale

także, że Wujek Mike miał tak dobry słuch jak wilkołaki. – Wiedziałem, że będą ci chcieli utrzyć nosa, lecz nie przypuszczałem, że przyślą tu kogoś z zewnątrz, a nad tutejszymi nieлюдźmi mam władzę. Gdybym wiedział o Nemane, ostrzegłbym cię. Ostatecznie jednak użyła wpływów, żeby odwołać wyrok.

– To zabójczyni – oburzył się Samuel.

– Wilkołaki też mają swojego kata, czyż nie, Samuelu Marroksonie? – warknął Wujek Mike. – Ile wilkołaków zabił twój brat, żeby chronić ludzi? Potępiasz nas za to, co sami robicie?

– Tak, jeśli celem jest Mercy. A Charles likwiduje tylko winnych, nie niewygodnych.

Chrząknęłam, przerywając ich spór.

– Wróćmy może do tematu. Czy Nemane mogła zabić O'Donnella?

– Nie w ten sposób – rzekł Wujek Mike. – Pozbyłaby się go tak, żeby nikt nie wątpił w wypadek.

Z mojej listy zniknął kolejny podejrzany.

Każdy wilkołak byłby w stanie zrobić coś takiego, pomyślałam, przypominając sobie, z jaką szybkością oderwano głowę O'Donnellowi. Jednak żaden nie miał motywu i żaden nie zostawił zapachu na miejscu zbrodni. Wampiry? Nie wiedziałam o nich zbyt wiele – choć i tak więcej, niżbym chciała. Na pewno potrafiły ukryć przede mną swój zapach. Ale nie, O'Donnella zabił nieczłowiek.

Hm, skoro Wujek Mike chciał, żebym ciągnęła tę sprawę, może odpowie na kilka pytań?

– O'Donnell ukradł swoim ofiarom pewne przedmioty, prawda? – zapytałam. – Między innymi ten kostur. Który, tak przy okazji, znajduje się w moim samochodzie stojącym na poboczu Finley Road, przy parku. Ale zakładam, że było tego więcej. Pierwsza ofiara, Connora, była bibliotekarką. Na pewno posiadała jakieś artefakty. Raczej pomniejsze, bo nie dysponowała taką mocą, żeby trzymać coś, czego chciałby kto inny. Ten kostur należał do Pradawnego od lasu. Wiem to po zapachu. Co jeszcze zostało skradzione?

Przeglądałam księgę od antykwariusza. Wolałabym, żeby niektóre z opisanych w niej przedmiotów nie wpadły w niepowołane ręce. Ba, były też takie, które nie powinny wpaść w niczyje ręce.

– Będę u was za chwilę. Czekaście na mnie – rzekł Wujek Mike po krótkim milczeniu.

Rzuciłam słuchawkę Samuelowi, który odłożył ją na miejsce. Potem powlokłam się do sypialni i wyjęłam księgę z szafki pancерnej.

Wymieniała więcej niż jeden kostur. Poza tym, który mnie prześladował, a który zapewniał płodność owiec, był drugi, pozwalający znaleźć drogę do domu, kiedy się zabłądziło, oraz trzeci umożliwiający zobaczenie ludzi takimi, jacy byli w rzeczywistości. Żaden nie robił złowieszczonego wrażenia, dopóki nie przeczytało się całych historii. Choć na pierwszy rzut oka skarby niełudzi wydawały się błogosławieństwem, miały zwyczaj sprowadzać na obdarowanych nieszczęście.

Znalazłam też sztylet Zee. W książce określano go po prostu ostrzem, lecz ręczny szkic nie pozostawiał wątpliwości, że to ta sama broń, której dwukrotnie użył mi Zee.

Samuel przykucnął przy fotelu, kiedy zaczęłam wertować księgę, teraz wskazał palcem rysunek. On także rozpoznał sztylet Zee.

Wujek Mike wszedł bez pukania.

Zidentyfikowałam go po specyficznym chodzie i zapachu przypraw oraz starego piwa, ale zadając kolejne pytanie, nie podniosłam głowy.

– Czy któraś ze skradzionych rzeczy umożliwiłaby mordercy ukrycie się przed waszą magią? Dlatego właśnie potrzebowaliście mojej pomocy?

Autor księgi wymieniał kilka artefaktów dających ochronę przed niełudźmi albo zapewniających niewidzialność.

Wujek Mike zamknął drzwi, lecz nie wszedł głębiej.

– Zabraliśmy z domu O'Donnella siedem przedmiotów. Właśnie przez to Zee nie zdążył się ukryć przed policją i ze względu na nie zostawiłem go tam samego. Posiadały niewielką moc, chodziło raczej o fakt, że w ogóle istnieją. Magiczne artefakty w ludzkich rękach zawsze oznaczają kłopoty.

– Przegapiliście kostur. – Podniosłam oczy na gościa. Wujek Mike był bardziej wymięty i nieświeży niż koszulka i spodnie, które miał na sobie.

– Nie znaleźliśmy też niczego, co zapewniałoby O'Donnellowi

bezkarność. Przyjeliśmy, że morderca wyniósł z jego domu co najmniej jeden przedmiot.

Samuel nie spojrzał dotąd na Wujka Mike'a. Oboje prowadziliśmy tę samą gierkę, dającą nam z miejsca przewagę nad rozmówcą. Jednak podjęcie jej przez Samuela oznaczało, że i on nie całkiem ufał Wujkowi Mike'owi. Nie spuszczać wzroku z książki, Samuel wstał z podłogi. Dopiero wyprostowawszy się, spojrzał na naszego gościa z góry.

– Czy wiesz, co dokładnie ukradł O'Donnell? – zapytał.

– Bibliotekarka zbierała informacje, tworząc listę artefaktów znajdujących się w posiadaniu nieludzi. A ponieważ zginęła jako pierwsza... – Wzruszył ramionami. – Zabójca zabrał spis. Jedną kopię mogła dać wcześniej Szarym Panom. Ale nie wiem o żadnej innej.

– Czy O'Donnell szukał artefaktów, zanim jeszcze zaczął się z nią umawiać?

Wujek Mike popatrzył na mnie spod zmarszczonych brwi.

– Skąd wiesz, że się spotykali? – Szybko potrząsnął głową. – Nie, nie mów mi. Lepiej, żebym nie wiedział, kto ci o tym powiedział.

Wyraźnie nie chciał mieszać do tego Tada.

Z ciężkim westchnieniem opadł na kanapę, tym samym bez walki ustępując Samuelowi pierwszeństwa.

– Nie sędzę, żeby kręcił się przy niej, bo planował kradzież. Rozmawialiśmy z jej przyjaciółmi. To Connora zagięła na niego parol. On uważał, że robi jej łaskę, ona, że O'Donnell zasługuje na to, co chciała mu zgotować. Nasza Connora była zwykle łagodna, lecz gardziła ludźmi, szczególnie tymi z ASN. Bawiła się nim przez jakiś czas, lecz szybko się znudziła. Dzień przed śmiercią wspomniała jednemu z przyjaciół, że zamierza go rzucić.

– To po co wam była Mercy? – zapytał Samuel. – Z takim motywem powinniście podejrzewać O'Donnella w pierwszym rzędzie.

– To nie takie proste – westchnął Wujek Mike. – Właśnie zaczęliśmy się mu przyglądać, kiedy popełniono drugie morderstwo. Wcześniej nie mieliśmy podstaw, nikt nie powiedział nam o romansie Connory. Na takie mieszane związki patrzy się co prawda przez palce, bo zawsze to lepiej mieć dzieci półkrwi niż

żadnych, ale O'Donnell, jak wszyscy strażnicy zresztą, był wrogiem. A Pradawni nie zadają się z wrogami, szczególnie z takimi w typie O'Donnella.

– Jednym słowem się hańbiła – podsumowałam.

Nie odpowiedział od razu.

– Gdyby któryś z twoich przyjaciół zadawał się z psem, uznałabyś to za hańbę?

– W każdym razie sprawa wygląda tak. On uważa, że robi jej łaskę, ona mówi mu, jak jest naprawdę, więc on ją zabija.

– Takie przyjęliśmy założenie. Gdy znaleziono drugą ofiarę, uznaliśmy, że człowiek nie zdołałby jej zabić, więc porzuciliśmy teorię o O'Donnellu jako sprawcy. Dopiero po trzeciej zbrodni odkryliśmy, że motywem była kradzież. Connora posiadała jakieś drobiazgi, jednak nikomu nie przyszło do głowy sprawdzać, czy coś nie zginęło. Ale prócz tych drobiazgów musiała mieć także coś potężniejszego, co pozwoliło mordercy się nam wymknąć. Coś, czego ktoś o tak niewielkiej mocy nie powinien był posiadać. – Popatrzył na mnie ze znużeniem. – Jesteśmy bardzo skrytymi istotami, niektóre rzeczy trzymamy w tajemnicy mimo ryzyka narażenia się na gniew Szarych Panów. A oni konfiskują przedmioty zbyt potężne dla ich właściciela. Wiedząc, że Connor ma coś takiego, zmusiliby ją do oddania artefaktu komuś silniejszemu.

– A więc zdobył to O'Donnell. – Zamknęłam księgę, kładąc ją przy sobie.

– Razem z listą magicznych artefaktów zrobioną na polecenie Szarych Panów. – Rozłożył ręce. – Jeden z jej przyjaciół widział drugi egzemplarz listy, ale nie wiemy, czy został jeszcze jakiś. Connora mogła dać go Szarym Panom, nie zostawiając sobie odpisu.

Trudno mi było uwierzyć, że tak postąpiła osoba, której dom przeszukiwałam. Zrobiła na mnie wrażenie kogoś, kto trzyma kopię każdego świstka. Uwielbiała zbierać i przechowywać wiedzę.

– A więc O'Donnell kładzie łapę na liście – powtórzyłam. – Po wypróbowaniu zabawki, którą zabrał Connorze, uznaje, że chce więcej. Sprawdza, co jest w spisie, i zaczyna zdobywać wybrane artefakty. – Dysponowałam bardzo wybiórczą wiedzą, ale... – Wydaje mi się, że zabijał od najsłabszego do najpotężniejszego.

Connora posiadała niewielką moc, a leśny nieczłowiek, ten, który zginął ostatni, największą?

– Tak. Mógł się tego dowiedzieć od niej albo ułożyła przedmioty w takiej właśnie kolejności. Gradacja niezupełnie zgadza się z rzeczywistością, ale O'Donnell był blisko. Myślę, że te artefakty pozwalały pokonać istoty, których inaczej nie zdołałby tknąć palcem.

– Masz choćby blade pojęcie o tym, co mógł zabrać zabójca O'Donnella? – warknął Samuel.

– Nie – westchnął Wujek Mike. – Sam złodziej pewnie też nie. Na liście spisano tylko hasła, jak „kostur” albo „srebrne bransolety”, bez opisów, czym są w istocie. À propos, Mercy, w twoim samochodzie nie było kostura. Fideal twierdzi, że go nie dotykał. Podejrzewam jednak, że wkrótce znów się pojawi. Bardzo uparcie za tobą podąża.

– Czy to jest ten kostur od bliźniąt jagnięcych? – Byłam tego prawie pewna, lecz nie szkodziło zapytać. Historie dwóch pozostałych nie podobały mi się na tyle, że zaczęłam doceniać brak przydatności tego, z którym miałam do czynienia.

Zaśmiał się serdecznie. Wesołość rozeszła się w nim od brzucha aż po oczy, które zaczęły błyszczeć radośnie.

– A co? Masz na oku jakąś owcę, którą chcesz rozmnożyć?

– Nie, tylko wolałabym mieć możliwość odejścia od domu na więcej niż kilometr, zanim znalazłabym się znów na własnym progu, a tym bardziej nie chciałabym widzieć we wszystkich samych wad. – Nic takiego na razie mnie nie spotkało, ale z tego, co wiedziałam, przedmioty jakoś się uaktywniało, zanim objawiały swoje moce.

– Nie martw się – uspokoił mnie, nadal roześmiany. – Jeśli przerzucisz się na pasterstwo, twoje owieczki będą rodziły zdrowe bliźniaki, przynajmniej dopóki kostur nie postanowi znów zaginać.

Odetchnęłam z ulgą, wracając do istoty rzeczy.

– W chwili śmierci O'Donnella ty i Zee byliście jedynymi osobami wiedzącymi, że to morderca?

– Nikomu o tym nie mówiliśmy.

– I tylko wy wiedzieliście, że morderca nieleudzi był także złodziejem? – Wychwyciłam tchnienie magii, lecz zachowałam

zimną krew.

– Nie. Nie mówiło się o tym, ale gdy tylko odkryliśmy zniknięcie spisu artefaktów, zaczęliśmy o to wypytywać. Każdy mógł zauważyć związek pomiędzy tymi sprawami.

Samuel przytaknął ochoczo. W zasadzie nie miał powodu, aby nie zgadzać się z tym, co usłyszał, ale...

– Przestań. – Spiorunowałam Wujka Mike’a wzrokiem. Zauważyłam, że jego zmęczenie gdzieś zniknęło i znów wyglądał jak rubaszny karczmarz, który zarabia na życie, uszczęśliwiając ludzi.

– Słucham?

Zmarszczyłam brwi.

– Nie darzę cię teraz zbyt dużą sympatią i żadne czary tego nie zmieniają. – Samuel poderwał głowę, przenosząc na mnie spojrzenie. Albo nie wyczuł do tej pory, że Wujek Mike roztacza wokół siebie specyficzną, magiczną aurę charyzmy, albo zaskoczyło go moje kłamstwo. Rzeczywiście, kłamałam. Lubiłam Wujka Mike’a, jednak teraz nie musiał o tym wiedzieć. Zmiękczony wyrzutami sumienia, łatwiej da się pociągnąć za język.

– Wybacz, kojocie. – I głos, i mina świadczyły o tym, że jest wstrząśnięty. – Jestem strasznie zmęczony, a to odruchowe.

Mówił prawdę, że to odruch, co nie znaczyło, że teraz nie zrobił tego specjalnie.

– Też jestem zmęczona.

– No dobrze, w takim razie przejdźmy do konkretów. Zdajemy sobie sprawę, że za ostatni incydent winę ponosi Fideal. Zgadza się, że twoja śmierć przyniosłaby nie ludzom więcej strat niż zysków. Możesz za to podziękować Samuelowi i Nemanie. – Nachylił się w moją stronę. – Biorąc to pod uwagę, nasza oferta jest następująca. Ponieważ dowiedzenie niewinności Zee wydaje się dla ciebie niezwykle istotne, mamy pozwolenie, żeby się tym zająć, żebyś nie narobiła nam jeszcze większych kłopotów niż dotychczas. Możemy rozmawiać z policją na temat morderstw z wyjątkiem kwestii dotyczących skradzionych przedmiotów. To potężne artefakty, przynajmniej niektóre z nich, i lepiej, żeby śmiertelnicy pozostali nieświadomi ich istnienia.

Ogarnęła mnie fala ulgi. Jeśli Szarzy Panowie skłonni byli dać

więcej czasu na śledztwo i zaakceptować związany z nim szum medialny, szanse przeżycia Zee bardzo by wzrosły. Jednak Wujek Mike jeszcze nie skończył:

– ...Możesz więc zostawić tę sprawę nam i policji.

– Świetnie – ucieszył się Samuel.

Nie ulegało wątpliwości, że nie wiedziałam, gdzie szukać mordercy O'Donnella. Nawet jeśli nie był nim Fideal, a jakiś inny nieczłowiek, na przykład przyjaciel jednej z ofiar, któremu udało się ustalić winę strażnika – a na tym etapie teoria ta wydawała się prawdopodobna – i tak nie zdobyłabym wielu informacji. Dlatego, gdyby nie satysfakcja zawarta w słowach Samuela, może zgodziłabym się na propozycję Wujka Mike'a. Choć nie sądzę.

– Oczywiście przekażę wam wszystko, czego się dowiem – obiecałam.

– To niebezpieczne, Mercy – ostrzegł Wujek Mike. – Nawet dla bohatera. Nie mam pojęcia, czym dysponuje teraz morderca strażnika, ale to, co odzyskaliśmy, to tylko pomniejsze artefakty, a wiem, że Hendrick, leśny pan, strzegł o wiele potężniejszych przedmiotów.

– Zee jest moim przyjacielem i nie zostawię jego życia w rękach kogoś, kto zamierzał pozwolić mu umrzeć, bo tak było prościej.

Błysk w oczach Wujka Mike'a świadczył o jakiejś intensywnej emocji, której nie rozpoznałam.

– Zee rzadko wybaczta cokolwiek, Mercy. A ja słyszałem, że jest na ciebie tak wściekły za zdradę zaufania, że nawet nie chce z tobą rozmawiać.

Nie umknęły mojej uwadze słowa „słyszałem, że”. „Słyszałem, że jest wściekły” to nie to samo co „jest wściekły”.

– Też tak słyszałam. To nie zmienia faktu, że traktuję go jako przyjaciela. A teraz, wybacz, muszę iść spać. Zaczynam jutro bladym świtem.

Dźwignęłam się z fotela, wetknęłam księgę pod pachę i pomachałam obu zmarszczonym w dezaprobacie panom. Dowlekęszy się na obolałych stopach do sypialni, zamknęłam drzwi i skupiłam się na niesłuchaniu tego, co o mnie mówią. Nie byli szczególnie oględni w słowach. A przecież przynajmniej Samuel znał mnie na tyle dobrze, żeby wiedzieć, że nic nie przekona mnie

do złożenia losu Zee w ręce nie ludzi.



Rozdział 11

Do Tima zadzwoniłam rankiem, tuż przed wyjściem do warsztatu. Było bardzo wcześnie, ale bałam się, że później go nie złapię. Poprzedniego wieczoru zaskoczył mnie zupełnie, ale nie zamierzałam mieszać żadnego człowieka w moje i tak skomplikowane sprawy sercowe, nawet gdybym brała go w tym względzie pod uwagę – a nie brałam.

Nie byłam pewna, czy wyjdzie mi z Adamem, ale wszystko zmierzało do tego, że jednak spróbuję. Jeśli pójdę na kolację do Tima, zranię Adama, a jednocześnie dam Timowi złudne nadzieje. Głupio postąpiłam, nie odmawiając od razu.

– Cześć, Mercy – powiedział, odebrawszy. – Wiesz, dzwonił Fideal. Coś ty zrobiła, że tak się na ciebie złościł? W każdym razie powiedział mi, że przyszedł na zebranie, żeby powęszyć trochę w sprawie zabójstwa O'Donnella. Wspomniał, że znasz tego arestowanego podejrzanego.

Mówił spokojnie, bez nuty gniewu w głosie, co oznaczało, że naprawdę nie był zainteresowany związkiem uczuciowym. Gdyby miał wobec mnie takie zamiary, czułby się wykorzystany.

Świetnie. Wobec tego moja odmowa nie sprawi mu przykrości.

– Owszem – przyznałam. – To stary przyjaciel. Wiem, że nikogo nie zamordował, a to więcej, niż wie policja i inni. – Nazwisko Zee oraz jego pochodzenie wciąż jeszcze nie przedostało się do prasy. – A ponieważ nikt nic w tej sprawie nie robi, postanowiłam trochę pogrzebać.

– Pewnie jesteśmy na liście podejrzanych – rzucił lekko. – O'Donnell nie miał tłumów przyjaciół.

– Byliście na samym jej szczycie – zgodziłam się. – W każdym razie do wczorajszego spotkania.

– Fakt, żadne z nas nie jest materiałem na mordercę – zaśmiał się.

I tu był w błędzie. Każdy jest zdolny zabić, jeśli ma dobrą motywację. Jednak poza Fidealem, żadne z nich nie byłoby w stanie

zabić O'Donnella w ten sposób.

– Wiesz, wcześniej tego nie skojarzyłem, ale po rozmowie z Fidealem coś mi zaskoczyło w głowie. Ta laska, którą widziałem w twoim samochodzie, należała do O'Donnella, prawda? Kupił ją kilka dni przed śmiercią na eBayu.

– Tak.

– Myślisz, że ma jakiś związek z zabójstwem? Wiem, że policja raczej wykluczyła motyw rabunkowy, ale parę miesięcy temu O'Donnell zaczął zbierać celtyckie antyki. Twierdził, że są cenne.

– Mówił, skąd je ma?

– Część ponoć odziedziczył, a potem zaczął kupować na eBayu. – Zawiesił głos. – Upierał się nawet, że te przedmioty są magiczne, jednak nie udało mu się ich do niczego użyć. Założyłem, że go okantowali, ale... Myślisz, że naprawdę zdobył coś należącego do nie ludzi, a oni postanowili to odzyskać?

– Nie mam pojęcia. Widziałeś tę jego kolekcję? Pamiętasz, co tam było?

– Skojarzyłem ten kij – odparł powoli. – Ale dopiero jak Fideal połączył cię ze śledztwem w sprawie O'Donnella. Widziałem u niego jakiś kamień z napisami, parę sztuk starej biżuterii, mogła być srebrna lub posrebrzana. Gdybym rzucił okiem na zbiory, może mógłbym powiedzieć, czego brakuje.

– Chyba nie ma żadnych zbiorów. Zniknęło wszystko poza kosturem. – Nie widziałam potrzeby wspomnienia, że część zabrali nie ludzie.

Gwizdnął cicho.

– A więc jednak rabunek.

– Na to wygląda. Gdyby udało mi się tego dowieść, mój przyjaciel przestałby być tak dobrym podejrzanym.

Szarzy Panowie nie chcieli, by śmiertelnicy wiedzieli o magicznych artefaktach, i rozumiałam dlaczego. Problem w tym, że zwykle osiągali swoje cele bezwzględными metodami. A Tim już teraz wiedział za dużo.

– Czy Fideal wie o kolekcji? – zapytałam.

– Nie, nie sędzę – odrzekł Tim po chwili namysłu. – O'Donnell za nim nie przepadał, więc Fideal nigdy nie był w jego domu. Zresztą myślę, że pokazał swoje zbiory tylko mnie i Austinowi.

– Dobrze. – Nabrałam powietrza. – Słuchaj, wiedza o tych przedmiotach może być niebezpieczna. Jeśli rzeczywiście zdobył coś należącego do nieлюдzi, nie chcieliby, żeby to wyszło na jaw. A ty akurat bardziej niż inni zdajesz sobie sprawę, że potrafią być groźni. Na razie nie wspominaj o tym policji ani nikomu innemu.

– Ty naprawdę uważasz, że mordercą jest nieczłowiek – stwierdził nieco zaskoczony.

– Zbiory zniknęły – powiedziałam wymijająco. – Może to nie ludzie wysłali kogoś, żeby je odzyskał, a może ktoś inny uwierzył w gadanie O'Donnella i zapragnął ją mieć. Gdybym wiedziała coś bliżej o tej kolekcji, może mogłabym wyciągnąć więcej wniosków. Mógłbyś spisać te, które zapamiętałeś?

– Nie wiem, mogę spróbować. Widziałem je tylko raz. Ale mam pomysł. Postaram się zrobić listę, a wieczorem siądziemy nad nią razem.

Przypomniałam sobie, że dzwoniłam, aby odwołać kolację.

Znów nie dał mi dojść do słowa.

– Mam cały dzień, więc myślę, że uda mi się spisać przynajmniej większość. Będę się dzisiaj widział z Austinem, zwykle między zajęciami spotykamy się na lunchu. On też widział zbiory O'Donnella, a całkiem nieźle rysuje. – Zaśmiał się niewesoło. – Tak, wiem. Przystojny, inteligentny i utalentowany. Ma wszystko i wszystko potrafi. Gdyby nie był przy tym taki sympatyczny, nie znosiłbym go.

– Świetny pomysł z tymi szkicami – pochwaliłam Tima, myśląc, że będę mogła porównać je z rysunkami w księdze. – Tylko pamiętaj, że to niebezpieczne.

– Dobrze, dobrze. To widzimy się wieczorem.

Odłożyłam słuchawkę.

Uznałam, że lepiej będzie powiedzieć o wszystkim Adamowi. Wybrałam numer, jednak się rozłączyłam. Łatwiej uzyskać wybaczenie niż pozwolenie, nie żebym potrzebowała jego pozwolenia. Możliwość zdobycia listy rzeczy skradzionych O'Donnellowi wystarczy, żeby Adam zrozumiał, dlaczego poszłam do Tima. Może będzie zły, ale nie zraniony.

A rozzłoszczony Adam stanowił wspaniały widok. Czy czerpanie z tego przyjemności oznaczało, że jestem zła do szpiku kości?

Śmiejąc się w duchu, poszłam do warsztatu.



Tym razem otworzył mi sam Tim. W domu unosił się zapach czosnku, bazylii, oregano i świeżego pieczywa.

– Cześć – przywitałam go. – Przepraszam za spóźnienie. Trochę mi zajęło doczyszczenie paznokci ze smaru. – Do pomocy wzięłam Gabriela, liny oraz mojego vana i zaholowaliśmy Królika do przydomowego garażu. Wszystko to zabrało więcej czasu, niż zakładałam. – Nawet nie zapytałam cię, co przynieść, więc po drodze kupiłam czekoladki na deser.

– Nie musiałaś nic przynosić. – Uśmiechnął się, biorąc ode mnie papierową torebkę. – Ale czekoladki...

– Tak, wiem, są babskie – westchnęłam.

– Są zawsze mile widziane, miałem powiedzieć – dokończył wesoło.

Zaprowadził mnie do kuchni, gdzie na blacie stała niewielka miska z sałatką cesarską.

– Pięknie tu – zauważyłam. Kuchnia była jedynym pomieszczeniem w domu posiadającym jakiś charakter. Spodziewałam się dębowych szafek i granitowych blatów, ale tylko co do tych ostatnich się nie pomyliłam. Szafki wykonano z drewna wiśniowego, które świetnie kontrastowało z ciemnoszarym kamieniem. Nic ekscentrycznego co prawda, ale przynajmniej nie wyglądało nijako.

– Naprawdę tak uważasz? – Rozejrzał się po pomieszczeniu, marszcząc czoło. – Moja narzeczona, była narzeczona, uważała, że powinienem zatrudnić architekta.

– Kuchnia jest urocza – zapewniłam go.

Dźwięknął dzwonek i Tim otworzył piekarnik, wyjmując ze środka pizzę. Czasomierz w moim piekarniku buczał jak wściekła pszczoła.

Zapach pizzy rozproszył moją zawiść na tle kuchennego sprzętu.

– Wspaniale pachnie – skomentowałam, przymykając oczy i zaciągając się aromatem.

Zarumieniony pochwałą, wyłożył placek na deskę i z

mistrzowską wprawą podzielił na części.

– Weź sałatkę i chodź za mną.

Posłusznie zabrałam drewnianą miskę z zieleniną i podreptałam w głąb domu.

– To jadalnia – oznajmił niepotrzebnie, bo wielki mahoniowy stół mówił sam za siebie. – Ale kiedy jem sam lub z kilkoma znajomymi, wolę siedzieć tam.

„Tam” okazało się niewielkim, okrągłym wykuszem okiennym. Kształt pomieszczenia był niebanalny, ale całą oryginalność niweczyły beżowe płytki i beżowe rolety rzymskie. Architekt rwałby włosy z rozpaczy, wiedząc, jak jego wizja artystyczna ginie, przytłoczona bezbarwnością.

Tim położył pizzę na niewielkim dębowym stole i podniósł rolety, żebyśmy mogli cieszyć się widokiem na ogród.

– Zwykle zasłaniam tu okna, bo inaczej robi się jak w piekarniku – wyjaśnił. – Zimą pewnie będzie lepiej.

Już wcześniej nakrył do stołu i tu też spotkała mnie niespodzianka. Zastawa składała się z kamionkowych talerzy, różnych kształtem i kolorem, a jednak tworzących komplet. Obok stały ręcznie wykonane czarki na nóżkach, przy miejscu Tima pokryta niebieskim, spękany szkliwem, przy moim brązowa, postarzana. Na środku blatu królował dzban, ale naczynia były już napełnione.

Mogłam się założyć, że tę zastawę wybrała była narzeczona Tima. Zastanowiłam się przelotnie, czy Adam nadal używa tego chińskiego kompletu po ekszonie.

– Siadaj, siadaj – zachęcił mnie chłopak, sam zajmując krzesło. Nałożył mi pizzę, ale zostawił wolną rękę przy sałatce, do której dobrałam jeszcze sporą porcję zapiekanych gruszek.

Ostrożnie spróbowałam napoju w pucharku.

– Co to? – zapytałam. Na pewno nie zawierało alkoholu, co mnie zaskoczyło, smakowało jednocześnie słodkawo i cierpko.

– Tajemnica – uśmiechnął się. – Może potem pokażę ci, jak to się robi.

Pociągnęłam głębszy łyk.

– Koniecznie.

– Zauważyłem, że trochę kulejesz.

– Nadepnęłam na kawałek szkła. Nic poważnego.

Zajadaliśmy z apetytem, głównie w milczeniu, rozmowę podjął dopiero, kiedy odłożył sztućce.

– Powiedz mi coś o tym swoim przyjacielu – poprosił. – Tym, którego aresztowali.

– To stary, zgryźliwy tetryk. I kocham go. – Gruszki lśniły glazurą z brązowego cukru. Obawiałam się, że będą za słodkie, lecz miały kwaskowaty posmak i rozpływały się w ustach. – Mmm. Rewelacja. W każdym razie wścieka się teraz na mnie, że wsadzam nos w nie swoje sprawy. – Upiłam z pucharu. – Albo uważa, że to niebezpieczne, i próbuje mnie zniechęcić do myszkowania. – Zee miał rację, za dużo gadałam. Uznałam, że czas zmienić temat. – Wiesz, myślałam, że będziesz zły, gdy się dowiesz, że miałam ukryte powody, żeby przyjść na wasze spotkanie.

– Zawsze chciałem być prywatnym detektywem – zwierzył się Tim. Odsunął już swój talerz i z prawdziwą przyjemnością przyglądał się, jak kończę pałaszować swoją porcję. – I nie, nie jestem zły, co innego, gdybym to ja zabił O'Donnella.

– Udało ci się zrobić tę listę?

– O, tak – skłamał.

Spoważniałam, odkładając widelec. Nie byłam tak dobra w wyczuwaniu łgarstwa jak niektóre wilkołaki. Mogłam się pomylić. W końcu dlaczego miałyby kłamać w tej sprawie?

– Powiedziałaś Austinowi, żeby trzymał język za zębami?

Kiwnął głową.

– Na pewno nikomu nic nie powie – uśmiechnął się. – Dojedz gruszki, Mercy.

Wzięłam jeszcze dwa kęsy, zanim coś mnie tknęło. Może gdybym nie musiała czasem przy Adamie walczyć z wewnętrznym przymusem zrobienia czegoś, niczego bym nie zauważyła. Skoncentrowałam się, wciągając nosem powietrze, lecz nie wyczułam magii.

– Przepyszne – powiedziałam. – Ale już nie mogę. Zaraz pęknę.

– W takim razie napij się jeszcze.

Sok, czy cokolwiek to było, z każdym łykiem smakował lepiej, ale... Nie chciało mi się pić. Mimo to bez namysłu przełknęłam kilka razy. Nie miałam w zwyczaju robić tego, co ktoś mi powiedział,

a tym bardziej wykonywać bezmyślnie rozkazu. Może to przez ten sok?

Wraz z tą myślą natychmiast poczułam magię. Słodki napój zapiekł mnie w język, a czarka rozgrzała się tak, że zaskoczona sprawdziłam, czy z dłoni nie unosi się dym.

Odstawiłam naczynie, żałując w duchu, że w tej głupiej księdze nie było rysunku zguby Orfina, kielicha, za pomocą którego odebrano rycerzom Rolanda wolną wolę. Mogłam się założyć, że wyglądałby dokładnie jak ten, który stał obok mojego talerza.

– To ty – wyszeptałam.

– Oczywiście, że ja – przyznał. – A teraz powiedz, dlaczego policja uważa, że to twój przyjaciel zabił O'Donnella.

– Znaleźli go nad ciałem – klepałam jak nakręcona. – Mógł uciec, ale Wujek Mike potrzebował czasu na zabranie skarbów nieludzi, żeby policja ich nie znalazła.

– Myślałem, że wziąłem wszystko. Sukinsyn, musiał ukraść też artefakty, których mu nie kazałem. Pewnie chciał je sprzedać na boku. Pierścień nie działa tak dobrze jak puchar.

– Jaki pierścień?

Wyciągnął rękę, pokazując mi starą obrączkę, na którą zwróciłam uwagę dzień wcześniej.

– Sprawia, że słowa wypowiedziane przez właściciela brzmią słodziej niż miód. To pierścień polityka. W każdym razie tym się stanie. Ale kielich jest skuteczniejszy. Gdybym napił O'Donnella z niego przed wyjściem, nie ukradłby nic więcej. Powtarzałem mu, że jeśli weźmiemy za dużo, nieludzie zaczną szukać mordercy poza rezerwatem. Powinien mnie posłuchać. Twój przyjaciel jest pewnie nieczłowiekiem, który poszedł do O'Donnella, żeby porozmawiać o morderstwach?

– Tak. – Musiałam odpowiadać, jednak przy odrobinie wysiłku mogłam zachować pewne informacje dla siebie. – Wynająłeś O'Donnella do ograbienia i zabicia nieczłowieka?

– Nie do końca. – Zaśmiał się. – Zabijanie było jego pomysłem. Ja podsunąłem mu tylko powód.

– Jak go do tego nakłoniłeś?

– Kiedy poszedłem do O'Donnella porozmawiać na temat Świetlanej Przyszłości, zauważyłem na półce ten pierścień

i karwasze. zaproponował, że sprzeda mi je za pięćdziesiąt dolców. Tępy kutafon – prychnął z pogardą. – Nie miał pojęcia, co posiada. Ale ja dobrze wiedziałem. Włożyłem pierścień i nakłoniłem go, żeby opowiedział mi, co zrobił. Wtedy dowiedziałem się o prawdziwym skarbie, choć on był całkiem nieświadomy, co wpadło mu w łapska.

– Spis – domyśliłam się.

Obliznął palec, którym wymierzył potem we mnie.

– Punkt dla tej bystrej dziewczynki. Tak, spis. Z nazwiskami. O'Donnell wiedział, gdzie kto mieszka, a ja wiedziałem, kim kto jest i co posiada. Bał się niełudzi, wiesz? Nienawidził ich. Pożyczyłem mu te kupione wcześniej karwasze oraz parę innych rzeczy i nauczyłem, jak ich używać. Zdobywał dla mnie artefakty, za które mu płaciłem, i zabijał niełudzi. Szło mu łatwiej, niż przypuszczałem. Można by sądzić, że tysiącletni Strażnik Łowów powinien sobie poradzić z takim młotkiem jak O'Donnell. A jednak zlekceważył przeciwnika.

– Dlaczego go w końcu zabiłeś?

– W zasadzie zakładałem, że Łowczy mnie wyręczy. O'Donnell był słabym punktem całego przedsięwzięcia. Chciał zatrzymać pierścień i groził, że mnie wyda, jeśli mu go nie oddam. Udałem, że się zgadzam, i kazałem ukraść jeszcze kilka przedmiotów. Kiedy zdobył wszystko, czego potrzebowałem, wysłałem go do Łowczego. Gdy mój plan spalił na panewce... Cóż... – Wzruszył ramionami.

Spojrzałam na obrączkę.

– Polityk nie może sobie pozwolić na trzymanie się z głupkiem, który za dużo wie.

– Napij się jeszcze, Mercy.

Czarka znów była pełna, choć odstawiałam ją tylko z połową zawartości. Przełknęłam kilka łyków. Zebranie myśli przychodziło mi z coraz większym trudem, zupełnie jakbym była pijana.

Tim nie mógł sobie pozwolić także na zostawienie przy życiu mnie.

– Jesteś nieczłowiekiem?

– Nie, nie – pokręciłam głową.

– No tak. Jesteś przecież Indianką, prawda? Wśród rdzennych istot nie ma niełudzi, prawda?

– Tak. – Wśród Indian ze świecą szukać by niełudzi. Pradawni

potrafiący tworzyć iluzje pochodzili z Europy. Indianie mieli własne mityczne stworzenia. Ale Tim nie pytał o nie, więc nie musiałam odpowiadać. Wątpiłam jednak, czy przekonanie, że jestem bezbronnym człowiekiem, a nie bezbronną zmiennokształtną, cokolwiek mi pomoże. Tak czy owak, zamierzałam wykorzystać każdą przewagę, jaką uda mi się zyskać.

Wziął do ręki swój widelec i zaczął się nim bawić.

– Więc jak to się stało, że masz kostur? Przeszukałem cały dom i nie znalazłem tego cholerstwa. Gdzie był?

– W salonie. Wujek Mike i Zee też go przeoczyli. – Pewnie przez dodatkową porcję napoju tym razem nie potrafiłam się powstrzymać. – Niektóre starożytne przedmioty mają własną wolę.

– Jak się dostałaś do domu O'Donnella? Masz znajomych w policji? Myślałem, że jesteś tylko mechanikiem.

Rozważyłam każde słowo Tima i odpowiedziałam zgodnie z prawdą. Tak jak czynili to niełudzie. Przy każdej odpowiedzi odginałam palec.

– Weszłam. – Jeden. – Tak, mam znajomego w policji. – Dwa. – Nie jestem tylko mechanikiem, jestem świetnym mechanikiem. Choć nie tak dobrym jak Zee. – Trzy.

– Myślałem, że Zee jest nieczłowiekiem. Jak w takim razie może naprawiać samochody?

– Posiada dar, jest zaklinaczem żelaza. – Skoro chciał informacji, może uda mi się go zagadać? – Wolę to określenie, bo tak naprawdę nie może być gremlinem, skoro słowo gremlin zostało wymyślone dopiero w zeszłym wieku, prawda? A on jest dużo starszy. Powiem ci, że dopiero niedawno znalazłam legendę...

– Przestań.

Zamilkłam.

Przyjrzał mi się spod oka.

– Napij się. Dwa łyki.

Niech to szlag. Kiedy odkładałam pucharek, dłonie drżały mi od magii, a usta zdrętwiały.

– Gdzie jest kostur?

Westchnęłam. Głupi kij prześladował mnie, nawet gdy nie leżał obok.

– Tam, gdzie chce być.

– Co?

– Prawdopodobnie w warsztacie. – Lubił pojawiać się zniecka tak, żebym na niego wpadła. Napędzana nakazem, mówiłam dalej: – Ostatnio znalazłam kostur w samochodzie. Ale teraz go nie ma. Wujek Mike go nie zabrał.

– Mercy, powiedz, co po przyjsciu tutaj chciałaś najbardziej przede mną ukryć?

Namyśliłam się. Wczoraj tak się przejmowałam, żeby nie zranić jego uczuć, że dzisiaj już w proggu poczułam tę samą obawę. Pochyliłam się, mówiąc cicho:

– Nie pociągasz mnie. Nie podobasz mi się. Uważam, że nie jesteś przystojny ani seksowny. Wyglądasz jak bogata, mędrkowata oferma posiadająca zbyt mało inteligencji mogącej wynagrodzić inne braki.

Zerwał się na równe nogi z pobieloną twarzą, po czym spurpurowiał z wściekłości.

Ale przecież zapytał, więc ciągnęłam:

– Twój dom jest nijaki, nie ma krzty charakteru. Może gdybyś wstawił tu posągi nagich...

– Dość! Milcz!

Odchyliłam się na oparcie, obserwując Tima. Był niedojrzałym chłopcem, który miał zawyżone mniemanie o swojej bystrości. Jego gniew mnie nie przerażał, nie czułam się zagrożona. Dostrzegł to i wpadł w jeszcze większą furję.

– Chcesz wiedzieć, co miał u siebie O'Donnell? Chodź, pokażę ci.

Wstałabym sama, ale złapał mnie za rękę, wykręcając ją. Usłyszałam trzask, a sekundę później dotarł do mnie ból.

Złamał mi nadgarstek.

Wywłókł mnie z pokoju i pociągnął przez korytarz do sypialni. Upadając na łóżko, usłyszałam chrzęst w ramieniu, kiedy pękła druga kość. Ból mnie otrzeźwił, ale tylko odrobinę, bo cierpienie wybiło się na pierwszy plan.

Szarpnął drzwiczki szafy, w której powinien znajdować się telewizor, ale zamiast niego leżał tam jakiś błam i dwa pudełka po butach. Błam przypominał wyprawioną skórę z jaka, z tym że był szary.

Tim odstawił pudełka na podłogę i wyjął błam, który

po strzepnięciu okazał się mieć rękawy. Kiedy założył płaszcz, ten dopasował się do kształtów ciała i przestał być widoczny. Zupełnie, jakby Tim w ogóle go na sobie nie miał.

– Wiesz, co to jest?

Wiedziałam. Dokładnie przejrzałam pożyczoną księgę, a dziwna skóra nie wydzielala woni jaka, a konia.

– To szagryn druida – wycedziłam przez zęby, które zaciskałam, żeby nie jęczeć z bólu. Dobrze przynajmniej, że to nie to samo ramię, które miałam złamane tej zimy. – Na druida rzucono klątwę, zamieniając w konia, ale kiedy go oskórowano, odzyskał ludzkie kształty. Ta końska skóra miała jakieś właściwości... – Usiłowałam sobie przypomnieć dokładny opis, bo dobór słów był w tym wypadku istotny. – Nie pozwalała wrogom zlokalizować ani zranić noszącego.

Z miny Tima wyczytałam, że wcale nie oczekiwał odpowiedzi. Wprost przeciwnie. Chciał dowieść, że wie więcej ode mnie. Prawdopodobnie moja uwaga o małej inteligencji tak go ubodła. Ale jakaś część mojego jestestwa pragnęła zadowolić chłopaka, a kiedy ból stępsiał, pragnienie to się wzmoгло.

– Jesteś dużo silniejszy, niż sądziłam – powiedziałam, żeby rozproszyć ten kolejny efekt działania kielicha. A może powiedziałam to, żeby zrobić Timowi przyjemność?

Nie potrafiłam wyczytać z jego twarzy, czy mu się to podobało, czy nie. Wreszcie podciągnął rękawy, pokazując mi srebrne obręcze na każdym z przegubów.

– Karwasze gigantycznej siły – rzucił.

– To nie są karwasze. – Pokręciłam głową. – Już prędzej zarękawia, a najpewniej bransolety. Karwasze są dłuższe. Były używane...

– Zamknij się. – Zgrzytnął zębami. Zatrzasnął szafę i przez chwilę stał plecami do mnie. – Kochasz mnie – powiedział. – Uważasz, że jestem najprzystojniejszym mężczyzną na świecie.

Walczyłam z tym. Ze wszystkich sił. Walczyłam z głosem Tima tak, jak jeszcze nigdy z niczym.

Ale trudno walczyć z własnym sercem, szczególnie kiedy kocha się tak przystojnego mężczyznę. Do tej pory nikt nie mógł równać się z zapierającym dech w piersiach męskim pięknem Adama –

teraz jednak twarz i postać Hauptmana bladły w porównaniu z Timem.

Odwrócił się, patrząc mi prosto w oczy.

– Pragniesz mnie – powiedział. – Pragniesz bardziej niż tego paskudnego doktora, z którym byłaś.

Naturalnie, że tak. Pożądanie rozlało się w moim ciele, wyginając lekko krzyż. Ból w ręce był niczym wobec namiętności, jaką czułam.

– Kostur zapewnia bogactwo – powiedziałam, gdy Tim oparł kolano na materacu. – Nieludzie wiedzą, że jest u mnie, i chcą odzyskać swój skarb. – Próbowałam podeprzeć się łokciem, żeby go pocałować, lecz ramię się ugięło. Drugie było zdrowe, ale ta ręka pieściła już miękką skórę na jego szyi. – I odzyskają. Mają kogoś, kto potrafi odszukać laskę.

Odepchnął moją dłoń.

– Kostur jest w twoim warsztacie?

– Chyba tak. – W końcu pojawiał się tam, gdzie szłam. A po kolacji zamierzałam iść do warsztatu właśnie. Teraz ten piękny mężczyzna mnie tam zabierze.

Objął moją pierś i ścisnął bardzo mocno, po czym odsunął się i wstał.

– To może poczekać. Chodź ze mną.



Ukochany kazał mi się napić z kielicha, zanim poszliśmy do samochodu, żeby pojechać do mnie do pracy. Nie mogłam sobie przypomnieć, po co tam jedziemy, ale byłam pewna, że wyjaśni na miejscu. Tak powiedział. W połowie drogi do wschodniego Kennewick rozpiął rozporek.

Kierowca mijającej nas ciężarówki zatrąbił. Później drugi, kiedy Tim niespodziewanie zjechał na sąsiedni pas, omal nie powodując kraksy.

Zaklął, odpychając mnie.

– Zrobimy to, jak będzie spokojniej na drodze – wydyszał, usiłując skupić się na prowadzeniu. Kazał zapiąć sobie spodnie, bo sam nie zdołał tego zrobić. Mnie również nie było łatwo jedną ręką, więc ignorując ból, pomogłam sobie drugą.

Potem zapatrzyłam się w okno, usiłując zrozumieć, dlaczego moje ramię jest w tak fatalnym stanie i czemu jest mi niedobrze. Tim sięgnął na podłogę, podniósł puchar i podał mi.

– Masz, pij.

Naczynie było z wierzchu ubrudzone, ale wypełnione aż po brzegi – co wydawało się nieprawdopodobne. Przed chwilą turlało się po podłodze, wszystko powinno się wylać.

Przypomniałam sobie, że przecież to magiczny przedmiot.

– Pij – powtórzył.

Przestałam roztrząsać, jak napój znalazł się w kielichu, i pociągnęłam łyk.

– Nie tak – zaprotestował. – Duszkciem. Austinowi wystarczyły dwa hausty i uczynił dokładnie to, co mu kazałem. Na pewno nie jesteś nieczłowiekiem?

Przechyliłam czarę, łykając pospiesznie, część płynu polała mi się po brodzie i szyi. Opróżniwszy kielich, rozejrzałam się, gdzie go odstawić. Podłoga nie wydawała się odpowiednim miejscem. Wreszcie udało mi się umieścić puchar w uchwycie na kubek, który miałam w drzwiach.

– Nie. Nie jestem nieczłowiekiem.

Położywszy ręce na udach, obserwowalam, jak zaciskają mi się pięści. W pobliżu zjazdu z autostrady wyjaśniłam Timowi, jak dojechać do warsztatu.

– Zamknij się – syknął. – Ten dźwięk działa mi na nerwy. Napij się jeszcze.

Nie zdawałam sobie sprawy, że wydaję jakieś dźwięki. Przyłożyłam palce do krtani, wyczuwając wibrację strun głosowych. Ten głuchy warkot, który słyszałam, musiał wydobywać się z mojego gardła. Umilkłam natychmiast, gdy sobie to uświadomiłam. Sięgnęłam po znowu pełny kielich.

– Znacznie lepiej.

Zatrzymał się przed wejściem do biura.

Miałam trudności z otwarciem drzwi drżącą ręką, a po wyjściu z samochodu trzęsłam się jak narkoman na głodzie.

– Podaj mi kod – rozkazał, stojąc przed klawiaturą.

– Jeden, jeden, dwa, zero – wyszczękałam, dzwoniąc zębami. – To data moich urodzin.

Czerwona diodka na panelu zmieniła kolor na zielony – rozluźniłam się trochę i przestałam tak dygotać.

Wziął ode mnie klucze, otworzył, a po wejściu zamknął drzwi na zamek. Omiótł wzrokiem pomieszczenie, wchodząc nawet na drabinkę, żeby zajrzeć na górne półki. Po chwili zaczął wygarniać wszystko z regałów, zrzucając na podłogę. Termostat samochodowy uderzył o beton, roztrzaskując się na kawałki. Pomyślałam, że będę musiała kupić nowy. Może Gabriel pomoże mi sprawdzić, co z tego da się ocalić. Czekająca mnie spłata Zee, więc nie mogłam pozwolić sobie na zbyt duże straty w zapasach.

– Mercy! – Twarz Tima przesłoniła mi termostat. Stał rozeźlony, ale chyba nie z powodu zniszczonej obudowy termostatu.

Uderzył mnie, więc pewnie to ja byłam przyczyną jego gniewu. Widać nie umiał walczyć, bo nawet wspomagany magiczną siłą cios odrzucił mnie tylko kilka metrów w tył. Nabieranie powietrza sprawiało mi ból – znałam to uczucie. Miałam pęknięte lub złamane żebro.

– Co tam mamrociesz?

Odchrząknęłam i powtórzyłam wyraźniej:

– Musisz chować kciuk, gdy uderzasz, inaczej sobie go złamiesz.

Zaklął, wybiegając na parking, i zaraz wrócił z kielichem.

– Pij! Do dna!

Posłuchałam go, a drgawki nasiliły się.

– Teraz się skup. Gdzie jest kostur?

– Na pewno nie tutaj – przyznałam otwarcie. – Pojawia się tam, gdzie często przebywam. Na przykład w aucie albo w łóżku.

– Co?!

– Będzie na hali serwisowej. – Poprowadziłam Tima w głąb warsztatu.

Stanowisko przy biurze było puste, zmartwiłam się, że drugie również. Dopiero po chwili przypomniałam sobie, że karmann ghia, którego remontowałam, pojechał do podwykonawcy. Do tapicera.

– Cieszę się – rzekł Tim sucho. – Kimkolwiek ta Karmina jest. Teraz mów, gdzie kostur.

Leżał na skrzyni narzędziowej, tej mniejszej, zupełnie jakbym go tam położyła, sięgając po jakiś klucz. Mądry kostur. Z pewnością tam nie leżał, kiedy wchodziliśmy na halę, ale wątpiłam, by Tim

to zauważył.

Podniósł wiekowy kij, przesuając dłonią po gładkim drewnie.

– Mam cię – zaśmiał się.

Nie na długo. Nie powiedziałam tego na głos – albo mnie nie dosłyszał. Znów plotłam, co mi ślina na język przyniosła, więc może nie wychwycił zdania z rzeki słów, która wypływała z moich ust. Odetchnęłam, starając się mówić składniej.

– Warto było dla niego zabijać O'Donnella? – zapytałam. Głupie pytanie, ale może jakaś konkretna treść umożliwi mi zebranie myśli. Powiedział, że mam się skupić.

Umysł przejaśnił mi się natychmiast, gdy przypomniałam sobie ten rozkaz.

Oglądał kostur, gładząc go dłonią.

– Zabiłem O'Donnella dla przyjemności – rzucił. – Podobnie jak wcześniej ojca. Kostur, kielich i reszta to tylko bonusy. – Roześmiał się. – Bardzo miłe bonusy.

Oparłszy łaskę o skrzynię, odwrócił się do mnie.

– To idealne miejsce – oświadczył.

Mógł sobie być najprzystojniejszym człowiekiem na ziemi, ale minę miał paskudną.

– A więc to wszystko było grą? Ta rozmowa o królu Arturze i flirtowanie? Czy ten lekarz był w ogóle twoim facetem?

Mówił o Samuelu.

– Nie.

Powiedziałam prawdę, ale nie umiałam ująć jej tak, żeby nie rozdrażnić Tima. Dlaczego chciałam rozgniewać mojego ukochanego?

Bo lubiłam, kiedy był rozdrażniony. W mojej głowie pojawił się obraz Adama uderzającego we framugę. Ten gniew. Wspaniały. W głębi duszy wiedziałam, że ta potężna siła nigdy nie zwróci się w stronę ukochanej osoby.

– Posłużyłaś się doktorkiem, żeby podgrzać atmosferę, co? I sprofanowałaś – spodobało mu się chyba to słowo, bo je powtórzył – sprofanowałaś mój dom. Coś ty sobie myślała? Może: biedna łajza, pewnie nic mu się nie trafia? Ciamajda. Zadowolili się nawet okruczem. Co? – Chwycił mnie za ramię. – Co sobie wyobrażałaś? Że jak pomachasz rżęsami, to ciamajda wpadnie po uszy?

Uświadomiwszy sobie, że moją swobodę może uznać za zalotność, martwiłam się, że mógł źle zrozumieć sytuację.

– Tak.

Popchnięta z nadludzką siłą, przeleciałam kawałek do tyłu i runęłam na wózek warsztatowy, zrzucając na ziemię kilka narzędzi.

– Oddasz mi się – wydyszał. – Oddasz się temu żaloszemu ciamajdzie i będzie ci się to podobało... Nie, będziesz wdzięczna, że wyświadczam ci tę łaskę. – Rozglądał się gorączkowo, póki nie zauważył kielicha, który ścisnęłam w rękę. – Pij. Wypij wszystko.

Zrobiłam to z trudem. Byłam pełna i nie chciało mi się pić, ale dzwoniące w uszach słowa nie pozostawiały wyboru. Magia napoju paliła żywym ogniem.

Odebrał naczynie, odstawiając je na ziemię, obok kostura.

– Będziesz wdzięczna i absolutnie pewna, że już nigdy nie poczujesz czegoś takiego. – Ukląkł obok mnie. Jego piękną cerę kalał ohydny rumieniec. – Gdy skończę... Kiedy odejdę, nie będziesz mogła tego znieść, wiedząc, że po tym, co zrobiłaś, już nikt nigdy cię nie pokocha. Nikt. Pójdiesz nad rzekę, wejdiesz do wody i będziesz płynęła do utraty sił. Tak jak Austin.

Rozpiął spodnie, a ja zyskałam niezachwianą pewność, że ma rację. Już nigdy nie będę warta niczyjej miłości. Adam nie mógłby mnie kochać po czymś takim. Stracę jego uczucie i nie pozostanie mi nic poza utopieniem się, tak jak uczynił to mój przybrany ojciec.

– Przestań ryczeć. O co tu beczeć? Chcesz tego. Powiedz to. Powiedz, że mnie pragniesz.

– Pragnę cię.

– Nie tak. Nie tak. – Złapał kostur, przysuwając nim do siebie kielich, a potem go odrzucił i chwycił czarękę. – Pij.

Nie pamiętam, co działo się później. Pierwszy okrucieństwo świadomości odzyskałam, czując pod palcami coś gładkiego, powykręcane, coś, czego chłodny, kojący dotyk rozszedł się w górę ramienia.

Podniosłam wzrok na twarz Tima. Miał zamknięte oczy i wydawał zwierzęce odgłosy, ale jakby wyczuwając moje spojrzenie, uniósł powieki.

Miałam go pod złym kątem, więc nie próbowałam żadnych efektownych zamachów. Po prostu wraziłam Timowi w twarz srebrną końcówkę, wyobrażając sobie, jak przeszywa mu oko, wyłaniając się z potylicy.

Oczywiście nic podobnego nie nastąpiło. Nie posiadałam siły giganta, ani nawet wilkołaka. Włożyłam w ten cios tyle siły, ile zdołałam, leżąc przygnieciona ciężarem gwałciciela. Ale zraniłam go.

Ryknął, staczając się ze mnie i odtrącając kostur. Ale wiedziałam, gdzie szukać lepszej broni. Rzuciłam się ku stojakowi, o który oparłam wielki łom, używany do wyciągania silników.

Mogłam uciekać. Mogłam wykorzystać chwilową bezradność Tima, przemienić się w kojota i zwiać. Nie miałam jednak dokąd uciec. Nikt mnie już nie kochał. Zostałam całkiem sama.

Na treningach uczyłam się wydawać okrzyki, charakterystyczne chyba dla większości sztuk walk, choć zawsze uważałam je za głupie. Kiedy uniosłam nad głowę łom, z moich trzewi wyrwał się wrzask naładowany całym ogromem mojego gniewu i rozpacz. I wcale nie brzmiał głupio.

Tim był silniejszy, ale ja szybsza. Gdy znalazłam się przy nim, złapał mnie za połamane ramię i z całej mocy zacisnął palce. Krzyknęłam, ale nie z bólu. Znajdowałam się w stanie, w którym cierpienie fizyczne już mnie nie dotyczyło. Lewą ręką wbiłam mu w brzuch końcówkę łomu.

Upadł na ziemię, kuląc się i wymiotując. Przy takiej wadze żelaznego pręta wystarczyło opuścić go na głowę, żeby roztrzaskać czaszkę.

Cząstka mojego jestestwa pragnęła tłuc tę czaszkę, aż pozostanie z niej miazga. Inna nadal kochała Tima. Lecz potrafiłam przeciwstawić się miłości. Potrafiłam walczyć z nią dawno temu przy Samuelu i później przy Adamie, i teraz przy tym smarkaczu.

Nie uderzyłam ponownie, musiałam zrobić ważniejszą rzecz.

Bez względu na siłę, jaką wkładałam w ciosy, kielich nadal pozostawał cały. Wydawało się to nieprawdopodobne, skoro był wykonany z gliny, a żelazo niszczyło większość magii nie ludzi. Wybiłam dziurę w betonie, lecz na pucharze osiadł tylko pył.

Biegając gorączkowo w poszukiwaniu młota, roznosząc po całym

warsztacie własną krew, usłyszałam wycie silnika ostro zakręcającego samochodu.

Rozpoznałam dźwięk tego silnika.

Samochód Adama. Ale przybył za późno. Już mnie nie kocha.

Będzie na mnie strasznie zły.

Musiałam się ukryć. Adam nie kochał mnie już, więc mógł skrzywdzić w gniewie. A później będzie tego żałował. Nie chciałam, żeby rozpaczał z mojej winy.

W warsztacie nie było miejsca, gdzie mógłby się schować człowiek. Nie musiałam być jednak człowiekiem. Mój wzrok padł na regały ciągnące się wzdłuż tylnej ściany. Kojot da radę się tam ukryć.

Przemieniłam się i na trzech łapach zdołałam wdrapać na półkę. Skuliłam się za pudłami z paskami klinowymi. Wtopiłam się w cień.

Rumor w biurze dowodził, że zamki nie stanowią przeszkody dla rozwścieczonego wilkołaka. Skurczyłam się bardziej.

– Mercy. – Nie krzyczał. Nie musiał.

Głos dotarł do każdego zakątka warsztatu, niosąc ze sobą potężny ładunek gniewu. Nie przypominał głosu Adama, ale właśnie z jego ust się wydobywał. Cofnęłam się bardziej pod ścianę, żeby pudła nie drżały wraz ze mną.

Istota, która weszła na halę, nie przypominała niczego, co do tej pory widziałam. Wyglądała jak wilkołak w fazie przemiany. Ale była bardziej kompletna, jakby zawieszona pomiędzy postaciami, stworzyła nową, skończoną i w pełni funkcjonalną formę. Pokryta od głowy do ogona czarną sierścią, posiadała ludzkie ręce... oraz zupełnie nieludzki pysk o lśniących kłach. Trzymała się prosto, lecz nie jak człowiek, bo nogi stanowiły połączenie ludzkich i wilczych kończyn.

Adam.

Miałam tylko ułamek sekundy, żeby mu się przyjrzeć, zanim dostrzegł ciało Tima. Z rykiem, który boleśnie wniknął do moich uszu, przypadł do niego, drąc, szarpiąc i rozrywając pazurami. To było straszne, przerażające i... Część mnie żałowała, że nie jestem na miejscu trupa.

Cierpienie trwałoby krótko i wszystko by się skończyło. Dyszałam z bólu i strachu, ale nie drgnęłam, bo Tim kazał mi iść nad rzekę.

Poza tym nie chciałam zranić Adama.

Z biura ostrożnie wychynęły inne wilkołaki. Ben i Honey w ludzkiej formie – ciekawe, jak udało im się ją zachować przy tak rozszalałym Adamie? Może umożliwiła to połowiczna przemiana? Zaraz za nimi pojawił się Darryl. Z grymasem wyteżenia na twarzy, potem lejącym się z czoła i kapiącym na mokrą koszulkę. Tylko dzięki jego wysiłkom reszty nie porwał wir amoku Adama.

Rozglądali się bacznie po hali, lecz nie odchodzili od drzwi, trzymając się z dala od Adama.

– Widzisz ją gdzieś? – zapytał Darryl szeptem.

– Nie – odparł Ben. – Nawet nie wiem, czy nadal tu jest. Wyczuwasz...?

Urwał, kiedy Adam, porzuciwszy ramię – nie własne – skupił na nim swoją uwagę.

– Oczywiście – rzekł Darryl napiętym głosem. – Wszyscy czujemy jej przerażenie. – Uklęknął jak konkurent proszący o rękę wybranki.

Ben runął na kolana, przyginając kark, Honey zaraz za nim. Wszyscy skoncentrowali się całkowicie na Adamie.

– Gdzie ona jest? – Jego głos brzmiał głucho, niewyraźnie, dobywając się z gardła przystosowanego raczej do wycia niż mówienia.

– Poszukamy jej, panie – wyszeptał Darryl.

– Jest tutaj, na pewno – zapewnił Ben pospiesznie. – Ukrywa się.

Adam rozwarł paszczę, wydając odgłos przypominający bardziej ryk niedźwiedzia niż wycie wilka. Kiedy opadł na czworaka, myślałam, że dokończy przemianę w wilka, ale tego nie uczynił. Czułam, jak przyzywa do siebie moc stada, jak reszta wilkołaków mu ją daje. Albo zmiana była łatwiejsza z tej pośredniej formy, albo pomogła mu siła watahy, dość, że po chwili stał na środku warsztatu nagi i ludzki.

Odetchnął głęboko i rozciągnął mięśnie szyi, aż chrupnięcia kręgów rozniosły się echem po warsztacie. Kiedy skończył, po wilku został tylko zapach furii i złote ślepie.

– Jest tutaj? – powtórzył. – Na pewno?

– Spędza tu całe dnie, więc nie wywęszę jej, ale wiem, że siedzi w jakimś zakamarku – twierdził uparcie Ben. – Nie uciekłyby – dokończył nieobecny tonem, omiatając wzrokiem halę.

– Dlaczego? – zapytał Darryl łagodnie.

Ben zatchnął się, jakby zaskoczony pytaniem.

– Bo ucieczka jest wyrazem nadziei. Widzieliście, co jej zrobił, słyszeliście, co wmówił. Ona tutaj jest.

Przypomniałam sobie, jak technik mówił o przesyłaniu obrazu z kamer do Adama. Obserwowali wszystko – miałam ochotę umrzeć ze wstydu. Natychmiast pojawiła się inna myśl i odetchnęłam z ulgą. Przecież i tak miałam umrzeć. Wyobraziłam sobie rzekę, chłód wody, przyjemny i kojący.

– Mercy? – Adam zaczął obchodzić warsztat. Przykryłam pysk ogonem, zamierając w bezruchu. Zacisnęłam powieki, nastawiając uszu, nasłuchując, czy nie zbliża się za bardzo. – Już w porządku, już po wszystkim, możesz wyjść. Wszystko będzie dobrze.

Mylił się. Nic nie będzie dobrze. Już mnie nie kochał, nikt mnie nie pokocha, zawsze będę sama.

– Możesz ją przyzwać – podsunął Darryl.

Rozległ się łomot i charczenie. Wbrew rozsądkowi zerknęłam na halę.

Adam przypierał Darryla do ściany, miażdżąc mu gardło ramieniem.

– Widziałeś to – syknął. – Widziałeś, co jej zrobił. A teraz sugerujesz, żeby zrobić to samo? Sprowadzić Mercy do siebie z pomocą magii, której nie będzie mogła się oprzeć?

Zdawałam sobie sprawę, że wpływ czaru kielicha nie ustąpił. Czułam palenie w żołądku i nie mogłam opanować drżenia. Ale coś nie pasowało. Mimo wszystko powinnam pojąć reakcję Adama. Był taki zmartwiony... wściekły za to, co się stało. A przecież widział wszystko...

Wiedział, że go zdradziłam.

Adam ogłosił przed stadem swoje prawa do mnie. Mimo że dopiero niedawno odkryłam, iż pociąga to nadnaturalne skutki, zawsze wiedziałam, jak działa na płaszczyźnie tradycji.

Wilkołak, któremu towarzyszyła nie dochowywała wierności, postrzegany był jako słaby. A w przypadku Alfego... Cóż, znałam jednego Alfe, którego partnerka sypiała z innymi, jednak robiła to za jego przyzwoleniem. Utrzymując Adama w niepewności, osłabiałam go samym już brakiem akceptacji. A skoro cała wataha

widziała, jak Tim... że pozwoliłam mu...

Adam opuścił rękę, uwalniając Darryla.

– Słyszałeś to?

Zamilkłam natychmiast, uświadomiwszy sobie, że popiskuję. Za późno.

– Dochodziło stamtąd – rzekła Honey, ostrożnie stawiając stopy pomiędzy kawałkami Tima i kierując się w moją stronę. Darryl i Ben ruszyli za nią. Adam pozostał odwrócony plecami, opierając się dłońmi o ścianę.

Dlatego właśnie on został w pierwszej kolejności zaatakowany przez wchodzącego nieczłowieka.

Nemane przybyła pod postacią tej samej wysokiej kobiety, którą widziałam wcześniej z Tonym. Ciemne włosy poznaczone srebrnymi i czerwonymi refleksami unosiły się wokół jej twarzy, jakby odpychała je magia. Fala mocy, jaką posłała, podcięła Adamowi nogi, ciskając nim pod przeciwległą ścianę. Runął plecami prosto w kałużę ciemnej krwi, przetoczył się i zerwał, ruszając do ataku.

Wojna, pomyślałam. Jeśli któreś z nich zginie, wybuchnie wojna.

Nim dotarło do mnie, co robię, zeskoczyłam z półki i byłam już w połowie drogi, pędząc ku nieczłowiekowi.

Musiała ogłuszyć Adama, bo znalazłam się przy niej pierwsza.

Przemieniłam się, żeby móc mówić, ale nie zdążyłam się odezwać. Adam odtrącił mnie, uderzając łokciem w brzuch. Nie zrobił tego specjalnie, rzucił się zaraz na ziemię, wślizgując pode mnie i łapiąc jeszcze w powietrzu.

Wylądowałam na nim, z jednym kolaniem uwięzionym pod jego ramieniem i zdrową ręką pod drugim. W następnej chwili zerwał się, tuląc mnie do siebie, a reszta stada stała już murem pomiędzy nami a Nemane.

Usiłowałam przemówić, ale uderzenie pozbawiło mnie tchu.

– Cii – uspokajał Adam, nie spuszczać oczu z Pradawnej. – Cii, Mercy, jesteś bezpieczna. Już wszystko dobrze.

Poczułam w gardle rosnącą gulę. Nieprawda. Mylił się. Już zawsze będę sama. Tim tak powiedział. Wziął mnie i teraz już pozostanę samotna na zawsze. Nie, nie na zawsze. Rzeka płynęła nieopodal, w tym miejscu szeroka i tak głęboka, że zdawała się

czarna. Warsztat stał blisko brzegu, czasem wiatr przynosił zapach wody Kolumbii.

Choć rzeka wzywała mnie do siebie, mogłam już jaśniej myśleć.

Wilkołaki czekały na ruch Nemane. Nie wiem, na co czekała Nemane, ale jej wahanie dało mi szansę na wyjaśnienie wszystkiego, zanim dojdzie do tragedii.

– Czekaście – stęknęłam, odzyskując głos. – Czekaście. Adam, to jest Nemane. Została przysłana, by zająć się sprawą śmierci tego strażnika.

– Ta sama, która zamiast szukać prawdziwego mordercy, chciała dać umrzeć Zee? – warknął Adam i odsłonił zęby w grymasie pogardy.

– Adam? – odezwała się Nemane zimno. – Adam Hauptman? Co przywódca wilkołaków robi w miejscu pełnym skradzionych nam artefaktów?

– Przyszedł mi na pomoc – wyjaśniłam.

– A ty kim jesteś? – Przekrzywiła głowę, zwracając na mnie niewidzące oczy. Uświadomiłam sobie, jak bardzo mam zmieniony głos. Chrypiałam, jakbym paliła od tysiący lat tudzież krzyczała całą noc. A przecież Nemane była ślepa.

– Mercedes Thompson – powiedziałam.

– Ach, kojot. Co za szelmostwa wyczyniasz tym razem? – Postąpiła krok naprzód, wyciągając szyję. Wilkołaki spięły się, gotowe w każdej chwili zareagować. – I czyjaż to krew upaja dzisiejszą noc?

– Znalazłam twojego mordercę – powiedziałam zmęczona, opierając głowę na ramieniu Adama. Jego zapach otulił mnie złudnie kojącą falą. Nie kochał mnie. Byłam tak znękana, że postanowiłam cieszyć się tą chwilą ulgi, póki trwała. I tak wkrótce zostanę sama. – Sam sprowadził na siebie śmierć.

Napięcie zelzało, kiedy magia Nemane przestała być tak silnie wyczuwalna w powietrzu. Jednak wilki czekały, aż Adam oznajmi, że niebezpieczeństwo już minęło.

– Darryl, zadzwoń do Samuela, niech tu przyjdzie – rzekł Adam spokojnie. – Potem wezwij tego policjanta, znajomego Mercy. Honey, w bagażniku jest pled i zapasowe ubrania, przynieś je.

– Mam powiadomić też Warrena? – zapytał Ben, przenosząc

wzrok na Adama. Po drodze jego uwagę przykuło moje ramię. – Cholera jasna, widziałeś jej rękę?

Ja nie widziałam i nie zamierzałam oglądać, patrzyłam więc na Nemane, bo tylko twarz pradawnej istoty nie odbijała przerażenia. A niewiele co jest w stanie przerazić wilkołaka. Jak do tej pory nigdy nie udało mi się dokonać tej sztuki.

– Nadgarstek jest zmiążdżony – oceniła fachowo. – A przedramię złamane.

– Skąd wiesz? – zdziwiła się Honey, która właśnie wróciła z kocem i ubraniami. – Jesteś przecież ślepa.

Nemane uśmiechnęła się niewesoło.

– Widzieć można na różne sposoby.

– Jak oni to poskładają? – zastanawiał się Ben, wpatrując w moją ranę. Nie spodziewałam się, że cokolwiek może nim tak wstrząsnąć. Wilkołaki są przyzwyczajone do przemocy i jej następstw.

Nemane wyminęła Adama, idąc niczym wilk za zapachem. Schyliła się, podnosząc szagryn druida, który musiał spaść z Tima, gdy Adam rozdzierał go na strzępy.

Widok tych krwawych ochłapów miał mnie pewnie prześladować długimi nocami, ale na razie byłam zbyt oziębiała, by robił wrażenie.

Nemane pokręciła głową, obracając płaszcz w rękach.

– Nic dziwnego, że nie mogliśmy go znaleźć. Masz, to jej pomoże.

– Podała Benowi kielich, który wyciągnęła spod wózka z narzędziami.

– Co to jest? – zapytał Adam.

– Zguba Orfina, zwana także pucharem Huona lub darem Manannana. Ma kilka właściwości, w tym zdolność leczenia.

– Nie, to nieprawda – zaprzeczył Adam gorączkowym szeptem.

Nemane zwróciła ku niemu twarz.

– Zmusił ją, by z niego piła – ciągnął Adam. – Myślałem, że w środku jest jakiś narkotyk, ale... To magia nie ludzi, tak?

Skinęła głową.

– W rękach śmiertelnika, złodzieja, stał się przekleństwem. Odbierał wolę. Podarowany w dobrej wierze potrafi leczyć. Gdy posiadaczem jest nieczłowiek, pozwala poznać prawdę.

– Nie dotknę go – wymamrotałam w Adamowe ramię, wtulając się mocniej, żeby znaleźć się jak najdalej od pucharu.

– Uleczy ją? – zapytał Adam nieufnie.

Z zewnątrz dobiegł nas odgłos silnika.

– To jeden z moich – poinformował Adam, jak sądziłam, Nemane, bo reszta bez wątpienia rozpoznała dźwięk silnika samochodu Samuela. Skoro przybył tak szybko, musiał jechać ze szpitala, który znajdował się kilka przecznic stąd. – Jest lekarzem. Niech najpierw to obejrzy.

Wszedłszy, Samuel podsumował widok jednym wulgarnym słowem, które zmieściło w sobie porozwlekane szczątki Tima, zbryzgane krwią ściany i podłogę, parę nagich ludzi (czyli mnie i Adama) oraz Nemane w jej pełnej nieczłowieczej okazałości.

– Zobacz, co z jej ręką – rzekł Adam.

Nie chciałam, żeby Samuel mnie dotykał. Nie czułam ramienia, lecz wiedziałam, że gdy tylko ktoś nim poruszy, ból wróci. W tym stanie przypominało raczej precla niż kończynę. Było zgięte w miejscach, gdzie raczej nikt nie spodziewa się stawów. W chwili wejścia do biura jeszcze mogłam się nim posługiwać. W każdym razie jako tako. Tim musiał dokończyć swoją robotę, gdy go zabijałam.

Nikt nie zwracał uwagi na to, czego chciałam.

Samuel przykląkł, żeby lepiej przyjrzeć się spoczywającej przy moim udzie ręce, i gwizdnął przez zęby.

– Musisz zmienić towarzystwo, Mercy. Ta banda, z którą się zadajesz, ma na ciebie zły wpływ. Jeśli tak dalej pójdzie, nie minie rok, gdy spotkamy się na twoim pogrzebie.

Taką beztróską wesołością reagował tylko wtedy, gdy naprawdę było źle. Dotknął ręki, ledwie muskając, a i tak przed oczyma zawirowały mi czarne plamy. Gdyby Adam mnie nie trzymał, wyrwałabym się, ale tulił mnie do siebie mocno, szepcząc kojące słowa, których nie rozróżniałam przez szum w uszach.

– Samuelu? – głos Bena zabrzmiał ostro i wyraźnie.

Samuel przestał obmacywać ramię i wstał.

– Ta ręka jest jak tubka pasty, do której ktoś wepchnął szklane kulki – oznajmił. – Nie sądzę, by dało się z tego coś poskładać nawet z pomocą setki śrub czy klamerek.

Nie jestem typem osoby mdlejącej z byle czego, ale porównanie, którego użył Samuel, sprawiło, że do czarnych plam dołączyły

czerwone. Mrugnęłam zaledwie dwa razy, a obraz przed oczyma przeskoczył o kilka klatek do przodu. Gdybym wcześniej przypomniała sobie o rzece, nie straciłabym przytomności, słysząc diagnozę Samuela.

Z upływu czasu zdałam sobie sprawę dlatego, że moc, która teraz otaczała Adama, nie mogła zebrać się tak szybko. Nie domyśliłam się jednak, po co to robi, aż było za późno.

– Nie martw się niczym, Mercy – mruzczał mi do ucha.

Napięłam się. Próbowałam. Ale próba ta przyniosła tylko kolejną falę cierpienia, znużenia i strachu. Nie miałam najmniejszych szans walczyć z siłą jego głosu. I nie chciałam. Adam nie był zły. Nie skrzywdziłby mnie.

Pozwoliłam, by moc przywódcy stada otuliła mnie niczym ciepły koc, i przylgnęłam do jego piersi. Nadal czułam rwanie w ramieniu, ale tafla spokoju oddzielała mnie od bólu i lęku. Byłam taka zmęczona banieciem się.

– Tak, właśnie tak – mówił. – Odetchnij głęboko, Mercy. Nie pozwolę ci zrobić nic, co cię zrani. Możesz mi zaufać.

Nie brzmiało to co prawda jak pytanie, ale wyszeptałam „tak”.

Bardzo cicho, tak że nawet inne wilkołaki nie mogły tego słyszeć, wyszemrał:

– Nie znienawidź mnie za to, kiedy będzie po wszystkim. – W głosie Adama nie było najmniejszej nuty nacisku.

– Nie podoba mi się to – wymamrotałam.

Czule przesunął brodą po moim policzku.

– Wiem. Damy ci coś, co cię uleczy.

Ta informacja przebiła się przez spokój, którym mnie otulił. Adam zamierzał napić mnie z kielicha.

– Nie – zaprotestowałam. – Nie dotknę go, nie dotknę.

– Cii. – Fala jego mocy ponownie omyła mnie błogością, tłumiąc opór.

– Znam was jak zły szeląg – warknął Samuel do Nemane. – Skąd ta ochoczość, żeby pomóc?

– Myśl sobie o nas, co chcesz, wilku – zaczęła Nemane wyniośle – ale nieludzie nie zapominają o swoich przyjaciółach ani zobowiązaniach. Mercy spotkała krzywdę, gdyż chciała pomóc jednemu z nas. Mogę uleczyć jej ciało, lecz ono najmniej ucierpiało

tej nocy. Nasz dług wobec niej pozostanie niespłacony.

Poczułam na wargach rant pucharu, żołądek zbuntował się, gdy zapach napoju dotarł do nosa. Wstrząsały mną torsje, ale Adam tylko obrócił mnie trochę i trzymał mocno, dopóki nie skończyłam wymiotować. Po wszystkim znów przytulił do piersi.

– Zatkajcie jej nos – poradził Darryl i Samuel ścisnął mi nozdrza palcami.

– Wypij duszkiem – powiedział Adam. – Szybciej będzie po wszystkim.

Posłuchałam go.

– Wystarczy – rzekła Nemanie. – Potrwa to około godziny, ale przyrzekam, że będzie zdrowa.

– Mam nadzieję, że nie złamaliśmy Mercy, zmuszając ją do tego – głos Adama wibrował miło nad moją głową. Westchnęłam, szczęśliwa. Nie byłam jeszcze sama. Ramiona zaczęły mu drżeć, chyba się zmęczył dźwiganiem mnie.

– Nie jesteś ciężka – zapewnił, więc prawdopodobnie wyraziłam swoje wątpliwości na głos.

Samuel, przyzwyczajony w pracy do nagłych sytuacji, przejął dowodzenie.

– Honey, daj mi koc i ubrania. Przyniesz z biura jakieś krzesło, tylko z oparciem. Darryl, weź Mercy... – Adam objął mnie mocniej i warknął, co skłoniło Samuela do zmiany dyspozycji. – Dobrze, dobrze, zaczekamy, aż Honey wróci z krzesłem. O, jest. Owiniemy Mercy kocem, uśpij ją, a potem się umyjesz, zanim pojawi się tu policja.

Adam nie drgnął.

– Adamie... – zaczął Samuel spokojnie, pilnując neutralnej postawy. Pod warsztatem zaparkował pick-up, a napięcie w środku opadło, jak za dotknięciem zaczarowanej różdżki. Wszyscy milczeli jednak, dopóki w progu nie stanął Warren. Był blady i spięty. Wchodząc, zwolnił kroku, by dobrze przyjrzeć się krwawej scenerii. Po drodze trącił czubkiem buta kawałek Tima i spojrzał na Adama.

– Dobra robota, szefie.

Przeniósł wzrok na Samuela, trzymającego w rękach koc, a potem na Honey, zaciskającą dłonie na oparciu krzesła.

Samuel nie potrzebował słów, żeby dać Warrenowi znać, jak

wygląda sytuacja; wystarczył mu język ciała.

Warren podszedł, zabrał Samuelowi pled i strzepnąwszy, zbliżył się do nas.

– Trzeba rozgrzać Mercy. Okryjmy ją.

Ostrożnie wyjął mnie z objęć Adama, który tym razem nie sprzeciwił się ani słowem, i ze mną, opatuloną kocem, usiadł na krześle. Adam obserwował nas przez chwilę z wyrazem twarzy, którego nie potrafiłam odczytać. Potem pochylił się i ucałował mnie w czoło.

– Jeśli dzwoniłście na policję, niedługo tu będą – rzekła Nemane, gdy Adam zniknął w łazience. – Zanim przyjadą, muszę to wszystko stąd zabrać.

– Jest jeszcze pierścionek – powiedziałam, rozkoszując się spokojem, który roztaczał Adam.

– Jaki pierścionek?

– Srebrna obrączka na jego palcu. – Ziewnęłam. – I parę innych rzeczy w domu. Trzymał je w sypialni w szafie.

– Pierścień Mac Owena – domyśliła się Nemane. – Pomożecie mi go szukać? Musi gdzieś tutaj leżeć...

– Chyba że jest w brzuchu Adama – powiedziałam, rozbawiając tym Warrena.

– Koniec z horrorami – mruknął. – Ręczę, że Adam nie zjadł ani kawałka.

– Jest – oznajmiła Honey, podnosząc coś z ziemi. Jednak zamiast podać obrączkę Nemane, zacisnęła ją w pięści. – Jeśli zabierzesz kielich, oskarżą Mercy o morderstwo.

– Oddaj go. – Temperatura w warsztacie spadła, ochłodzona skutecznie lodowatym tonem Nemane.

– Mamy nagranie – przypomniał Darryl. – Powinno wystarczyć.

– Tak sądzisz? – prychnęła Honey. – Widać na nim jedynie, że Mercy zachowuje się jak pijana. I wypija jeszcze więcej za każdym razem, kiedy on jej rozkaże. Ani razu nie odmawia, a nie widać, żeby ją zmuszał. To nagranie pozwoli oskarżycielowi dowieść, że Mercy miała ograniczoną zdolność oceny sytuacji i zabiła pod wpływem działania alkoholu. Nie uwolni jej od zarzutu morderstwa. Poza tym obezwładniła go, a potem z premedytacją wzięła łom i roztrzaskała mu głowę.

– Więc niech tak będzie – rzekła Nemane. – Wiedza o tych przedmiotach stanowi dla ludzi zagrożenie.

– Potrzebujemy tylko pucharu – upierała się Honey.

– Wystarczy, żeby wyjaśnić większość wątpliwości – zgodził się Samuel. – Choć może będziesz musiała wytłumaczyć, jakim cudem człowiek oderwał innemu głowę gołymi rękami.

– Miał bransolety – wtrąciłam się. – Nazywał je karwaszami gigantycznej siły, ale to nie były karwasze. Też powinny gdzieś tu leżeć.

– Ben. – Adam wrócił z łazienki całkiem spokojny i opanowany. – Idź po mojego laptopa. – Miał na sobie dzinsy i popielatą koszulkę z długim rękawem, a jego włosy były trochę wilgotne. – Zawrzyjmy układ, Nemane. Obejrzyj to nagranie, a jeśli nadal będziesz chciała zabrać rzeczy i iść, zrobisz to.

– Jestem Czarnowroną – rzekła Nemane. – Widziałam więcej gwałtów i śmierci, niż sobie to możesz wyobrazić.

Wstyd wkradł się pod kołdrę spokoju, którą otulił mnie Adam. Nie chciałam, żeby kolejna osoba oglądała moje upokorzenie.

– Przecież jest ślepa – zaprotestowałam. – I tak nic nie zobaczy.

– Może użyć moich oczu – oświadczył Samuel.

Nemane zeszywniała.

– Mój ojciec jest nie tylko Marrokiem, ale także walijskim bardem – wyjaśnił Samuel. – Sporo wie. Jeśli Adam uważa, że to ważne, możesz użyć moich oczu.

Adam wziął od Bena laptopa i postawił na stole warsztatowym.

Wtuliłam twarz w pierś Warrena, starając się ignorować odgłosy dobiegające z komputera. Głośniki nie były zbyt dobre, więc udawałam, że nie słyszę przez szum bezradnych jęków i mlaśnieć...

Wyłączyłam, dopiero gdy na ekranie pojawiła się Nemane.

– Nie wiem, jakim cudem to przeżyła – rzekła Czarnowrona bezbarwnie. – Gdybym zobaczyła to wcześniej, nie pozwoliłabym Mercy znów pić z kielicha.

– Ale nic się jej nie stanie? – zapytał Warren ostro.

– Nie sądzę, skoro do tej pory nie umarła i nie ma konwulsji – orzekła Nemane i w zamyśleniu pogładziła trzymany płaszcz. – Nie mam pojęcia, jak zdołała go zabić, skoro miał na sobie szagryn. Nie powinna móc go nawet tknąć.

– Płaszcz chroni tylko przed wrogami – wymamrotałam w koszulę Warrena. – Nie byłam jego wrogiem, bo tak mi kazał.

W oddali rozległ się głos syren policyjnych.

– Dobrze – powiedziała Nemanie. – Możecie pokazać im bransolety, żeby wyjaśnić, jak ten człowiek zabił O'Donnella. A także puchar. Adamie Hauptmanie, przywódco watahy dorzecza Kolumbii, niniejszym przekazuję ci te przedmioty w posiadanie. Będziesz ręczył za nie własnym honorem, a gdy przestaną być potrzebne, zwrócisz je Wujkowi Mike'owi.

– Samuelu – zawołał Warren zaniepokojony, a ja zdałam sobie sprawę, że cała się trzęsę.

– Potrzeba jej tylko snu – uspokoiła ich Nemanie.

Adam ukląkł przy nas, patrząc mi w oczy.

– Zaśnij, Mercedes – powiedział.

Byłam zbyt zmęczona, by walczyć z nakazem, nawet gdybym chciała.



Rozdział 12

O budziłam się otoczona zapachem Adama, który nie miał nic wspólnego z uczuciem szarpania w trzewiach. Nie miałam czasu rozejrzeć się wokół. Zeskoczyłam z łóżka i dopadłam łazienki w ostatniej chwili, żeby zdążyć zrzucić zawartość żołądka do muszli klozetowej.

Przy powtórnej podróży przez przełyk magiczny napój smakował znacznie gorzej.

Czyjeś dłonie łagodnie odgarnęły mi włosy, choć za późno, po czym przetarły twarz wilgotnym ręcznikiem. Zauważyłam, że ktoś musiał mnie przebrać, miałam bowiem na sobie swoje czyste majtki oraz koszulkę Adama.

– Tym razem przynajmniej udało ci się dotrzeć do toalety – stwierdził Ben trywialnie. A potem, żebym przypadkiem nie wzięła go za jakiegoś miłego, grzecznego kłona, dorzucił: – I dobrze, bo skończyła nam się czysta pościel.

– Zawsze do usług – zdążyłam powiedzieć przed kolejną falą wymiotów, która była tak gwałtowna, że pozostawiła po sobie palenie w ustach i nosie. Miałam ochotę sięść na podłodze i płakać, i pewnie tak bym zrobiła, gdyby myśl o przedstawieniu na oczach Bena nie napawała mnie odrazą.

Odczekał chwilę i dopiero nabrawszy pewności, że wycieczka do łazienki zanosila się na podróż w jedną stronę, westchnął i dźwignął mnie ze stęknieniem. Wiedziałam, że udaje wysiłek. Był wilkołakiem – z łatwością uniósłby fortepian. Nie ważyłam nawet tyle, żeby musiał szczególnie napinać mięśnie.

Położył mnie na łóżku i z zaskakującą sprawnością opatulił w piernaty.

– Nemane powiedziała, że na początku będziesz dużo spała. Te wymioty ją zaskoczyły, ale pewnie mają związek z twoją odpornością na magię lub ilością napoju, jaką w siebie wlałaś. Powinnaś teraz zasnąć. – Zawiesił głos. – Chyba że masz ochotę coś

przekąsić?

Odwróciłam głowę, żeby mógł zobaczyć moją minę.

– Heh, też nieszczególnie pociąga mnie wizja kolejnej zmiany pościeli.



W pokoju nadal było ciemno, gdy przebudziłam się ponownie, uznałam więc, że nie spałam długo. Zmusiłam się do leżenia w bezruchu. Czułam obecność Bena, a nie chciałam przyciągać jego uwagi. Nie chciałam, by ktokolwiek na mnie patrzył.

Mdłości minęły, więc wspomnienia minionego wieczoru powróciły z pełną siłą, przesuając się przed oczyma jak obrazy z filmów Eda Wooda – tak koszarne, że trudno się od nich oderwać. Co gorsza, towarzyszyły im efekty zapachowe – woń napoju magicznego, krwi i... Tima.

Zsunęłam się z łóżka i dopełzłam do łazienki na czworakach, ze wzrokiem wbitym w podłogę, żeby Ben wiedział, że rozumiem, co uczyniłam.

Wyprzedził mnie, otwierając drzwi. Zawahałam się. Zasady nakazywały mi położyć się przed nim na plecach, odsłaniając gardło... Ale nie potrafiłam się przełamać, nie zniosłabym znowu uczucia takiej bezbronności. Nie po tamtym. Może dałabym radę, gdyby zamiast Bena był tu Adam.

– Biedna sunia – powiedział łagodnie. – Idź, umyj się. Przypilnuję, żeby nie weszli tu żadni źli ludzie.

Zamknął za mną drzwi.

Wstałam na drżących nogach, odkręciłam gorącą wodę i zrzuciłam ubranie. Szorowałam się i szorowałam, lecz nie mogłam pozbyć się tych zapachów. Wreszcie wyszłam spod prysznicę i otworzyłam szafkę z kosmetykami. Znalazłam trzy butelki wody kolońskiej, jednak żadna nie pachniała jak Adam.

W końcu wylałam na siebie płyn po goleniu. Podrapana o betonową posadzkę skóra piekła strasznie, jednak udało mi się stłumić zapach Tima.

Nie mogłam założyć na powrót tych samych ciuchów, bo przesiąkły zapachem... wszystkiego. Choć koszulka na pewno

należała do Adama, majtki były moje, a wcześniej zostałam umyta, bo ani na mnie, ani na ubraniach nie znalazłam krwi.

Wraz z tą myślą w mojej głowie pojawił się obraz siebie stojącej pod prysznicem i głos Honey: „Wszystko będzie dobrze. Daj, pomogę ci to ściągnąć...”.

Zaczęłam oddychać histerycznie, chwyciłam więc ręcznik i przyłożyłam go do nosa i ust, czekając, aż atak paniki minie.

Czyli nie miałam się w co ubrać, a nie mogłam tak stać bez końca, bo prędzej czy później ktoś przyjdzie sprawdzić, czy nic mi nie jest.

Nikt nie będzie zadawał żadnych pytań kojotowi, który przecież nie może odpowiedzieć.

Przez chwilę bałam się, że nie zdołam dokonać przemiany, mimo że obie formy były dla mnie tak samo naturalne.

„Musisz pozostać człowiekiem, Mercy. Jesteśmy w szpitalu, nie możesz się tu przemienić”. Głos Samuela.

Ale nie byłam już w szpitalu i nie musiałam przejmować się policją. Sierść pokryła mnie od stóp do głów. Trwało to nieco dłużej niż zwykle, lecz w końcu stanęłam na czterech łapach. Zaskomliłam cichutko, nie chcąc się stąd ruszać.

Drzwi otworzyły się, zanim zdołałam wymyślić, co dalej robić, choć w zasadzie nie miałam żadnych opcji, bo w łazience nie było miejsca, gdzie mógłby się ukryć nawet kojot.

Ben pociągnął nosem.

– Woda po goleniu? Może być. Ktoś znalazł chwilę, by wrzucić do prania pościel, więc łóżko też jest prześcielone.

Uświadomiwszy sobie, że patrzę na niego, spuściłam łeb i podwinęłam ogon.

– Aż tak źle? Mercy... – Westchnął. – No nic. Chodź. Wracaj do łóżka.

Nie byłam śpiąca, ale zwinęłam się w kłębek, aby zaczekać na wyjście Bena, żebym mogła iść... gdzieś. Nie do domu, bo tam siedział Samuel, który wiedział o wszystkim.

Wszyscy wiedzieli. Tim miał rację: zostanę sama.

Mogłam wejść do rzeki... Nie, nie mogłam. Mój opiekun tak postąpił. Nie, nigdy nie popełniłabym samobójstwa; nikomu nie zrobię tego, co on uczynił mnie.

Po jakimś czasie drzwi do sypialni otworzyły się i w progu stanął

Adam. Zapewne nie miał czasu porządnie się umyć, bo nadal wyczuwałam od niego słabą woń krwi Tima oraz magicznego napoju. Z krępującą wyrazistością przypomniałam sobie, że na niego zwymiotowałam.

– Zee oczyszczono z podejrzeń. Wypuszczą go, gdy tylko uporają się z papierkową robotą. – Mówił zapewne do Bena, gdyż ja udawałam, że twardo śpię. Później milczał przez chwilę, jakby wyczekiwał odpowiedzi. W końcu westchnął. – Idę pod prysznic. Jak skończę, będziesz mógł sobie zrobić przerwę.

Ben odczekał, aż z łazienki zacznie dochodzić szum wody, i dopiero wtedy się odezwał.

– Nie wiem, ile z tego wszystkiego pamiętasz. Ta Nemanie chciała zabrać artefakty skradzione nieludziom i odejść przed przybyciem policji, ale Adam uznał, że jej wyjaśnienia są konieczne, aby całkowicie oczyścić z winy twojego gremlina. I aby dowieść, że zabiłaś Tima w obronie własnej. Pokazał jej nagranie z kamer. Wtedy zmieniła zdanie i zostawiła to, czego potrzebowaliśmy, aby przekonać policję. Była zaskoczona, że udało ci się wyzwolić spod czaru kielicha.

Przykryłam nos ogonem. Nie wyrwałam się spod wpływu czaru aż do samego końca. Pozwoliłam Timowi... pragnęłam go. Na ułamek sekundy powróciło do mnie tamto wrażenie jego piękna i moje pożądanie.

– Cii... – Ben zerknął nerwowo na drzwi łazienki. – Musisz się uspokoić. On jest na krawędzi, a nie możemy sobie pozwolić, żeby się załamał.

Nie chciałam wiedzieć więcej. Zee był wolny. Jutro nacieszę się tym w pełni. Oddam mu warsztat i odejdę. Może do Meksyku? Mają tam dużo volkswagenów. I masę kojotów. Może zostanę po prostu kojotem.

Ben podjął wątek, niezrażony moją postawą.

– Okazało się, że twój Tim zabił swojego kumpla, rano, zanim wrócił do domu. Przynajmniej na to wygląda. – Uświadomiłam sobie, że jego przemowa pozbawiona jest wulgarnych wtrętów, którymi zwykle suto okraszał swoje wypowiedzi. Może powstrzymywał się ze względu na Adama, którego drażniło przeklinanie w obecności kobiet? Przestałam się nad tym

zastanawiać, usłyszawszy kolejne nowiny: – Austin Summers wszedł do rzeki i utonął. Jakiś staruszek, który to widział, twierdzi, że chłopak się uśmiechał. Próbował go ratować, ale Austin płynął dalej, aż zniknął pod wodą. Już się nie wynurzył. Znaleźli jego ciało kilka kilometrów dalej, w dole biegu. Nikt nie wiedział, dlaczego to zrobił, dopóki Nemane nie pokazała im, jak działa puchar, i nie obejrzeli nagrania.

Austin za dużo wiedział. Pewnie posiadał jakieś informacje na temat artefaktów, a gdy Tim zorientował się, że i ja jestem świadoma ich istnienia oraz że mogę o nich powiedzieć innym, Austin zaczął stanowić dla niego zagrożenie. Choć to nie do końca moja wina, że go zabił.

Tim zazdrościł Austinowi, nienawidził za to, że chłopakowi wszystko przychodziło z taką łatwością. Tak czy inaczej by go zabił. To nie moja wina. W każdym razie nie w całości.

Ben okrył mnie kocem i przysiadł na skraju materaca.

– Policja też widziała nagranie. Nie martw się, nie ma na nim twojej przemiany. Nikt nie wie, że jesteś kojotem. Adam wyciął także fragmenty, na których pojawiliśmy się w formie wilkołaków. Całkiem dobrze radzi sobie z komputerami. – W głosie pobrzmiwało zawodowe uznanie; Ben pracował jako informatyk i znał się na rzeczy. – Adam pojechał na posterunek. Zrobiłby to tak czy inaczej, bo Nemane powierzyła artefakty jego opiece. Policjanci byli nieźle przerażeni, gdy zobaczyli, co zrobił z ciałem Tima. Ale nie zatrzymali go, bo przecież miał dowody, że to ty zabiłaś Tima. W każdym razie Adam nie protestował. Odniosłem wrażenie, że sam był wstrząśnięty. Ha – rozpromienił się z satysfakcją – poprosili bardzo grzecznie, żeby zabrał nagranie i towarzyszył im na komendę. Warren też poszedł, tak na wszelki wypadek, gdyby policja jednak się rzuciła. Dobrze, że kiedy przyjechaliśmy, Tim już nie żył, inaczej Adam nie wyszedłby tak szybko.

– Dobrze? – zawołał Adam z łazienki. Szum wody ustał chwilę wcześniej. – Wolałbym być na miejscu dużo wcześniej i ponieść wszystkie konsekwencje.

Ben znieruchomiał, ale ponieważ Adam już nic nie powiedział, odprężył się trochę.

Popełniłam błąd, sprowadzając Tima do warsztatu. Na pewno

mogłam znaleźć inne wyjście. A tak znów zrzuciłam wszystko na Adama, podobnie jak wtedy, kiedy ściągnęłam mu na głowę Fideala, sprowadzając zagrożenie na jego dom, watahę oraz córkę. Gdyby nie Peter, mąż Honey i fehmistrz, wszystko mogło skończyć się katastrofą. Adam mógł zginąć.

Gdyby w chwili, kiedy wstukałam w panel alarmu datę moich urodzin, będącą kodem ratunkowym, Adam znajdował się bliżej, gdyby zabił Tima... Nie pomyślałam o ryzyku. Liczyłam tylko na to, że Adam przybędzie i wyratuje mnie z opresji, do której doprowadziła moja własna głupota. Po raz kolejny.

Adam wyszedł z łazienki w samych spodniach, wycierając energicznie włosy. Rzuciwszy ręcznik, podszedł i klęknął przy łóżku. Ben podniósł się z materaca, stając przy oknie.

Twarz Adama ściągały znużenie i troska.

– Wybacz mi – powiedział. – Wybacz, że cię przymusiłem. Obiecałem, że nie będę tego robił, i zламаłem słowo.

Wyciągnął rękę, żeby mnie dotknąć. Nie mogłam tego znieść. Nie mogłam znieść przeprosin Adama, bo przecież naraziłam go na niebezpieczeństwo. I zdradziłam.

Cofnęłam się, zanim mnie dotknął, kuląc się w rogu łóżka. Twarz mu skamieniała, a ręka opadła bezsilnie.

– Rozumiem – rzekł. – Przepraszam cię, Ben, ale będziesz tu musiał zostać jeszcze chwilę. Poszukam Warrena i przyślę go, żeby cię zmienił.

– Nie bądź głupi, Adamie.

Adam wstał, kierując się do wyjścia.

– Boi się mnie. Kto inny z nią posiedzi.

Bardzo cicho zamknął za sobą drzwi.

Ben stanął na środku pokoju i wyrzucił z siebie cały zapas słów, które pominął w przemowie do mnie. Wyszarpnął z kieszeni komórke i wdusił klawisz.

– Warren – wycedził przez zęby – czy mógłbyś przekazać naszemu panu i władcy, żeby był tak miły zabrać dupę w troki i wrócić na górę? Mam mu coś do powiedzenia.

Nie czekając na odpowiedź, zatrzasnął klapkę i zaczął krążyć nerwowo po sypialni, przeklinając pod nosem. Spocił się, w nozdrza uderzył mnie zapach jego strachu i gniewu.

Skrzydło drzwi uderzyło w ścianę, w progu zamajaczyła sylwetka Adama. Był tak wściekły, że zerwałam się na równe łapy.

– Wejdz i zamknij za sobą – wychrypiał Ben ostro, tonem, jakiego nie powinien był używać, zwracając się do swojego Alfy.

Nie spojrzawszy nawet w moją stronę, Adam wszedł do sypialni. Drzwi zamknął z niewiarygodną precyzją, która aż nazbyt wyraźnie pokazywała, jak blisko znajduje się utraty panowania – zupełnie jakby zdeformowana gałka nie była wystarczającą tego oznaką.

Przykleiłam się do ściany za łóżkiem, podkurczając łapy, gotowa w każdej chwili rzucić się do ucieczki.

Ben zdawał się nie dostrzegać nadciągającej burzy. Albo nie dbał o to.

– Jak bardzo jej pragniesz? – Niezdolny znieść ciężkiego wzroku Adama, zwrócił oczy ku oknu. – Czy na tyle, by odłożyć na bok własne żale i poczucie krzywdy?

W głosie Bena brzmiało coś szczególnego... Adam też to wychwytał. Nie uspokoił się, ale zaczął słuchać. Inny Alfa, mniej pewny siebie, momentalnie pokazałby Benowi, gdzie jego miejsce.

Ben się nie wycofał, szybko, nerwowo wyrzucał z siebie słowa.

– Jeśli dzisiaj rozegrasz to właściwie, jutro, za tydzień... pewnie będzie się wściekała na ciebie za to, że zmusiłeś ją do wypicia tego świństwa. Zdejmie drzwi z tego grata, tego samego, który stoi tam, żebyś zawsze o niej myślał, nawet jeśli przeklinasz ją za robienie złomowiska przed twoimi oknami. – Popatrzył na mnie. Położyłam po sobie uszy. Nie tylko Adam błyskał teraz złotymi wilczymi ślepiami. Zanim zdążyłam spuścić wzrok, Ben przeniósł już spojrzenie na Adama.

Postąpił ku niemu, jakby byli sobie równi, a ja z zaskoczeniem stwierdziłam, że w rzeczywistości Ben jest wyższy od Adama.

– Nie dalej jak półtorej godziny temu rzygała tym gównem, które ty i cudowny doktorek wlaście jej do gardła. Słyszałeś Nemane. Mówiła, że efekty nie miną tak od razu. A ty traktujesz Mercy, jakby była odpowiedzialna za swoje czyny.

Adam warknął, lecz wiedziałam, że stara się tylko zachować kontrolę.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – odezwał się po chwili w miarę normalnym tonem.

– Patrzysz na nią, jakby myślała racjonalnie, a ona nie wróciła jeszcze całkiem z krainy czarów. – Ben oddychał coraz szybciej, a odór strachu się wzmacniał. Nie ułatwiało to Adamowi zachowania zimnej krwi, jednak nie powstrzymało Bena. – Kochasz ją?

– Tak – odrzekł Adam bez wahania. Nawet się nie zająknął. A przecież widział... Może nie patrzył, może nie zdawał sobie sprawy, co widzi...

– Wobec tego odłóż na bok poczucie winy i spójrz na nią.

Złote ślepia spoczęły na mnie. Poczułam ucisk w żołądku i nie wytrzymując tego wzroku, odwróciłam pysk do ściany.

– Boi się mnie.

– Ta głupia suka nigdy nie miała na tyle rozumu, by bać się ciebie, mnie czy kogokolwiek innego – warknął Ben, wkładając w to zdanie więcej mocy niż prawdy. – Zapomnij o sobie i dobrze jej się przyjrzyj. Ponoć umiesz czytać mowę ciała.

Adam wstrzymał oddech.

– Niech to szlag – wychrypiał wstrząśnięty.

– Czołgała się – głos Bena drżał, jakby wilkołak powstrzymywał łzy. Niewiarygodne. Przecież nawet w najlepszym humorze Ben ledwie mnie tolerował. – Doczołgała się do łazienki i jeszcze raz umyła. Gdybyśmy nie mieli dwóch uległych w stadzie, byłbym najniżej, a poczucie winy nie pozwoliło Mercy normalnie stać w mojej obecności.

Nie mogąc znieść badawczych spojrzeń, zsunęłam się z materaca, włączając za łóżko.

– Nie, czekaj, zostaw ją i wysłuchaj mnie do końca. Nic jej tam nie będzie.

– Słucham. – Cały gniew wyparował z pokoju; teraz czułam jedynie emocje Bena.

– Ofiary gwałtu... Ofiary gwałtu, które się bronią... Czują, że przemocą odebrano im wolę, boją się, są bezsilne. To pozbawia poczucia bezpieczeństwa. Sprawia, że są przerażone. – Trwoga, gniew i coś jeszcze kazały Benowi przejść nerwowo do łazienki i z powrotem.

– Już dobrze – rzekł Adam łagodnie, jakby pojmował coś, co mnie umykało. Nic dziwnego zresztą. Jak wspomniał Ben, nie doszłam jeszcze całkiem do siebie.

– Jeśli... Jeśli taka osoba się nie broni... Jeśli gwałcicielem okazuje się ktoś, komu winna jest posłuszeństwo, i uważa, że nie powinna lub nie może się bronić, albo zostanie odurzona... – Ben zatrzymał się i zaklął, po czym kontynuował wędrówkę. – Zaczynam się płatać.

– Rozumiem – głos Adama brzmiał pieszczotliwie.

– Dobrze. – Ben przystanął. – Dobrze. Więc jeśli się nie broni, wszystko wygląda inaczej. Jeśli zostaje skłoniona do współpracy, do czynnego udziału, wtedy już nie wiadomo, czy to był gwałt. Czuje się zbrukana, zgwałcona, ale też winna. Przede wszystkim dlatego, bo uważa, że powinna była bronić się, walczyć. A szczególnie taka osoba, jaką jest Mercy, która broni się przed wszystkim zębami i pazurami. – Ben oddychał chrapliwie, a w jego głosie pojawiły się błagalne nuty. – Musisz spojrzeć na to z jej punktu widzenia.

Wpełzłam pod łóżko i pod osłonę zwisającej kołdry przeczołgałam się na drugą stronę, żeby widzieć ich twarze.

– Czyli?

– Samuel powiedział ci... nam, że flirtowała z tym gościem. Niecelowo, jednak czasem trudno przewidzieć, jak pewne zachowania odbiorą inni ludzie. Ale zdawała sobie z tego sprawę, tak?

– Tak.

– A Samuel ostrzegł ją, żeby lepiej nie robiła tak przy tobie.

Począł na skinienie Adama.

– Lecz musiała pomóc przyjacielowi, a to oznaczało pójście do domu tego gościa. To nic takiego, bo mieli być tam inni ludzie, a poza tym, wiedząc już, jak sprawy się mają, uważała na to, co robi. Więc traktowała faceta z dystansem, zachowywała się jak zwykły gość. Taka zmiana musiała go wkurzyć.

– Skąd wiesz, że nie flirtowała? – zapytał Adam, lecz zaraz jakby w odpowiedzi na coś, czego nie widziałam, podniósł rękę. – Nie, nie wątpię w twoje słowa, ale skąd możesz wiedzieć?

– Bo to Mercy. Nie zdradziłaby kogoś, na kim jej zależy. W momencie, kiedy uświadomiła sobie, jak to odbiera ten facet, natychmiast przestała. – Patrzył na Adama, ale nie zaczępnie, lekko pochylał głowę, więc raczej zaglądał mu w oczy. – Jednak idąc tam, wiedziała też, że przekracza granicę. Uważała, że nie spodoba ci się to, nie dlatego, że robiła coś złego, ale dlatego, że tak to mogło

wyglądać. – Znow zaczął krążyć po pokoju, teraz już spokojniej, bo mówił tylko o mnie. – Nie mam pojęcia, dlaczego poszła tam drugi raz. Może powiedział jej, że wie, kto wrobił Zee, albo że ma jakieś informacje o O'Donnellu lub artefaktach. Wiedział, więc łatwo byłoby mu ją przekonać, prawda? Zwabił do siebie, bo uważał, że stanowi dla niego zagrożenie, albo ze względu na ten kostur, który ją prześladował, a on chciał położyć na nim łapę. A może po prostu chciał odplącić jej za to, że go odtrąciła.

– Uhm.

– Tak więc zdawała sobie sprawę, jak zareagujesz, kiedy wróci. Że będziesz zazdrosny, bo poszła do domu innego faceta, nawet jeśli zrobiła to, żeby pomóc Zee. Wiesz, że dopiero parę dni temu dowiedziała się, że ogłoszenie swych praw do partnerki nie jest czczym gestem, ale pociąga za sobą pewne skutki? Nie tylko to, że reszta stada daje jej spokój?

Zapadła chwila milczenia.

– Honey mi o tym wczoraj powiedziała. Wyjaśniła Mercy, że to coś więcej. Więc Mercy była bardziej zorientowana, niż to sobie założyłeś.

– Presja w przypadku Mercy zawsze wywołuje odwrotny skutek – oświadczył Adam sucho. – Myślałem, że zdążę jej wszystko wyjaśnić, zanim sprawy zajdą za daleko.

– W każdym razie wiedziała już, że to nie puste słowa i że taka deklaracja cię osłabia.

– Do rzeczy.

– Czuła, że powinna do ciebie zadzwonić i przynajmniej poinformować cię o zamiarze pójścia do domu tego sukinsyna. Jednak była pewna, że jej zabronisz, a musiała tam iść w przekonaniu, że dzięki temu uratuje Zee. Albo że zyska coś innego, równie ważnego, co wmówił jej ten gość.

– No dobra.

– Możliwe też, że nie podobała się Mercy myśl opowiadania ci się ze wszystkiego, co robi. Tak czy owak, specjalnie do ciebie nie zadzwoniła. Zdecydowała, że tam pójdzie, ale jednocześnie czuła, że robi źle. Jej wybór. Jej wina, że piła z tego przeklętego kubka. Jej wina, że...

W mgnieniu oka Ben leżał na ziemi, przygnieciony Adamem,

który warczał mu w twarz:

– To nie jej wina, że została zgwałcona.

Ben leżał bezwładnie, odsłaniając gardło, lecz nie przestał mówić, mimo że po policzku spłynęła mu łza.

– Ale ona tak myśli.

Adam znieruchomiał.

– Co więcej – charczał Ben – założę się, że ma wątpliwości, czy w ogóle została zgwałcona.

Adam usiadł, puszczając wilkołaka.

– Dlaczego? – zapytał miękko.

Ben potrząsnął głową, zasłaniając ramieniem oczy.

– Widziałeś wszystko. Słyszałeś go. Ten napój pozbawił Mercy woli oporu, ale ten gnój nie tylko skłonił ją, by się rozebrała. Nakazał czuć, pragnąć.

– Ale słyszałeś ją... widziałeś. Mówiła „nie”. Skłonił tamtego chłopaka, żeby utopił się z uśmiechem na ustach, a nie potrafił utrzymać Mercy pod kontrolą przez dłuższy czas. Musiał ją co chwilę poić tym świństwem. – Czy to duma pobrzmiwała w głosie Adama?

– Tak, ale sama się rozebrała, dotykała go.

– Pokonała to – warknął Adam. – Widziałeś. Słyszałeś. Pamiętasz, jak bardzo Nemane była wstrząśnięta, że Mercy mu się oparła. Nie mogła uwierzyć, kiedy uderzyła go tym kijem.

– Kiedy kazał jej siebie pragnąć – wyszeptał Ben – kochać, ona to naprawdę czuła. Widziałeś jej twarz? To było dla niej prawdziwe. I dlatego zdołała go zabić mimo tej pieprzonej końskiej skóry. Czy nie tak to wyjaśniła? W tamtej chwili Mercy go kochała, więc nie była jego wrogiem, w innym wypadku nie dałaby rady przełamać czaru ochronnego, który dawała ta szmata.

Adam mu uwierzył. Na moich oczach jego twarz się zmieniła, a w piersi zagrzmiał warkot. Teraz już rozumiał. I znienawidzi mnie za to, że go zdradziłam.

Podłoga zaskrzypiała pod wstającym Benem. Otrzepał spodnie – nerwowy odruch, bo nigdzie nie było ani pyłku. Adam zakrył twarz dłonią.

– I co, to był gwałt? – zapytał Ben lekceważąco, ukradkiem ocierając policzki z łez. Wspaniały pokaz aktorstwa. Gdyby jego

widownią była dwójka ludzi, może wmówiłby im tego nonszalanckiego Bena, ponieważ po tamtym udręczonym nie pozostał żaden ślad. – Sam musisz zdecydować. Jeśli obwiniasz Mercy za to, co pod przymusem czaru czuła, idź na dół i przyślij tu Warrena. Zajmie się nią, a kiedy dziewczyna dojdzie do siebie, odejdzie i będziesz ją miał z głowy. Nie będzie miała pretensji, bo wie, że to jej wina. Że wszystko, co się stało, to jej wina. Będzie zrozpaczona, że cię zraniła, więc odejdzie, żebyśmy mogli o niej zapomnieć.

Spojrzałam zaskoczona na Bena. Skąd wiedział, co planowałam?

Adam podniósł się powoli na nogi.

– Przeżyjesz – wychrypiał. – Przeżyjesz, bo wiem, co naprawdę czujesz. Oczywiście, że to był gwałt. – Patrzył na pochyloną głowę Bena, a ja nagle poczułam gwałtowny wzrost poziomu magii, który świadczył o tym, że używa teraz wobec Bena mocy Alfy. Zaczekał, aż stojący przed nim wilkołak podniesie na niego wzrok, i w tym momencie nawet ja byłam świadoma połączenia, które nawiązało się pomiędzy nimi. Później powiedział powoli: – Taki sam gwałt jak wtedy, gdy dorosły przymusza lub nakłania do tego dziecko. I bez względu na to, czy dziecko współpracuje czy nie, ani czy czerpie z tego przyjemność. Dlatego że dziecko nie ma wtedy wyboru. – Na twarzy Bena zaszła subtelna zmiana, ale Adam ją dojrzał, bo odwołał moc. – Teraz wiesz, że wierzę w to i rozumiem.

Ben był molestowany w dzieciństwie. Trudno się wobec tego dziwić, że miał w sobie tyle ciepła i radości. Nigdy dotąd nie zastanawiał się nad tym, co sprawiło, że był taki, jaki był.

– Dziękuję, że podzieliłeś się ze mną swoimi odczuciami – rzekł Adam oficjalnie.

Ben opadł na kolana, jakby nogi się pod nim ugięły. To był niezwykle piękny gest.

– Wybacz, że nie zrobiłem tego w odpowiedniejszy sposób. Z większym szacunkiem.

Adam szturchnął go łagodnie.

– Nie wysłuchałbym cię. Wstań już i idź odpocząć. – Jednak kiedy Ben się podniósł, Adam przyciągnął go do siebie, zamykając w uścisku, który dowodził, że wilkołaki nie są ludźmi. Po tego rodzaju wyznaniach dwóch heteroseksualnych ludzkich samców

nigdy nie pozwoliłoby sobie na tak bliski kontakt fizyczny.

– Długowieczność daje ci wiele czasu na poradzenie sobie z krzywdami z dzieciństwa – wyszeptał Adam Benowi do ucha. – A także wiele czasu na roztrząsanie ich i wyniszczającą gorycz. Wolę, żebyś wykorzystał swój na ten pierwszy sposób, słyszysz? – Odsunął się. – A teraz idź na dół.

Począł, aż Ben zamknie za sobą drzwi, a potem pokręcił głową.

– Mam u ciebie dług – rzekł do drzwi. – Nie zapomnę o tym.

Usiadł przy łóżku, jakby nagle opadł z sił. Tak samo niespodziewanie sięgnął ręką i złapał mnie za luźną skórę na karku, wyciągając spod materaca i sadzając sobie na kolanach.

Zadygotałam, rozdarta pomiędzy świadomością, że nie zasługuję na ten gest, a nieśmiałą nadzieją, że bez względu na moje przekonanie, nie obwinia mnie za nic.

– Ojciec zawsze powtarzał, że jeśli ktoś dobrze radzi, należy go słuchać – powiedział.

Nie rozluźniając uchwytu na karku, drugą ręką zaczął gładzić mnie po pysku.

– Poczekamy z rozmowami, aż to świństwo przestanie działać. – Jego dłoń znieruchomiała. – Nie zrozum mnie źle, Mercedes, to nie oznacza, że nie jestem na ciebie wściekły.

Ugryzł mnie w nos, bardzo mocno. Wilki czynią to, aby zdyscyplinować szczenięta albo nieposłusznych członków stada. Potem wsparł czoło o mój łeb i westchnął.

– To nie twoja wina. Ale jestem zły jak diabli za to, że przestraszyłaś mnie jak... diabli. Do licha, Mercy, kto by pomyślał, że dwoje ludzi może doprowadzić do takiej katastrofy? Gdybyś zadzwoniła, nie zabroniłbym ci tam iść... W każdym razie nie dlatego, bo uważalibyśmy, że to niebezpieczne. Nie przydzielilibym ci ochrony na zwykłą rozmowę z człowiekiem. – Wtuliwszy twarz w moją szyję, zaśmiał się krótko. – Pachniesz jak mój płyn po goleniu.

Przyciągnął mnie do siebie, zamykając w mocnym uścisku.

– Musisz wiedzieć, że tej nocy przypieczętowałaś swój los – rzekł cicho. – Gdy byłaś w niebezpieczeństwie, zwróciłaś się do mnie. To już drugi raz. A dwa razy to jak deklaracja. Teraz jesteś moja.

Dłonie, którymi dotychczas mnie głaskał, zamarły, przytrzymując

mnie mocno.

– Ben mówi, że chcesz uciec. Jeśli to zrobisz, znajdę cię i sprowadzę z powrotem. Za każdym razem, kiedy uciekniesz, Mercy, odnajdę cię. Nie zmuszę cię do powrotu, ale... Nie odejdę ani nie pozwolę ci odejść. Skoro potrafiłaś przemóc czar tego napoju, z powodzeniem możesz oprzeć się przewadze, jaką daje mi nad tobą moc Alfy. Od tej pory żadnych wymówek, Mercy. Jesteś moja i nie wypuszczę cię z rąk.

Moja niezależna natura, która bez wątpienia szybko wróci do swojej pełnej mocy, zbuntowałaby się wobec tak zaborczej, oburzającej, średniowiecznej koncepcji związku. Ale...

Tim chciał, bym na zawsze pozostała samotna, a myśl o tym raniła mnie szczególnie mocno, bo bardzo dobrze znałam to uczucie. Nikt tak jak kojot wychowany wśród wilkołaków nie rozumie, że odmienność oznacza brak przynależenia. Nie przynależałam do mojej ludzkiej rodziny, choć kochałam ich, a oni kochali mnie.

Te niczym nieupiększone, drapieżne i zaborcze słowa Adama, których moc biła z całego jego ciała, sprawiły, że mój świat zatrzęsł się w posadach.

Wreszcie zasnął, zwinięty wokół mnie, jakby był w wilczej formie. Otulona jego ciepłem, obserwowałam naznaczoną zmęczeniem twarz. Cienie, coraz wyraźniejsze w szarym świetle świtu, sprawiały, że wyglądał starzej – powiedzmy, na jakieś trzydzieści lat.

Na dole rozdzwonił się telefon.

Adam otworzył oczy. Obok Jesse trzasnęła drzwiami, zbiegając na dół. Dzwonek umilkł, a choć nie rozróżniałam słów dziewczyny, słyszałam ton, który po grzecznym powitaniu nabrał nut głębokiego szacunku.

Adam wstał, nie wypuszczając mnie z ramion, i położył na łóżku.

– Zostań tu.

– Tato? Bran do ciebie.

– Idę. – Adam otworzył drzwi.

Wręczając mu słuchawkę, wyciągnęła szyję, żeby na mnie zerknąć. Miała czerwone, podpuchnięte oczy. Czyżby płakała?

– Szykuj się do szkoły, Jesse – powiedział Adam. – Mercy nic nie

będzie.

Czwartek rano! – zelektryzowała mnie myśl. Muszę iść do pracy... Po chwili jednak położyłam się z powrotem. Nie zamierzałam iść do warsztatu, w którym wszędzie wałały się kawałki Tima. Powinnam zadzwonić do Gabriela, żeby nie przychodził po szkole. Powinnam...

– ...ktoś wysłał im nagranie, na którym gołymi rękoma rozszarpujesz gwałciciela Mercy. Choć rozumiem twoje emocje i na twoim miejscu z pewnością uczyniłbym to samo, stawia nas to w kłopotliwej sytuacji. – Głos Brana omył mnie falą spokoju, choć nie miała ona nic wspólnego ze słowami Marroka, a tylko z jego mocą.

– Ile tego mają? – warknął Adam.

– Niewielki wycinek. Został opisany jako niczym niesprowokowany atak wilkołaka na człowieka. Weź całe nagranie... Zakładam, że nie ma na nim przemiany Mercy?

– Nie. Ale ukazuje ją nagą.

– Tym Mercy nie będzie się przejmowała. Możemy dodać te czarne paski, które stosują dziennikarze.

– Tak. Ben tak robi. Mam im to zawieźć, tak?

– Wyślę z tobą Charlesa. Jestem pewien, że gdy zobaczą całość, większość członków komisji cię pochwali, a reszta słowem nie piśnie.

– Nie chcę, żeby to wyciekło do Internetu. Tam jest...

– Spokojnie, zajmę się tym. Kongresmen nie ukrywał, kto wysłał im ten plik. Dopilnuję, żeby sprawa została odpowiednio załatwiona.

Nie patrząc na mnie, Adam wyszedł z sypialni.

Nie chciałam tego słuchać. Nie chciałam myśleć o tym, że obcy będą oglądać to, co wydarzyło się zeszłej nocy. Chciałam do domu.

Na dole przy schodach rozmawiali Warren i Ben, lecz udało mi się przemknąć niezauważenie do pokoju Jesse.

– Mercy? – Jesse siedziała na łóżku, kończąc zadania domowe.

Wskoczyłam na parapet otwartego okna, jednak jakaś nuta w głosie dziewczyny kazała mi się odwrócić. Przeskoczyłam na łóżko i trąciłam ją pieszczotliwie łbem. Przytuliła mnie. Szybko wyswobodziłam się z objęć i wyskoczyłam przez okno.

Całkiem zapomniałam, że Tim zmiażdżył mi rękę. Bez trudu

biegłam na wszystkich czterech łapach i nawet skok z daszku nie sprawił mi kłopotu. Nemane nie kłamała, że puchar posiada też inne właściwości.

Pognałam do domu, zatrzymując się dopiero na ganku. W zwierzęcej formie nie mogłam otworzyć sobie drzwi, a nie zamierzałam przemieniać się w człowieka, w każdym razie nie w najbliższej dziesięćlatce.

Nie musiałam się martwić tym zbyt długo, bo w progu stanął Samuel. Zamknąwszy za nami drzwi wejściowe, otworzył te prowadzące do mojej sypialni.

Wskoczyłam na łóżko, zwijając się w kłębek z łbem na poduszce. Samuel przysiadł na skraju.

– Całkowicie nielegalnie zdobyłem dostęp do dokumentacji medycznej Tima Milanovicha – rzekł. – Jego lekarz, a mój przyjaciel, musiał wyjść na moment, zostawiając mnie w gabinecie. Po rozstaniu z narzeczoną Milanovich przebadał się dokładnie w kierunku chorób, których mogłabyś się obawiać, wszystkie wyniki były negatywne. Więc nie musisz się tym martwić.

Nie musiałam się też martwić ciążą. Z chwilą gdy stało się jasne, że sytuacja zaprowadzi mnie do łóżka czy to Adama, czy Samuela, zaczęłam brać pigułki. Jako nieślubne dziecko byłam bardzo wyczulona w tej kwestii.

Westchnęłam, zamykając oczy. Samuel wstał i wyszedł z pokoju.

Drzwi do sypialni otworzyły się kilka minut później, lecz to nie Samuel stał w progu. Warren w wilczej postaci postępował posłusznie za swoim Alfą.

– Mówiłem poważnie, Mercy – zaczął Adam. – Żadnego uciekania. Muszę jechać do Waszyngtonu i lepiej, żebyś tu była po moim powrocie. Na wszelki wypadek zostawię ci opiekuna.

Materac ugiął się pod ciężarem wielkiego wilka. Warren owinał się wokół mnie i liznął po nosie szorstkim językiem.

Uniosłam łeb, spoglądając na Adama.

Wiedział. Wiedział, a mimo to mnie chciał. Może jeszcze zmieni zdanie, ale znałam Adama od dawna i wiedziałam, że kiedy coś postanowi, jest niewzruszony niczym skała. Można by go było przesunąć jedynie buldożerem.

Skinął mi na pożegnanie i wyszedł.



Rozdział 13

Wylegiwałam się przez cały boży dzień. Spałam i tylko leżące obok wilki zmieniały się co jakiś czas. Gdy budził mnie koszmar, zawsze kogoś przy sobie widziałam. Samuela, Warrena, Honey lub Auriele, towarzyszkę Darryla. Samuel przytargał z kuchni krzesło i pół dnia grał mi na gitarze.

Następnego ranka przebudziłam się z niezachwianym przekonaniem, że jeśli czymś się nie zajmę, rozpacz i poczucie winy doprowadzą mnie do szaleństwa. Jeśli pozwolę się traktować jak ofiara, w końcu sama w to uwierzę, nieprawdaż?

Był piątek, powinnam iść do pracy nadrobić zaległości... Krew ścieła mi się w żyłach na myśl o powrocie do warsztatu. Oddychałam głęboko, czekając, aż atak paniki minie.

A więc nie mogłam iść do pracy. W każdym razie nie od razu.

Co zatem robić...?

Podniosłam łeb na wilczy kłęb, pod którego ciężarem uginało się łóżko, i zastanowiłam się nad wyborem odpowiedniej osoby. Z Darrylem nie było szans. Nie kiwnie palcem bez pozwolenia Adama, a Auriele nie robi nic wbrew partnerowi. Otworzyła oczy, patrząc na mnie. Podobnie jak ja, oboje powinni być teraz w pracy, Auriele w liceum, a Darryl na lukratywnym i świetnie opłacanym stołku uczonego. Żadne z nich nie nadawało się do pomocy przy głównym zamierzeniu, ale nie miało to znaczenia. Tego dnia postanowiłam zrobić jedynie rekonesans.



Ostatecznie Warren dokonał przemiany, żeby zagrać rolę w przedstawieniu „wyprowadzenie kojota”, Darryl zaś i Auriele wrócili do domu Adama zagrać opiekunów Jesse.

– Daleko idziemy? – zapytał Warren.

Przeszłam chwiejnie parę kroków, runęłam na bok, powlokłam

się kawałek z wysiłkiem, po czym skoczyłam na równe łapy, wracając do zwawego spaceru poboczem autostrady.

– Jeśli do tego dojdzie, dzwonię do Kyle’a, żeby po nas przyjechał – oświadczył Warren sucho.

Wyszczrzyłam się do niego i skręciłam na lokalną drogę. Dom Summersów był ładnym, dwukondygnacyjnym budynkiem postawionym na kilkuhektarowej parceli parę lat wcześniej. Pies pilnujący obejścia na mój widok rzucił się ku ogrodzeniu, ale zamarł w pół kroku, zatrzymany warknięciem Warrena. Albo zapachem wilkołaka.

Nosem przy ziemi wodziłam za tropem, który miałam nadzieję tu znaleźć. Piękna pogoda, niedaleko rzeka, każdy szanujący się chłopak powinien... Tak. Podchwyciłam zapach.

W pierwszej chwili zamierzałam szukać Jacoba Summersa w domu, ale trudno byłoby mi wyjaśnić, dlaczego chcę z nim porozmawiać w cztery oczy. Nawet nie miałam konkretnego planu, co mu powiedzieć – o ile w ogóle doszłoby do rozmowy.

Bitą drogą prowadziła prawie nad samą rzekę, zmieniając się w gruntową po drugiej stronie kanału. Idąc za tropem, odszukałam ulubione miejsce Jacoba. Na brzegu znajdował się spory głąz.

Wskoczyłam nań i popatrzyłam na wodę, tak jak pewnie robił to chłopak.

– Nie zamierzasz przypadkiem skoczyć, co, Mercy? – zapytał Warren. – Przed Przeistoczeniem byłem kiepskim pływakiem i w ciągu minionych lat nic się w tej kwestii nie zmieniło.

Rzuciłam mu pogardliwe spojrzenie, ale przypomniałam sobie, że przecież Tim kazał mi się utopić z miłości do niego.

– No to dobrze – skwitował, siadając na brzegu.

Sięgnął po leżącą nieopodal żyłkę z haczykiem i obciążnikiem oraz kilka puszek po piwie. Wetknął haczyk do puszki. Naraz wyprostował się jak struna, rozglądając wokół.

– Czujesz? – zapytał. – Zrobiło się zimno. Myślisz, że to Fideal?

Znałam przyczynę spadku temperatury. Stała tuż za mną. Austin Summers pogłaskał mnie martwą, lodowatą dłonią. Podniosłam na niego oczy, ale patrzył na rzekę.

Warren krążył po brzegu, wypatrując Fideała, zupełnie nieświadom obecności innej istoty.

– Powiedz mojemu bratu – rzekł Austin, nie odwracając wzroku od ciemnej wody. – Ale nie rodzicom, nie zrozumieją. Łatwiej zniosą zwykle samobójstwo niż wieść, że piłem magiczny napój. Takie rzeczy kojarzą im się z satanizmem. – Skrzywił się odrobinę lekceważąco. – Mój brat jednak zasługuje, żeby wiedzieć, że go nie opuściłem. I masz rację. To dobre miejsce. To jego świątynia dumania.

Uniosłam łeb ku jego dłoni.

– Dobrze – powiedział.

Siedzieliśmy jeszcze długo, śledząc nurt rzeki, zanim duch wreszcie zbladł i zniknął. Zapach zniknął zaraz potem, ale czułam chłodne palce na sierści, dopóki nie zeskoczyłam z głazu i ruszyłam w drogę powrotną. Warren szedł obok, niosąc w ręku zgniecione puszki.

– Udało ci się to, na co liczyłaś? – zapytał. – Czy po prostu chciałaś sobie popatrzeć na rzekę? Co oczywiście mogłaś zrobić, nie wlokąc mnie taki kawał.

Pomachałam tylko ogonem, nie chciało mi się tłumaczyć bardziej szczegółowo.



Kolejny punkt wymagał przemiany w człowieka. Zamknięta w łazience spędziłam dwadzieścia minut, zanim tego dokonałam. Może to głupie, lecz w ludzkiej postaci czułam się bardziej bezbronna niż w zwierzęcej.

Warren zastukał w drzwi, oznajmiając, że idzie do domu się zdrzemnąć, bo Samuel wrócił już z dyżuru.

– Dobra! – zawołałam.

– Dasz sobie radę, dziewczyno – rzekł z uśmiechem w głosie. Puknął jeszcze raz i wyszedł.

Popatrzyłam na twarz w lustrze z nadzieją, że Warren ma rację. Życie kojota byłoby znacznie prostsze.

– Idiotka – zelżyłam odbicie i weszłam pod prysznic, nie czekając, aż woda się nagrzeje.

Zakręciłam ją dopiero, gdy znowu była zimna, czyli długo później. Jednym z ulepszeń, które wprowadził Samuel, był nowy,

wielki bojler, choć staremu nic nie brakowało.

Zmarznięta, zaplotłam warkocz, nie zerkając w zwierciadło. Nie zabrałam ubrań, więc owinęłam się ręcznikiem, a ponieważ sypialnia okazała się pusta, mogłam ubrać się w spokoju.

Przyodziana w czarne dżinsy oraz bluzę dresową z obrazkiem dwumasztowca Lady Washington na piersi, poszłam do kuchni po gazetę. Chciałam sprawdzić, kiedy odbędzie się pogrzeb Austina – o ile już się nie odbył. Doszłam do wniosku, że największe szanse na spotkanie Jacoba nad rzeką będę miała właśnie po ceremonii.

Na blacie leżał wczorajszy dziennik. Korzystając, że w czajniku był wrzątek, zrobiłam sobie czekoladę. Co prawda tę kakaopodobną, a nie prawdziwą, lecz nie miałam akurat ochoty na bardziej skomplikowane procedury kuchenne. Dorzuciłam za to garść pianek ślazowych.

Z kubkiem i płachtą usiadłam przy stole obok Samuela, od razu zabierając się do przeglądania artykułów.

– Lepiej się już czujesz? – zapytał.

– Tak, dziękuję – odparłam uprzejmie, wracając do lektury i ignorując delikatne ciągnięcie za warkocz.

Nie spodziewałam się nowin, którymi krzyczała pierwsza strona. Obracając się w towarzystwie wilkołaków i innych istot, na których temat wiedza podawana do wiadomości publicznej była ostrożnie dawkowana, przywykłam do nagłówków typu „Tajemniczy pożar, jedna ofiara śmiertelna. Trwają poszukiwania podpalacza” albo „Znaleziono ciało zasztyletowanej kobiety” i tym podobne.

Tytuł: „Kobieta-mechanik zabija gwałciciela” widniał tuż nad innym: „Zwłoki studenta w Kolumbii”. Najpierw przeczytałam o sobie. Potem odłożyłam gazetę i zaczęłam sączyć czekoladę, w której pianki odpowiednio już zmiękły.

– Skoro już skończyłaś, powiedz mi, jak się czujesz – powiedział Samuel.

Przyjrzałam mu się. Wyglądał na całkowicie opanowanego i spokojnego, ale zapach temu przeczył.

– Dobrze. Tim Milanovich nie żyje. Zabiłam go, a Adam dokończył dzieła, tak się do tego przykładając, że nawet Elizawieta Arkadiwna nie zdołałaby przywrócić go do życia, gdyby zamiast pieniędzmi postanowiła nagle zająć się robieniem zombie. –

Łyknęłam czekolady i w zadumie przeżułam piankę. – Ciekawe, czy zabicie gwałciciela stanie się kiedyś powszechnie stosowaną terapią dla ofiar. Mnie pomogło.

– Naprawdę?

– Słowo skauta. – Podkreśliłam wagę wypowiedzianego zdania stuknięciem kubkiem o blat. – Naprawdę. A czułabym się jeszcze lepiej, gdyby wszyscy przestali zachowywać się, jakby umarł im ktoś bliski, i to z ich winy.

Uśmiechnął się tylko ustami.

– Dobra, łapię. Żadnych ofiar w naszym domu, tak?

– Dokładnie. – Sięgnęłam znowu po gazetę.

Czwartkowa. Czyli dzisiaj był piątek, dzień, na który Tad zapowiedział swój powrót, jeśli ojcu nadal będzie groziło niebezpieczeństwo.

– Dzwoniliście do Tada? – zapytałam.

– Tak. Mówiłaś o tym. Adam dzwonił do niego zaraz po powrocie z posterunku. Ale chyba Wujek Mike był szybszy.

Nie pamiętałam prośby o przekazanie wieści Tadowi. Noc ze środy na czwartek nadal obfitowała w dziury, których nie potrafiłam wypełnić wspomnieniami. Przyprawiało mnie to o poczucie bezradności, więc zmieniłam temat.

– Tim zostanie obciążony odpowiedzialnością za śmierć O'Donnella?

– Tak, jutro. Policja i nieładzie chcą dopiąć wszystko na ostatni guzik, zanim przekażą to prasie. Tim Milanovich nie żyje, procesu nie będzie. Przedmioty znalezione w domu mordercy zostaną powiązane z O'Donnellem oraz kradzieżami w rezerwacie. Oficjalnie historia będzie wyglądała tak, że Milanovich i O'Donnell razem dokonywali kradzieży, ale po jakimś czasie ten pierwszy stał się zachłanny i wyeliminował współnika. Zee prowadził dochodzenie w sprawie kradzieży i jeden z tropów zaprowadził go do strażnika. Poszedł z nim porozmawiać, lecz znalazł już trupa. Został zatrzymany do przesłuchania i zwolniony, gdy znaleziono dowody potwierdzające, że nie ma nic wspólnego ze śmiercią O'Donnella. O dowodach wspomina się mgliście. Milanovich próbował wykorzystać jeden ze skradzionych przedmiotów przeciwko tobie, ale zabiłaś go w obronie własnej. Na pewno

ucieszy cię wiadomość, że wbrew przekonaniom złodziei artefakty nie miały wielkich mocy, dlatego byłeś w stanie obronić się przed Milanovichem.

– O tak, magiczne przedmioty o słabym działaniu są zdecydowanie mniej przerażające niż potężne artefakty – przyznałam. – A co z Summersem?

– Postarają się nie łączyć tych spraw, choć powiązanie znajomości z Milanovichem i tajemniczej śmierci nie umknie uwadze jego rodziny. Policja wyjaśni im, że był jakiś związek, ale nie mogą ustalić jaki. I nigdy nie zdołają, bo wszystkie zamieszane w sprawę osoby nie żyją.

– Miałeś jakieś wieści od Adama?

– Nie, ale rozmawiałem z Branem. Policjant, który wysłał fragment nagrania, dostał oficjalną naganę, a wszystkie kopie plików skonfiskowano. Bran uważa, że Adam i Charles zrobili odpowiednie wrażenie. Adam powinien wrócić w poniedziałek.

Na razie nie chciałam myśleć, co będzie w poniedziałek. Dzisiaj zamierzałam skupić się tylko na tym, o czym myśleć chciałam.

Strzepnęłam gazetę i przeczytałam artykuł o Austinie.

– Pogrzeb zaplanowano na jutro rano. Odwiedzę brata Austina po ceremonii. Pójdiesz ze mną?

– Mam dyżur. W zeszły weekend wziąłem wolne. – Westchnął. – Chcę wiedzieć, czemu zamierzasz spotkać się z bratem Austina?

– W takim razem zabiorę ze sobą Bena. – Uśmiechnęłam się.

– Bena? – zdumiał się Samuel. – Adamowi się to nie spodoba.

– Nie będzie miał nic przeciwko. – Machnęłam ręką. – Tylko Ben potrafi się odpowiednio zachować. Warren może robi wrażenie pluszaka, lecz potrafi wpaść w szal, jeśli trafi się na jego czuły punkt. A dla Bena będzie to też rozrywka.

Samuel przymknął powieki.

– Uwielbiasz się drażnić. Dobra, bądź sobie tajemnicza. Ben to co prawda bydlak, ale zawsze to Adamowy bydlak. – Udawał zirytowanego, jednak widziałam, że mu ulżyło. Był gotów zrobić wszystko, żebym wróciła do normalności, a tego właśnie chciałam. Dostrzegłam zmiany w jego postawie, mięśnie ramion rozluźniły się, z zapachu zniknęła woń wynikającego ze zdenerwowania gniewu.

Teraz musiałam tylko szybko zniknąć mu z oczu, żeby niczego nie popsuć. Poza tym czas się umyć.

– Idę pod prysznic – oświadczyłam i na widok sztywniejącego Samuela natychmiast przypomniałam sobie, że przed chwilą wyszłam z łazienki, gdzie spędziłam prawie godzinę. I to tyle z udawania normalności.



W sobotę zabrałam Bena na spacer. Spojrzał nieufnie, kiedy weszłam bezceremonialnie do domu Adama, oświadczając, że tego dnia będzie mi towarzyszył.

Co prawda pierwszą wartę przy mnie miała objąć tego ranka Auriele i przez chwilę upierała się, że z nami pójdzie, ale nie mogłam tak ryzykować. Za dobrze ją znałam. Nie miała litości dla ludzi krzywdzących jej najbliższych. Dowiedziawszy się, że Jacob brał udział w napadzie na Jesse, urwałaby mu głowę. I to nie w przenośni.

Mnie chęć zemsty też nie była obca, ale wierzyłam również w skruchę.

Odmówiłam więc Auriele, a ponieważ wataha postanowiła traktować mnie, jakby kwestia mojego partnerstwa z Adamem została ostatecznie ustalona, nie mogła nic na to poradzić.

Ben przemienił się na moją prośbę, zatem szłam ulicami z wilkiem przy boku.

Spodziewałam się, że będziemy zwracać na siebie uwagę. Zupełnie niedawno uświadomiłam sobie, że ludzie zachowują się tak, jakby nie zauważali wilkołaków. Zawsze myślałam, że wynika to z braku wiedzy o ich istnieniu, ale po ujawnieniu się wilkołaków nic się w tym względzie nie zmieniło. Prawdopodobnie jeden z aspektów magii stada powodował, że ludzie ich nie widzieli. Oczywiście nie w sensie niewidzialności, a raczej skłonności do niezauważania.

Na głazie nie zastaliśmy nikogo, więc zaczęliśmy z Benem szukać odpowiedniego miejsca z widokiem na brzeg, żeby się przyczyić. Ukryliśmy się w kępie krzewów rosnących nieopodal i czekaliśmy. W każdym razie Ben, bo ja przysnęłam. Sypiałam teraz więcej niż

zwykle. Samuel mówił, że to efekt przyspieszonego leczenia w wyniku wypicia napoju z pucharu, ale widziałam, że spogląda przy tym na mnie z troską.

Owszem, miewałam momenty, kiedy wpadałam w czarną rozpacz, ale radziłam sobie z nimi jak zwykle, kiedy coś mnie przygnębiało. Moja zamrażarka pękała od kruchych ciastek, Adamowa lodówka od murzynków, moja z kolei lśniła i pachniała czystością, podobnie zresztą jak łazienka. Choć ta ostatnia w zasadzie lśnić nie mogła, bo czas nieodwracalnie zmatowił linoleum na podłodze.

Zamierzałam odnowić łazienkę za jakiś czas – jeśli Samuel nie zmusi mnie do tego wcześniej. Miałam dość zieleni. Chociaż i tak wyglądała teraz lepiej, niż kiedy kupowałam bungalow. Co za ludzie wstawiają do łazienki muszlę w kolorze musztardy? Szybko wymieniłam ceramikę na nudnie białą, uznawszy, że nawet nudna biel jest lepsza od koszmarnej sraczkowatej żółci.

Gdy zwinięty pod moją głową Ben się poruszył, ocknęłam się z drzemki.

Usiadłam i się rozejrzałam. Drogą ku brzegowi zmierzał chłopak podobny do Austina. Lekko kulał, więc Jesse musiała się jednak dobrze sprawić. Satysfakcja, jaką poczułam, oznaczała, że nie jestem tak miłą osobą, za jaką pragnęłam uchodzić.

Zostałam na miejscu, dopóki nie wdrapał się na głaz i nie usiadł. Dopiero wtedy wstałam i otrzepałam się porządnie.

– Zaczekaj tu, póki cię nie zawołam – poinstruowałam Bena.



– Cześć, Jacob – zawołałam z pewnej odległości.

Zanim się odwrócił, pospiesznie otarł twarz. Kiedy obawa przed przyłapaniem na płaczu minęła, popatrzył na mnie, marszcząc brwi.

– To ty jesteś tą dziewczyną, którą zgwałcono. Tą, która zabiła kumpla mojego brata.

Zrezygnowałam z przyjaznej postawy.

– Jestem Mercedes Thompson, tak, ta sama, którą zgwałcono i która zabiła Tima Milanovicha. A ty jesteś Jacob Summers, ten sam

sukinsyn, który wraz z kolegą postanowił sprawdzić, jak łatwo pójdzie im pobicie mojej przyjaciółki, Jesse.

Pobladł, a na jego twarzy odbiło się poczucie winy. Świetnie.

– Nie powiedziała o tobie nikomu, bo bała się, że jej ojciec znajdzie was i zabije. – Czekałam na strach, ale się nie doczekałam. Widocznie uznał, że to przerośnięta. – Ale nie z tego powodu tu przyszedłam. W każdym razie nie tylko. Uznałam, że powinieneś poznać prawdziwe okoliczności śmierci brata. Nie znajdziesz ich w gazetach. – Opowiedziałam Jacobowi dokładnie, co Tim zrobił Austinowi i jak mu się to udało.

– Więc ten przedmiot od Pradawnych zmusił mojego brata do popełnienia samobójstwa? Myślałem, że to tylko zabawki.

– Nawet zabawki mogą być niebezpieczne w rękach nieodpowiednich ludzi – stwierdziłam. – Ale to nieistotne. Tim zabił twojego brata, tak jak zabił O'Donnella. I zrobiłby to tak czy inaczej, jeśli nie z pomocą pucharu, to zwykłą bronią.

– Czemu mi to mówisz? Nie boisz się, że ludzie dowiedzą się, że te przedmioty są naprawdę niebezpieczne?

Dobre pytanie. I wymagało odpowiedzi nie całkiem pozbawionej prawdy.

– Policja wie o wszystkim, a prasa i tak nie uwierzy. Bo niby skąd miałyby te informacje? Ode mnie? Zaprzeczę, że cię kiedykolwiek widziałam. Niezła historyjka, ale nieprawdziwa. A twoi rodzice... – Westchnęłam. – Zapewne woleliby wierzyć w samobójstwo, nie uważasz?

Widziałam po minie, że zgadza się co do tego z bratem. Nie rozumiałam niektórych ludzi. Prawdziwego zła nie da się omyłkowo wziąć za coś innego, bez względu na to, czy chodzi o wilkołaki, nastolatki obleczone w czerń i poprzekłuwane wszędzie, gdzie się tylko da, czy też magię nieludzi, obojętne: potężną czy nie.

– Mało brakowało, a bym ci o tym nie powiedziała, bo są istoty, które dadzą wiarę twoim słowom. A ktoś, kto sprawia nieludziom kłopoty, zwykle szybko ginie w jakimś wypadku lub ciemnym zaułku. Choć trzeba im oddać sprawiedliwość, że nie lubią sięgać po tak drastyczne środki. Zresztą wszyscy wolelibyśmy tego uniknąć, ty też, prawda? Więc lepiej, żebyś trzymał buzię na kłódkę.

– Więc dlaczego mi o tym powiedziałaś?

Popatrzyłam na chłopaka, a potem na Austina, który stał za jego plecami. Ramiona Jacoba pokrywała gęsia skórka, ale zdawał się tego nie zauważać.

– Dlatego, że gdy byłam dzieckiem, ktoś, na kim mi zależało, popełnił samobójstwo. Wiem, jak to jest, i uznałam, że to ważne, byś wiedział, że twój brat nie był takim egoistą i cię nie porzucił. – Spojrzałam ku rzece. – Nie wiem, czy ci to pomoże, ale Tim dostał to, na co zasłużył.

Odpowiedź chłopca dowiodła, że ktoś, kto podobał się kiedyś Jesse, nie może być całkiem niereformowalny.

– A tobie pomaga myśl, że on nie żyje? – zapytał.

W odpowiedzi zwróciłam ku niemu twarz.

– Czasami. Często. Choć nie zawsze.

– Wiesz... Wierzę ci. Austin miał dla czego żyć, a ty nie masz powodu, by mnie okłamywać. – Pociągnął nosem i wytarł go o ramię, udając, że wcale nie płacze. – Trochę pomogło. Dziękuję.

– Nie dziękuj jeszcze. Jak wspominałam, to niejedyny powód naszego spotkania. Musisz zobaczyć, dlaczego już nigdy nie będziesz zaczepiać Jesse. Ben? Pozwolisz tu na momencik?



Rzuciłam patyk, obserwując, jak Ben za nim pędzi. Miałam rację. Cudownie się bawił. Straszenie nastoletnich łobuzów bardzo mu spasało.

Obeszliśmy się z Jacobem bardzo delikatnie. Ben wyważył wszystko wprost idealnie. Był na tyle przerażający, by przekonać chłopaka do zostawienia Jesse w spokoju, ale nie na tyle, by dzieciak nie zapytał, czy może go dotknąć.

Ben, podobnie jak Honey, był pięknym wilkiem, a zachwyty polechtał jego próżność. Jacob okazał się z kolei całkowicie skruszony – bardzo się wstydził napadu na Jesse. Na pewno nie zamierzał jej już dokuczać.

Wyciągnęłam z niego także nazwisko chłopaka, który mu towarzyszył, oraz dziewczyny, która wpadła na cały ten pomysł. Ich także odwiedziliśmy. Tym razem Ben poszedł na całość

i wystraszył ich śmiertelnie – nie żeby musiał się szczególnie starać. Nie miałam pojęcia, czy zmieni ich to na lepsze, ale od Jesse zapewne się odczepią. Czasami nie jestem najmilszą osobą na świecie. Podobnie jak Ben.



W niedzielę w kościele przez całą mszę starałam się udawać, że to na Warrena i Kyle'a wszyscy się gapią, a nie na mnie. Ale pastor Julio zatrzymał nas, kiedy wychodziliśmy.

– Jak się czujesz? – zapytał.

Ze względu na sympatię, jaką darzyłam duchownego, nie odwarknęłam, nie odszczeknęłam ani też nie uczyniłam niczego innego, co ostatnio robiłam nagminnie.

– Dobrze, ale następnym razem, kiedy ktoś mnie o to zapyta, rzucę się na ziemię i zacznę toczyć pianę z ust – odparłam.

– W porządku. – Uśmiechnął się. – Daj znać, jeśli będziesz czegoś potrzebowała. Mogę polecić ci dobrego terapeutę.

– Dziękuję, w razie czego zadzwonię.

W samochodzie Kyle wybuchnął śmiechem.

– Toczyć pianę z ust?

– Nie pamiętasz? Tak jak w „Egzorcystach”. Oglądaliśmy to jakiś czas temu.

– Też mam dojście do dobrych terapeutów – rzekł i ciągnął sprytnie, nie dając mi dojść do głosu: – To co dzisiaj robimy?

– Nie wiem, jak wy, ale ja zamierzam pogrzebać w Króliku.



W drewnianej szopie, która służyła mi za przydomowy garaż, było chłodniej niż na zewnątrz, gdzie operowało słońce. Przez chwilę stałam w mroku, starając się przemóc atak paniki wywołany zapachem smaru i oleju silnikowego. Zaliczyłam właśnie pierwszy napad lęku tego dnia, co oznaczało, że miałam za sobą jedną trzecią tych wczorajszych.

Warren nie odezwał się ani kiedy walczyłam z krótkim

oddechem, ani kiedy się uspokoiłam – co stanowiło jeden z powodów, dla których go kochałam.

Opanowawszy się, zapaliłam światło.

– Nie bardzo to widzę – rzekłam. – Kiedy przywieźliśmy Królika z Gabrielem, rzuciłam na niego okiem. Wyglądało na to, że Fideal zamienił paliwo w słoną wodę. Czyli że od wtorku w zbiorniku i przewodach stoi woda z solą.

– A to źle? – Warren znał się na samochodach tak jak ja na krowach, czyli w ogóle. Kyle był pod tym względem bardziej świadomy, ale wołał zostać w klimatyzowanym domu w towarzystwie talerza ciasteczek z czekoladą.

Podniosłam maskę i spojrzałam na silnik.

– Naprawa wyniesie pewnie tyle samo, co kupienie innego grata na złomowisku i wykorzystanie tego na części.

Problem w tym, że miałam aktualnie naco wydawać pieniądze. Musiałam zwrócić Adamowi za naprawę jego domu i samochodu. Nic nie powiedział, ale nie zamierzałam tego tak zostawić. A w dodatku od kilku dni nie pracowałam.

A jutro będzie poniedziałek.

– Może przyjdziemy tu później? – zaproponował Warren, bacznie mi się przypatrując.

– Nie, nie. Wszystko w porządku.

– Smakujesz strachem – to nie był głos Warrena.

Wyszarpnęłam głowę spod maski, mało nie skręcając sobie przy tym karku.

– Słyszałeś to? – Nigdy nie natknęłam się na ducha we własnym domu, jednak kiedyś musi być ten pierwszy raz.

Wilkołak nie musiał odpowiadać. Po jego postawie widziałam, że słyszał każde słowo.

– Czujesz coś dziwnego? – zapytałam.

Rozległ się rechot, ale Warren go zignorował.

– Nic.

Staliśmy w jasno oświetlonym pomieszczeniu, w którym ciężko było o jakąkolwiek kryjówkę, lecz ani ja, ani Warren nie widzieliśmy nic i nie wyczuwaliśmy. To dawało dwie możliwości, a ponieważ była pełnia dnia, wampiry odpadały.

– Nieczłowiek.

Warren musiał wpaść na to samo, bo sięgał już po łom, który trzymałam przy drzwiach. Pręt miał półtora metra, ważył ponad osiem kilogramów, a on chwycił go jedną ręką z taką łatwością, jak ja scyzoryk.

Uzbroiłam się w kostur, który leżał u moich stóp, choć dałabym głowę, że jeszcze przed chwilą widziałam w tym miejscu tylko goły beton. Kostur nie był co prawda z żelaza, ale już raz uratował mi życie. Czekaliśmy, nastawiając uszu, oczu i nosa, jednak nic się nie wydarzyło.

– Zadzwoń do reszty – rzucił Warren.

– Nie mogę. Przecież komórka mi nie działa.

Warren odrzucił głowę i zawył.

– To nic nie da – usłyszałam szept i zwróciłam się w stronę, skąd dochodził. Tym razem brzmiał inaczej. Głośniejszy i z wyraźnym szkockim akcentem. Rozpoznałam Fidealą, choć nadal go nie widziałam. – Nikt cię nie usłyszy, wilku. Ona należy do mnie, podobnie jak ty.

Warren pokręcił głową – on także nie mógł zlokalizować źródła głosu.

Rozległ się cichy trzask i kątem oka dostrzegłam iskrzenie. Potem zgasło światło.

– Niech to cholera! – zdenerwowałam się. – Nie stać mnie na elektryka.

Szopa nie miała okien, ale przez szczeliny wokół drzwi wjazdowych wsączało się dzieńne światło. Wystarczało, żebym widziała, ale zapewniało też Fidealowi więcej cieni, w których mógł się chować.

– Dlaczego przyszedłeś? – zapytał Warren. – Przecież wyrok został cofnięty. Zapytaj swoich kochanych Szarych Panów.

Fideal wychynął z kryjówki, żeby zaatakować. Przez mgnienie widziałam go, ciemny kształt o zarysie konia, wielkości mniej więcej osła. Przednie kopyta grzmotnęły w pierś Warrena, zbijając wilkołaka z nóg.

Uderzyłam napastnika kosturem, przez który przepłynęła energia, jak przez elektrycznego pastucha. Fideal stanął dęba, robiąc unik przed kosturem, i rozplynął się w mroku.

Warren wykorzystał to, by podnieść się z ziemi.

– Nic mi nie jest, Mercy. Uciekaj.

Nie widziałam Fideala, ale Warren uniósł łom niczym kij baseballowy, zrobił dwa kroki w bok i zamachnął się, trafiając w coś.

Warren potrafił zlokalizować Fideala, ja nie. I miał rację. Lepiej, żebym się odsunęła, niż uderzała na ślepo, bo przypadkiem mogłam skrzywdzić przyjaciela.

Umknęłam za Królika i zaczęłam rozglądać się za lepszą bronią.

Wokół leżało dużo aluminiowych części ogrodzenia i miedzianych rur instalacyjnych, wszystkie porządne łomy i żelazne narzędzia znajdowały się po przeciwnej stronie garażu.

Fideal zaskrzeczał przenikliwie. Świdrujący dźwięk wypełnił pomieszczenie, a zaraz po nim rozległ się szczęk metalu o beton.

Potem zapadła głucha cisza. Warren leżał nieruchomo na ziemi.

– Warren?

Nie złowiłam nawet szmeru oddechu. Obiegnęłam samochód, stając nad wilkołakiem nadal uzbrojona w kostur. Po Fidealu nie było śladu.

Coś przecięło mi skórę na policzku. Machnęłam na oślep i tym razem trafiłam. Kostur zawibrował niczym ogon grzechotnika. Fideal syknął, odskoczył i potknął się o stojak na lewarki, wpadając na niewielki wózek narzędziowy. Nadal nie widziałam jego samego, ale bałagan, który za sobą zostawiał, owszem.

Przeskoczyłam przez stojak, pewna, że napastnik nie może być daleko. Kiedy okrążałam wózek, uderzyło mnie coś wielkiego.

Wylądowałam na betonie, zdzierając sobie skórę z brody, łokcia i kolana. Leżałam całkiem bezbronna. Dopiero po chwili dotarło do mnie, że szum w głowie brzmi, jakby ktoś pomstował po niemiecku.

Mimo że leżałam na twarzy, porządnie ogłuszona, nie miałam wątpliwości, kto przybył mi na ratunek. Znałam tylko jedną osobę, która złorzeczyła po niemiecku.

Nie rozumiałam słów, powstrzymały one jednak magię, którą Fideal zatykał mi nos. Naraz całe pomieszczenie buchnęło smrodem bagna. W jednym miejscu odór był intensywniejszy.

Runęłam w stronę, gdzie skupiły się cienie.

– Mercy, *halt* – zawołał Zee.

Wzięłam potężny zamach, uderzając z całej siły. Kostur trafił w coś, utknął na moment i rozbłysnął jasno niczym słońce.

Fideal zaskrzeczał ponownie i wykonał jeden z tych swoich nieprawdopodobnych susów, przesadzając Królika, odbijając się od ściany i w locie wytrącając mi kostur z ręki. Nie upadł, nie był nawet ranny. Czołgał się w sposób niewykonalny dla konia, wpatrując przy tym w Zee.

A Zee nie robił wrażenia przeciwnika, którego mógłby obawiać się taki potwór. Wyglądał jak zwykle, czyli jak starszy mężczyzna, suchy, kościsty, z wyjątkiem wystającego, okrągłego brzuszka. Pochylił się nad Warrenem, który natychmiast zaczął kaszleć. Nie spojrzał na mnie, kiedy przemówił:

- Nic mu nie będzie, Mercy. Zajmę się tym. Jestem ci coś winien.
- No dobrze – ustąpiłam, ale i tak podniosłam kostur.
- Fidealu, ta tutaj znajduje się pod moją ochroną – zwrócił się do monstra.

Fideal syknął coś po gaelicku.

- Starzejesz się, Fidealu, zapominasz, kim jestem.
- To moja zdobycz. Moja. Tak powiedzieli. Powiedzieli, że mogę ją zjeść, i tak uczynię. Karmią mnie bydłem. Kim jestem, by jeść krowy i świnię jak pies? – Potwór splunął na ziemię, odsłaniając kły czarniejsze od ciemnego śluzu, który pokrywał jego ciało. – Fideal ściąga daninę z ludzi, którzy przychodzą na jego tereny zbierać bogactwo torfu na opał, zjada ich dzieci, które podejną za blisko. Świnie. Pff!

Zee wyprostował się, a wokół jego sylwetki pojawiło się dziwne światło, jakby ktoś powoli przesuwiał na niego reflektor. Zmienił się, odrzucając iluzoryczną formę. Nowy Zee był wyższy od mojego o dobre ćwierć metra, pomarszczona skóra starego Germańczyka nabrała gładkości i barwy polerowanego drewna tekowego. Mieniące się włosy, które w lepszym świetle mogły być srebrne lub złote, zwieszały się przez ramię zaplecione w warkocz, sięgający poniżej pasa. Szpiczaste uszy przystrojone miał kawałkami kości, nanizanymi na nić przewleczoną przez dziurki biegnące wzdłuż całego brzegu małżowiny. W dłoni dzierżył ostrze podobne do tego, które niegdyś mi pożyczył, lecz dwukrotnie dłuższe.

Z postaci Fideała także opadły cienie. Z początku przypominał

potwora, z którym walczyła wataha, ale jego kształt zmienił się szybko i po chwili wyglądał jak niewielki kuc pociągowy, gdyby kuce miały na szyi szczeliny skrzelowe, a w pysku ostre kły. W końcu przemienił się w człowieka, którego poznałam na spotkaniu Świetlanej Przyszłości. Płakał.

– Wracaj do domu, Fidealu – rzekł Zee. – Odstąp od niej. Zapomnij o moim dziecięciu, a twoja krew nie nakarmi mojego ostrza. Ono także jest wygodniałe, a woli mniej bezbronne istoty niż człowiecze dzieci. – Poruszył ręką i silnik pociągnął drzwi garażowe do góry.

Fideal czmychnął z wiaty, znikając za rogiem.

– Nie będzie cię już prześladował – zapewnił mnie Zee, który znów wyglądał jak mój Zee. Ostrze także gdzieś zniknęło. – Na wszelki wypadek porozmawiam z Wujkiem Mikiem i razem się co do tego upewnimy. – Wyciągnął rękę, pomagając Warrenowi wstać.

Wilkołak był blady jak ściana, a jego ubranie ociekało wodą, jakby się skąpał – w morzu, sądząc po słonawym zapachu. Wyprostował się z trudem.

– Nic ci nie jest?

Potrząsnął głową, ale mocno wspierał się na Zee.

Kostur spoczywał u stóp Zee, z poczerniałą srebrną rączką, z której unosiła się smużka dymu.

Podniosłam go ostrożnie, lecz spoczywał w mojej dłoni tak samo martwo jak patyk, który rzucałam wczoraj Benowi.

– Myślałam, że służy tylko do pomnażania stada owiec?

– Jest bardzo stary – rzekł Zee. – A stare przedmioty miewają własną wolę.

– To co? – odezwałam się, nie podnosząc oczu znad dymiącego kostura. – Nadal jesteś na mnie zły?

Skóra na szczękach Zee napięła się na chwilę.

– Wiedz, że wolałbym umrzeć w tej celi, niż narazić cię na to, przez co przesłaś.

Wydełam usta i zrewanżowałam mu się szczerością.

– Ale żyję. I ty żyjesz. I Warren. Nasi wrogowie nie żyją lub zostali pokonani. To był dobry dzień.



W poniedziałek, wróciwszy do pracy, domyśliłam się, że mój warsztat odwiedziła Elizawieta, czarownica i świetnie opłacana „sprzątaczką” watahy. Jedynym śladem świadczącym o tym, co się tu wydarzyło, były rysy, które zrobiłam na betonie, usiłując rozbić puchar. W miejsce drzwi wyważonych przez Adama wstawiono nowe.

Zee pracował cały piątek i sobotę, więc nadrobił wszystkie moje zaległości. Przeżyłam kilka ciężkich chwil, które musiałam ukryć przed Honey, moim poniedziałkowym ochroniarzem, ale już przed lunchem znów czułam się w warsztacie jak u siebie w domu. Nawet to, że Gabriel obchodził się ze mną jak z jajkiem, a Honey zaanektowała moje biuro, nie przeszkadzało mi tak bardzo. Punkt piąta odesłałam Gabriela do domu, a Honey odeskortowała mnie pod same drzwi, zanim poszła do siebie.

Zjedliśmy z Samuelem chińszczyznę na wynos i włączyliśmy jakiś film akcji z lat osiemdziesiątych. W połowie Samuel odebrał telefon z pilnym wezwaniem do szpitala, zebrał się więc szybko i wyszedł.

Natychmiast kiedy zostałam sama, wyłączyłam telewizor i poszłam pod prysznic. Nie spieszyłam się, długo stojąc pod gorącym strumieniem. Potem ogoliłam nogi i spokojnie wysuszyłam włosy. Zaplotłam je w warkocz, ale po namyśle rozpuściłam.

– Jak się będziesz tak guzdrała, to po ciebie przyjdę – zawołał Adam.

Naturalnie wiedziałam, że jest w domu. Wiedziałabym, nawet gdybym nie słyszała silnika podjeżdżającego samochodu i trzaśnięcia drzwi. Tylko jeden powód mógł skłonić Samuela do wyjścia z domu. Świadomość, że Adam wkrótce tu się pojawi.

Obejrzałam się w lustrze. Skórę na twarzy i rękach miałam pociemniałą od słońca, a resztę ciała jaśniejszą, ale przy mojej karnacji różnica nie była duża. Poza szramą na policzku, na którą Samuel założył dwa szwy, oraz sińcem na ramieniu – którego okoliczności nabicia nawet nie pamiętałam – wyglądałam całkiem znośnie. Dzięki treningom karate i pracy fizycznej byłam w dobrej formie.

Twarzy może nie miałam pięknej, za to włosy długie, gęste i lśniące.

Adam nie zmusiłby mnie do niczego. Nie zrobiłby nic, czego bym

nie chciała – a chciałam już od dawna.

Mogłam mu powiedzieć, żeby odszedł, żeby dał mi trochę czasu. Spojrzałam na kobietę w lustrze, ale ona tylko odwzajemniła spojrzenie.

Miałam pozwolić Timowi na tę ostatnią wygraną?

– Mercy!

– Uważaj – zagroziłam, wkładając czystą bieliznę i znoszony podkoszulek. – Mam prastary kostur i nie zawaham się go użyć.

– Ten stary kij leży na twoim łóżku – usłyszałam w odpowiedzi.

Kiedy weszłam do sypialni, na łóżku leżał również Adam.

– Po dyżurze Samuel pójdzie spać do mojego domu – poinformował mnie. – Mamy dużo czasu na rozmowę.

Miał przymknięte powieki, a pod oczyma ciemne podkowy. Chyba ostatnio nie spał za wiele.

– Okropnie wyglądasz. Czyżby w stolicy zabrakło hoteli?

Otworzył oczy, tak ciemne, że przy słabym świetle wydawały się czarne, choć wiedziałam, że w rzeczywistości są o ton jaśniejsze od moich.

– Podjęłaś decyzję?

Przypomniałam sobie gniew Adama, kiedy wyważał drzwi do warsztatu, rozpacz, kiedy zmuszał mnie do wypicia z kielicha, stanowczość, z jaką wywlókł spod łóżka i ugryzł w nos – i to, jak trzymał w ramionach przez resztę nocy.

Tim nie żył. I zawsze był przegrany.

– Mercy?

W milczeniu zdjęłam koszulkę, rzucając ją na podłogę.



COPYRIGHT © 2008 BY Hurog, Inc.
COPYRIGHT © BY Fabryka Słów sp. z o.o., LUBLIN 2010
COPYRIGHT © FOR TRANSLATION BY Dominika Schimscheiner, 2010

TYTUŁ ORYGINAŁU Iron Kissed

WYDANIE II

ISBN 978-83-7964-281-6

Wszelkie prawa zastrzeżone
All rights reserved

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

PROJEKT I ADIUSTACJA AUTORSKA WYDANIA Eryk Górski, Robert Łakuta

PROJEKT OKŁADKI black gear Paweł Zaręba

ILUSTRACJA NA OKŁADCE © Dan Dos Santos

REDAKCJA Karolina Kacprzak

KOREKTA Magdalena Grela-Tokarczyk, Celina Nikolska

SKŁAD WERSJI ELEKTRONICZNEJ pan@drewnianyrower.com

SPRZEDAŻ INTERNETOWA



Zamówienia hurtowe
Firma Księgarska Olesiejuk sp. z o.o. sp.j.
05-850 Ożarów Mazowiecki, ul. Poznańska 91
tel./faks: 22 721 30 00
www.olesiejuk.pl, e-mail: hurt@olesiejuk.pl



Fabryka Słów sp. z o.o.
20-834 Lublin, ul. Irysowa 25a
tel.: 81 524 08 88, faks: 81 524 08 91
www.fabrykaslow.com.pl
e-mail: biuro@fabrykaslow.com.pl
www.facebook.com/fabryka
instagram.com/fabrykaslow

PATRICIA BRIGGS

POCŁUNEK ŻELAZA



 facebook.com/fabryka

fabrykaslow.com.pl

Przemiana wilkołaków jest niezwykle bolesna, szczególnie jeśli zwlekają z nią podczas pełni i księżyc wyciąga z nich wilka przemocą. Moja transformacja nie przysparza cierpienia, wprost przeciwnie, jest dość przyjemna. Jakbym przeciągała się po długiej pracy.

**NOS NA WIATR. MERCY!
UROCZYSKO. TO NIE MIEJSCE
DLA „GRZECZNYCH”
DZIEWCZYNEK.**

Pradawni stronią od ludzi. Wolą swoje rezerwy, ludzkość nie jest jeszcze gotowa na ich poznanie. Rządzą się własnymi regułami, ich prawo jest twarde i szybkie... ale nie zawsze sprawiedliwe.

Mercy spłaca dług zaciągnięty u swojego mentora. Pośród istot, które od wieków żyją w cieniu tajemnicy musi wytropić bestialskiego mordercę, ale sekrety Uroczyska i Pradawnych powinna zostawić w spokoju. Dla własnego dobra.



NASTĘPNY TOM:

Patroni medialni

 MUZO.FM

 KAWERNA

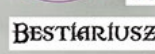
 GAVRAN
FAN-DOM.PL

 Książki
Moni

 W
WYDOSTRZEK.PL



 duze.k.pl

 BESTIARIUSZ

 KSIĄŻKOWE
K&K&A, NIE K&K&A

 PARADOKS

 Ostatnia
kawerna

 POLTERGEIST
POLTER.PL